

Okolicami Jeleniej Góry wstrząsa sprawa  
brutalnych porwań dzieci.  
Czy uda się na czas znaleźć  
sprawcę i jego ofiary?



HUBERT  
HENDER

LEK

Ludzie nie mają pojęcia, czym jest strach,  
dopóki nie zostaną rodzicami...

FILIA  
MROczNA  
STRONA



LEEK

HUBERT  
HENDER

FILIA

*Strach upośledza rozum.*  
Mary Douglas

## Prolog

– Zabiłeś ją?

Mężczyzna się nie poruszył. Głośno oddychał. Kiwnął głową, nie odrywając spojrzenia od źródła światła.

Napastnik powoli puścił swoją ofiarę. Kucnął nad nim i przysunął mu zimną lufę do twarzy. Znów zadał to samo pytanie, ale nie otrzymał odpowiedzi.

– Czekam pięć sekund, jeśli nie odpowiesz, odstrzelę ci palec. Jeśli dalej nie usłyszę odpowiedzi, odstrzelę kolejny. Zrozumiałeś, sukinsynu?

– Nie...

– Głośnij, nie dosłyszałem.

– Nie...

– Co „nie”? Nie powiesz mi czy po prostu jej nie zabiłeś?

– Nie zabiłem jej.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

– Szukałeś jej? Ścigałeś ją? Jechałeś za nią samochodem? Dzwoniłeś? Prześladowałeś? Co? Milczenie. Czekał na odpowiedź kilka sekund.

– To przed tobą uciekła? Nie ma jej od wielu dni. Nikt jej nie może znaleźć. Zabiłeś ją i wrzuciłeś do rzeki jak pozostałe?

Leżący wzruszył ramionami i przymknął oczy.

– Kłamstwo. A mnie nie wolno okłamywać.

Odłożył broń za siebie, wystarczająco daleko, by mężczyzna nie mógł w żaden sposób po nią sięgnąć. Wziął zamach i z całej siły uderzył go w twarz. Z nosa popłynęła struga krwi. Zamachnął się ponownie i walnął go z całej siły. Czuł, jak mu się napinały mięśnie. Potem uderzył otwartą dłoń w policzek. Zdjął z siebie bluzę, bo aż paliło go od środka. Emocje, wysokie ciśnienie i zmęczenie, a jednocześnie rozsadzała go adrenalina. Rzucił bluzę za siebie.

– Ty skurwysynu, zabiłeś dwoje niewinnych dzieciaków – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Gdzie jest Patrycja?

– Nie wiem...

– Mów!

– Nie wiem...

Wziął zamach i ponownie walnął go z całej siły.

– Czy ona żyje?

– Nie wiem...

Znów wziął zamach...

– Liczę do pięciu.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. I wtedy wymierzył kolejny cios w sam środek rozkrwawionego nosa. Mężczyzna jęknął z bólu i zaczął wierzgać bez opamiętania. Napastnik przycisnął go

mocniej do ziemi. Zmagał się z nim, wkładając w to całą siłę. Katowany człowiek po chwili się uspokoił, tylko ciężko sapał. Pięść oprawcy była cała we krwi. Zmienił pozycję. Usiadł okrakiem na brzuchu swojej ofiary. Zdawał sobie sprawę, że tamtemu będzie ciężiej oddychać, ale o to chodziło.

– Daj jakiś znak. Powiedz coś, nim cię zabiję – wyszczał. Czekał, ale odpowiedzi nie usłyszał. Toteż uderzył po raz kolejny w twarz. Nos ofiary stał się masą zmiażdżonych chrząstek i chlustała z niego krew. Zalewała twarz leżącego i lśniła w jasnym świetle. Napastnik zamknął oczy i po chwili je otworzył, jakby próbował otrząsnąć się z tego koszmaru.

Mężczyzna poruszał głową, cały czas patrząc to w światło latarki, to w miejsce, w którym powinna znajdować się twarz napastnika, ale jej nie widział, na próżno wodził wystraszoną wzrokiem. Wydawało mu się, że siedzący na nim człowiek znów mu zadał jakieś pytanie, ale czuł się tak ogłuszony i oślepiony, że nawet go nie usłyszał. Krew pulsowała mu w uszach, do tego dochodził szum w całej głowie. Wzruszył ramionami. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Słowa brzmiały, jakby dochodziły z innej przestrzeni.

I wtedy padł kolejny cios. Mocny, który z nosa zrobił mu niemal całkowitą miazgę. Poczuł, że wszystkie chrząstki wchodzi mu w głąb czaszki. Widział brunatną krew wypływającą spod zmiażdżonych tkanek. Nie wiedział, co było bardziej przerażające. Ból czy ten okropny widok krwi.

– I dlatego zaczęłeś... Po kolei – dosłyszał jakieś pojedyncze wyrazy, które nie składały się w całe zdania. – Zaczęłeś od niego, bo to on był głównym ogniwem tego wszystkiego, od niego wszystko się zaczęło. Potem... – Usłyszał kolejne zdania, ale pod wpływem silnego uderzenia zlały mu się w ciąg słów, których już nie rozumiał. Tracił przytomność, był na skraju wytrzymałości.

Zamknął oczy, a po chwili poczuł piekące uderzenie z otwartej dłoni w skroń.

– ...nie powinieneś żyć.

Kolejne silne uderzenie.

Napastnik spojrział z wściekłością na twarz swojej ofiary. Wyglądała jak czerwona maska, jakby częściowo obdarto ją ze skóry. Tylko białka oczu przypominały, że ta krwawa miazga to ludzka twarz. Nagle białka zniknęły pod powiekami. I wtedy doszedł do wniosku, że najwyższy czas to zakończyć. Znowu zaczął walić go w twarz, a po chwili też w klatkę piersiową. W pewnym momencie katowany mężczyzna wypluł strugę nagromadzonej w ustach krwi.

Co czuje człowiek na widok własnej krwi, która tryska z niego w każdej sekundzie, nieustannie, jakby za wszelką cenę chciała uciec z ciała? Czy w ogóle coś czuje poza falą rozdzierającego bólu? Czy jest czas na jakiegokolwiek refleksje, myśli, wspomnienia bądź próbę zrekonstruowania tego, co się tak naprawdę stało? Raczej nie, choć już dwukrotnie omal nie stracił świadomości, ale z każdym kolejnym uderzeniem wracał na jawę. Jak za karę. Fizyczny ból był tak potężny, że nie pozwalał mu zemdleć.

Otworzył oko i dostrzegł, że oprawca otarł z twarzy krew, odsunął się i wstał. Przesunął jeszcze dalej broń. Skatowany człowiek chciał po nią sięgnąć i go zabić, ale była za daleko. Jego ciało przypominało kłodę drewna. Dostrzegł, że napastnik podszedł do rzeki, umył twarz, oplukał ręce, wytarł się w koszulkę i wrócił na miejsce. Potem zrobił kilka kroków w przeciwnym kierunku. Może da mi spokój? Boże, proszę, niech ten przeklęty kat mnie już zostawi, niech sobie idzie... Błagam – mówił do siebie w duchu.

Poruszył delikatnie głową, spojrzął na swoje leżące na ziemi ciało. Wszędzie dokoła wsiąkała jego krew. Po pięciu, może dziesięciu sekundach usłyszał, że oprawca wraca. Stanął nad nim, opierając ręce na biodrach. Pokiwał głową i prychnął z niedowierzaniem. Podszedł bliżej i uklęknął.

Zaczął coś do niego mówić, ale pobity nie słyszał co dokładnie. Był już na skraju wytrzymałości. W pewnej chwili kat złapał go za ręce i przeciągnął go nad sam brzeg rzeki. Jeszcze kilkanaście centymetrów i wyląduje w wodzie. Mężczyzna postawił na nim nogę. Ból był koszmarny, ale nawet nie miał siły wrzasnąć. Wiedział, że jedno kopnięcie i stoczy się do wody.

– Nie wiesz, co oznacza umierać pod wodą. Wszędzie tylko ciemność i ta przekłeta cisza, nie wiesz, co oznacza, gdy nie możesz się ruszyć... nie rozumiesz – słyszał urywane słowa, choć robił wszystko, by usłyszeć każde z nich, bo być może od nich zależało jego życie. – Twoje ciało idzie pod wodę, a ty nie możesz nic zrobić. Nie możesz się temu przeciwstawić, bo ono zaczyna sztywnieć... ciało pod wodą nieruchomieje. Staje się drętwe, mniej elastyczne... powstrzymujesz się przed wzięciem oddechu. Walczysz z odruchem. Ale po chwili odruchy biorą górę i po parunastu sekundach wypuszczasz z płuc resztki powietrza... zaczynasz wciągać wodę. To normalne, bo to taki odruch, którego się nie pozbędziesz... Jest jak mrugnięcie oczu przez zbliżającym się ciosem. Z odruchami przychodzimy na ten świat, choć nie jesteśmy ich świadomi, i towarzyszą nam przez całe życie. Człowiek jest łapczywy... więc próbuje zrobić wdech, ale zamiast powietrza powoli wlewa ci się woda do płuc, a ty zaczynasz się krztusić... Organizm broni się przed wpuszczeniem wody do płuc, więc zaczynasz ją połykać. Woda zaczyna rozlewać się po całym wnętrzu, wpływa do dróg oddechowych, do płuc... wpadasz w panikę. A wtedy łądujesz w siłach śmierci. Nim minie parę chwil, zatrzymują się wszelkie czynności oddechowe. I to już jest praktycznie początek końca. Po chwili jesteś nie uratowania. Kończy się twoje życie. Giniesz w ciszy, niesłyszany przez nikogo... ale ja cię będę słyszał. Albo wyobrażę sobie twój krzyk...

Stojący nad nim oprawca poruszył silniej nogą. Zapewne miał ochotę pchnąć go z całej siły.

Boże, jeden ruch.

– Nie... – wybulgotał, a z jego ust wylała się kolejna porcja krwi. Skatowany mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale nie był już w stanie. Poczul, że to już koniec.

Iwanowicz zdjął nogę z jego ciała. Jeden ruch. Jeden pieprzony ruch i zniknąłby z tego świata.



*Tydzień wcześniej*

Wyciągnął z szuflady fotografię i spojrzał na nią pod słońce. Przyjrzał się widniejącym na niej kształtom, kolorom, ceniom, tym niewielkim, choć widocznym i wyczuwalnym pod palcami wygnieceniom i lekkim załamaniom papieru fotograficznego, po czym ją powąchał. Czuł tylko swój zapach, nic więcej. Robił to odruchowo i za każdym razem czuł to samo. Często dotykał tej fotografii, spoglądał na nią, bawił się nią, dlatego czas zrobił swoje i zostawił jego charakterystyczny zapach potu. Znał każdy detal zdjęcia. Miało piętnaście na dwadzieścia jeden centymetrów i białą obwódkę dookoła. Z tyłu znajdował się podpis zrobiony niebieskim długopisem.

Patrzył na nie ponad dziesięć minut, siedząc niemal nieruchomo w swoim pokoju. Po prawej stronie znajdowało się nieduże okno przysłonięte białą firanką. Dalej jednoosobowe łóżko przykryte starym kocem w kratkę. Tylko to mu zostało po ukochanej babci. Po lewej stronie stała dwuczęściowa szafa, a w niej znajdowały się schludnie ułożone ubrania.

Siedział w identycznej odległości od każdej ze ścian. Z tyłu wyglądał jak student w ciszy przygotowujący się w akademiku do egzaminu.

Wstał, podszedł do okna i odsunął firankę, spojrzał w dal. Zmrużył oczy, bo z zewnątrz wdarł się oślepiający blask. Ale nie przejmował się nim. Był bez znaczenia, bo pogodę i otoczenie należało znosić, koncentrując myśli na czym innym. Nigdy nie robiła na nim wrażenia, podobnie jak głód, pragnienie i poczucie wstydu, na które był od lat uodporniony i które znosił bez mrugnięcia okiem. Widział kilka stojących w pobliżu budynków, a ze dwieście metrów dalej porośnięte krzakami i małymi drzewami brzegi rzeki.

Rzeka. Miejsce, które zawsze przywoływało najgorsze wspomnienia. Były niczym ślady wryte nożem na blacie stołu – nieusuwalne.

I wtedy przypomniał sobie głos matki, oddalony, jakby dobiegał zza ściany.

– Zostawcie go, zostawcie wreszcie! – krzyczała. Na początku głośno, potem coraz ciszej, jakby traciła siły. – Dajcie mu już spokój, mam dość waszych wrzasków, zabaw i szaleństw. Do jasnej cholery, niewyraźnie mówię?

– Ależ mam, my się tylko z nim droczymy... – odzywał się wtedy ten głos, którego nienawidził. – Przecież nic mu nie zrobimy, to tylko zabawa. – I czuł silny chwyt i szarpnięcie za włosy. Głowa szła pod wodę. Na pięć, sześć sekund. Czasami na dłużej.

– Nie róbcie mu krzywdy! – krzyczała, leżąc na kocu. – Bo i wy zaraz w dupę dostaniecie, wszyscy po kolei.

Nie było przy nich nigdy ojca. Miał swoje rozrywki. Zwykle w barze albo w przydrożnej knajpie. Matka troszczyła się tylko o brata oraz kuzyna. Setki razy zadawał sobie pytanie dlaczego. Dlaczego tylko o nich dbała? Czemu on, ten młodszy, mniejszy, nie mógł liczyć na



wsparcie, na słowo otuchy? Dlaczego nie sprawiła mu nigdy żadnej radości. Dlaczego zawsze był odpychany i nigdy nierozumiany?

– Mamo, to tylko zabawa! – odzywał się starszy brat, który stał po kolana w rzece i trzymał go za włosy. Zaciskał z sadystycznym zacięciem zęby i wkładał jego głowę do wody. Ile to było sekund? Pięć, sześć, siedem, osiem...? Może więcej, trudno było dokładnie liczyć, gdy walczyło się o życie.

– Ej, gdzie wasz brat? Nie słyszę go?!

– Jest, jest – odzywał się kuzyn i wyciągał jego głowę.

Patrzyła pozbawionym wyrazu wzrokiem na nich, na te zabawy, na lipcową beztroskę dzieciaków spragnionych wodnych szaleństw i zabaw. Machała co chwila ręką, okazując swoją bezradność wobec dwóch nieujarzmionych urwisów i jednego słabszego syna. Na tę szaloną trójkę, którą miała pod opieką i z którą co dzień przychodziła nad rzekę.

– Zostawcie już go, wystarczy, że już dziś dostał od ojca w tyłek. Wystarczająco się nacierpiał.

– Ciociu, nic mu nie robimy, to tylko zabawa – rzekł kuzyn, ponownie zanurzając mu głowę pod wodę.

Co on wtedy widział? Co czuł, patrząc kuzynowi w oczy?

Setki razy zastanawiał się, dlaczego tak go nienawidzili, zadawał sobie również pytanie nieco inne: jak się wspomina własne dzieciństwo? Czy jest ono mocno przekłamate, zmitologizowane? Nie wiedział, ale ilekroć wracał pamięcią do przeszłości, miała ona kolor sepii, czasami bywała też czarno-biała. Możliwe, że zależało od intensywności wspomnień, tego, jak były silne i ważne.

Kiedy siedział przy swoim biurku, często myślał o przeszłości. O kolorze sepii corocznych letnich wydarzeń nad rzeką, gdy był torturowany przez swojego kuzyna oraz starszego brata. Notorycznie podduszany, podtapiany, kilkanaście razy obrzucany kamieniami, kopany, bity po twarzy – tak by nikt nie zauważył. Miał tego dość i najchętniej by ich wtedy rozszarpał, ale brakowało mu siły.

Zasłonił firankę, odcinając się od przeszłości. Nie miał siły, owszem, ale potem stało się coś innego, co spowodowało, że już się go nie czepiali.

Wciąż gładził twarz znajdującą się na fotografii. Położył zdjęcie przed sobą i rozprostował, by idealnie przylegało do blatu biurka, wyciągnął olbrzymi nóż z szuflady i z całej siły wbił go w uśmiechającą się postać.

Poczuł ulgę.



Dzień był słoneczny. Wyszedł na balkon i spojrzął na ulicę Mickiewicza, przy której mieszkał. Za oknem miał widok na kilka starych pojedynczych willi, które skrywały się między drzewami. Rzucił okiem na budy małych sklepów oraz biegnącą prostopadle ulicę. Dwóch mężczyzn piło piwo, zgarbiona kobieta dźwigała torby zakupów, w oddali biegał pies, który szukał swojego pana, być może równie zagubionego i zbłąkanego, goniącego dokądś bez celu przed siebie, by tylko nie stać w miejscu. Ta rzeczywistość nie zmieniła się od lat. Każdego dnia widział to samo, ale miał też wrażenie, że co dzień oglądał te same osoby wykonujące te same czynności, jakby każdy był zaprogramowany i nie mógł się od nich uwolnić ani ich zmienić, jednak to nie mogła być prawda.

Owszem, stopniowo, powoli zmieniało się oblicze miasta. Ale nie w tym miejscu. Trwało ono tutaj jak zaczarowane. Gdziekolwiek odnawiano kamienice, kładziono nową elewację, przycinano trawniki, koszone trawę, wywożono śmieci, ale to i tak było za mało, bo charakter tego miejsca wciąż pozostawał ten sam. Wciąż było widać te ponemieckie cechy budownictwa i zagospodarowania okolicy. Więc owszem, miasto się zmieniało, ale nie tutaj. Miejsce, w którym mieszkał, wymykało się logicznemu pojęciu przeobrażania się miasta i przestrzeni. Przynajmniej takie odnosił wrażenie.

Wrócił do środka. Przeniósł laptopa z pokoju do kuchni, zaparzył sobie kawę i zaczął przeglądać pocztę. Chciał się oderwać myślami od miasta, nim zacznie papierkową robotę. Na biurku leżały akta czterech śledztw i dwóch dochodzeń.

Dzień zaczynał od przeglądania wiadomości oraz czytania serwisów internetowych. Zbierał wszystko w głowie, a potem, niczym dobrze filtrująca maszyna, selekcjonował wiadomości, segregował wszystko w myślach, a na koniec zamykał jednym kliknięciem otwarte okna przeglądarki, jakby to jedno kliknięcie miało odciąć go od świata zewnętrznego. Później przez cały dzień, często zupełnie nieświadomie, trawił to i wyciągał wnioski. Bo tak było mu łatwiej znosić rzeczywistość, gdy planował sobie zajęcia. W pamięci wszystko wrzucał do niewidocznych szuflad. To nadawało jego życiu swoisty rytm, ale też, co również brał pod uwagę, lubił tak funkcjonować.

Po południu poszedł do sklepu i kupił świeże pieczywo, wędliny i siedem rodzajów sera. Ułożył jedzenie na odpowiednich miejscach w lodówce. Znowu uwidaczniały się w jego zachowaniu, nawet tym zwykłym, codziennym, owe niewidzialne granice i elementy, którymi porządkował sobie życie, tak aby wszystko miało swoje miejsce i przestrzeń.

A pojawiło się w nim to nagle. Któregoś dnia poczuł się zmęczony swoim nieuporządkowaniem i zbyt dużą chaotycznością wokół siebie. I wtedy nastąpiło niewidoczne uderzenie – z dnia na dzień zaczął pracować nad tym, aby wszystko miało swoje miejsce. Myśli, przedmioty i sprawy. Przyszło nieoczekiwanie, toteż bał się, że ucieknie również niespodziewanie, ale tak się nie stało.

Po powrocie do mieszkania zobaczył na telefonie dwa nieodebrane połączenia. Jedno od Jacka Gawłowskiego, drugie od prokuratora. Wybrał numer do podkomisarza. Czekał na połączenie, otworzył teczkę z aktami i zaczął je kartkować. W ciągu tych paru sekund zdążył się wczytać w protokół oględzin miejsca, do którego się włamało, i w pierwszej chwili nawet nie zwrócił uwagi, że kolega zaczął mówić.

– Dzwoniłem parę minut temu – odezwał się Gawłowski. – Wiesz? Halo?

– Jak widzisz, wpadłem na to, bo inaczej bym nie oddzwaniał.

– Wiem, że wpadłeś. Tak tylko mówię... – Głos nie zdradzał żadnych emocji. I właśnie to go najbardziej w nim denerwowało, bo utrudniało mu odczytywanie nastroju kolegi.

– Zamieniam się w słuch, bo mam mało czasu. Mamy rozgrzebaną sprawę włamań do domków działkowych. Trzeba to ruszyć.

– Pół godziny temu otrzymaliśmy zgłoszenie zaginięcia. Na komendzie pojawiła się roztrzęsiona kobieta. Zaginęła jej czternastoletnia córka.

– No i?

– Od rana nie ma jej w domu.

– I?

– Jak to „i”? Kobieta niemal oszalała, rwała sobie włosy z głowy.

Komisarz westchnął. Przysiadł na krześle i zaczął rozwiązywać sudoku.

– Szał i wyrwane włosy to mało wystarczający powód, by wszczynać poszukiwania.

– Nie, Marek, posłuchaj. Dziewczyna ma czternaście lat. Wiesz, co to oznacza? To jest wiek, kiedy zaczyna się żyć pełnią życia.

– No i?

– Z prawnego punktu widzenia to wciąż dziecko.

– Setki osób w tym wieku zaczynają próbować alkoholu i imprezować. Naprawdę musisz ci mówić takie rzeczy? Pomyśl tylko przez moment, a inaczej spojrzysz na całą sprawę.

– Nie możemy tego ignorować, chociaż sam w głowie mam dziesiątki pomysłów, co mogło się stać. Albo gdzie jest.

– Jacek, spójrz, która jest godzina. Za chwilę mam zamiar wrócić do roboty, bo mamy sporo rozgrzebanych spraw. Przypomnij sobie, jak wygląda nasze biuro, twoje, moje. Mało mamy roboty? Zadzwoń do komendanta i powiedz, by kto inny się tym zajął.

– No nie wiem, raczej nie będzie zadowolony. Kazał nam jechać i rozejrzeć się. Potem prześlemy to komu innemu.

– Ale ja wiem. Przypominam, że wciąż mamy sprawę domków działkowych. Praktycznie nie tknęliśmy jej palcem i może dziś jest dobry dzień, by się tym zająć. Mam przed sobą akta i zamierzam się do tego zabrać. Ponadto mamy pięć innych włamań. Sprawy prawie nietknięte. Mogę jeszcze wymienić inne, które ciągną się od wielu miesięcy. I teraz mamy jeszcze zajmować się nastolatką? Niby jak mamy to wykonać?

Komisarz spojrzął na swoje zakupy, a potem przycisnął telefon do ramienia i zaczął przekładać jedzenie z miejsca na miejsce. Miał nową lodówkę, która mogła pomieścić spore zapasy. Bez wychodzenia z domu był w stanie wyżywić się przez wiele dni, nie wspominając już o zapasach z długim terminem ważności, które zgromadził w piwnicy. Gwarantowały przeżycie wielu tygodni. Każdy produkt odpowiednio sprawdzał i selekcionował. Nie chciał kupować czegoś, czego nie znał. Nie jadał rzeczy zbyt tanich i niewiadomego pochodzenia, bo starał się dbać

o siebie. Zaczął w pierwszej kolejności od jedzenia. Potem, gdy tylko czas na to pozwoli, obiecywał sobie, że poświęci się sportowi, a rozpocznie od treningu kardio.

– Sęk w tym, Marek – powiedział Gawłowski – że nie mamy pewności, czy to typowe zaginięcie, czy coś poważniejszego. – Trzeba to zbadać i zostaliśmy do tego przydzieleni. Szef boi się, że to może być...

– Porwanie.

– Na przykład.

– Minęło kilkanaście godzin. Rozumiem, że rodzice nie otrzymali żadnego telefonu od porywaczy?

– Nie. Lub jeszcze nie.

– A zatem poczekajmy, powtarzam, ochłońcie. Ty i cała reszta. Miałem na drugiej linii prokuratora, jeszcze nie zdążyłem oddzwonić. Nie wiem, czy dzwonił w tej sprawie, ale domyślam się, że tak.

– Pewnie się zastanawiasz, skąd pomysł, że coś się stało. Otóż stąd, że są wakacje. Proste. Cały czas była w domu, poszła wyrzucić śmieci i rozplynęła się w powietrzu. Kurwa, to nie jest normalne.

Komisarz przygryzł wargę, co było typowe, gdy nad czymś się zastanawiał i analizował różne scenariusze.

– Może miała wypadek, sprawdziliście?

– Sprawdziliśmy. Obdzwoniliśmy wszystkie szpitale. Żaden w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie odnotował przyjęcia dziewczyny w tym wieku. Podaliśmy dla pewności rysopis. Ale też bez rezultatu. Marek, znam procedurę. Przekazaliśmy wiadomości o zaginięciu dziewczyny do wszystkich możliwych miejsc. Szpitale, dworce autobusowe i kolejowe, taksówki. Zawiadomiono również szkołę.

Iwanowicz głośno westchnął, odczekał chwilę, ale kolega już skończył i czekał na jego odpowiedź. Komisarz się wahał, ale wiedział, że się od tego nie wywinie. Nie był jednak do niczego potrzebny. Wydział dochodzeniowy i kryminalny miały do dyspozycji innych funkcjonariuszy, więc nie musieli im przydzielać tej sprawy. Wyczuł, że Gawłowski nie chciał jej ruszać samemu. I to najbardziej nie dawało mu spokoju. Spojrzał na zegarek. Wskazówka sekundnika przesuwiała się płynnie za sprawą automatycznego mechanizmu. Miał jeszcze dużo czasu.

– Sprawdziliście, obdzwoniliście... Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Podaj jakieś konkrety, bo na razie to wciąż nie jest dowód, że coś się stało – rzekł, by ostudzić kolegę. – Wiesz, ile komend i komisariatów w tym kraju otrzymuje podobne zgłoszenia? Wiele osób po prostu wychodzi z domu, a potem wraca w nocy albo na drugi dzień, jakby nic się nie stało. Przeprasza rodziców i mówi, że więcej tego nie zrobi. Tak właśnie dorastają dzieciaki. Błędy, pomyłki, krótkowzroczność. – Jego głos zabrzmiał nienaturalnie, ponieważ telefon wbijał mu się w policzek.

– Marek, polecenie to polecenie, lepiej to sprawdzić. Zajmie nam to pół godziny. Z relacji matki wynika, że jej córka wyszła z domu, by wyrzucić śmieci. A potem nagle zapadła się pod ziemię...

– Mówiłeś to już przed chwilą, powtarzasz się. Nie usłyszałem niczego nowego.

– Co mam ci jeszcze powiedzieć? Robisz to specjalnie, by mnie wkurwić? Jeśli tak, to poskutkowało. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Nie wiadomo, co się stało, nie dawała znaku życia.

– Co na to komendant? – zapytał po chwili zastanowienia.

– Rozmawiał z tą kobietą osobiście, bo domagała się spotkania. Wymusiła je, choć przecież mógł odmówić. Tak się złożyło, że akurat był w pobliżu, usłyszał, jak się awanturuje, więc obiecał zająć się tym. Z tego, co wiem, ktoś już tam pojechał. Mają sprawdzić miejsce, popytać, zweryfikować, czy ktoś widział porwanie lub jakąś szarpaninę.

– Widziano? Mówiłeś, że wyszła wyrzucić śmieci. Kto miał ją widzieć?

– Nie wiem.

– To ktoś ją widział czy nie?

– Marek, kurwa, nie wiem. Mam zdawkowe informacje. Dlatego szef kazał się tam pojawić i zająć tym wszystkim od początku do końca. Wiem tyle co ty. Jedyna różnica jest taka, że to ja się dowiedziałem o tym pierwszy. I to mnie kazano zebrać ludzi.

Komisarz krzątał się po kuchni bez celu. Wyjął wodę mineralną i upił kilka łyków.

– Wyślij mi adres.

Rozłączył się i zadzwonił do komendanta, który odebrał po jednym sygnale, jakby czekał na jego telefon.

– Zrobiliśmy, o co prosiłeś. Ale nie rozumiem jednego.

– Pytaj.

– Dlaczego tak wcześnie mamy się tym zajmować? Od chwili zaginięcia minęło kilkanaście godzin. Ma czternaście lat, mogła pójść do jakiegoś marketu... Jesteśmy wydziałem kryminalnym, a nie...

– Sprawdziliśmy wszystkie – przerwał mu. – Dla mnie to wystarczający powód.

– Mogła pójść na spacer, nie wiem, do lasu, wykapać się... Jest lato, to chyba normalne, nie?

– Marek, to ja odpowiadam za działania policji, tak? Pozwól, że będę decydować, kto i kogo szuka oraz kogo przydzielam do tych spraw – odpowiedział komendant. Iwanowicz zamknął oczy. Widział szefa siedzącego za biurkiem. Zapewne miał na sobie idealnie wyprasowaną białą koszulkę z pagonami na ramionach. Zawsze w tej samej nienagannej pozie. Systematyczny, zdyscyplinowany i niemal zawsze spokojny, potrafiący zwymyślać człowieka od najgorszych, siedząc niemal nieruchomo, z lekkim uśmiechem jak u kasjera sklepowego.

– I już? I to są argumenty? Może jeszcze techników wyślij, by sprawdzili dom – zakpił.

– Marek, wiesz, co by się stało, jeśli ktokolwiek, powtarzam, ktokolwiek, prasa, prokurator, szkoła czy cholera wie, kto tam jeszcze, dowiedziałby się, że odmówiłem przesłuchania kobiety, która zgłosiła zaginięcie dziecka? Gdyby się okazało, że naprawdę coś się stało? Wiesz, że wtedy nikt, absolutnie, kurwa, nikt by się ze mną nie cackał, tylko wyciągnąłby konsekwencje. Zostałbym zjebany jak bura suka. Ale to nie koniec. Zrobiłaby się taka nagonka, taki sajgon, taki nalot, taka, kurwa, pogoń za zającami jak na polowaniu, że wszystkich by nas zlinczowali, powiesili i wypatroszyli. A potem jeszcze wystawili na widok publiczny. Chcesz mieć tu jesień średniowiecza? Medialną, prokuratorską czy jakkolwiek inną? Chyba nie! Tobie, mnie i innym policjantom na długie lata odechciałoby się lekceważenia kogokolwiek. Musiałem wszcząć poszukiwania, bo to dziecko. Dziecko, Marek!

– Dziecko, wiem. Ale mamy kilkadziesiąt spraw, którymi nie ma się kiedy zająć, tyle tego jest. I ciągle za mało ludzi.

– Pojedziecie, sprawdźcie, dowiecie się tego i owego. I teraz niech machina rusza...

Komendant coś jeszcze mówił, ale Iwanowicz nie chciał więcej tego słuchać. Rozłączył się.

Machina. Może o to w tym chodziło, by tylko ruszyć maszynę. By odhaczyć zadanie. Tak, tylko to się liczyło.





Niemal całą odległość dzielącą te miejsca przejechał ulicą Wojska Polskiego. Przy teatrze im. Kamila Cypriana Norwida skręcił w prawo. Był to duży secesyjny budynek z początku wieku. Zawsze gdy przejeżdżał obok tego miejsca, przypominał sobie własne lata młodości, zwłaszcza czasy szkoły podstawowej, gdy z klasą przychodzili na przedstawienia. Nieśmiertelne opowieści o Pinokiu, Królowej Śniegu i dziesiątki innych klasycznych historii. Od dziesięciu lat nie przekroczył progu miejskiego teatru. Był tak do tyłu z tym, co działo się w teatrze, że nawet nie wiedział, czy żałował tego, czy nie.

Przechylił się na fotel pasażera, by dostrzec numery budynków po prawej stronie. Dwadzieścia metrów za skrzyżowaniem ujrzał cel. Sudecka 22. Wjechał wąskim przesmykiem w niewielkie podwórze. Znajdował się tam sklep chemiczny i z farbami. Przy samym wejściu do budynku stał policyjny opel oraz szary radiowóz kombi.

Gawłowski rozmawiał z funkcjonariuszami. Gdy dostrzegł czarne volvo Iwanowicza, wyszedł koledze naprzeciw. Przywitani się i od razu weszli do kamienicy.

Wewnątrz było chłodno.

– Drugie piętro, na końcu korytarza – powiedział Gawłowski. Ubrany był w lniane spodnie i jasnoniebieską koszulkę polo, przez co wyglądał jak zmęczony, podstarzały golfista. Miał krótkie, niemal niewidoczne włosy. Nosił czarne tenisówki, które nie pasowały do jego stylu. Widocznie włożył na szybko jakieś buty, jakie miał pod ręką. I ta twarz, która zdradzała jego przeszłość – lekko przetrącony nos i blizny na łukach brwiowych.

Był silny i porywczy. Nie można go było wyprowadzać z równowagi i wiedział o tym każdy, kto pracował w jeleniogórskiej policji. Gawłowski starał się jednak nie dawać provokować. Słynne już stały się jego dawne przewinienia. Jedno z nich Iwanowicz pamiętał doskonale, bo na interwencję przyjechał wraz z patrolem. Było to siedem lat temu. Po otrzymaniu zgłoszenia wszyscy wiedzieli już, że chodzi o ich kolegę i dlatego poprosili Iwanowicza o pomoc. Mieli nadzieję, że wtedy sprawa będzie miała łagodniejszy przebieg i być może uda się zapobiec większej awanturze. Gawłowski brał udział w ostrej bójce w jednej z jeleniogórskich dyskotek. Wypił trochę za dużo, a potem poszedł się bawić na parkiet. W pewnej chwili zaczepili go dresiarze, paru ostrzyżonych na łyso osiłków z dawnej legendarnej siłowni Herkules. Jedno, później drugie szturchnięcie. Według nich wyglądał na łatwy cel – podchmielony mężczyzna w średnim wieku. Sprawiał wrażenie takiego, który lubi sobotnie zabawy.

Gawłowski nie zastanawiał się ani sekundy – pierwszego małego karka, jak to się mówiło na napakowanych i umięśnionych gości, znokautował uderzeniem z głowy, drugiego powalił kopniakiem w brzuch. Następnie rzucił się i zaczął go bić po twarzy. Robił to otwartą dłońią, dzięki czemu przeciwnik nie doznał poważnych obrażeń. Potem, gdy tuż po samym zajściu wychodził z dyskoteki, zaczepił go były bokser, lokalny watażka – Mańkut. Gawłowski ani przez sekundę się nie zastanawiał, czy bicie się ze starym bokserem to dobry pomysł. Rzucił się na Mańkuta i wymierzył mu ponad dziesięć uderzeń w twarz. Tarzali się po ziemi, rwali ubrania,

kopali po twarzy. Bójka zakończyła się remisem, ponieważ pod dyskotekę przyjechała zaalarmowana wcześniej policja. Zabrali potłuczonego watażkę, a podkomisarzowi kazali jechać do domu.

Podkomisarz, gdy wytrzeźwiał, szukał ludzi, którzy go wtedy zaczepili. Chciał dokończyć dzieła, ale mu się nie udało. Przez kilka dni próbował ich namierzyć. Bezskutecznie. Po paru dniach sobie odpuścił. Wrócił do obowiązków, a zatarg z małolatami szybko wyparował mu z głowy, ale jeszcze przez ponad trzy tygodnie chodził opuchnięty. Oczywiście mało kogo to wtedy na komendzie dziwiło. Dziś, gdy Iwanowicz przyglądał się swojemu koledze, chwilami nie wierzył, że jeszcze parę lat temu wyciągał go wielokrotnie ze środka niebezpiecznych bijatyk.

W korytarzu kamienicy panował chłód. Było tu czysto, a jasnozielone ściany wyglądały na świeżo malowane. Zza drzwi dobiegały zapachy przyrządzanych posiłków. Stanęli przed wejściem do mieszkania numer dziewięć i zastukali. Po parunastu sekundach otworzyła im niska i krępa kobieta. Iwanowicz zeskanował ją wzrokiem i zapamiętał jej wygląd. Miała około czterdziestu lat, wydatne policzki, po których spływał rozmazany makijaż albo coś, co niedawno nim było. Resztką czarnej kredki spływała z oka. Krótkie blond włosy nie pasowały do jej okrągłej twarzy i nabitej sylwetki. Ubrana była w spódniczkę odsłaniającą mięsiste łydki. Wyglądały jak piłki do rugby. W ręku trzymała chusteczkę, którą wycierała nos. Zapomniała jednak o oczach.

– Możemy wejść? – zapytał bez wstępu komisarz. Wiedział, że w trudnych chwilach wszelkie powitania oraz grzeczne słowa nic nie znaczą. Nikt nie przywiązuje do tego wagi w momencie, gdy znika mu córka. Przynajmniej on tak uważał, a swój punkt widzenia uważał za obowiązujący.

Kobieta kiwnęła głową i zaprosiła ich do środka. Usiedli w pokoju gościnnym na kolorowej kanapie we wzory przypominające lecące pod kątem klocki tetris. Wyglądała tandetnie, ocenił Iwanowicz, podobnie jak meble z okleiną imitującą drewno. Mimo otwartych na oścież okien w mieszkaniu panował zaduch, a w powietrzu unosił się zapach jedzenia sprzed kilku dni, jakby cała woń gotowanych posiłków osiadała na każdym przedmiocie.

– Jest pani sama?

– Mąż pracuje. Zwykle do dwudziestej. Powinien być o wpół do dziewiątej.

– Okej, proszę zacząć od początku. Interesuje nas dosłownie wszystko, co mogło mieć wpływ na zniknięcie pani córki – zaczął Gawłowski. – Proszę powtórzyć to, co powiedziała pani na komendzie. Musimy mieć pewność, że niczego nie pominęliśmy. I że wszystko zrozumieliśmy tak samo.

– Myślałam, że policja już jej szuka?! A panowie tak... Tu... – zaczęła z dającym się wyczuć wyrzutem, a potem nagle zamilkła, by stłumić szloch.

Policjanci odczekali chwilę. Nie chcieli, by jej emocje dyktowały kierunek przesłuchania. Musieli trzymać się zasad, bez względu na wszystko. Podejrzewali, że podczas tej rozmowy euforia związana z nadzieją będzie się kłóciła z gwałtownie spadającym nastrojem, czemu towarzyszy panika i spazm.

– Zanim rozpoczniemy poszukiwania, musimy dowiedzieć się kilku rzeczy. Zadamy parę pytań, później zajmiemy się całą resztą.

– Myślałam, że... – Znów urwała, bo napłynęły jej łzy. – Że już szukacie, że policja...

– Nie, to nie tak. To nie wygląda tak jak na filmach, że cała policja rzuci swoją dotychczasową pracę i będzie szukała pani córki, nie mając nawet pewności, że zaginęła. To jest ostateczność, że się tak wyrażę. Po prostu jeszcze jej nie ma w domu, choć minęło kilka godzin. Proszę mi wierzyć, że działamy jak należy. Zawsze każde zgłoszenie zaginięcia musimy dokładnie zweryfikować poprzez przesłuchanie najbliższych osób. A więc przede wszystkim samych rodziców, bo to państwo jesteście jej prawnymi opiekunami, tak? Tak – odpowiedział za nią, stwierdzając fakty. – No więc przejdźmy do rzeczy.

– Myśli pan, że my, ja z mężem, mamy coś wspólnego z jej zniknięciem? – przerwała policjantowi.

– Oczywiście, że nie, choć mogło to tak zabrzmieć. Chcemy jedynie dowiedzieć się od pani jak najwięcej o waszej córce. Proponuję, żebyśmy zaczęli. Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mogli zająć się resztą.

Kobieta kiwnęła głową.

– Świetnie, a zatem pani córka Patrycja Linkiewicz ma czternaście lat i jest państwa jedynym dzieckiem.

– Zgadza się.

– Do jakiej szkoły chodzi?

– Gimnazjum numer jeden na Piłsudskiego, tu niedaleko. Kilometr stąd.

– Czyli teraz będzie szła do drugiej klasy – stwierdził.

– Zgadza się.

Gawłowski spojrział w notatki, które trzymał w ręku.

– Z pani słów wynika, że Patrycja wyszła z domu około siódmej rano.

– Tak... Tak po prostu wyszła. Było już dużo śmieci, więc trzeba było je wynieść. Wzięła worek ze śmieciami i poszła do pojemników, zaraz za domem. Za kamienicą, o tam. – Wskazała ręką przez okno. Iwanowicz szybko wyobraził sobie, z której strony musiał znajdować się śmietnik.

– O której dokładnie to było?

– Bo ja wiem? – Spojrzała na nich, jakby to oni powinni odpowiedzieć na to pytanie. – Tak jak mówię, siódma, może siódma pięć. Na pewno nie później, bo miałyśmy zrobić jeszcze śniadanie.

– Tak wcześniej?

– Co?

– Dlaczego poszła wyrzucić śmieci tak wcześniej? To nielogiczne.

– Nie mogła spać od świtu. Chyba przez te upały. Wstała skoro świt. Z nudów zaczęła sprzątać swój pokój. Potem poszła wyrzucić śmieci.

– Rozumiem, co było później?

– Nic, włożyła klapki, wzięła worek ze śmieciami i wyszła z domu. Nie przymykała nawet drzwi wejściowych, o tych tam – wskazała palcem – bo każdy z nas, gdy wychodzi na moment, to zostawia je niedomknięte. No, chyba że przeciąg nimi trzaśnie, a tak to nie. No i wyszła, już... i... Nie wróciła... Boże, zróbcie coś, błagam. – Schowała twarz w mięsistych dłoniach i zaczęła cicho szlochać.

Policjanci odczekali chwilę, by doszła do siebie.

– Po jakim czasie zorientowała się pani, że coś jest nie tak? Kiedy zaczęła się pani niepokoić i zastanawiać, czemu nie wraca?

Wytarła oczy i zmięła chustkę w dłoni.

– Wyrzesałam przez okno na podwórze, ale jej nie zobaczyłam. Co prawda stąd też nie widać śmietników, ale zrobiłam to odruchowo. Potem spojrzesałam przez okno w naszej sypialni. Mamy stąd widok na drugą część podwórza. Nie było jej nigdzie w pobliżu.

– Ile czasu?

Spojrzesała zaskoczona, że ją ponagla i próbuje wymusić odpowiedź na pytanie.

– Nie wiem, ile czasu minęło, chyba parę minut. Nie liczyłam dokładnie, bo skąd miałam wiedzieć, że coś się stało?

– Proszę nie mówić, że coś się stało. Nie ma powodów do paniki.

– Oby miał pan rację, bo odchodzę już od zmysłów. Cały czas myślę, co się z nią stało. Cały czas, dosłownie w każdej sekundzie.

– Po to tutaj jesteśmy, proszę się niczego nie obawiać. To normalne, że dzieci w tym wieku nie słuchają rodziców i czasami dokądś idą, zapominając o tym powiedzieć. Może po prostu kogoś spotkała, coś ją zainteresowało i zapomniała dać znać. Takie rzeczy dzieją się wszędzie, nie tylko w Jeleniej Górze, ale w każdym miejscu na świecie. Dzieci są ciekawe świata i nie zawsze robią to, co im się każe. I potem jak gdyby nigdy nic wracają do domu uśmiechnięte, ubrudzone, bo poszły się bawić i zapomniały powiadomić rodziców. Tak to już jest – uspokajał ją Gawłowski.

Komisarz odruchowo kiwnął głową na znak, że w pełni się zgadza ze słowami kolegi. Jednak coś go martwiło, ale nie chciał o tym wspominać. Otóż Patrycja nie była dzieckiem. Była nastolatką. To nieco zmieniało sytuację.

– No więc wyrzesała pani przez okno, ale na podwórzu jej nie było. Zatem poszesała pani sprawdzić na dół, co się stało, tak? – zapytał komisarz, by poukładać wszystko w należytym porządku.

– Dokładnie – odpowiedzesała i skinęła głową. – Ale tam jej nie było. Wróciłam do domu, myśląc, że może już jest, że się minęłyśmy. Nie wiem, przecież mogłyśmy się nie zauważyć, może jakoś obeszesała dom z drugiej strony. Ale nie. Po dziesiątej poszesałam zapytać do tego sklepu z farbami w podwórzu, powiedzesała, że nie widzesała Patrycji. Znamy się tutaj po sąsiedzku, obiecała, że gdy tylko ją zobaczą, to natychmiast każą jej wracać do domu. Pracują tam uprzejmi ludzie. Kupujemy czasami u nich farbę albo środki czystości. Później przeszukałam wszystkie miejsca w pobliżu, obeszesałam śmietniki. Sprawdzałam, czy wrzuciła worek ze śmieciaami do pojemnika. Był w jednym.

– I co pani zrobiła?

– Czekałam. Po prostu jeszcze trochę poczekałam. Ale to był horror. Myślałam, że oszalesję. Wciąż powtarzałam, że nic się nie stało, że za chwilę wróci cała i zdrowa. Ale czas robił swoje. Każda minuta, dziesięć minut, potem pół godziny. Dla mnie to wieczność. Po prostu wieczność.

– Kontaktowała się pani z najbliższą rodziną?

– Zadzwońskała chyba wszędzie, gdzie się dało. Do matki i do siostry, która mieszka we Lwówku Śląskim, sama nie wiem po co, chyba z bezradności, bo co człowiek ma zrobić w takich chwilach? Potrzebowałam też wsparcia, więc matka wydawała mi się właściwą osobą. Zadzwońskała też do kilku jej koleżanek z klasy. Tych, z którymi się przyjaźni. Dzwonońskała nawet do jej wychowawczyni. Odebrała, choć była nad morzem. Nazywa się Małgorzata Winiarska, możecie zanotować. Ona też wyraźnie się zaniepokoiła. Powiedzesała mi, że to

zniknięcie nie jest w stylu Patrycji. Zdarzyła się taka sytuacja w jej karierze, że jej uczeń zniknął na dwa dni, ale... Było to wiele lat temu. Potem się odnalazł. Zapomniał powiedzieć rodzicom, że jedzie do kolegi.

– Co powiedziała wychowawczyni?

– Że nie ma pojęcia, co się mogło stać ani do kogo mogła pójść. Uznałam więc, że zgłoszę to na policję, bo już nic innego nie mogłam zrobić. Czułam się całkowicie bezradna.

– Dzwoniła pani do jej koleżanek – stwierdził komisarz. – Chcemy, by przekazała nam pani wszystkie numery kontaktowe, sami również musimy sprawdzić osoby, z którymi mogła się kontaktować oraz ewentualnie spotkać. Bo oczywiście może okazać się tak, że poszła do którejś z nich i zapomniała pani o tym powiedzieć, a nasza rozmowa jest tylko zbędną formalnością.

Kobieta, nie czekając na polecenie, poszła do pokoju córki. Wróciła i wręczyła telefon policjantom. Był to model z dotykowym wyświetlaczem, choć już mocno wysłużony i poobijany.

– Proszę, jest do waszej dyspozycji. Sprawdźcie, dzwońcie, gdzie chcecie. Na wszystko macie moją zgodę. Ale jak mówiłam wcześniej, dzwoniłam już do wszystkich jej przyjaciółek.

Iwanowicz przez moment obawiał się dotykać telefonu, ale po chwili się zreflektował. Zwykły odruch policjanta, któremu intuicja nakazywała, by niczego nie dotykać, bo może okazać się dowodem w sprawie. Odblokował klawiaturę i przejrzał listę ostatnich połączeń. Ostatnie wykonała wczoraj. Przeleciał listę z ostatnich kilku dni, ale wybierane kontakty cały czas się powtarzały. *Monika, Majka, Julka* – te same koleżanki, w pewnym momencie pojawiała się połączenie z *Mamą*.

– Czy Patrycja dzwoniła tylko do pani, czy do ojca również? Pytam, bo pani numer jest w liście ostatnich połączeń.

– Mąż nie ma komórki, chociaż proszę go od roku, by wreszcie sobie kupił. Jest ode mnie kilka lat starszy i należy do tych osób, które trudno przekonać do zmian, nawet do czegoś tak błędnego jak telefon. A przecież dzisiaj każdy ma telefon. Nawet moja matka, choć ma siedemdziesiąt dwa lata. Ale mąż uparł się jak osioł, nie chce i koniec. A gdy ma do mnie sprawę, dzwoni z pracy. Niby nie jest taki stary, ale zachowuje się, jakby pod tym względem zatrzymał się w poprzedniej epoce. Chociaż używa komputera, zwłaszcza w pracy.

Iwanowiczowi przeszło na myśl, by zapytać, dlaczego w takiej chwili mąż pracuje, zamiast szukać dziecka, ale uznał, że pewnie sama im powie. Kiwnął więc tylko głową. Nie odrywał wzroku od telefonu. *Mama, Majka, Monika i Julia*, a potem znów *Mama*. Lista połączeń się zapętlala. Wszedł w skrzynkę odbiorczą i zaczął odczytywać SMS-y. Czuł się jak intruz ingerujący w czyjąś prywatność. W życie osobiste uczennicy pobliskiego gimnazjum, która jeszcze przed parunastoma godzinami była w tym domu, siedziała, zajmowała swoimi sprawami, a potem wyszła i już nie wróciła, bo jakiś strzępek ironii losu zadrwił sobie, powodując, że pojawiła się w nieodpowiednim czasie w niewłaściwym miejscu. To było dosłownie chwilę temu i miał wrażenie, że czuł jej zapach. Nie wiedział jak, ale czuć było zapach młodej osoby. Inny niż wszystkie.

Zajrzał do katalogu z wiadomościami. Nie miał moralnego prawa naruszać jej prywatności, szperać w jej młodzieńczych sprawach, ale musiał szybko odtworzyć to, co robiła przez ostatnich kilkanaście godzin. Postawił sobie za cel odpowiedzieć na pytania: Co się teraz z nią dzieje oraz gdzie jest?

W skrzynce odbiorczej: SMS od operatora, informujący, że stan konta został doładowany kwotą dziesięciu złotych. Wiadomości systemowe o nieodebranych połączeniach. Naliczył ich kilkanaście. Kilka wiadomości sprzed paru tygodni. Wiadomość z czerwca od Moniki informująca, co było zadane do domu. Inne wiadomości: *Czy masz odpowiedzi do zadań z matmy na piątek?* Julia pytała, czy będzie wieczorem na fejsie. W innym pytała, czy ma numer do Pawła. Nic więcej. Skrzynka miała 14 wiadomości. Folder *Usunięte* był pusty.

– Rozumiem, że zadzwoniła pani do wszystkich osób, które dobrze znają Patrycję, ale nikt nie wie, gdzie jest. – Komisarz usłyszał słowa kolegi, a sam nie odrywał wzroku od telefonu. Przejrzał folder *Wysłane wiadomości*. Znajdowało się tam pięć SMS-ów. Wszystkie były odpowiedzią na te, które otrzymała od koleżanek. Zwykłe rozmowy. O obowiązkach szkolnych, że musi odrobić zadanie domowe, przygotować do sprawdzianu, o wieczornym spotkaniu na fejsie. Otrzymywała pytania, wysyłała odpowiedzi. Wszystko się zgadzało.

– Tak, już nikt więcej nie przychodzi mi do głowy – odpowiedziała po chwili kobieta. – Jak przed chwilą mówiłam, dzwoniłam do swojej matki. Rodzice mają już swoje lata, nie chciałam ich martwić, ale musiałam zapytać.

Komisarz spojrział na nią kątem oka. Miała zgaszone spojrzenie, w którym tliła się jednak iskierka nadziei. Minęło kilkanaście godzin, a już wyglądała, jakby traciła wiarę. Iwanowiczowi wydało się to dziwne i podejrzane jednocześnie, ale nie chciał jej przedwcześnie osądzać, nawet w myślach, i nie dopuszczał do siebie możliwości, że kobieta miała coś wspólnego ze zniknięciem córki. Po prostu może właśnie tak zachowuje się matka, która traci wiarę w to, że odmieni się los. Może tak wygląda, gdy gaśnie. Ten płomień, który w niej był, świecił, i nagle, jak po gwałtownym dmuchnięciu, maleje, wreszcie znika, a potem staje się jedynie wspomnieniem.

Uznał jednak, że nie miała z tym nic wspólnego. Na ich oczach stawała się z minuty na minutę kłębką nerwów.

Zadzwonił telefon Iwanowicza. Wibracje i melodia wprawiły kobietę w osłupienie i niemal poderwała się na równe nogi.

– Przepraszam, to mój – powiedział i odebrał, podchodząc do okna. Aspirant Tomasz Jaworski machnął mu, by zszedł na dół.

Iwanowicz ponownie przeprosił i wyszedł z mieszkania. Jaworski stał przy terenowym nissanie.

– I co, macie coś?

– Nic. Kompletnie czysto. Z naszego punktu widzenia trochę daremna robota. Od początku podejrzewałem, że niczego tu nie znajdziemy.

– Niby skąd?

– Kręci się tu za dużo osób, byśmy mogli coś znaleźć. W pobliżu brak śladów. Właściwie to nie mam pojęcia, czego możemy szukać przy samym śmietniku. Trudno o bardziej absurdalne badania w miejscu potencjalnego zaginięcia dziewczyny, nie uważa pan?

Komisarz skrzywił się, ale nic nie odpowiedział.

– Nie wiadomo, czego szukać, jeśli nie ma pewności, że do czegoś tu doszło.

Iwanowicz przytaknął, nie patrząc na policjanta. Wpatrywał się w ścianę budynku, a potem mimowolnie zaczął przyglądać się temu miejscu. Szare kamienice, które z trudem znosiły upływ czasu. Odpadające tynki pokrywano masą gipsową, która zdążyła już się wykruszyć. Potem

nakładano na to jedną warstwę farby, jakby cokolwiek miało to zmienić. Z rynien i trudno dostępnych zakątków wyrastały rośliny.

– No, ale sprawdziliśmy, co się dało. W koszu nie znaleźliśmy żadnych śmieci. Pewnie wywozili po południu. Poza tym jeszcze nic nie wskazuje na to, by te śmieci miały dla nas jakieś znaczenie.

– Rano matka widziała je w kubie. Były, czyli dziewczyna zdażyła je wyrzucić, chwilę później zniknęła... Ale to tylko luźna informacja. No dobra, macie coś innego? Ślady szarpaniny lub czegoś nietypowego?

Aspirant wzruszył ramionami i niemal zamknął oczy. Słońce prażyło nieznośnie. Bez okularów przeciwsłonecznych trudno było znieść oślepiający blask.

– Nie ma niczego, co wzbudziłoby nasz niepokój. Rozejrzeliśmy się w paru miejscach w pobliżu domu. Żadnych porzuconych rzeczy, ubrań, przedmiotów.

– A obok kosza?

– Każdy podchodzi i wyrzuca śmieci. Biedni czy bezdomni grzebią w kubłach. Tutaj nie ma miejsca na jakiegokolwiek ślady. Zresztą nikt z nas nie wie do końca, czego mamy szukać. Wydaje mi się, że komendant kazał nam przyjechać tylko dlatego, że chodzi o dziecko. Nie chce pluć sobie w brodę, że nic nie zrobił, gdyby dziewczynie naprawdę coś się stało. Moim zdaniem trochę taka zagrywka. Proste jak konstrukcja cepa.

– Wiem, może brzmi to niedorzecznie – skrzywił się, co było bardziej wymowne niż dziesiątki słów – ale trzeba sprawdzić. Chodzi tu bardziej o dmuchanie na zimne. Lepiej sprawdzić, niż mieć później wyrzuty sumienia, że się tego nie zrobiło. Jak znam życie, dziewczyna przyjdzie niedługo do domu i przeprosi za wszystko.

Komisarz kiwnął głową i podał Jaworskiemu telefon.

– To młodej? – zapytał aspirant.

– Dajcie go informatykowi, bo ja nie wracam na komendę. Przeczytałem wszystkie wiadomości, ale może coś znajdzie. I może też uda się odczytać skasowane.

Jaworski obejrzał go dokładnie z charakterystyczną iskrą w oku bardziej doświadczonego policjanta, który każdemu przedmiotowi przygląda się uważnie, jakby było potencjalnym materiałem dowodowym.

– A jej matka? – zapytał.

– Nic nie wie, nie ma żadnych podejrzeń – odparł komisarz bez przekonania i odszedł aż do wjazdu na podwórze. Kucnął pod ścianą.

Zaułek przy głośniejszej drodze wyjazdowej z miasta. Auta nieustannie przyspieszały i hamowały. Kierowcy nerwowo trąbili, próbując zmienić pas. W oddali odgłosy trzaskających pod wpływem wiatru okien. Gęste i przytłumione głosy dochodzące ze sklepu z chemią. Miasto. Ruchliwy żywioł, który nigdy się nie zatrzymuje, jest jak rozpędzony i doskonale funkcjonujący mechanizm. Musi w nim pracować każdy element.

Mieszkał w Jeleniej Górze niemal od zawsze i każdego dnia próbował doszukać się siatki, która napędza i utrzymuje miejsce w stałym ruchu oraz w jego niemal mistycznej niezmienności. Wyobrażał sobie, że każde skupisko ludzi ma coś, co przypomina nurt, linię lub szlak i co utrzymuje je w ruchu. Niewidzialna siła, prąd i materia poruszająca i ustawiająca wszystko na swoim miejscu. Ten niewidoczny gołym okiem mechanizm, o którym w ogóle się nie myśli na co dzień, ten, którego niby nie ma, tworzy siatkę miasta.

– Coś mi tu nie pasuje, ale nie wiem jeszcze co – powiedział do aspiranta, który poszedł za nim. – Ojciec siedzi w pracy, mimo że wie o zaginięciu córki, a zapłakana matka zamartwia się za dwoje.

– Porwanie?

– Telefon milczy. Nikt się z nimi nie kontaktuje w sprawie okupu. Córka wychodzi z domu tylko na moment. Nie ma jej od kilkunastu godzin. Zapada się pod ziemię. Co z bliskimi? Ojciec jak gdyby nigdy nic siedzi w pracy. Nie szuka jej.

– Albo nie jest panikarzem jak ona. Jest w robocie, i tyle. Nie oceniamy przedwcześnie, bo nie wszystko wiemy. Albo nie może zerwać się z roboty i przyjechać na zawołanie.

Iwanowicz kiwnął głową, cały czas zastanawiając się, co tu się mogło wydarzyć.

– Może masz rację – rzekł ostudzony słowami aspiranta. – Dobra, pamiętajcie o telefonie.

Jaworski przytaknął.

– Zanim wrócimy na komendę, rozejrzemy się po mieście. Popytamy o dziewczynę w pobliskich sklepach i punktach usługowych.

Komisarz wrócił do mieszkania. Kobieta stanęła niemal na baczność, gdy usłyszała otwierające się drzwi. Po chwili usiadła, tracąc nadzieję, zobaczywszy, że to on.

– Już myślałam, że to Patrycja – powiedziała cicho.

Gawłowski wciąż kreślił i poprawiał zeznanie. Nie dawał za wygraną. Musiało być napisane możliwie precyzyjnie i logicznie. Tę część swojej pracy traktował poważnie i był o niebo lepszy w prowadzeniu wszelkiej dokumentacji niż Iwanowicz. On traktował wszystkie papiery jako nieprzyjemną część pracy. Nie lubił pisać, notować ani też potem do tego wracać, choć to właśnie dokumentacja stanowiła bardzo ważny element prowadzonego śledztwa. To od niej oraz tego jak została sporządzona, wiele zależało. Bo czym innym było napisanie zeznania, rutynowego, jakiego uczą przed rozpoczęciem pracy w policji, a zupełnie czym innym takie sporządzenie dokumentacji, by dla innych osób, już po czasie, po paru miesiącach, była całkowicie zrozumiała i przejrzysta. To właśnie precyzyjne wyrażanie myśli, odtwarzanie wszystkiego za pomocą dobrze skonstruowanego tekstu pozwalało na możliwie wierną rekonstrukcję przeszłości i tego, co mówiła osoba zeznająca. Tego, co zostało sprawdzone, zbadane, ustalone. W toku prowadzenia czynności śledczych to dokumentacja stanowiła ogromną wartość, bo pamięć niejednokrotnie szwankowała. Dlatego trzeba było wszystko zapisywać. Precyzja i możliwie wielokontekstowe spojrzenia na rozmaite aspekty śledztwa dawały Iwanowiczowi poczucie dobrze wykonanej roboty. Dokument powinien być wręcz wyzuty z emocji oraz tego, co podpowiada nasza wyobraźnia. Do bólu sucha relacja opierająca się na konkretach. Dopiero czytając tak przygotowany dokument, mógł po głębszym zastanowieniu interpretować fakty.

– No dobrze, w takim razie pozostała nam jedna sprawa. Najbardziej oczywista. Ma pani jeszcze jakiś pomysł, gdzie Patrycja mogła pójść? Czy w ostatnim czasie wspominała o czymś, co wydawało się pani dziwne?

– Nie, nie... Na pewno nie – powiedziała i machnęła ręką bezradnie. Za tymi gestami kryła się bezsilność. – Myślamy byłam już wszędzie. Obdzwoniłam wszystkich, ale nikt nie wie, gdzie jest. Pytałam w kilku sklepach, tu w pobliżu, ale nikt jej nie widział. Już to mówiłam. Cały czas myślę, ale wszystko zaczyna mi wirować w głowie, jak w jakiejś przeklętej pralce. Kręci mi się bez sensu. Czuję się, jakby miała zaraz z tej bezsilności eksplodować.



Komisarza zdziwiło to porównanie, ale nie skomentował tego. Uznał, że lepiej niczego nie oceniać na gorąco ani nie wyciągać żadnych wniosków – co do niej, całej rodziny czy samego zdarzenia.

Kiwnął tylko głową.

– Rozumiem. Czy Patrycja nie była dzisiaj z nikim umówiona? Z koleżanką, kolegą?

– Nie, nic o tym nie wiem. Zazwyczaj mówiła mi o takich rzeczach.

– Zazwyczaj?

– Zawsze, niech będzie zawsze, źle się wyraziłam. Być może kiedyś mi o czymś nie powiedziała, przecież nikt z nas nie może mieć stuprocentowej pewności, że własne dziecko go nie oszukuje, ale... – Urwała i przyjrzała się im, jakby nagle się otrząsnęła i zdała sprawę z ich obecności, po czym spojrzała na jednego, na drugiego i powiedziała: – Ale przecież mam tak dobre kontakty z córką, naprawdę mówiła mi o swoich sprawach. Macie panowie dzieci? Czy pan – spojrzała na Gawłowskiego – ma dziecko?

– Tak, dwie córki.

– A pan? – Tym razem pytanie skierowała Iwanowicza, który odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział. Poczul, jak po ciele rozlewa mu się wrzątek, gotując go od środka. Chciał zniknąć. Ale musiał tu być i wykonywać swoją pracę, zawsze i o każdej porze, bez względu na pytania o życie prywatne, na to, że ktoś obrzucał ich obelgami czy kierował wobec nich oskarżenia. Musiał mierzyć się z tym wszystkim, ale był już do tego przyzwyczajony.

– To nie ma znaczenia – odparł Gawłowski, wyręczając kolegę. Czuł, że Marek nie był w stanie tego zrobić. Od zawsze wiedział o tragedii, którą przeżył, toteż gdy tylko trzeba było, brał na siebie rozmowy o rodzinie. Zwłaszcza dzieciach, bo wiedział, że Marka zbyt wiele to kosztowało. – Doskonale obaj wiemy, co pani czuje. Nie ma to jednak teraz takiego znaczenia, bo włączenie w tę sprawę emocji i współczucia nic nie pomoże. One przyćmiewają zdrowy rozsądek.

Komisarz odchrząknął.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, czy Patrycja mogła pójść na jakieś spotkanie. Mówiła coś?

– Nie. O niczym nie wiem. Ale gdyby była z kimś umówiona, to pewnie bym o tym wiedziała.

– Nowa koleżanka, jakiś kolega? Może poznała kogoś?

– Nie, wciąż przyjaźni się z tymi samymi osobami. I nie przypominam sobie, by w ostatnim czasie mówiła o kimś nowym.

– Gdzie zwykle spędzała wolny czas?

– Zazwyczaj w domu, a czasami umawia się z Julką, Moniką. Zależy. Ale to raczej w weekendy.

– Są wakacje, więc dzieci inaczej to rozumieją. Dla nich jest to dwumiesięczny wypoczynek, więc mogła odejść od tej zasady i spotkać się z koleżanką. Jedną lub drugą.

– Teoretycznie tak, ale jak mówiłam, dzwoniłam do Moniki, Julki i Majki. Znam je, bo często tu przychodzi. Ostatnio może trochę rzadziej. Z nikim więcej się nie przyjaźni. Ale one nie wiedzą, gdzie może być moja córka. Zresztą gdy tylko zadzwoniłam i powiedziałam, że Patrycji nie ma, mocno się zaniepokoiły. Poprosiłam je, by podzwoniły jeszcze po innych znajomych. Może ktoś coś wie.

– Dobrze, a teraz zadam trochę inne pytanie.

– Proszę.

– Czy brała pani pod uwagę, że są to mimo wszystko jeszcze dzieci, ona i jej koleżanki, i mogły zrobić pani żart? Może Patrycja jednak u nich jest. Kto wie, może nie chciała powiedzieć, że tam poszła, bo mają na przykład jakiś swój sekret. I tym samym udzieliły takiej odpowiedzi, bo poprosiła o to Patrycja? Może jakiś rodzaj nowej zabawy wziętej z Internetu? – Iwanowicz wzruszył ramionami.

– Zadzwoiłam najpierw do ich rodziców, bo znamy się nie od dziś, mamy do siebie numery. Powiedziałam, że sprawa jest poważna i że jeśli Patrycja się nie znajdzie, to zgłoszę zaginięcie na policję. Nie okłamaliby mnie w takiej sytuacji.

Śledczy niemal jednocześnie kiwnęli głowami.

– Dobrze. Ze swojej strony zapewniamy panią, że jeśli zajdzie taka konieczność, to porozmawiamy z nimi osobiście.

– Tak... dziękuję, dziękuję – odpowiedziała bez namysłu jak automat. – Więc co dalej? Co teraz będziecie robili? Poszukacie jej, tak? W mieście? W których miejscach?

– Najpierw policjanci będą rozmawiali z sąsiadami oraz mieszkańcami pobliskich domów. Musimy sprawdzić każde miejsce znajdujące się w pobliżu. I te, w których pojawiała się pani córka. Dom, szkoła, miejsca wypoczynku i rekreacji. Policja, zapewne przy wsparciu innych służb, będzie robiła, co do niej należy. Sprawdzimy niemal każde publiczne miejsce, ale nie tylko. Rzeka, lasy, kamieniołomy... – Iwanowicz na tym poprzestał, bo zobaczył przerażoną minę kobiety. Nagle zganił się w myślach za to, że powiedział kilka słów za dużo i niepotrzebnie ją przeraził. Niemniej musiał ją uprzedzić o wszystkich podejmowanych czynnościach. Nie chciał niczego ukrywać, ale też nie chciał przesadzić. Powinien jej nakreślić ich plan pracy. Miała prawo go znać.

– Wie pani, tak naprawdę chodzi o wykluczenie pewnych zdarzeń.

Kobieta patrzyła na nich z rosnącą obawą. Bała się, że powiedzą coś więcej, coś, czego nigdy nie chciałyby usłyszeć.

– W tej chwili prosilibyśmy panią o udostępnienie nam możliwie aktualnych zdjęć Patrycji. Policjanci, którzy będą w okolicy pracowali, muszą dokładnie wiedzieć, jak wygląda.

Kobieta ruszyła jak na rozkaz.

– Nie wiem, czy mam takie z tego miesiąca, ale z końca roku szkolnego na pewno. Zaraz przyniosę. – Podeszła do kredensu i wyciągnęła rodzinny album.

– Czy mogę? – zapytał Iwanowicz, wyciągając rękę. Miał też w tym swój plan. Chciał zobaczyć całą rodzinę. Nic innego nie mogło mu powiedzieć o tych ludziach więcej niż ich obraz uchwycony w obiektywie aparatu, fotograficzne lustrzane odbicie tego, jak sami się postrzegali, ale też jak chcieli się pokazać innym. Po to są zdjęcia, by pokazać siebie w sposób nam odpowiadający. Owszem, wystylizowane pozy, ładne miny, ale jednak zdjęcia ukazywały również te naturalne i spontaniczne zachowania. Nieudane, rozmazane, zrobione z zaskoczenia. Tylko takie są szczerze.

– Proszę. – Podała mu album.

Iwanowicz obejrzał kilka zdjęć. Mama i córka stojące w korytarzu szkolnym. Kolejne zdjęcie – matka z córką. Na następnym Patrycja na zakończeniu roku szkolnego w trakcie odbierania świadectwa z wyróżnieniem. Każda kolejna strona przedstawiała Patrycję w objęciach matki albo tuż obok niej. Dopiero pod koniec na ostatniej stronie zobaczył ojca – wysokiego, szczupłego i wyprostowanego niczym tyczka. Przyglądał się swojej córce z dumą,

a jednocześnie czymś, co było trudne do wychwycenia i nazwania. Iwanowicz nie umiał ocenić tego spojrzenia, które utrwalił aparat. Co wyrażało? Jakiś rodzaj niezadowolenia, pogardy, złości?

– Zaraz kolega wybierze najbardziej nam pasujące – rzekł, podając zdjęcia Jackowi. – Muszę jeszcze panią zapytać o męża i jego kontakty z córką.

– Co konkretnie chce pan wiedzieć?

– Jakie mają ze sobą relacje? Przyjacielskie, bardziej koleżeńskie?

– Właściwie to nie wiem, po co te pytania. Marcin jest dobrym mężem, dobrym ojcem. Jest...

– Zawiesiła na moment głos i odwróciła głowę. – Nie wiem, jak to nazwać. Jest trochę specyficzny. Z jednej strony mają dobre relacje, a z drugiej jest bardzo wymagający. Zwłaszcza jeśli chodzi o oceny. Dbą, by Patrycja miała same piątki i szóstki. Bywa oschły, ale Patrycja ma z nim dobry kontakt. Wiem, że bardzo ją kocha, chociaż... – Urwała w połowie zdania.

Komisarz odwrócił głowę i spojrzał przez okno. Odtworzył sobie to, co kobieta przed paroma sekundami powiedziała o swoim mężu, Marcinie Linkiewicz. Specyficzny, wymagający, ale jednak kochający.

Dlaczego twoja córka zniknęła? Dlaczego cię teraz tutaj nie ma, kiedy żona potrzebuje wsparcia? Aż tak bardzo jesteś obojętny na to, że twoja żona cierpi? Może i córka, gdziekolwiek jest? – zadawał sobie pytania.

– Chociaż co? – odezwał się po chwili.

– Wydaje mi się, że tego nie pokazuje. Ma problem z okazywaniem emocji, a przede wszystkim tego, co do niej czuje.

Słowa kobiety zabrzmiały dwuznacznie i komisarz od razu to wyłapał. Mówiła o uczuciu męża do córki. Miał z tyłu głowy pewne podejrzenia, ale nie sądził, by chodziło o takie czyny, za jakie są skazywani niektórzy ojcowie. Niemniej musiał i to brać pod uwagę.

– Czy w ostatnim czasie w państwa domu doszło do jakichś nieprzyjemnych wydarzeń? Kłótni, rękoczynów, innych nieporozumień?

– Co?! – Podniosła głos.

– Proszę odpowiedzieć. Nie mogę za każdym razem wyjaśniać sensu poszczególnych pytań, ale proszę wierzyć, że tak postępują śledczy. To są rutynowe pytania. Musimy to wiedzieć. Bez względu na to, czy policjant jest z Jeleniej Góry, czy Wałbrzycha – zada takie same pytania. Proszę więc współpracować.

– No ja nie wiem, czy to w porządku, ale niech będzie – odparła, spoglądając na nich nieufnie.

– Chociaż wcale mi się nie uśmiecha mówić o takich rzeczach.

– A więc?

– Nie, w naszym domu nie było w ostatnim czasie kłótni. Ostatni raz Marcin podniósł głos na córkę, gdy dowiedział się, że Patrycja będzie miała czwórkę z matematyki na koniec roku.

– Tylko dlatego?

– Tak. Jak wspomniałam, bywa specyficzny. Sam jest dość ambitny. Jest inspektorem budowlanym, inżynierem, skończył wyższą szkołę i dla niego edukacja Patrycji to jak uzupełnienie własnych ambicji. To dla niego sprawa... – Urwała i zaczęła pstrykać palcami. Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

– Honoru... – dokończył Gawłowski. Poczul się, jakby mówiono o nim samym. Wobec swoich córek miał identyczne wymagania. Zależało mu na tym, aby Ola i Monika miały jak najlepsze

oceny i doskonale rozumiał niezadowolenie Linkiewicza. Choć nigdy z powodu ocen nie robił córkom wyrzutów ani nie postępował tak, by było im przykro. Wymagał, ale zdawał sobie sprawę, że można czegoś nie wiedzieć i dostać słabszą ocenę. Nie musiały być najlepsze.

– Więc wyklucza pani, by Patrycja uciekła z domu? Z jakiegokolwiek powodu? Bo, nie ukrywam, do tego właśnie zmierzam – powiedział Iwanowicz.

– Wykluczam. Poza tym incydentem naprawdę nic się nie działo. Jesteśmy normalną rodziną. Patrycja nigdy by tego nie zrobiła. Zawsze pokazuje, czy jest zła lub niezadowolona. Widać to po niej. Znam ją. Poza tym dlaczego miałyby uciec teraz, w środku wakacji?

Wzruszył ramionami.

A jednak to zrobiła, pomyślał. Z jakichś powodów nie wróciła do domu. Tylko dlaczego? Czy było to zupełnie przypadkowe? A może jednak doszło do czegoś o wiele poważniejszego? Zaczął szukać w głowie jakiejś ścieżki, którą mógłby podążać, żeby wyrobić sobie zdanie o tym, co się stało, choć wciąż miał nadzieję, że dziewczyna wróci za moment cała i zdrowa, a po całej sprawie zostanie jedynie zwięzła notatka służbowa.

– Rozumiem. Mam jeszcze pytanie o sąsiadów. Czy podejrzewa pani, by ktokolwiek mógłby mieć coś wspólnego z tym wszystkim? Z kimś była pokłócona, z kimś bardzo zaprzyjaźniona... Albo za mocno? Jakiś element styczności państwa i ich życia, który mógłby...

– Nie! Absolutnie. Sąsiedzi jacy są, tacy są, nic na to nie poradzę. Mieszkają tu różni ludzie, w sumie to raptem pięć rodzin, bo są i puste mieszkania, ale nie przyjaźnimo się ze sobą. Wrogami też nie jesteśmy, jak to z sąsiadami.

– Czy Patrycja, poza swoim pokojem, miała jakieś miejsce, w którym lubiła przebywać? Boisko szkolne, jakieś jezioro, park? Dokąd chodziła? Poza szkołą, rzecz jasna.

Kobieta wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze, jakby chciała oczyścić się z nagromadzonego napięcia, złych myśli i wszystkiego, co zebrało się w niej w ciągu ostatnich godzin.

– Sama już nie wiem, mam mętlik w głowie. Większość czasu spędzała w domu. Odrabiała lekcje, siedziała przy komputerze, wieczorami oglądała z nami telewizję. Bywało, że wychodziła z koleżankami pochodzić po mieście, przejść się ulicami, połączyć po sklepach, do galerii handlowych. O niczym więcej nie wiem. W ostatnich tygodniach, od kiedy są wakacje, Patrycja wychodziła na dwie, może trzy godziny dziennie. I zawsze mi o tym mówiła. Zawsze wiedziałam, gdzie jest i z kim. I o której godzinie wróci.

Iwanowicz spojrział ukradkiem na podkomisarza i kiwnął głową. Dali sobie znak, by kończyć.

– Dziękuję za poświęcony czas, od tej pory przekazujemy wszystkie zebrane informacje swoim kolegom i wszczynamy poszukiwania. Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem w nieco miłszych okolicznościach – podsumował Gawłowski.



Iwanowicz od razu pojechał do domu. Nie chciał wracać do komendy. Sama myśl o przesiadywaniu w szarych, dusznych i zakopconych pomieszczeniach przyprawiała go o ból głowy. Gdy tylko mógł, zawsze wolał czas spędzać w terenie. Miał sporo pracy, o której wspominał przez telefon koledze, ale jednak uznał, że odłoży to na później. W domu miał część akt i mógł zająć się nimi w każdej chwili.

Po dwudziestej drugiej zadzwonił do niego Gawłowski i powiedział, że policjanci ponad trzy godziny przesłuchiwali mieszkańców kamienic znajdujących się przy ulicy Sudeckiej. Za każdym razem wyglądało to podobnie. Pokazywali zdjęcia, podawali przybliżone informacje o zaginięciu dziewczyny, a następnie prosili, by w razie czego kontaktować się z policją.

Robili, co mogli, ale nie natrafili na jej ślad. Mimo trwających jeszcze wakacji poinformowano szkołę o zaginięciu dziecka. Ponadto przekazano stosowne informacje taksówkarzom oraz na dworcach autobusowym i kolejowym. Podobizna dziewczynki znalazła się w sklepach, pobliskich barach i na przystankach autobusowych. Udostępnili informacje o zaginięciu dziewczynki w możliwie wielu miejscach. Przekazali również komunikaty do komisariatów w regionie.

Iwanowicz uruchomił laptopa i włączył mapę Jeleniej Góry. Zrobił zbliżenie interesującej go ulicy i zaczął się zastanawiać nad ewentualnymi miejscami, w których mogła pojawić się dziewczyna. Zrobił zbliżenie na miniaturowe kwadraciki dachów kamienic i bloków, między którymi wiły się grafitowe odcienie dróg. Tuż obok nich dostrzegł zieleń pobliskich parków. Różne rzeczy mogły się wydarzyć dzisiejszego poranka, tuż po siódmej. Pomyślał o przypadkowości oraz o tym często niezrozumiałym i nieprzewidywanym połączeniu zdarzeń, które tak bardzo mogły zmienić życie w niemal jednej chwili.

Rozmyślał o możliwych scenariuszach. Było ich co najmniej kilka i każdy wydawał się prawdopodobny. Pomyślał też o tym, ile tego dnia w owej feralnej chwili było w pobliżu osób, które mogły przyczynić się do jej zniknięcia. Kto to był, jak wyglądał?

Przypadkowość miejsca, chwili, osób. A gdyby wyszła wyrzucić śmieci pięć minut później? Co wtedy by się stało? Mimowolne spojrzenia, gesty, słowa, które mogą mieć wpływ na życie drugiego człowieka – tego jest tak dużo, że trudno to ogarnąć. Sekunda nieuwagi kierowcy może spowodować wypadek i śmierć. Nieodpowiednio dobrany szlak może sprawić, że się zagubimy. Nasza aparycja, na którą również nie mamy wpływu, może przyczynić się do tego, że staniemy się ofiarą ataku gwałciciela. Przypadkowość.

A może nie.

Po jakimś czasie odsunął komputer i spojrział przez okno, za którym rysował się zwiastun nadchodzącej gorącej letniej nocy. Nocy, która była dla Patrycji pierwszą spędzoną poza domem. Ale pomyślał też o miejscu, w którym czekała na nią zrozpaczona matka,

zdyscyplinowany ojciec, dla którego być może dopiero teraz obraz dziecka nabierze innych barw. Może zatęskni i zapłacze za nią?

Pomyśli o swojej córce znajdującej się w miejscu, którego być może nie zna. Co to za miejsce? Czy sama się tam wybrałaś, czy ktoś ci w tym pomógł, a może wcale nie chcesz tam być? – zastanawiał się. Spojrzał przez okno w dal rozświetlaną przez latarnie uliczne, w tworzącą się aurę pomarańczowego blasku, który fragmentarycznie oświetlał wyludnioną ulicę. Gdzieś w oddali, kilka kilometrów stąd, kolejny dom pogrążył się w niewyobrażalnym smutku.

Godzinę później siedział na balkonie i popijał whisky. Wyciągnął nogi na poręcz i spoglądał w gwieździste niebo. W oddali pęczniały chmury, z których pewnie wkrótce spadnie deszcz. W ostatnich dniach pogoda atakowała ludzi albo bezlitosnymi nawałnicami, albo nieznośnymi upałami. Zarówno jedne, jak i drugie były męczące, jakby ktoś tam w górze nie mógł się zdecydować, którą formę kary zesłać na ziemię – ogień czy wodę.

Przygotował sobie miskę zakąsek i pochłaniał je błyskawicznie. Słuchał odgłosów świerszczy i szumu miasta. Zjadał orzeszek za orzeszkiem i popijał je dużymi łykami alkoholu. Choć wypił tylko szklankę, szybko zmorzył go sen.

Wszyscy dookoła mówili mi, bym nie nosił tego w sobie. Jesteś twardym człowiekiem, Marek, niejedno w życiu przeżyłeś. Gorsze i jeszcze tragiczniejsze chwile. Kształtowało i hartowało cię wojsko, dyscyplina, wyrzeczenie, odosobnienie. Coś, co nie każdy jest w stanie znieść. Ale ty się nie dałeś, zawsze byłeś twardy. Żyłeś jak ascetyczny mnich, który poświęca się innym celom. Całe twoje życie to droga wyparcia się wygody, rodziny, bliskich. W porządku, rozumiemy to, ale możesz sobie nie dać rady samemu. To cię przerasta. Idź do specjalisty, pozwól sobie pomóc. Byłeś sam, potem wreszcie pojawił się w twoim życiu ktoś, na kogo zasłużyłeś. Zasłużyłeś sobie jak mało kto. Na dziecko, na cudownego chłopca. Był wspaniały. Spędziłeś z nim najcudowniejsze lata. Byłeś szczęśliwy jak nikt, tak, widać to było po tobie. A potem zupełnie nagle doszło do tragedii. Już go nie ma. Odszedł. Musisz się z tym pogodzić, choć nie będzie ci łatwo. Nie będziemy cię, Marku, oszukiwali, ale czeka cię droga przez piekło. Piekło, z którego nawet sam diabeł chciałby uciec. Tak będzie, ale tylko przez jakiś czas. Musisz to wytrzymać, znieść ten podły, najgorszy okres. Płacz, lęk, bezsilność, depresja, poczucie pustki i bezsensu. Potem, z każdym dniem, miesiącem, będzie lepiej, zobaczysz. Miną lata i o wszystkim zapomnisz. Tylko pozwól sobie pomóc. Pozwól. Inaczej się nie da. Idź, wygadaj się komuś, zapisz się na terapię. Nie możesz żyć w zamknięciu. I jeszcze twoja praca. Bycie policjantem to trudna sprawa, ale sam tego chciałeś. Uważałeś, że ta praca jest ważna. Przecież nie dla pieniędzy zostałeś policjantem. Ale przez nią dźwigasz nie tylko swoje problemy, lecz również innych, których często nawet nie znasz. Więc albo przerzucisz swój ciężar i będziesz nosił czyjeś ciężary, albo będziesz dźwigał oba. Chcesz tego? Mało ci teraz własnych? Odejdź z policji, zajmij się czymś innym, bardziej ludzkim, przyjemniejszym. Nie myśl o tym wszystkim, zapomnij o kradzieżach, włamaniach i morderstwach. A już tym bardziej o sprawach z udziałem dzieci. Nie myśl o tym, bo jeszcze bardziej się pogrążasz. Odpocznij, wyjedź, zapomnij. Ale wcześniej umów się na wizytę. Tak, umówimy cię. Wygadasz się, wyrzucisz z siebie całą złość, cały smutek i żal do świata. Jesteś sam, w porządku, bo tak chcesz, taki jest twój wybór i nie

chcesz inaczej. Szanujemy to, ale możesz sobie pomóc i wydostać się z tego. Bo przecież tego chcesz, prawda?

Właśnie tego chciał. Wydostać się z tego przeklętego stanu. Najlepiej byłoby przestać istnieć, nie być, unieść się nad ziemię i patrzeć na wszystko z góry. Widzieć, obserwować, ale tak – rzeczywiście optymalnie byłoby nie istnieć. Jeśli nie na zawsze, to chociaż na chwilę. Poczuć, jak to jest przestać czuć.

Czy przyniosłoby to ulgę? Zapewne.

We śnie widział to, co przeżył w ostatnich latach. Wszystko, co przeszedł. Nieopisane cierpienie. Chęć popełnienia czegoś, na co jednak się nie zdobył. Nie umiał od tego uciec, ponieważ co jakiś czas, co parę dni, tygodni, mimowolnie pojawiał mu się obraz tamtej tragedii. Tego, co się stało na jego oczach. Przypominał sobie, co czuł, jak żył i jak od początku musiał pokierować swoim życiem. Odtworzyć na nowo system wartości, pojęcie normy, zwyczajności, szczęścia, pracy. Wszystko tworzył na nowo, całkowicie od podstaw, niczym człowiek po ciężkiej i wyniszczającej cały organizm chorobie, który stopniowo nabierał sił. Choć już bez tej sprawności, werwy i pewności siebie. Tworzył siebie na nowo. Bo właśnie to czeka po utracie najbliższej osoby. Budowanie na nowo wszystkiego, co zostało stracone. Nie zawsze jest to łatwe i nie zawsze istnieje gwarancja, że się uda.

U niego było bardzo ciężko. Walczył ze sobą i swoimi myślami przez kilka lat, by powrócić do czegoś, co mógł nazwać utraconym stanem.

Na widok zdjęcia syna już nie płakał. Na dźwięk imienia tylko nerwowo zaciskał zęby i starał się myśleć o czymś innym.

Udało się.





O ósmej rano pojawił się w komendzie i przeczytał raport patroli poszukujących Patrycji Linkiewicz. Zaangażowano w to kilkunastu funkcjonariuszy. Przeszukali okolicę i ponownie przepytali mieszkańców pobliskich kamienic i budynków bezpośrednio przylegających do domu Linkiewiczów. Mimo późnej godziny kontaktowali się z właścicielami oraz pracownikami sklepów położonych wzdłuż ulicy Sudeckiej, do samego ośrodka rekreacji, który znajdował się naprzeciwko kortów tenisowych, niedaleko drogi wyjazdowej z miasta. Byli również w hotelu, hostelach. Sprawdzili niemal każde miejsce aż do skrzyżowania z ulicą Wojska Polskiego. Iwanowicz wiedział, że za dzień lub dwa trzeba będzie ponowić tę samą czynność, dawało to lepszą gwarancję dobrze wykonanej pracy, bo wystarczy, że jednego dnia nie było wszystkich lokatorów pobliskich kamienic i szanse na znalezienie potencjalnego świadka mały. Dowiedział się również z dokumentów, że kilkunastu funkcjonariuszy straży miejskiej przeszukiwało znajdujący się w pobliżu park oraz niewielki las. Zostawili informację o zaginięciu dziewczynki na stacji benzynowej, w kioskach i pawilonach oraz u pracowników ochrony czterech większych obiektów. Wszystko bez skutku. Ani śladu dziewczynki.

Otworzyły się drzwi.

– Widzę, że nie mogłeś spać – rzekł Gawłowski, gdy zobaczył kolegę czytającego poranne raporty. – I od samego rana pochłaniają cię lektury.

Komisarz przytaknął nieznacznym ruchem głowy.

– I co? – Wskazał stertę papierów.

– Możesz zgadywać.

Gawłowski odwiesił torbę na wieszak i usiadł przy swoim biurku.

– Zaczepił mnie szeryf przed wejściem. Podobno mieliście wczoraj bardzo przyjemną rozmowę telefoniczną. Nie mówiłeś o tym.

Iwanowicz nie odrywał oczu od dokumentów, jakby udawał, że nie słyszał. Mimo to czuł na sobie wzrok kolegi.

– To prawda?

Nie chciał odpowiadać, ale wiedział, że nie uda mu się uniknąć tematu.

– To była luźna rozmowa, ale jak widzę, plotki szybko się rozchodzą. To chyba dlatego, że ktoś ma za dużo wolnego czasu, co?

– Daj spokój, mów.

– Zwykła rozmowa, to wszystko. O niczym ważnym. Nie podobają mi się jego niektóre decyzje i dobrze o tym wiesz. A że traktuję go jak kolegę, a nie tylko szefa, więc musiałem powiedzieć to i owo. Chociaż... Zdecydowanie za mało powiedziałem. Wiesz, że łączy mnie z nim trudna relacja. Po prostu zapytałem, dlaczego kazał nam się tym zająć. I tyle.

Zamilkli, gdy do ich pokoju wszedł zastępca komendanta, Marian Burzyński, i bez zbędnych wstępów oświadczył:

– Zostawili informację w teatrze Norwida. Tam również ktoś mógł widzieć dziewczynkę. Duże miejsce, dużo ludzi.

– Nie w sezonie wakacyjnym – wtrącił Iwanowicz.

– Tak czy owak – wzruszył ramionami – zostawili też informację w kilku sklepach przy Wojska Polskiego. Wciąż czekamy na decyzję, ilu ludzi uda nam się zaangażować w poszukiwania. Być może da radę oblecieć miasto i okolice helikopterem. Czekamy na decyzję w tej sprawie.

– To nic nie da.

Komendant znów wzruszył ramionami.

– To się okaże. Potem wysłamy naszych ludzi do centrum monitoringu w siedzibie straży miejskiej. Mają obejrzeć wszystkie taśmy z wczorajszych nagrań. Te z okolicy i głównych ulic znajdujących się w pobliżu miejsca zamieszkania dziewczyny. Daliśmy też znać do wszystkich komisariatów w powiecie. Czekamy. A wy co?

– Na razie nic, dopiero dzień się zaczął, ale mamy pewne plany. Rozejrzemy się też w paru miejscach. Będziemy też chcieli się spotkać z jej wychowawczynią. A później zobaczymy.

– Dobra, panowie, w miarę możliwości będziemy się informować na bieżąco. Koordynujcie pracę, przydałyby się jakieś pomysły. Czekamy na rozwój sytuacji, w różnych miejscach publikujemy wiadomość o jej zaginięciu, sprawdzamy, czy w ostatnim czasie działo się coś niepokojącego... – Komendant zawiesił głos, zasepił się, co trwało dłużej niż zwykle, kiwnął głową, cmoknął i wyszedł bez słowa.

– Trzeba jeszcze raz dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć. Przede wszystkim zacznij od baz danych; porwania, zaginięcia, podobne przypadki. Może w ostatnim czasie wyszedł jakiś skurwiel, który siedział za porwanie dla okupu – powiedział Iwanowicz.

Po dziesiątej pojechali do szkoły Patrycji. Gimnazjum znajdowało się przy ulicy Piłsudskiego niemal w centrum miasta, choć tak schowało się między kamienicami, że z ulicy można było go nie zauważyć. Był to stary, wysoki czterokondygnacyjny budynek z czerwonej cegły.

Weszli do ciemnego i przestronnego korytarza. Woźny o nieprzyjemnym spojrzeniu i bezbarwnym głosie wskazał im drogę do sekretariatu. Gdy zmierzali w kierunku drzwi, on wciąż stał w miejscu, odprowadzając ich wzrokiem. Zniknął w swoim kantorku, kiedy upewnił się, że dotarli na miejsce.

Za biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku z ciemną czupryną i o ostrych rysach twarzy. Miała oczy umalowane na zielono. Komisarz wiedział, że wśród wizażystów i makijażystek owa zieleń na pewno ma wyrafinowaną nazwę, a nie po prostu zielony.

Zmierzyła ich wzrokiem i zrobiła zdziwioną minę. Być może była to wyuczona maniera i każdego intruza witała urzędowym spojrzeniem, pomyślał.

– Słucham panów.

– Jesteśmy z policji, komisarz Marek Iwanowicz i podkomisarz Jacek Gawłowski. Wydział kryminalny.

Gawłowski wyciągnął odznakę i przysunął ją bliżej. Kobieta spojrzała na nich czujnie spod zbyt dużych okularów. Miała taki wyraz twarzy, jakby po raz pierwszy usłyszała na żywo słowo „policja”. Wydział kryminalny w szkole. Coś, co było rzeczą zarezerwowaną dla filmów, a nie rzeczywistości.

– Coś się stało?

– Do której klasy chodzi Patrycja Linkiewicz? – zapytał Gawłowski. Zdobyli wiele informacji na jej temat, jednakże próbowali wy badać, czy imię i nazwisko zaginionej wywołuje jakieś reakcje. Czy na przykład budzi zdziwienie. Musieli badać reakcję każdej osoby, ponieważ być może między wierszami wyłapią czyjąś nieufność lub coś innego.

– Sekundę, spojrzę do komputera, bo nie mam pewności. Kojarzę ją, ale...

Poprawiła okulary, przysunęła się do czarnego ekranu z włączonym wygaszaczem – logo szkoły. Otworzywszy program, wpisała imię i nazwisko. Kliknęła kilka razy myszką.

– Chwileczkę... już... Otrzymała promocję z wyróżnieniem do klasy drugiej.

– Kto jest jej wychowawcą?

– Moment, już patrzę... Pani Małgorzata Winiarska.

Zdjęła okulary i spojrzała na stojących intruzów, którzy nie sprawiali miłego wrażenia. Obaj zdawali sobie sprawę ze swojej mało eleganckiej aparycji. Iwanowicz był wysokim i wysportowanym byłym oficerem wojska, toteż lata pracy ukształtowały w nim poczucie, że nie oszuka nikogo tym, jak wygląda i czym się zajmował w przeszłości. Gawłowski był ciut niższy i wciąż miał atletyczną sylwetkę. Dawniej uprawiał boks. Walczył przez kilka lat w młodzieżowej lidze boksu Karkonoskiego Klubu Sportowego. Do dziś na jego twarzy zachowały się pewne charakterystyczne rysy – napęczniałe łuki brwiowe i lekko przetrącony nos.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego panowie pytają o Patrycję?

– Chcielibyśmy się skontaktować z wychowawczynią.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Iwanowicz zacisnął zęby. Gawłowski dostrzegł to i od razu odpowiedział za niego.

– Wszystko wskazuje na to, że Patrycja zaginęła. Od wczoraj nie ma jej w domu. Musimy zbadać każdy trop, każde miejsce, w którym się pojawiała. Szkoła, dom, koleżanki, rozumie pani. To bardzo ważne.

– Ale jak to zaginęła? – spytała, łagodniejąc.

– Nie mamy jeszcze pełnych informacji. Wciąż jej szukamy. Jesteśmy w trakcie odtwarzania tego, co działo się w ostatnich dniach, i dlatego musimy skontaktować się z jej wychowawcą.

– Wychowawczynią – poprawił go komisarz.

– Zwykle to wychowawca wie najwięcej o swoim uczniu. No i rodzice, ale ich już przesłuchaliśmy.

Kobieta spoglądała na nich tak, jakby mówili innym językiem i znajdowali się w świecie równoległym, ale jednocześnie widziała ich i słyszała. Własnym uszom nie wierzyła. Patrzyła na nich, jakby przybyli z innej planety. Nie odzywała się przez kilka sekund.

– Tak, tak, oczywiście. – Wzdrygnęła się i spojrzała przed siebie. Nie na nich, lecz gdzieś pomiędzy. – Już podaję. Sięgnęła po notes z kontaktami, odszukała nazwisko pod literą W, a potem przepisała numer wychowawczynie na kartkę i podała policjantom.

– Mam nadzieję, że to chwilowe. Że... tylko gdzieś wyszła. Niemożliwe, żeby zaginęła, przecież to spokojne miasto. Kto by miał ją porywać? Przecież to bez sensu...

– Musimy to ustalić.

– Oczywiście, teraz już ją kojarzę. Rzadko tu zaglądała, bo jeśli uczniowie są grzeczni i nie są zwywani do dyrektora, to praktycznie tu nie bywają. Wszystkie sprawy uczniów załatwia

wychowawca. Ale mimo to kojarzę dziewczynkę. Ładna, zdolna. Kilka razy śpiewała na różnych apelach. I też chyba występowała ze swoimi koleżankami na zakończeniu roku szkolnego. Śpiewały coś.

– Z kim się przyjaźni?

– Oj, to już pytanie nie do mnie. Proszę pytać panią Małgorzatę. Ona panom wszystko powie. To jest sekretariat szkoły, nie znamy wszystkich uczniów. Oni częściej pukają do pokoju nauczycielskiego niż tu. Tam załatwiają sprawy.

– W takim razie dziękujemy za pomoc.

Wyszli z sekretariatu. Gawłowski spojrział na kartkę i wybrał numer. Czekał kilkanaście sekund. Trwało to za długo.

– No odbieraj, śpisz czy co, do jasnej chole... – Urwał nagle. – Dzień dobry. Nazywam się Jacek Gawłowski. Jestem z jeleniogórskiej policji, muszę... Aha... Dobrze... Zatem do zobaczenia...

Rozłączył się.

– Co?

– Jest już w Jeleniej. Dzisiaj w nocy wróciła znad morza. Będzie w szkole za pół godziny. Wie o sprawie i spodziewała się, że do niej zadzwonimy, chociaż miała nadzieję, że Patrycja się znajdzie.

Nie chcieli marnować czasu, bo mieli sporo do zrobienia. Gawłowski ruszył gwałtownie spod szkoły.

Iwanowicz obawiał się, że jeśli w ciągu kilku lub kilkunastu godzin dziewczyna nie wróci do domu, to całe poszukiwanie spocznie na ich barkach. Skoro nie wróciła na noc, musiało się coś wydarzyć. Coś poważniejszego niż samowolne oddalenie od domu. Coś więcej. Być może w jej zniknięciu zaangażowane były osoby trzecie. Chociaż starał się nie wyobrazić sobie, co się mogło stać, to wciąż – jak mantra – złe myśli powracały. Nie miał jeszcze podstaw, by sądzić, że doszło do tragedii, ponieważ minęła dopiero doba i wytłumaczenie zniknięcia mogło się okazać prozaiczne. Trudno było jednoznacznie ocenić, czy doba to dużo, czy nie. Wiele zależało od punktu widzenia. Myślał też, że gdyby okazało się, że Patrycja cała i zdrowa przebywa na przykład u koleżanki, to doba to niewiele, bo czas przyjemnie upływa w miłym towarzystwie. I można zapomnieć o wszystkim dookoła. Dziewczyna może nie wiedzieć, że szuka jej mnóstwo ludzi, a matka rwie sobie włosy z głowy.

– Masz jakieś odczucia? – zapytał komisarz po paru minutach jazdy w ciszy.

– Żartujesz? – Gawłowski spojrział na niego. – Nie mam, nawet nie zdążyłem mieć, bo do tej pory sądziłem, że wróci w nocy do domu. Ale skoro nie wróciła, wygląda to, mówiąc szczerze, chujowo. Wczoraj miałem nadzieję, że po prostu spotkała się z tymi swoimi Julkami i Majkami, i sobie siedzą w jakimś ciepłym i wygodnym miejscu. Teraz jednak myślę, że...

– Uważaj! – krzyknął Iwanowicz. Gawłowski zagapił się i nie zahamował na przejściu dla pieszych. Rozległ się głośny pisk opon. Auto zatrzymało się trzydzieści centymetrów od nóg najbliższej osoby. Przechodnie stali jak wryci. Spoglądali na nich z wyraźnym oburzeniem. Jakiś starszy człowiek zaczął im wygrażać. Dwie kobiety spojrzały na samochód, jakby chciały zapamiętać numery rejestracyjne. – Jak jedziesz, to patrz na drogę. Dobrze, że nie jedziemy oznakowanym, bo zaraz by ludzie zaczęli gadać.

Komisarz zrobił ręką przepraszący gest i uśmiechnął się pokornie.

– Zamyśliłem się. Próbuję się skupić na odpowiedzi – kontynuował po jakimś czasie, gdy już ruszyli. Czoło miał złane potem i drżały mu ręce.

– Nie dokończyłeś zdania. Więc?

– Minęła już doba. Coś czuję, że marne są szanse na jej odnalezienie...

– Żywej – dokończył za niego Iwanowicz i zrobił zatroskaną minę. Spoglądał na chodniki i kolorowe witryny sklepów. Upał nie powstrzymywał przechodniów przed robieniem zakupów. Szał kupowania nie ma granic, pomyślał, a pogoda skłaniała ludzi jedynie do tego, by czym prędzej znikali w klimatyzowanych sklepach i salonach, natomiast nie zniechęcała nikogo do beztróskiego wydawania pieniędzy.

– Wobec tego myślimy podobnie – rzekł po jakimś czasie Gawłowski. – Jest lato. Wiesz, czego najbardziej się boję?

– Wody. Że poszła nad rzekę?

– Tak i że ktoś odkryje jej zwłoki za parę dni gdzieś przy jakimś jeziorze.

– Jeśli się nie znajdzie w ciągu dwóch, trzech dni, to jest duża szansa, że twój scenariusz się sprawdzi. Chociaż trudno wyrokować, nie mając jeszcze żadnych śladów, ale właśnie tego się boję.

– Prawie każdy dzieciak biegnie nad wodę, by się wykąpać. A to na basen, a to nad rzekę, albo chowa się gdzieś w klimatyzowanym centrum handlowym lub markecie.

– Ale jest jedna rzecz, która mi tu nie pasuje.

– Jaka?

Jechali ulicą Wolności, potem skręcili w Zamenhofa, dalej pojechali ulicą Matejki.

– Nie sądzę, że poszłaby sama – odpowiedział spokojnie komisarz.

– A skąd wiesz, że poszła sama?

– Jej matka wspomniała, że z przyjaciółkami była niemal nierozłączna. Majka, Julia i jeszcze jakaś trzecia. Nie pamiętam imienia.

– Monika.

– Właśnie. No więc sądzisz, że trzynastoletnia dziewczyna poszłaby sama?

– Czternastoletnia – poprawił go.

– Nieważne. Która dziewczyna w tym wieku idzie sama nad jezioro, dzikie kąpielisko czy rzekę?

– Nie mam pojęcia, Marek. Moje córki chodzą tylko z nami, więc wierzę, że są na tym świecie jeszcze rozsądne dzieciaki.

– Masz pewność, że tylko z wami?

– Tak. A co się dziwisz? – Gawłowski spojrzał na niego zaskoczony.

– Dziwię się, bo skąd masz taką pewność? Jaką masz niby gwarancję?

– Bo mi o tym mówią. Wiem to. I tyle – odpowiedział stanowczo.

– Jacek, spędzasz większość swojego czasu w pracy, więc mi tutaj nie pieprz, okej? Niby skąd wiesz, gdzie akurat są teraz twoje córki?

– Ufam im i wiem.

– Skąd?

– Bo mi mówią.

– I tyle? I to mówi doświadczony policjant?

– Tak, to mówi.

– Jasne. Wiesz co... Nie rozśmieszaj mnie.

– Naprawdę chcesz rozmawiać o mnie i o moich córkach? Bo coś mi się wydaje, że chyba zbaczamy z tematu. Rozumiem, że troszczysz się o mnie i moje relacje z dziećmi, ale chyba nie o tym mieliśmy rozmawiać. Zejdźmy z tego tematu.

– Niekoniecznie. Chcę cię tylko przekonać, że rodzice nie mają pełnej kontroli nad swoimi dziećmi.

Gawłowski miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nie chciał już nic więcej mówić o dzieciach i ich wychowywaniu, bo znów zacząłby niewygodny dla Iwanowicza temat. Rękami i nogami bronił się przed rozmowami, których tematem były dzieci. Musiał więc studzić zapał kolegi, przytakiwać mu albo pokierować rozmowę w ten sposób, by delikatnie i niezauważalnie zmienić temat. Za bardzo lubił i szanował Marka, by sprawiać mu przykrość i pouczać go w tej kwestii lub co najmniej kwestionować jego punkt widzenia. Nie chciał tego robić, bo jako jeden z nielicznych wiedział, że kolega przeszedł ogromne załamanie nerwowe, po którym zbierał się bardzo długo. Mając więc na względzie jego dobro, każdy temat związany z dziećmi poruszał ostrożnie lub nawet wręcz go unikał. I choć można było wiele zarzucić zachowaniu Gawłowskiego, o czym sam doskonale wiedział, to wszelkie sprawy przypominające o tragicznie zmarłym synu Iwanowicza traktował z największą powagą. I robił też wszystko, by oni sami albo ich rozmówcy unikali tego tematu. Nabrał tej wprawy, a każdego policjanta na komendzie przestrzegał już od dawna, że jeśli ktokolwiek nie zachowa w tej kwestii delikatności, osobiście dostanie od Gawłowskiego po mordzie.

– No dobra, nawet jeśli jest, tak jak mówisz, to do czego zmierzasz? Bo zapewne do jakiejś puenty – zmienił temat.

– Tak, zmierzam. No więc to pierwsze... – Iwanowicz przerwał, by wskazać ręką koledze, dokąd ma jechać. – Tam, skręć i pojedziemy skrótem. – Gawłowski zjechał z głównej drogi i pojechał bocznymi uliczkami, przeciskając się przez wąskie podwórza, aż wyjechał nieopodal ulicy Sudeckiej. – Pierwsze, które mi w tym wszystkim nie pasuje. Zabrałaby ze sobą jakieś rzeczy. No i nie poszłyby sama, byłyby z nią koleżanki. Jestem niemal tego pewien.

– Tylko to cię martwi i nie pasuje do twojej układanki? – zapytał Gawłowicz z przekąsem, ale starał się nie dawać po sobie tego poznać.

– Nie, są jeszcze dwie sprawy. Druga to taka, która znów przeczy tej teorii. Zbyt wczesna pora dnia jak na kąpiel. Wyszła rano. Powietrze, dom, no i przede wszystkim podwórze nie jest tak gorące, by skłaniało młodą osobę do kąpieli. O której człowiek idzie nad wodę?

– W południe albo po południu. Bo jest zmęczony upałem.

– No właśnie, po południu, a nie około siódmej rano. I dlatego to się nie trzyma kupy.

Gawłowski zamyślił się, a potem wygiął usta w podkowę. Przyznał, że tak mogło być.

– To by pasowało. Ale to i tak jeszcze żaden dowód.

– Trzecia rzecz. Skoro Patrycja tak bardzo kochała matkę i ojca, chociaż jego może trochę mniej, to dlaczego nie powiedziała im, że idzie się kąpać?

– Odpowiedź jest prosta.

– To mnie oświeć.

– Bo chciała poczuć się dorosła. To oczywiste. Jeśli masz koleżanki, to na bank musisz się przed nimi jakoś wykazać lub popisać. Może wszystkie się zmówiły...

– Jacek, tylko ona zaginęła. O jakich koleżankach mówisz?

– Mogła kogoś poznać.

– Trochę naciągana ta teoria.

Podkomisarz po chwili wahania lekko skinął głową.

– Wynika więc z tego wszystkiego jedno. Trzeba jak najszybciej zweryfikować nasze założenie.

– Które?

– To, czy pojechała się kąpać.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Jeszcze dokładnie nie wiem, ale po to tutaj przyjechaliśmy – powiedział Iwanowicz, gdy wjechali na podwórze.

Gdy tylko otworzyli drzwi, uderzył w nich podmuch gorącego powietrza, jakby ktoś w ich kierunku skierował ogromną suszarkę.





Była strzępką nerwów. Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpaść, niczym lecący w dół porcelanowy wazon tuż przed samym upadkiem. Niemal widział to nieuchronne uderzenie, trzask, po którym nie będzie czego zbierać. Tysiące drobinek. Pozostałość po czymś, co kiedyś było całością, ale już nigdy nie będzie.

– Musimy zadać pani kilka pytań – powiedział komisarz niskim głosem. Nie był to głos kogoś, kto ma dobre intencje. Nie brzmiał jak głos wyrażający chęć pomocy albo współczucie, raczej jak głos kogoś, kto próbuje wyprosić niechcianą osobę z lokalu. Ta jego cecha, przyznawał sam przed sobą, często była mu pomocna, ale równie często przeszkadzała w pracy. Ludzie, świadkowie i poszkodowani, nie chcieli się otwierać przed kimś, kto miał taki głos. Mroczny, dudniący, bez cienia łagodności.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech i skinęła głową, mówiąc, by weszli. Był to raczej szept. Usiedli na tej samej niewygodnej kanapie. Komisarz domyślił się, że nie poczęstuje ich niczym, pewnie nawet nie zaproponuje wody, bo nie miała do tego głowy, a może ochoty, co było w pełni zrozumiałe.

– Mamy pewien pomysł, może raczej teorię, ale musi nam pani pomóc.

– Pomogę we wszystkim, tylko odnajdźcie moją córkę.

– Podejrzewamy, że Patrycja mogła wczoraj pójść nad rzekę albo pojechać z kimś na basen. Może nad jezioro. Ale problem w tym, że zanim zaangażujemy jeszcze więcej ludzi, chcemy uzyskać od pani informacje, czy kiedykolwiek córka chodziła sama w takie miejsca? Z kimś znajomym lub z państwem? Niby oczywista sprawa, jest lato, każdemu gorąco i to, co mówimy, wydaje się bardzo prawdopodobne.

Kobieta milczała. Spoglądała na nich jak na złe duchy, które chcą wyszarpać cząstkę jej samej. Czuła, że kończy się jej energia. Opadała z sił. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chcemy potwierdzić lub wykluczyć taką ewentualność – rzekł Gawłowski.

– Funkcjonariusze policji byli wczoraj na basenie, tu na Sudeckiej, ale nie natrafili tam na żaden ślad. Rozmawiali z ratownikami, ale bez rezultatu. Sama pani rozumie, przewija się tam zbyt wiele osób, by ktoś ją tam zapamiętał lub ewentualnie rozpoznał – dodał Iwanowicz i spojrzał na kobietę, by dać jej szansę na odpowiedź. – A niestety kamer tam nie mają.

– Szczerze mówiąc, sama już nie wiem – odpowiedziała martwym głosem. – Do tej pory wszystko to, co jej dotyczyło, tfu, dotyczy, było dla mnie pewne i przejrzyste. Miałyśmy zasady, których zawsze przestrzegała, niczego nie robiła bez mojego pozwolenia. Słuchała się. Na tym zbudowałam całe swoje zaufanie do niej. Tak było zawsze, od lat. Dlaczego miałyby nagle przestać się mnie słuchać? Dlaczego?

Iwanowicz od razu zwrócił uwagę, że mówi tylko o swoich relacjach z córką. Pomijała ojca. Celowo, przypadkowo? Czasami to, co miało zostać zatajone, bezlitośnie obnażała budowa zdania. Użycie innej formy, innego czasu, liczby. Szczegóły, na które pozornie nie zwraca się uwagi, mogą wiele zdradzić. I teraz to zauważył. Ojciec Patrycji, a jej mąż, znów został

zepchnięty w myślach i słowach gdzieś w kąt, jakby się w ogóle nie liczył w domowych zasadach, jakby nie brał udziału w ich ustalaniu i weryfikowaniu. Tylko matka. To ona wiodła tutaj prym. Mówiła o sobie i córce. A gdzie ojciec? Gdzie on był w tym wszystkim? Jaka jest jego rola? Zepchnięto go na margines? A może coś się wydarzyło, że tak się stało, i może to z jego powodu Patrycja zniknęła z domu?

– Czy jest jakieś „ale”? Bo brzmi to trochę tak, jakby zważyła pani w to wszystko?

Izabela Linkiewicz zaczęła nerwowo bawić się rękoma. Ścisnęła palce, aż jej strzelały stawy. W pewnym momencie przestała, ale wciąż nie wiedziała, co robić z dłońmi. Przeszkadzały jej. Były niechcianą częścią ciała, która nie dawała się podporządkować.

– Bo rzeczywiście tak jest. Nagle przestałam wierzyć, że wróci cała i zdrowa. Sama nawet nie wiem, dlaczego tak myślę, naprawdę. Minęła już doba, więc zaczęłam tracić wiarę. Intuicja podpowiada mi... – Machnęła ręką. – Zresztą nieważne.

– Ważne, proszę powiedzieć – zachęcił ją podkomisarz.

Znów machnęła na odczepnego.

– Teraz, gdy panowie mówią, że mogła pójść nad rzekę, a przy takiej pogodzie to niewykluczone, wydaje mi się, że wszystkie nasze ustalenia straciły sens. Nie wiem, co myśleć o naszych relacjach. Ale mimo wszystko w głębi duszy czuję, że Patrycja nigdy nie poszłaby bez pozostawienia jakiegś wiadomości. Nie wierzę, ale cóż... Nie mogę wiedzieć tego na sto procent. Biję się z myślami. Intuicja mi podpowiada, że nie zrobiła niczego głupiego. Ale czy ona ma tu coś do powiedzenia? Czy to ważne, co mówi mi głos wewnętrzny?

Jej oczy znów zaczęły błyszczeć, odbijały promienie słońca, które stopniowo wkradły się do ciasnego i dusznego mieszkania. Potem zakradały się do ciemnej i obumierającej duszy, jakby chciały ją pocieszyć, pokazać cząstkę lepszej strony rzeczywistości. Ale nie dało się.

– Poszła wyrzucić śmieci, to wszystko – dodała po jakimś czasie, jakby to miało stanowić dowód jej niewinności.

– Co pani mąż na to wszystko? Coś się wydarzyło od wczoraj?

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nic. Przejął się tym, wiem to, ale nie było po nim tego widać. Zmieniło się jego spojrzenie. Spokorniało. Rozumiecie, co mam na myśli? Straciło pewność siebie. Powiedział, żebym była spokojna. I że na pewno wszystko się wyjaśni.

– Jest teraz w pracy?

– On, proszę pana, zawsze jest w pracy. To sens jego życia. Praktycznie tylko to się dla niego liczy.

Komisarz przyglądał się jej bacznie, próbując zrozumieć, o co tu chodziło.

– A Patrycja? Kim dla niego jest, tak naprawdę?

– Kocha ją, wiem to, bo czuję i widzę, ale Marcin tego nie okazuje. Bywa, że jest jak suchy kawałek drewna. Nieczuły i niewspółczujący. No i wciąż zapatrzony w siebie... – Kobieta załkała. – Boże, i mówię to wam... Tak po prostu obcym ludziom mówię o swoim mężu, że jest jak niewzruszony manekin. Prawie bez emocji – dodała ciszej, jakby wstydziła się swoich słów i bała się, że ktoś to usłyszy. – Że nie daje po sobie znać, co czuje i myśli. Wchodzi wieczorem do domu, spogląda, weryfikuje wszystko tym swoim bezlitosnym wzrokiem. Milczy, idzie wziąć prysznic, a potem kładzie się spać. Czasami zamienimy ze sobą parę słów, coś tam rzuci na odczepnego i wychodzi. Wraca znów wieczorem. I tak każdego dnia.

– A czy zabierał dokądś córkę?

– O co pan konkretnie pyta?

– Czy wychodzili na przykład na lody, gdzieś do parku?

– Tak, zabierał, gdy była mała i miała sześć lat.

– I już?

– Tak.

– Jest jakieś „ale”?

– Może... Może takie, że od dawna jednak nigdzie nie wychodzili razem. Patrycja nauczyła się już, że nie ma co liczyć na ojca. To znaczy w sprawach, jakby to nazwać... Sama nie wiem. Chodzi mi o to, że ze wszystkim przychodziła do mnie. Po to, by się podzielić swoim sukcesem w szkole, porażką, gdy potrzebowała wsparcia. Opowiadała mi zawsze o swoich sprawach kobiecych. Ze wszystkim przychodziła do mnie.

Komisarz uznał, że już czas, więc rzekł:

– Chcielibyśmy przesłuchać pani męża. Proszę przekazać nam jego numer do pracy, bo mówiła pani, że nie używa komórki.

Kobieta bez zastanowienia wyrecytowała numer z pamięci. Gawłowski zanotował. O nic więcej nie pytali.

Zostawili ją siedzącą samotnie na kanapie. Nie wiedzieli, czy w ogóle zauważyła, kiedy po cichu wyszli z mieszkania, jakby byli zjawami, które pojawiły się na chwilę i zniknęły, niczego nie zmieniając w jej życiu. Siedziała w milczeniu, czekając na jakiś znak, na coś, co odczaruje ten stan.

Wychowawczyni była w sali, którą się opiekowała, o czym dowiedzieli się przed momentem w sekretariacie. W niedużej klasie wisiały na ścianie tablice i plansze ze słówkami w języku niemieckim, flagi oraz dumnie prezentujący się orzeł.

Przedstawili się i usiedli w pierwszej ławce, ledwie się w niej mieszcząc. Obaj byli zbyt szerocy w ramionach.

– Jest pani wychowawczynią Patrycji Linkiewicz – stwierdził podkomisarz, co było chyba najlepszym rozwiązaniem, by zacząć jakoś rozmowę.

– Tak, od roku – odpowiedziała Małgorzata Winiarska. Miała około trzydziestu pięciu lat, włosy spięte w kucyk, gładką, opaloną cerę i delikatnie podkreślone rzęsy.

– Z tego, co wiemy, mama Patrycji dzwoniła wczoraj do pani, by się upewnić, że Patrycji nie ma w szkole albo gdzieś przy pani. Nie pytamy, dlaczego to zrobiła.

– Doskonale ją rozumiem – odparła błyskawicznie. Wypowiadała słowa szybko i wyraźnie. – Zapewne sama bym na jej miejscu tak zrobiła, w końcu, jak to mówią, wychowawca jest trochę jak taki drugi rodzic.

– Tak?

– Owszem. Dziecko przebywa w szkole niemalże pół swojego życia. Sześć, siedem, a ci, co chodzą na zajęcia dodatkowe, nawet i osiem godzin dziennie. To dużo. Jesteśmy tutaj dla nich. Czują się w szkole dobrze, ufają nam, sprawujemy nad nimi opiekę nie tylko w trakcie lekcji, ale na przerwach i na wycieczkach. No i też uczestniczymy dość aktywnie w ich dojrzewaniu, w rozwoju, mówiąc najogólniej. I to upoważnia mnie to mówienia takich rzeczy.

– No tak, w sumie racja – odpowiedział komisarz. W gruncie rzeczy nie interesowało go to. – A więc Patrycja nie kontaktowała się z panią w żaden sposób?

– Nie. Poza tym byłoby to niemożliwe z kilku powodów.

– Jakich?

– Po pierwsze jej mama powiedziała mi, że Patrycja nie wzięła za sobą telefonu. Po drugie, które dziecko zna numer komórki do swojego wychowawcy? No a po trzecie, dziś wróciłam z nad morza.

– A Patrycja mogła mieć pani numer?

– Nie sędzę, bo skąd. Mój numer to moja prywatna sprawa. Może kilkoro rodziców ma do mnie telefon, ale nie wszyscy. Wiem, że pani Linkiewicz ma, bo kiedyś do mnie dzwoniła. Sama zresztą jej dawałam. Ale jej, a nie Patrycji – podkreśliła stanowczo.

– Mogła jednak mieć od matki... – wtrącił Gawłowski.

– Mogła, ale to niczego nie dowodzi i do niczego nie prowadzi. Bo skoro nie zadzwoniła, to dalsze gdybanie nie ma sensu – odpowiedziała.

– No tak, to rzeczywiście upraszcza sprawę.

– Czy ma pani jakieś podejrzenia, co mogło się stać?

– Nawet najmniejszych. Naprawdę żadnych. Patrycja jest osobą odpowiedzialną, od roku pełni funkcję zastępczyni przewodniczącej klasy. I ze swojej roli, mogę panów zapewnić, świetnie się wywiązuje. Można na niej polegać.

– Czy Patrycja mogła mieć jakiś konflikt z innymi uczniami?

– Nikt z nas nie wie, co się dzieje poza murami szkoły, ale jestem przekonana, że nie.

– Skąd ta pewność?

– To nie jest pewność. Ale to nie w jej stylu, jestem o tym przekonana.

Iwanowicz głośno sapnął i uśmiechnął się.

– Szanowna pani, to nie jest tak. Pracujemy już trochę w policji i proszę mi wierzyć, są ludzie, po których by się pani nie spodziewała pewnych czynów i zachowania. To nie jest dobra argumentacja, że coś jest w czyimś stylu, a coś nie. To tak nie działa. Człowiek ma pewne zdolności aktorskie, jedni większe, inni mniejsze. Po jednych widać kłamstwo, a po innych nie. To wszystko jest kwestią umiejętności, talentu, potrzeby, dostosowania się do otoczenia. I tak dalej, i tak dalej. Wie pani, człowiek uwalnia swój potencjał aktorski, gdy znajduje się w niebezpieczeństwie, pod presją lub ktoś go do tego zmusza. Lub gdy po prostu sam chce.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie wiem, do czego pan zmierza. – Pokręciła głową. Czuję, że się zdenerwowała.

– Próbuję pani uświadomić, że to, co widzimy, nie zawsze jest prawdą.

– Wciąż nie rozumiem, co pan sugeruje. Mówimy o Patrycji czy o kimś innym? Zna ją pan?

– Nie.

– A więc proszę mnie pozwolić mówić dalej. Chyba panowie przyszli do mnie właśnie w tej sprawie, po to, bym powiedziała, jaka jest. Mam rację? Nawiązując do panów teorii o pozorach, powiem tak: Patrycja jest dziewczyną bardzo wrażliwą i czułą. I jestem święcie przekonana, że gdyby coś się stało, gdyby z kimś się pokłóciła, byłoby to po niej widać. Zauważyłaby to matka, a być może i ja bym to dostrzegła. Gdyby coś się wydarzyło w jej życiu, toby mi o tym przypuszczalnie powiedziała.

– Zapomina pani, że mamy sierpień i że przez parę dni są jeszcze wakacje.

– Nie, nie zapominam, doskonale pamiętam.  
– Może po prostu nie miała okazji, by komukolwiek o tym powiedzieć.  
– To prawda. Ale jak mówię, prędzej czy później ktoś by się o tym dowiedział, bo Patrycja nie nosiłaby tego w sobie.  
– Jest pani pewna?  
– Absolutnie.  
– Czy Patrycja kiedykolwiek przyszła do pani z jakimś problemem? Może innym niż słaba ocena czy coś w tym rodzaju. Mówię o problemach w domu, o jakichś sprawach miłosnych? Wie pani, co mam na myśli? Coś, co mogło spowodować, że w następstwie dalszych wydarzeń dziewczyna uciekła z domu.

– Zakochanie się chyba nie jest powodem do ucieczki z domu. – Uśmiechnęła się lekko. – Nie przypominam sobie jednak takiej sytuacji. Jest skromna, chociaż bywa przebojowa, wesoła, jak to nastolatki. Hormony buzują, organizm dojrzewa, więc te nastroje trochę się wahają. Ale raczej nie zdarzyło się nic takiego, co by mogło nakłonić ją do ucieczki z domu. Bo niby co to miałyby być? Jest grzeczna, dość wygadana, niekonfliktowa. Nie wierzę, by pokłóciła się z rówieśnikami.

Rozmowa na parę sekund zamarła. Wszyscy spoglądali na siebie, próbując odczytać nawzajem swoje myśli. Wychowawczynie czekała cierpliwie na pytania, ponieważ w gruncie rzeczy po to tutaj przyjechała.

Komisarz obrócił głowę i spojrzał na krzątającego się po boisku szkolnym zgarbionego woźnego, który zmiatał i ładował zebraną ziemię, liście i gałązki na taczkę. Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat i lekko zgarbioną sylwetkę. Iwanowiczowi chodziły po głowie różne pytania, jakie powinni teraz zadać Małgorzacie Winiarskiej. Niektóre wydawały się mniej przyzwoite, niektóre mało dyskretne, jednakże nie chciał ich zadawać, ponieważ nie miał jeszcze do tego podstaw. Nie wiedział, czy to jest odpowiedni czas. Poza tym wciąż wszystko mogło się jeszcze wyjaśnić w bardzo prozaiczny sposób. Liczył w głębi duszy, że tak się stanie. Gdy po paru sekundach ocknął się z zamyślenia, miał wrażenie, jakby woźny nagle przestał zmiatać, spojrzał w okno klasy, w której się znajdowali, uśmiechnął i popatrzył im prosto w oczy. Miał mętne spojrzenie, a jednocześnie przenikliwe, jakby coś się za nim kryło.

Nagle komisarz odwrócił głowę i zapytał:

– Czy rówieśnicy akceptują Patrycję?  
– Przepraszam, a jaki to ma związek z jej zaginięciem?  
– Proszę odpowiedzieć na pytanie.  
– Tak, akceptują, ale ma swoje najlepsze koleżanki i to z nimi głównie spędza czas.  
– Majkę, Julię i Monikę? – wyrecytował podkomisarz, nie odrywając wzroku od ładnej, młodej nauczycielki. Spoglądał na nią i śledził każdy jej ruch, mrugnięcia i gesty.  
– Tak, ale i tak z większością osób z klasy jest na koleżeńskim stopie. Wszyscy bardzo dobrze ją traktują. Nigdy nie było żadnych konfliktów między nią a resztą klasy. Nie dochodziło tu do takich rzeczy.  
– Czy kiedykolwiek zdarzały się takie sytuacje, że Patrycja, a może jakaś inna osoba z klasy zniknęła na jakiś czas?

– Nie przypominam sobie nic podobnego. W gruncie rzeczy to wciąż są dzieci, więc nie w głowach im takie pomysły. Dorastają, owszem, i różne mają pomysły, często głupawe, ale nasza klasa należy do spokojniejszych w szkole, ma dobre wyniki w nauce, a uczniowie

wyróżniają się na tle innych równoległych klas. Nie doszukiwałabym się powiązania między zniknięciem Patrycji a problemami w szkole czy klasie. To nie to.

To jeszcze niczego nie przesądza, pomyślał komisarz. Grzeczny czy niegrzeczny – to naprawdę dzisiaj nic nie znaczy. Pozory to element, przez który mamy zbyt ufny stosunek do wszystkiego, zwłaszcza do ludzi. Pozory mają i usypiają naszą czujność. Nie wierzymy, że nie może popełnić przestępstwa ktoś z dobrego domu, kto jest na ogół grzeczny. Jesteśmy bardzo zdziwieni, gdy wina spada na kulturalną, ułożoną osobę – ludzie za bardzo wierzą stereotypom. W ich oczach ukradł, zgwałcił i zniszczył ten, który siedzi pod blokiem i pije piwo. Nie ten, który właśnie wychodzi z biblioteki z torbą pełną książek lub pochodzi z dobrej rodziny. Pozory. Gdybyśmy im nie ulegali tak szybko, mielibyśmy więcej racjonalnie myślących świadków, obiektywniejszych śledczych, a sami bylibyśmy bardziej czujni.

– Nie podejrzewa pani, że Patrycja mogła gdzieś uciec? – zapytał Gawłowski.

– Nie mam pojęcia – odparła i pokręciła głową. – Czy w ogóle bierzemy pod uwagę, że uciekła z domu?

– Może kiedyś pani wspominała, że ma jakieś swoje ulubione miejsce?

Małgorzata Winiarska znów stanowczo pokręciła głową.

– Nie wiem, czy ma jakieś swoje ulubione miejsce – powiedziała po chwili zastanowienia. – Zapewne takim miejscem był dom. Tylko tyle wiem. Przykro mi, że nie umiem panom pomóc.

Pomyślał, że kręca się w kółko. Kobieta niczego nie wiedziała lub nie chciała im powiedzieć. Nie umiał tego wyczuć. Nauczycielka wyglądała na szczerą i nie miała powodów, by coś ukrywać. Ale mogła. Jak każdy.

– Jest końcówka sierpnia, ledwo co wróciłam znad morza. Ponad półtora miesiąca nie widziałam Patrycji i nie wiem, czy coś się zmieniło w jej życiu. Naprawdę nie mam pojęcia. Mimo wszystko wierzę, że wróci cała i zdrowa do domu i we wrześniu wspólnie zaczniemy rok szkolny.

Uklonili się, dziękując za okazaną pomoc. Iwanowicz, stojąc przed budynkiem szkoły i spoglądając na boisko szkolne, powtarzał sobie w myślach ostatnie słowa wychowawczyni. W oddali spostrzegł znikającego w niewielkim magazynku woźnego, który miał na sobie szary strój roboczy. Zniknęła po chwili również taczka, grabie oraz miotły. Komisarz patrzył na tę scenę bezwiednie, analizując efekt spotkania z kobietą. Wychowawczyni powiedziała, że miała nadzieję, że spotkają się we wrześniu. A co jeśli owa nadzieja będzie jedną z tych, które nigdy się nie spełnią? Bał się, że każda upływająca godzina zbliża ich do takiego scenariusza. Czyli najgorszego z możliwych.





Siedzieli w niewielkiej restauracji na rynku jeleniogórskim. Z oddali dochodziły ich głosy rozwrzeszczanej kolonii. Zapewne przyjechali na obóz w pobliskie górzyste tereny, pomyślał. Przewodnik wskazywał palcem najatrakcyjniejsze elementy rynku najstarszej części miasta, lecz nikogo poza nim samym wcale to nie interesowało. Połowa z grupy młodzieży wpatrywała się w ekrany swoich telefonów. Robili sobie zdjęcia i pokazywali nawzajem, niemal pełna automatyzacja ruchów. Uśmiechy, zgaszone gesty. Żadnego szaleństwa, popychania czy biegania. Byli związani niewidocznym sznurem ze smartfonami. Druga połowa gadała lub popychała się, śmiejąc się głośno.

Po paru minutach nie było śladu po wycieczce. Za to pojawiła się kolejna grupa. Znowu przewodnicy recytujący wyuczone na pamięć ciekawostki historyczne. Przewidywalne reakcje i zachowania turystów, którzy zamiast koncentrować się na historii, bez opamiętania robili zdjęcia wszystkiemu, co dało się sfotografować. Nieograniczona pamięć nowoczesnych aparatów dawała im możliwość robienia bezmyślnych i mało wyszukanych zdjęć, które później, po powrocie do domu, łądowały w kolejnym folderze komputera. Były one na tyle pospolite, powtarzalne, że nikt ich potem nie chciał już oglądać. Serie rozmazanych i zbyt naświetlonych obrazów. Mało oryginalne, przewidywalne.

Kelnerka przyniosła im kawę w dużych kubkach, uśmiechnęła się i zniknęła między stolikami, by im nie przeszkadzać. Właśnie to lubił w ludziach najbardziej – gdy wykonywali swoją pracę tak, aby nikogo nie drażnić, robiąc wszystko możliwie solidnie, dyskretnie i bez zbędnego zamieszania.

– Co teraz? – zapytał Gawłowski, który łyknął kawę z białego kubka.

Miał ciemną, opaloną twarz, jakby od wczoraj zdążył odwiedzić solarium lub przesiedział pół dnia na leżaku. Iwanowicz zauważył również, że w ostatnich tygodniach kolega mocno przybrał na wadze. Stało się to tak szybko, że zaczął się niepokoić o jego stan zdrowia, ale gdy zaobserwował, ile zjada posiłków, momentalnie powstrzymał swoje obawy. Być może coś się wydarzyło, że Gawłowski tyle jadł. Stres, problemy w domu, choroba? A może coś innego. Zwyczajowo nie wnikał w jego sprawy, ale miał cień obawy, że coś się dzieje. Postanowił jednak nie poruszać tego tematu.

– Teraz Linkiewicz. Zbyt ważna osoba, by go tak po prostu pominąć. Ginie córka, nie ma jej w domu już dobie, a ten jak gdyby nigdy nic siedzi w pracy. Może to tylko kwestia jego charakteru, a może nie. Podejrzane. Ja to bym denerwował się jak cholera, a ten po prostu siedzi w pracy.

Gawłowski odstawił kubek.

– Dziwne, co? Może jest pierdolnięty – rzucił, wycierając czoło z potu.

– Zdumiewa mnie twoja wyczerpująca umiejętność oceny ludzi. Faktycznie, możesz mieć rację, nie brałem tego pod uwagę.

– Dobra, wypijemy i jedziemy. Ale – pogłaskał się po brzuchu – szczerze mówiąc, to zjadłbym coś – rzekł, rozglądając się za kelnerką. – Z tego, co wiem, podają tu dobre żarcie. Już parę osób chwaliło mi to miejsce. Mówią, że warto spróbować. Poczekaj, zaraz coś... – Poszedł do bufetu, przerzucił kilka stron restauracyjnego menu i zamówił jedzenie. Wrócił szybkim krokiem z uśmiechem na ustach. – Trzeba nabrać sił, zanim weźmiemy się do pracy, no nie? – powiedział i zaśmiał się tak głośno, że przyciągnął spojrzenia kilku osób. Iwanowicz tego nie skomentował. Bez przerwy się zastanawiał. Nie interesowało go teraz jedzenie, choć nie mógł udawać, że nie czuje przyjemnych zapachów posiłków. Wystarczyło, aby doleciał zapach smażonego czosnku i człowiek robił się głodny.

Wyobrażał sobie wczorajszy dzień. Siódma rano. Patrycja Linkiewicz wychodzi w klapkach na podwórze, by wyrzucić śmieci. Zbyt wcześnie, by można było znaleźć jakichś świadków tego, co tam się stało. Sklep z farbami czynny jest od dziesiątej, a więc żaden z pracowników nie mógł jej widzieć. Jedno miejsce mniej do sprawdzenia, choć policja była już niemal wszędzie.

Co się stało? Przecież wyrzucenie śmieci i powrót do domu zajmuje minutę, może dwie. Zejść z drugiego piętra, przejść kilkanaście metrów, wrzucić śmieci do pojemnika, potem powrót na drugie piętro. Niewiele, by ktoś ją zdążył zauważyć, ale wystarczająco dużo, by ją porwać.

– Minuta, może dwie – powiedział komisarz.

– Co dwie minuty?

– Tyle potrzebowała na wyrzucenie śmieci. Wczoraj sprawdziłem.

– I co?

– Dwie minuty to absolutne maksimum. Nawet gdyby szła powoli.

Gawłowski kiwnął głową, przełykając kawę z ceramicznego kubka ze złotym logo restauracji.

– Dwie minuty, które decydują o twoim życiu. Przejebane.

Klienci restauracji spojrzeli na nich z dezaprobatą.

– Jak już wcześniej mówiłem, jeszcze w aucie – Iwanowicz ściszył głos, by nikt inny go nie usłyszał – biorę pod uwagę dwie rzeczy, ale od razu zaznaczam, że żadnej z nich nie jestem w stanie udowodnić ani potwierdzić.

Kolega zachęcił go wymownym spojrzeniem, by mówił dalej.

– Zbieram wszystkie myśli i luźne pomysły, więc na razie wszystko jest w sferze przypuszczeń.

– Nawijaj.

– Dziewczyna poszła albo pojechała z kimś znajomym nad wodę. Nad jezioro, nad rzekę. Trudno powiedzieć dokąd dokładnie.

Gawłowski długo wpatrywał się w kolegę, pokiwał głową, rozejrzał się po restauracji, a potem rzekł:

– Dziewczyna ma czternaście lat. Aż nie chcę o tym myśleć. – Głośno westchnął. – Mogła skoczyć na główkę i wałnąć w dno. I już nie wypłynęła. Pamiętasz, co się stało ze dwa, trzy lata temu w Bobrze niedaleko Wrzeszczyna? Ten chłopak, co skoczył do wody na główkę, przetrącił sobie kark i już do końca życia będzie siedział na wózku. Cud, że się w ogóle uratował.

– Przykre, ale wydaje się to prawdopodobne. Uczennica drugiej klasy. Dzieciaki są cwane, wyszczekane, potrafią kłamać jak z nut. Jest to czas, kiedy zaczynają się buntować. Hormony buzują i smarkaczom przedstawiają się klepki w głowach. Popisują się przez rówieśnikami. Chcą zabłysnąć, chcą udowodnić kolegom i koleżankom, że są już prawie dorośli.

– No ale to dziewczyna, do cholery, sam nie wiem. Nie znamy jej, ale coś mi nie pasuje. One popisują się raczej w inny sposób. Chyba.

– Ale jednak jesteśmy zgodni co do faktu, że młode osoby są o krok przed zrobieniem czegoś głupiego. Rozumiesz, bunt, potrzeba zabłyśnięcia i te sprawy. Skąd wiemy, czy Patrycja nie wpadła w jakieś, powiedzmy, podejrzanе towarzystwo i nie chce im zaimponować? Dlaczego miałyby nie pojechać z nimi? I mogła nie powiedzieć o tym swoim koleżankom.

– Dokąd?

– Bo ja wiem.

Iwanowicz spojrział na swój kubek. Ledwie wypił połowę, a Jacek skończył już cały. Pochłaniał wszystko ze zdwojoną prędkością.

– Tego dokładnie nie wiem, ale to jest pierwszy scenariusz, jaki mam w głowie. Pojechali więc gdzieś nad wodę, a za jakiś czas... Sam wiesz, jakiś wędkarz albo jakaś wypoczywająca rodzina nad rzeką natknie się na topielca.

– Dzika plaża, tak? To masz na myśli? Na przykład Wojanów? – dopytywał, wbijając wzrok w stół.

Iwanowicz rozmyślał nad różnymi kąpieliskami w regionie i tym, że trzeba będzie posłać patrole w te miejsca.

– Jacek, wszędzie. W okolicy jest pełno takich miejsc. Można się kąpać wzdłuż całego Bobru. Nie upilnujesz tych dzieciaków. Nie da się, musiałbyś, kurwa, postawić co pięćdziesiąt metrów budkę z ratownikiem albo pociągnąć drut pod napięciem wzdłuż rzeki, by ludzie przestali tam łązić. Wiesz, jak to jest. Nie upilnujesz za cholere. A jak jakiś głupi nastolatek widzi ratownika, to specjalnie pójdzie się kąpać tam, gdzie nikogo nie ma. Z przekory, dla buntu. By się popisać.

– To wszystko pasuje, ale skoro doszło do wypadku, to czemu ktoś, z kim była, nie zawiadomił policji albo strażaków? Naprawdę wierzysz, że jeśliby pojechała ze znajomymi i się utopiła, to milczeliby jak zakłęci?

Komisarz wzruszył ramionami.

– W tym sęk. Trzeba się tego dowiedzieć. I, jak mówiliśmy wcześniej, oddelegować więcej ludzi do sprawdzenia rzeki i kąpielisk. Zwłaszcza tych dzikich.

Iwanowicz wyciągnął telefon i zadzwonił do dyspozytorni komendy, odczekał chwilę na zgłoszenie, a potem zapytał dyżurnego o najnowsze zgłoszenia z policji, straży miejskiej oraz straży pożarnej. Przez chwilę słuchał, wreszcie pokijał głową, podziękował i się rozłączył.

– Na razie nic nie mają.

W tym momencie podeszła kelnerka z ogromnym talerzem, na którym znajdowała się pizza. Iwanowicz spojrział na kobietę. Była ładna, czego nie zauważył za pierwszym razem. Kątem oka dostrzegł, że Gawłowski też jej się przyglądał. Postawiła pizzę na stoliku, uśmiechnęła się, życząc smacznego.

– Masz talerz i zabieraj się do swojej części – rzekł Gawłowski z takim uśmiechem, jakby na widok posiłku wróciła mu cała radość z życia. – Marek, w gruncie rzeczy niewiele wiemy o jej ojcu, ale wydaje mi się, że w jakiś sposób jej zniknięcie wiąże się z tym człowiekiem.

Iwanowicz milczał. Przełknął gorący kawałek pizzy i popił kawą.

– Nie wiemy, jaki jest.

– Na razie wiemy jedynie, że jest wymagający. Może w sumie nie powinniśmy wyciągać takich wniosków? – zapytał prowokacyjnie, ponieważ sam miał pewne obiekcje co do zachowania ojca dziewczyny.

– Nie – odpowiedział błyskawicznie komisarz. – Rzeczywiście nie zachowuje się normalnie. Drugi scenariusz jest więc ściśle powiązany z ojcem, chociaż szczerze mówiąc, nie wiem jeszcze jak. Po prostu coś mi tu śmierdzi, ale jeszcze nie wiem co i dlaczego. Owszem, musimy zawsze trzymać się twardych dowodów, ale obaj wiemy, że to luźna gadka. Ocenimy go po spotkaniu.

– Myślimy podobnie.

Po tych słowach obaj umilkli i dokończyli pizzę. Gawłowski zamówił sobie jeszcze jedną kawę, tym razem na wynos.

Wyszli na rynek. Napelnione żołądki wzmogły uczucie zmęczenia i znużenia, ale nie mogli sobie pozwolić na odpoczynek. Już zmitrężyli wystarczająco dużo czasu.

Komisarz wyciągnął kartkę i wybrał numer. Rozmówca odebrał po pięciu sygnałach.

– Inspektor budowlany Linkiewicz, słucham.

– Dzień dobry, Marek Iwanowicz z policji jeleniogórskiej. Chciałbym się z panem spotkać w sprawie pana córki. Musimy zadać panu kilka pytań.

– Co chcecie wiedzieć?

– Porozmawiamy o tym na miejscu. Trudno jest rozmawiać o takich rzeczach przez telefon.

– Tak, oczywiście. Umówimy się w jakimś luźniejszym czasie. Nie mam teraz wolnej chwili. Jestem w pracy, kończę o osiemnastej, zatem proponuję spotkanie o osiemnastej dwadzieścia.

– Jesteśmy na rynku, stoimy przy Urzędzie Miasta. Ma pan piętnaście minut, by tu dojechać.

– Niestety, nie mogę. Może jednak...

Iwanowicz odsunął telefon od ucha, spojrzął na prażące słońce, na które jego skóra była wystawiona od wielu dni. Był opalony, co bardzo lubił, jednakże teraz miał już dość. Najprzyjemniejsze promienie to te wiosenne, a nie te upalne, każdego dnia, zamieniające ludzi w niemal półżywe manekiny.

– Wobec tego wyślę po pana zaraz radiowóz i przesłuchamy pana na komendzie. Ma pan dwadzieścia minut na spakowanie się. Proszę zostać na miejscu.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Komisarz spojrzął na telefon, ale rozmówca się nie rozłączył. Usłyszał szmery.

– Kiedy chce się pan spotkać? – Głos się zmienił.

– Zaraz. Za chwilę.

– Dzisiaj robimy przegląd stanu technicznego budynku na Zabobrze. Ale to za dwie godziny.

– Rozmowa aż tyle nam nie zajmie, zdąży pan.

– Wobec tego gdzie mam przyjechać?

– Może u pana w domu? Będziemy tam czekać z kolegą.

– Ech... Łatwiej i szybciej będzie mi jednak dojechać do centrum.

– W porządku. Dokładnie za pół godziny przy pomniku Neptuna na rynku.

Zakończyli rozmowę i poszli do zaparkowanego auta, które było rozgrzane do granic możliwości. Nim wsiedli do środka, musieli otworzyć okna, drzwi, a potem odczekać parę minut, by wewnątrz trochę się przewietrzyło.

Minęli budynek, w którym mieszał Linkiewiczowie. Jechali tak szybko, jakby Iwanowicz nie chciał, by go zauważono. Czego się obawiał? Pustego wzroku wyczekującej i tracącej nadzieję matki, która siedziała przy oknie i czekała na cud? Albo na to aż odmieni się los i coś lub ktoś sprowadzi jej córkę do domu? Nie знаła ich auta, toteż był to absurd, jednak miał wrażenie, że ich zauważy.

Zajechali na stację benzynową. Zaparkowali auto tuż przed samym wejściem, niemal je blokując. Iwanowicz często pozwalał sobie na samodzielne wyznaczanie granic prawa, a Gawłowskiemu absolutnie to nie przeszkadzało.

Weszli do środka. Za ladą stało dwóch młodych mężczyzn. Krzywo na nich spojrzeli, widząc źle zaparkowane auto.

– Bardzo prosimy, by panowie odjechali – rzekł od razu ten, który obsługiwał kasę.

– Bo co? – odpowiedział zaczepnie Gawłowski i parsknął.

– Bo blokują panowie wejście. A poza tym nie wolno tak parkować.

– I dlatego, że to nie jest miejsce dla samochodów. Zgadza się? – odpowiedział z poważną miną Gawłowski.

– Tak, blokują panowie wejście i do...

– Bardzo mi przykro, ale nie cofnę auta.

– Jak to nie?! Wobec tego jestem zmuszony zadzwonić...

– Tak, wiem, do straży miejskiej albo na policję – przerwał mu. – Obaj jesteśmy tego samego zdania. Policjanci naprawdę nie mają co robić, tylko przyjeżdżać na te wasze durne wezwania. Lepiej dwa razy pomyśleć, zanim się ich wezwie – powiedział podkomisarz. – Z byle głównym dzwonicie od razu na policję, jakby nie mieli nic innego do roboty, tylko czekali na te wasze telefony z informacją, że ktoś źle zaparkował. Mam rację?

Młody mężczyzna zrobił się czerwony na twarzy, wykonał grymas złości i wyciągnął telefon komórkowy.

– Sto dwanaście. Proszę powiedzieć, że komisarz Marek Iwanowicz z wydziału kryminalnego jeleniogórskiej policji blokuje wam wejście. Na pewno wyślą radiowóz – podsunął Gawłowski.

Mężczyzna zastygł. Trwał w takim stanie przez kilka sekund. Szukał kontaktu wzrokowego z drugim pracownikiem, który czuł się równie zmieszany. Nie wiedzieli, co robić.

– Panowie jesteście z policji? – zapytał kasjer po chwili.

– Chcieliśmy sprawdzić waszą czujność – odezwał się wreszcie Iwanowicz, by wytłumaczyć żart kolegi. Teraz dopiero się wylegitymowali. – Wczoraj rano zaginęła dziewczyna, Patrycja Linkiewicz. Czternastolatka. Szukamy jej w każdym możliwym miejscu. Stąd nasza wizyta na stacji benzynowej. – Wyciągnął z kieszeni jej zdjęcie i pokazał pracownikom. – Matka twierdzi, że teraz ma trochę krótsze włosy, ale jest to najbardziej aktualne zdjęcie, jakie miała. Ubrana była w letnie spodenki i niebieską koszulkę z kolorowymi napisami. Mieszka niedaleko, Sudecka dwadzieścia dwa.

– Kojarzę, to rzeczywiście blisko – przyznał jeden z nich. Drugi pracownik wpatrywał się intensywnie w zdjęcie, wreszcie po chwili powiedział:

– Nie, nie widziałem jej.

– A pan? – Iwanowicz spojrzął na drugiego pracownika.

– Przykro mi, ale nie.

Komisarz odwrócił się i rozejrzał się po sklepie. Półki uginały się pod towarem. Oleje, obok napoje, piwo, gazety. Wszystko kusilo kolorowymi etykietami, jakby te rzeczy bardzo chciały znaleźć nowego nabywcę. Produkty wręcz lepiły się do rąk, byle tylko je wziąć ze sobą, a przede wszystkim zapłacić za nie.

– Przewija się tu sporo ludzi – zaczął cicho Iwanowicz, by przyciągnąć ich uwagę – więc ktoś musiał coś widzieć. Niemożliwe, żeby nikt jej nie widział. Rozumiecie?

– Nie widzieliśmy jej, nie wiem, jak możemy pomóc.

– Nie rozumiecie? Ktoś musiał ją widzieć, do cholery!

– Ale naprawdę niczego nie widzieliśmy. Krystian, widziałeś ją? – Kasjer spojrział na kolegę.

– Nie, serio nie widziałem tej dziewczyny.

– Może wy nie, ale... Macie monitoring? – zapytał. Znał tę stację, bo wiele razy tu tankował i wiedział, że są tu kamery.

– Tak, ale wszystkie kamery są skierowane na dystrybutory. No i oczywiście na sklep, tu do wewnątrz.

– Gdzie jest komputer rejestrujący nagrania?

– Na zapleczu, ale my nie możemy ich udostępnić. Trzeba by zapytać szefa. – Kasjer mówił niepewnie, jakby stąpał po kruchym lodzie, bojąc się zrobić kolejny krok. Bał się, że policjanci źle zareagują na tę wiadomość i znów się zdenerwują. – Nie pozwala nam grzebać w komputerach z monitoringiem. W ogóle nie pozwala ruszać kamer. Zaraz by zaczął podejrzewać, że coś kombinujemy. Tam nie wolno nam wchodzić, i tyle.

– Dobra, dzwoni do szefa stacji i powiedz, że czekamy.

Chłopak kiwnął głową, dając znak, że zrozumiał. Odszedł na bok, by zadzwonić. Iwanowicz chodził w tym czasie po sklepie. Wziął wodę mineralną, gumę do żucia, nowy numer tygodnika i podszedł z towarem do kasy. Kasjer przez moment nie wiedział, co ma robić, bo jeszcze przed chwilą policjant go przesłuchiwał, a teraz podszedł z zakupami. Głupia sytuacja. W końcu przepuścił towar przez kasę i podliczył komisarza. Po niespełna minucie wrócił drugi pracownik.

– Szef odmówił. Nie pozwolił nam tam wejść, ale powiedział, że jeśli panowie chcecie, to możecie na niego poczekać.

– Kiedy tu będzie?

– Przyjedzie za piętnaście minut, góra dwadzieścia, i przejrzy nagrania z poprzedniego dnia, oczywiście w waszej obecności.

Spojrzał na zegarek. Do spotkania z Linkiewiczem zostało piętnaście minut.

– W porządku, proszę przekazać szefowi, że będziemy za pół godziny, bo mamy jeszcze parę spraw do załatwienia. Jeśli chce, to niech zacznie bez nas. Jedna z waszych kamer jest dla nas szczególnie interesująca. Ta, która obejmuje wjazd do stacji. – Pokazał palcem za okno. – Bo skoro widać wjazd, to musi też łapać kawałek chodnika. Jeśli dziewczyna szła w kierunku hotelu, tam – przesunął palcem, wskazując kierunek – to na pewno będzie widać to na nagraniu.

Siedem minut później stali przed pomnikiem Neptuna na jeleniogórskim rynku. Poczuli przyjemny chłód tryskającej wody, a z nim ulgę po palącym słońcu. Minutę później podszedł do nich wysoki mężczyzna ubrany w białą koszulkę polo i jasne dżinsy. Miał pociągłą twarz i włosy zaczesane na bok z przedziałkiem. Ułożenie takiej fryzury musi zajmować kilka minut, pomyślał

komisarz. Mężczyzna zapewne był stałym klientem jednego z tutejszych lepszych zakładów fryzjerskich.

– Panowie z policji? To z wami jestem umówiony? – rzekł, wyciągając do nich rękę.

– Jak widać.

– Przepraszam, że kazałem na siebie czekać, ale mam sporo pracy. Czy już coś wiadomo, co z Patrycją? – Głos miał suchy niczym sierpniowe powietrze, a oni mieli wrażenie, że pytanie to zadał tylko z przyzwyczajenia.

– Nie.

Przeszli pod jedną z arkad otaczających rynek. Początkowo planowali pojechać z nim na komendę i go przesłuchać, ale nie mieli na to najmniejszej ochoty. Usiedli więc przy restauracyjnym stoliku w zacienionym miejscu.

– O której godzinie Patrycja wyszła z domu?

– Żona powiedziała, że około siódmej rano.

– Był pan wtedy w domu?

– Nie, już w pracy.

– Pracuje pan od tak wczesnej godziny?

– Różnie, to zależy. Czasami zaczynam później, bywa, że trochę wcześniej. Wczoraj akurat złożyło się tak, że wyjechałem przed siódmą. Po ósmej zadzwoniła do mnie żona z pytaniem o Patrycję.

– O co dokładnie zapytała?

Mężczyzna wyprostował się jak struna. Nim odpowiedział, przecesał otwartą dłonią grzywkę w lewą stronę. Iwanowicz uważnie się mu przyglądał. Liczył się każdy gest, mimika, ruch kącików ust. Komisarz nie był wytrawnym psychologiem ani specjalistą od mowy ciała, ale znał podstawy tych dziedzin i wiedział, jakie ruchy mogą zdradzać jakie emocje. Jego interesowały konkretne – przede wszystkim kłamstwo.

Czytanie z twarzy, z układu rąk, unikanie spojrzenia. Chcę odczytać, kim jesteś, pomyślał komisarz. Jesteś za bardzo wycofany, byś nie miał z tym nic wspólnego. Jeden niechciany gest i po tobie. Pokaż mi, co skrywasz, a powiem ci, jak długo będziesz siedział w więzieniu.

– Powiedziała, że Patrycja zniknęła. Nie wie, gdzie jest i co się stało. Poszła tylko wyrzucić śmieci i już nie wróciła. Z tego, co mi żona mówiła, zadzwoniła do wszystkich naszych znajomych, do rodziny, do koleżanek Patrycji.

– Z jakim rezultatem?

– Zerowym, ale o tym chyba panowie wiecie.

– Jak pan zareagował? Przyjechał pan do domu, by wspólnymi siłami zająć się tym...

– Tym wszystkim. I by wesprzeć żonę? – dodał Gawłowski.

– Nie, bo nie mogłem. Jestem inspektorem budowlanym, byłem akurat na kontroli.

– I to jest ważniejsze od losów córki? – spytał prowokacyjnie Iwanowicz. Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował zebranych. Nikt nie wziął. Zapalił i wydmuchnął dym w przeciwną stronę.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Ojciec Patrycji bezradnie rozłożył ręce. – Być może to tak tylko teraz wygląda. Czyli źle, ale proszę mi wierzyć, nie miałem takich intencji. Myślałem, że żona przesadza. Przecież Patrycja mogła wyjść na chwilę gdzieś do koleżanki, do sklepu, właściwie dokądkolwiek. Myślałem, że żona po prostu wyolbrzymia, a potem się okaże, że córka wróci do

domu. No więc jeśli mam być szczerzy, to wcale się nie zmartwiłem. Owszem, włączyła mi się kontrolka w głowie, ale później pomyślałem, że nie ma powodów do paniki.

– Nie wróciła jednak... – powiedział grobowym tonem komisarz. Nie chciał, by zabrzmiało to nieprzyjemnie, ale chyba tymi słowami pograżył w zamyśleniu Linkiewicza. Mężczyzna poczuł chwilę słabości, bo zaczęły mu drżeć usta. Odwrócił wzrok. Próbował się opanować.

– Tak naprawdę to się boję. Że stało się coś złego. Uciekłem dzisiaj z domu, bo nie byłem w stanie tam wysiedzieć. Nie dałbym rady patrzeć na żonę, gdy tak cierpi. Samo siedzenie i czekanie, aż coś się wydarzy, kosztuje nas za dużo nerwów.

– Ona potrzebuje wsparcia, a pan uprawia sobie dumne męskie ucieczki, gratuluję wyczucia – odpowiedział ostro Iwanowicz.

– Nie jestem w stanie. Nie wiem, czy dam radę zmierzyć się z tym wszystkim. Proszę mi wierzyć, że nie tylko ją to boli. Poza tym nie miałem żadnego jeszcze powodu, by odwołać wszystko w pracy i po prostu nie przyjść. Cięży na mnie zbyt duża odpowiedzialność. Jeśli odwołałbym dzisiaj zaplanowane sprawy, to pociągnęłoby to za sobą niestety bardzo duże problemy. Przecież ja też mam zwierzchników. Umowy, kontrakty, zlecenia.

Iwanowicz przestał go słuchać. Musiał wrócić do konkretów.

– Gdzie może być Patrycja?

– A skąd ja mam niby wiedzieć? Skąd?! Nie mam zielonego pojęcia. Gdybym wiedział, to bym tutaj nie siedział, ale jej szukał.

– Musimy o to pytać – wytłumaczył komisarz. – Nie miała żadnych planów? Akurat na ten dzień? Może o czymś panu wspominała? Może jakimś półsłówkiem? Aluzją?

– Nie, raczej nie. Córka niczego nie planowała, w końcu ma wolne. Należało jej się to wszystko. Zasłużyła na odpoczynek, bo ciężko pracowała przez cały rok szkolny.

– Widział się pan z nią rano przed wyjściem?

– Nie.

– A ostatnio? W ciągu kilku ostatnich dni? Rozmawiała z panem, dzieliła się czymś? Opowiadała coś?

Mężczyzna chwilę się wahał.

– Mało z nią rozmawiałem w ciągu ostatnich dni, naprawdę niewiele. Dużo pracuję, dużo jeżdżę i załatwiam. Mam sporo roboty, przez co późno wracam do domu. Pytała mnie tylko dwa dni temu, gdzie będę pracował następnego dnia. Czyli właśnie tego, gdy zniknęła.

– I co pan na to?

– Że mam kontrolę na Osiedlu Czarnym, bo wynikł problem w jednym bloku. Zwykle to długo trwa.

– Często o to pytała?

– Od czasu do czasu interesowała się moją pracą. Niewiele jej jednak mówią szczegóły techniczne, więc powiedziała tylko „okej” i poszła.

Iwanowicz przygryzł wargę.

– Więc nie wie pan, gdzie może być? – rzekł ponuro.

Linkiewicz zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

– Jakies podejrzenia? Nawet absurdalne przypuszczenia? Musimy sprawdzić wszędzie, gdzie się da. Wszystkie miejsca, wszelkie wasze przypuszczenia. Nasze oczywiście też, ale to w drugiej kolejności, bo to wy znacie swoją córkę najlepiej.



– Nic nie przychodzi mi do głowy, jak Boga kocham. To chyba oczywiste, że myśleliśmy, że Pati poszła do koleżanek ze szkoły, bo się przyjaźnią. Ale okazało się, że niestety nie ma jej u nich. Potem szukaliśmy dalej, zadzwoniliśmy do wszystkich znajomych. Każdego, kogo tylko mieliśmy w książce adresowej. Żona była w kilku, a może kilkunastu sklepach i punktach usługowych w pobliżu naszego domu. Robimy, co w naszej mocy, by ją odszukać. Potem rozmawialiśmy z wychowawczynią. Też bez skutku. Weryfikowaliśmy chyba wszystkie swoje przypuszczenia.

– Jej wychowawczyni nie ma pojęcia, co się mogło stać, rozmawialiśmy z nią dzisiaj – wtrącił podkomisarz.

– A jednak gdzieś musiała się udać. Coś pominęliśmy. My, wy... – skwitował Iwanowicz. Był daleki od optymizmu i jego słowa brzmiały jak wyrok wypowiedany przez sędziego.

Wszyscy zamilkli, by na nowo zebrać myśli przed głośną wymianą zdań i pomysłów. W oddali pojawiały się grupki turystów, przechodnie poruszali się szybko, by uchronić się przed promieniami słońca. Dzieci bawiły się, krzycząc i beztrósco gnając przed siebie. Nie przejmowały się upałami, jakby ich w ogóle to nie ruszało. Wręcz przeciwnie. Biegły byle dalej i byle nie stać w miejscu. Wszystko odbierały jako nieustanną pogoń za czymś, czego nie dało się uchwycić. Ich życiem był ruch. To przerażające, jak szybko dorosłe życie pozbawia człowieka tej beztróska.

– Muszę o to zapytać, choć nie jest to ściśle związane z pana córką. Nie musi pan też na to pytanie odpowiadać, to zrozumiałe.

– Proszę pytać o wszystko, niczego nie ukrywam – odpowiedział, a jego słowa zabrzmiały nad wyraz szczerze.

– Chodzi mi o wasze małżeństwo. Jak wam się układa?

– Chodzi panu o to, czy się kłócimy?

– Nie, bardziej o to, czy się kochacie.

Rozmówca zamilkł. Chciał się upewnić, czy to pytanie nie było żartem albo testem prawdomówności, ale obaj policjanci milczeli i patrzyli wyczekująco. W ich spojrzeniach nie było widać cienia wesołości, a rozmowę traktowali śmiertelnie poważnie.

Odwrócił głowę. Spojrzał w to samo miejsce, w które przed momentem spoglądał Iwanowicz.

Twarze policjantów przecięł promień słońca, który wydostał się zza szyldu wiszącego nad restauracją. Odruchowo odsunęli krzesła kilka centymetrów do tyłu.

– Jesteśmy już ze sobą na tyle długo... – Urwał i skierował wzrok w niebo. Może wstydził się ich spojrzeń.

– I?

– I można powiedzieć, że nie ma już tego uroku co kiedyś. Nasze małżeństwo trwa, choć my jesteśmy już gdzieś z boku tego wszystkiego. Jesteśmy ze sobą raczej z przyzwyczajenia niż z miłości. Ale to niczego nie ujmuje. Staramy się robić wszystko, by Patrycja tego nie odczuwała. Zapewniamy jej poczucie bezpieczeństwa, proszę mi wierzyć. Oboje bardzo ją kochamy i jesteśmy ze sobą głównie dla jej dobra. I to dla nas jest najważniejsze. Robimy więc wszystko, by być w miarę normalną rodziną.

Komisarz pomyślał o tym paradoksie, o podtrzymywaniu związku na siłę, by uszczęśliwić dziecko. Właśnie to dziecko, które zrodziło się z ich dawnej, pierwotnej i szczerzej miłości.

– Pytam o to tylko dlatego, że bierzemy też pod uwagę ucieczkę z domu, co wprawdzie jest mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Może miała dosyć tego, co dzieje się w domu, a konkretnie między wami. I chce na siebie zwrócić uwagę. Takie rzeczy dzieją się wszędzie, w wielu miejscach na świecie. Dzieci uciekają, bo nie mogą sobie poradzić z tym, co widzą i czują, dlatego biją na alarm, by wreszcie coś dotarło do rodziców.

– Ale co?

Iwanowicz wzruszył ramionami.

– Może chce pokazać, że tak nie można. Że to nie jest sposób na życie. Sztuczność i życie w związku na siłę.

– Że niby Patrycja zareagowała na oschłe relacje rodziców, tak? Czy dobrze rozumiem pana tok rozumowania? Uciekła, bo się nie kochamy?

– Powiedzmy, że coś w tym stylu.

– Niech pan nie żartuje, to niedorzeczne.

– Patrycja wchodzi w taki wiek, że zaczyna pojmować, co się dzieje wokół niej. Obserwuje i zaczyna wyciągać wnioski. Jest inteligentna i widzi, co się dzieje. Muzyka, filmy, książki młodzieżowe. Po prostu zaczyna rozumieć życie. Coraz trudniej ją oszukać. Jest w takim wieku, że nie wystarczy jej zapewnienie samym słowem. Potrafi już oddzielać prawdę od fałszu. I jeżeli państwo udają przed nią kochające się małżeństwo, to ona może pokazywać swoje niezadowolenie, swój sprzeciw.

– I w konsekwencji mogło to wszystko doprowadzić do ucieczki z domu – dodał podkomisarz.

– Ale ona przecież nigdy nas o nic nie pytała! Nie dopytywała. Nie drążyła nigdy takiego tematu! I niby nagle ucieka z tego powodu z domu? Nie, nie, to niemożliwe. Przecież zanim Patrycja by uciekła, to pewnie by pytała, rozmawiała o naszych relacjach. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Komisarz westchnął wymownie.

– Wydaje mi się, że pan być może jej zwyczajnie nie docenia. Proszę wobec tego powiedzieć szczerze – czy sądzi pan, że Patrycja nie zauważyłaby tego, że między wami jest źle, czy też tego, że tak dobrze przed nią coś ukrywacie? Coś, czyli na przykład brak miłości.

Iwanowicz czuł, że być może za bardzo zбочyli z właściwego kierunku rozmowy, ale chcieli zrozumieć, o co tu chodzi. Musieli zebrać garść informacji o tym, co łączy rodzinę Patrycji, co dzieli i co o sobie wiedzą.

– Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że skoro do tej pory o nic nas nie pytała, o nic nie oskarżała, nie interesowała się jakoś bardziej naszym małżeństwem, to nie ma w ogóle tematu. I że nie było żadnego problemu. A skoro nie ma tematu, to nie dlatego uciekła. Mogła uciec, nie wykluczam, z jakiegoś innego powodu.

– Ale jakiego?

– Nie wiem.

Mężczyzna wydawał się zmęczony rozmową i nagonką na swoją osobę. Z pewnego siebie człowieka, jakim wydawał się jeszcze parę minut temu, zmienił się w zaszczutą głowę rodziny.

– Myślałem, że wy, że panowie, że już szukacie, że coś wiecie... – Rozłożył bezradnie ręce.

– To nie tak – przerwał mu Iwanowicz. Wiedział, do czego zmierzał, toteż nie pozwolił mu dokończyć. – Szukamy, badamy ślady, rozmawiamy ze świadkami. Ale nie znamy waszej rodziny, a do wczoraj nie mieliśmy pojęcia o waszym istnieniu. Nie jesteśmy w stanie ustalić,

dlatego Patrycja uciekła z domu, bo jej nie znamy, więc możemy wyciągać wnioski wyłącznie na podstawie tego, czego się dowiemy, co usłyszymy, co zauważymy, rozumie pan? Nie mamy takich mocy, by odgadnąć, co się stało. Zwyczajnie nie mamy. Wiem i zdaję sobie sprawę, że zdenerwowani rodzice, pogrążeni w smutku i rozpacz, oczekują zawsze od policji cudu, tego, że pstrykną palcami, wykonamy jakiś magiczny telefon jak na filmie i odnajdziemy zaginioną osobę. Ale to tak nie działa. Robimy, co możemy. I robimy to, na co pozwala nam prawo, procedury i zdrowy rozsądek. Przesłuchujemy ludzi, które znają zaginioną osobę, rozmawiamy, analizujemy, wyciągamy wnioski. Wykluczamy, potwierdzamy, szukamy. Cholernie żmudna robota. Tak żmudna, że można oszaleć. Dziesiątki, a czasem setki przeprowadzonych rozmów, na przykład jak ta teraz. Nie mamy rozstawionych kamer w całym mieście, by wiedzieć, gdzie znajduje się w tej chwili poszukiwana osoba. Więc przykro mi, ale muszę pana rozczarować. Policja jest tylko instytucją, która ma prawo pytać i wchodzić komuś do domu, ale nie mamy żadnych schowanych odpowiedzi i rozwiązań na bolączki społeczeństwa. Rozumie pan? Jako policja możemy ciut więcej niż zwykły obywatel, to prawda. Możemy pytać do woli, możemy prawie nękać i nachodzić co chwila wkurwionych świadków. Dysponujemy bazami danych, ale one nie zawsze generują istotne dla nas informacje. Dysponujemy ludźmi, całym sztabem zdeterminowanych osób, które będą wykonywały czynności dochodzeniowe, śledcze, i będą, jak my teraz, badać trop. Będą pytać każdego, zadawać rutynowe, a czasami dziwne pytania. Bo statystyki mówią, że ludzie wcześniej czy później się odnajdują. A wie pan dlaczego? Bo się staramy. Zadajemy sobie dużo trudu, choć wcale tego nie widać gołym okiem, by odnaleźć zaginioną osobę. Robimy, pracujemy, działamy. Ale do tego potrzebna jest współpraca. Rozumie pan?

Mężczyzna kiwnął głową na znak, że dotarło do niego.

– Nie jesteśmy czarodziejami. I tylko wtedy, gdy zawodzą rutynowe procedury, próbujemy, opierając się na logice, odtworzyć krok po kroku, co się stało, jak do tego doszło. Rozmawiamy więc z rodziną, dopytujemy, poznajemy bliskich, sąsiadów zaginionej osoby. Wszystko po to, byśmy wiedzieli, kogo szukamy. Poznajemy zainteresowania, pytamy o przyjaciół i wrogów. Bo musimy pewne rzeczy wykluczyć.

– Dobrze, rozumiem. Przepraszam. Rzeczywiście nerwy robią swoje i nam się wydaje, że policja wie wszystko... Szczerze mówiąc, to bardzo na was liczymy. Bardzo...

– Wobec tego proszę mówić nam o wszystkim, co tylko przyjdzie panu do głowy, bo trzeba sprawdzić nawet rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydają się wręcz absurdalne.

– To właśnie te czynniki często decydują o kierunku śledztwa. To właśnie dzięki nim często dochodzimy do rozwiązania. Drobne i pozornie mało istotne szczegóły. Przypadkowe słowa, przemilczenia, zwierzenia, rozumie pan? – dodał Gawłowski.

Wyłożyli swoją teorię prowadzenia śledztwa nowo poznanemu człowiekowi i poczuli się tak, jakby obnażyli się przed nim.

– Możecie na mnie liczyć, będę współpracował.

Iwanowicz zaczął się gubić. Mężczyzna z wystylizowaną fryzurą początkowo idealnie pasował na sprawcę zniknięcia Patrycji. Nieczuły, zdystansowany, skryty. Teraz jednak wydawał się po prostu modnie wyglądającym, niepasującym do swojej żony zagubionym ojcem, który wczoraj stracił córkę. Strata to może nie było najtrafniejsze określenie, ale w istocie było tym, co

zapewne ten mężczyzna czuł. Bez względu na to, gdzie Patrycja teraz się znajdowała, jej rodzice zostali odcięci od kogoś, kogo najbardziej kochali, i to była dla nich wielka tragedia.

Pytanie tylko brzmiało – kto to spowodował.

I dlaczego.

Iwanowicz rzucił okiem na zegarek. Minęło ponad pół godziny od momentu, gdy wyjechali ze stacji benzynowej, więc trzeba było już kończyć rozmowę.

Na miejsce dojechali szybko, nie tracąc zbędnej minuty. Gawłowski wcześniej sprawdził w bazie KSIP Marcina Linkiewicza. Jelenia Góra nie jest dużym miastem, z jednego końca na drugi można było dojechać w ciągu kilkunastu minut. Wiele zależało od zakorkowania, szczęścia i umiejętności kierowcy. Oni robili to precyzyjnie, bez obaw o radary, niechciane zatrzymanie, a dodatkowo wszystkie drogi znali jak własną kieszeń. Wystarczyło tylko liczyć na to, że nie zatrzyma ich ciąg czerwonych świateł.

Tym razem auto zaparkowali w cywilizowany sposób, przy odkurzacach i myjkach ciśnieniowych. Iwanowicz spojrzął na swój samochód, który nie był sprzątny już od dwóch tygodni i aż prosił się o solidne mycie. Jeszcze kilka dni, może tydzień, i już by nosił na sobie napis „brudas”. Chyba na to czekał, na ów punkt graniczny, po którym będzie musiał pojechać na myjnię. Dziecięce oczy nie mogły się mylić w tej kwestii.

– Gdzie właściciel?

– Jest u siebie, tam. – Pytany pokazał palcem w kierunku szarych drzwi.

Pracownicy sprawiali wrażenie wciąż zmieszanych po ostatniej rozmowie. Policjanci weszli do niewielkiego pomieszczenia, było to miejsce dowodzenia miejskiej stacji paliw.

– Komisarz Marek Iwanowicz i podkomisarz Jacek Gawłowski, wydział kryminalny. Dzień dobry.

– Tak, wiem, o co chodzi, siadajcie, panowie – odpowiedział mężczyzna po sześćdziesiątce. – Wiem, bo moi pracownicy powiedzieli mi co i jak, więc nie zadaję dodatkowych pytań. Trzeba sobie nawzajem pomagać, no nie?

Brakowało jeszcze, by mrugnął porozumiewawczo, pomyślał Iwanowicz. Niski, rzutki i żwawy niczym Danny DeVito; na weselach, gdy popił, pewnie był duszą towarzystwa.

– W rzeczy samej – odparł Gawłowski, kiwając głową. Wyglądał jak dziecko, które po raz pierwszy jest w sklepie z zabawkami i nie kryje zaciekawienia.

– Co panów dokładnie interesuje? Bo chyba nie będziemy przeglądali całego dnia? Wiecie, panowie, proszę wybaczyć to wszystko, i to całe zamieszanie, ale nie ufam swoim pracownikom, więc wolałem zająć się tym osobiście. Jeszcze mi tu, cholera jasna, namieszają, a potem będzie na mnie, że coś chciałem ukryć. Utną, coś skasują, wyłączą nagrywanie, a ja będę udupiony z tym wszystkim, no nie?

– Istotnie – odpowiedział Iwanowicz. – Interesuje nas wtorek, godzina siódma, może nawet trochę wcześniej, aż do godziny...

– Ósmej? – zaproponował podkomisarz.

– Powiedzmy do ósmej piętnaście. To ogromny margines zapasu. Na pewno wystarczy.

– Się robi. Już, sekundeczka, tylko tu wybiorę. Tu muszę wyzerować. Zakres dat... Otwórz... Chwila, chwila, bo coś mi tu nie teges... Jeszcze sekundę. Za późno nauczyłem się obsługiwać komputery, teraz to dzieciaki wysysają z mlekiem matki. Ja to nie umiem tak sprawnie... –

Mężczyzna mówił do nich i jednocześnie do siebie, próbując na głos rozpracować działanie oprogramowania kamer. Co chwilę klikał nerwowo. Widzieli tylko jego profil, sprawiał wrażenie podenerwowanego, ale starał się tego nie okazywać. Iwanowicz kątem oka dostrzegł, jak trzęsie mu się ręka i że ma problem z trafieniem kursorem w odpowiednie okno programu. W tym czasie obaj patrzyli na szereg kolorowych grzbietów segregatorów. Stosy faktur, dokumentów, umów. Za szefem stacji benzynowej stała jeszcze jedna szafka uginająca się od segregatorów. Pod biurkiem głośno huczały wentylatory chłodzące sprzęt komputerowy. Pomieszczenie było nieduże, mogło mieć około czterech metrów długości i trzech szerokości. Było ciasne, choć zapewne idealnie pełniło swoją funkcję.

– W porządku, mam. Chodzi o tę kamerę, co to łapie kawałek chodnika, tak? Bo domyślam się, że to ona was interesuje?

– Panów, nie jesteśmy na ty.

– W porządku, przepraszam, mój błąd – powiedział strapiiony.

– Tak, chcemy zobaczyć, czy dziewczyna szła w kierunku hotelu lub cmentarza. Chodzi o drogę wyjazdową z miasta.

– Okej, mam nagranie. – Mężczyzna gwałtownie obrócił monitor w ich kierunku. Przysunęli się, zmrużyli oczy i spojrzeli w ekran.

Nagranie ruszyło w przyspieszonym tempie. Samochody szybko przesuwały się z jednego końca monitora na drugi, a potem znikwały za granicą widoczności kamery. Rzeka kolorowych pojazdów ani na sekundę się nie zatrzymywała. Nieco bliżej znajdował się chodnik, po którym – zgodnie z zegarem znajdującym się na górze ekranu – co kilkanaście sekund przesuwała się sylwetka jakiegoś przechodnia. Kamera podwieszona pod wiatą stacji benzynowej przy ulicy Sudeckiej pokazywała wczorajsze życie jeleniogórczan. Idących, spacerujących czy jadących w nieznanym celu. 7.01. Tylko kilku przechodniów. 7.02. Znów przechodnie. Głównie osoby dorosłe. 7.03, 7.04... Znów tylko kilka osób. I auta. Nieustający nawet na chwilę sznur samochodów osobowych, dostawczych, kilka autobusów wiozących ludzi do pracy.

– Stop – powiedział nagle komisarz. Na monitorze widać było sylwetkę młodej dziewczyny.

Policjanci jeszcze bardziej przysunęli się do monitora i patrzyli krytycznym okiem przez kilka sekund.

– Nie, rysopis się nie zgadza.

– Panowie, jak wyglądała dziewczyna? Pokażcie zdjęcie, wspólnie będzie łatwiej.

Iwanowicz wyciągnął z kieszeni pogniecione zdjęcie, jedyne, które miał. Właściciel stacji przyjrzał się dziewczynie.

– Ubrana była w spodenki i niebieską koszulkę z krótkim rękawem. Blond włosy – podał skąpy rysopis komisarz.

– Ale raczej krótsze.

– To w takim razie to nie ona. Ta ma inną koszulkę – uznał po chwili.

– Lećmy dalej – zarządził.

Nagranie ruszyło, ukazując budzące się ze snu miasto. Przechodnie ruszyli. Monitor ożywił wczorajszą jeleniogórczą rzeczywistość. Siódma pięć... sześć... siedem. Mijały kolejne minuty. Ulicę Sudecką przemierzyły dziesiątki pojazdów. Ludzie wprawiali w ruch każdy element tego miejsca. Ludzie, którzy w pośpiechu, na wpół senni, udawali się do pracy albo na zakupy. 7.08. Ani śladu dziewczyny. Po chodniku przewijały się kobiety idące z torbami zakupów. O tej porze.

Chwilę później kilkuletnie dzieci kopiące piłkę. Jedyna pora, by pograć w piłkę, bo po siódmej miasto nie było jeszcze rozgrzane. 7.09. Na ekranie pojawiła się sylwetka dziewczyny. Zatrzymali nagranie. Obaj uznali, że mogła mieć czternaście lat, ale miała czarne długie włosy. Reszta rysopisu się zgadzała. Miała krótkie spodenki i błękitną koszulkę.

– To nie ona – ocenił Gawłowski. Chociaż w głębi duszy tak bardzo by chciał, aby to była Patrycja.

7.11, 7.12, 7.13. Ekran precyzyjnie odtwarzał interesującą ich przeszłość z doskonale zachowanym obrazem, jednakże nie było śladu dziewczyny. Kamera nie zarejestrowała idącej, biegnącej ani uciekającej przed kimś Patrycji Linkiewicz. Równie dobrze mogła pojechać z kimś samochodem. Wsiąść w zupełnie innym miejscu, tam albo pod domem, a może kilka kilometrów stąd, przez nikogo niezauważona, bo kto by się interesował losem wsiadającej do samochodu nastolatki? Kogo interesują tak prozaiczne czynności, powtarzane setki tysięcy razy dziennie w całym kraju. Kto interesuje się wchodzącym do bloku mężczyzną, który nikomu nie wadzi, a który po jakimś czasie okazuje się mordercą?

Odpowiedź była jedna – nikt nie zwraca uwagi na ludzi wyglądających typowo, ponieważ mózg nie jest w stanie rejestrować tych wszystkich obrazów, które niczym szczególnym się nie odznaczają. Indywidualiści mieli już trudniej – ich łatwiej zapamiętać.

Innych mogło dziwić, dlaczego matka nie była w stanie zapamiętać, o której godzinie wyszła jej córka wyrzucić śmieci. Ale mózg takich szczegółów nie zapamiętuje, zwłaszcza gdy stanowią mało ważny fragment codzienności, bo nikt o zdrowych zmysłach nie przywiązuje do takich rzeczy większej wagi. Dopiero po jakimś czasie, gdy zdarzy się coś niespodziewanego, człowiek za wszelką cenę próbuje umieścić tragiczne wydarzenie w czasie, co bardzo często bywa niezwykle trudne.

7.20, 7.30. Coraz mniej czasu. Czuł, jak uciekała szansa na jej zobaczenie. Tu, w małej kanciapie w mikroskopijnym biurze, w miejscu, gdzie zupełnie przypadkowo udało się uchwycić wczorajszy dzień. Nawet gdyby zobaczyli dziewczynę na filmie, to i tak stanowiłaby tylko fragment układanki. Czy była sama, czy ktoś ją porwał? A może, pomyślał po chwili, wymyślając kolejną wersję, poszła pomóc starszej pani wnieść zakupy, ponieważ ta nie była w stanie, a potem stało się coś nieprzewidzianego. Tylko co?

Wrócił myślami do punktu wyjścia. Gdyby ujrzeni ją na monitorze, to znalazłby kierunek, w jakim się udała. Mogliby wówczas wykluczyć całą masę miejsc. Spodziewali się, że jeśli ją ujrzą, to będzie zmierzała do tej części miasta, w której znajdowało się kąpielisko, park, korty tenisowe, nieduże osiedle, hotel oraz cmentarz komunalny. Wówczas obszar poszukiwań mocno by się zacieśnił.

Iwanowicz wciąż wszystko analizował niczym sprawny komputer. Martwiło go to, że rozmaitych scenariuszy zdarzeń z każdą godziną przybywało. Niestety prawie wszystkie były złe – porwanie, utonięcie oraz ucieczka z domu. Nie miał jeszcze żadnego pomysłu na to, kto i dlaczego mógł porwać dziewczynę. Wydawało się to możliwe, chociaż w Jeleniej Górze ostatnimi laty nie dochodziło do żadnych porwań. Czemu miałyby się wydarzyć to teraz, w czasie wakacji, i miałyby spotkać średnio zamożną rodzinę? Sądząc po o tym, jak mieszkali, jak się ubierali, nie byli bogaci. Żyli bardzo przeciętnie, niemal jak co druga rodzina w okolicy. Czyli porwanie dla okupu raczej odpadało. Patrycja była młodą i ładną dziewczyną, a tego dnia

miała na sobie spodenki, koszulkę, a więc mogła już wzbudzać pożądanie seksualne. Idealny kąsek dla seksualnego drapieżnika.

7.42, 7.43. Nikogo pasującego do rysopisu. Gawłowski wyglądał jak wyczerpany kierowca ciężarówki jadący prostą monotonną drogą. Kierownik nerwowo zarządzał wirtualnym panelem kamery z nadzieją, że uda mu się przyczynić do rozwiązania sprawy. Komisarz nie wiedział, czy był to wyraz dobrej woli i potrzeby udzielenia pomocy, czy też facet był żądny sensacyjnych wrażeń.

Trzeci, bardzo prawdopodobny, scenariusz to ucieczka z domu. Coś się stało, ale nikt nie wiedział albo nie chciał nic powiedzieć. Marcin Linkiewicz – nie ma go w domu, nie korzysta z telefonu, co w dzisiejszych czasach każe spojrzeć na człowieka podejrzliwie. Dalej, zdystansowany, wymagający, nieczuły. Czy w grę mogło wchodzić molestowanie córki? Odpowiedź brzmiała: tak.

Kilka scenariuszy i wszystkie jednakowo prawdopodobne.

7.45. Do wskazanej przez policjantów granicy czasowej zostało raptem niewiele ponad pół godziny. Na ekranie zleci to w kilka minut, które mogą przynieść jakąś odpowiedź lub kolejne rozczarowanie. Nagranie z kamery miało być dla nich wyłącznie punktem wyjściowym, od którego mogliby jakoś pokierować poszukiwaniami. Wprawdzie Jelenia Góra to średniej wielkości miasto, ale praktycznie niemożliwe byłoby sprawdzenie wszystkich nagrań z kamer przemysłowych, pocieszające było jednak to, że zastępca komendanta wydał polecenie przyjrzenia monitoringu miasta, którego centrum znajdowało się w siedzibie straży miejskiej. Wysłano tam dwóch policjantów, którzy odtworzą wczorajszy poranek na interesującym ich obszarze, a więc w pobliżu południowej części miasta. Ale trzeba było pamiętać jeszcze o innych kamerach, prywatnych. Co druga szanująca się firma dysponowała własnym monitoringiem. Część z nich mogła zarejestrować coś ważnego, tylko że potrzebowaliby znacznie więcej funkcjonariuszy, a przede wszystkim więcej czasu. Chcieli więc zająć się w pierwszej kolejności tymi nagraniami, które obejmowały ulicę Sudecką, a potem stopniowo rozszerzać swoje poszukiwania. Później następne ulice, skrzyżowania, ronda.

– Nie wiem, Marek, mija prawie pięćdziesiąt minut, a tutaj nic nie ma. Ani śladu dziewczyny – powiedział zrezygowany podkomisarz. – Tracimy czas.

– Musimy mieć pewność, poczekajmy i zobaczmy całe nagranie. Nie zbawi nas te parę minut. Matka powiedziała, że Patrycja wyszła o siódmej. Bierzemy pewną poprawkę, więc obejrzymy nagranie z pewnym zapasem.

– A jeśli to nic nie da?

– To będzie trzeba sprawdzić inne kamery, które mogą się znajdować wzdłuż ulicy. Skoro wyszła z domu, to istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że poszła akurat w tym kierunku. I tym samym to pięćdziesiąt procent mniej pracy – powiedział.

Z ostatnim zdaniem sam nie do końca się zgadzał, choć powiedział je, by pocieszyć samego siebie oraz kolegę.

Mijały kolejne minuty. Komisarz co chwila doznawał uczucia, że już to wszystko widział. Zmieniały się tylko kolory i kształty. Samochody mijały się, wyprzedzały, a w wyobraźni słyszał również klaksony i jednostajny ryk silników. Rzeczywistość w tamtym miejscu nie była zbyt oryginalna, ponieważ wszystko się sprowadzało do ruchu samochodów i przechodniów.

Ujrzeni kolejną dziewczynę, na oko mogła mieć trzynaście, czternaście lat. Szef stacji zapauzował, ale po kilku zdawkowych uwagach wszyscy uznali, że to nie była Patrycja.

Mniej więcej od ósmej obraz stał się ciut jaśniejszy, promienie słońca rozjaśniły jedną ze ścian pobliskiego budynku i dzięki temu sylwetki i pojazdy stały się wyraźniejsze. Ruch na ulicy z minuty na minutę się wzmacniał, ale przechodniów jak na przekór nie przybywało.

Po ósmej policjanci wiedzieli już, że szansa na znalezienie dziewczyny na nagraniu zmalała do zera. Kamera nie zarejestrowała idącej czy uciekającej Patrycji. Najwyraźniej poszła inną drogą. Oczekali dla pewności jeszcze następne minuty, ale nic nowego nie przyniosły.

Bez przekonania i szczerości w głosie podziękowali właścicielowi stacji benzynowej, po czym odjechali w kierunku komendy przy ulicy Nowowiejskiej.

Następny niedostrzegalny etap pracy za nimi. A przed nimi cała masa kolejnych, których nie byli w stanie zliczyć ani przewidzieć. Teraz należało sprawdzić bazy danych: ostatnio wypuszczeni z więzienia lub aresztu przestępcy mający na koncie przestępstwa seksualne. Później próba połączenia zniknięcia dziewczyny z ewentualnymi osobami i grupami przestępczymi, które zamieszane były kiedyś w porwania. Pamiętał jedno porwanie dla okupu, zdarzyło się sześć lat temu. Było jednak na tyle nieprofesjonalnie zorganizowane, że policjanci odbili dzieciaka jeszcze tego samego dnia. Świadek porwania widział, jak mężczyzna podjechał pod dom jednorodzinny czarnym audi kombi. Przestępców zdradziły nagrania z miejskiego monitoringu. Udało się odczytać numery rejestracyjne i jeszcze tego samego wieczoru trafić do porywaczy. Byli mocno zaskoczeni, bo nawet nie zdążyli zadzwonić do rodziców ofiary. Policja była od nich sprytniejsza. Iwanowicz marzył, żeby takich banalnych spraw było więcej.

Czy tym razem właśnie o to chodziło? Rodzice dziewczyny do tej pory jednak nie otrzymali żadnego żądania od porywaczy. Nikt się z nimi nie kontaktował. Mieli polecenie, by w takiej sytuacji bezpośrednio dzwonić do wydziału kryminalnego.

Poszukiwania Patrycji Linkiewicz stały się sprawą niezwykle ważną i szczególną. Jeszcze wczoraj tak bardzo banalizował tę sprawę, nie chciał jechać z Gawłowskim, nie miał ochoty rozmawiać z jej matką, na dokładkę zadzwonił do komendanta z wyrzutami. Dziś już miał do niej zupełnie inny stosunek. Drugi dzień poza domem. To zły znak. Nie pomogły informacje przekazywane w mediach, nie przyniosły żadnych rezultatów poszukiwania prowadzone przez policję. Sprawa nabrała nowego charakteru. Bo nie ma nic gorszego i bardziej tragicznego od zniknięcia dziecka.

Chyba że jego śmierć.





Późnym wieczorem, gdy już skończył pracę, wziął gorący prysznic, który miał z niego spłukać zmęczenie całego dnia. Czuł się przytłoczony i jeszcze chwila, a zacząłby się gubić we własnych domysłach. Z każdą kolejną kroplą wody spływało z niego przygnębienie towarzyszące mu przez cały dzień. Sprawa należała do tym dziwniejszych, że dziewczyna była, jak ją ocenili rodzice, grzeczna i trzymająca się zasad. Nigdy nie uciekała, nie sprawiała problemów wychowawczych. Zbyt dużo niewiadomych nakładało się na siebie, przez co obraz całej sytuacji stawał się zamazany.

Silny strumień gorącej wody powodował, że zniknął monotony obraz kamer monitoringu, który zarejestrował fragment ulicy Sudeckiej, zniknęła stopniowo jego rozmowa z prokuratorem, który przyjechał później na spotkanie, by porozmawiać o postępach śledztwa. Z uwagi na podejrzenie porwania sprawa została przydzielona formalnie wydziałowi kryminalnemu, czyli im. W pełni będą kierować śledztwem, a o wszelkich postępach jak zawsze będą go na bieżąco informować. Dodał też, że dziewczyna mogła zostać porwana dla okupu albo że sprawa ma podłoże seksualne. Tak więc ich podejrzenia się pokrywały. Na dodatek sprawa stanie się pożywką dla mediów. Nie było nic gorszego od porwania dziecka. A w czasie wakacji, gdy jest sezon ogórkowy, media potrafią wałkować jeden temat do obrzydzenia. Iwanowicz usiadł w wielkim brodziku prysznic, oparł się plecami o rozgrzane śliskie kafle. Pozwalał wodzie rozbijać się o czubek głowy i oblewać wycieńczone ciało. Zamknął oczy. Cieszył się, że był już po pracy. W lodówce chłodziła się whisky, na którą miał ogromną ochotę. Nie była to jednak ochota alkoholika. Nie ciągnęło go aż tak bardzo. Pijał raczej w stylu amerykańskim, odrobinę dziennie. Z jedną, może dwiema dolewkami i tylko dla zrelaksowania. Lubił smak alkoholu, najbardziej wina i ostrej whisky lub brandy. Niczego więcej nie potrzebował, bo to dawało mu odpowiednie ukojenie.

Z głośników wmontowanych w suficie rozbrzmiewała piosenka Finka. Wokalista Finian Paul Greenall śpiewał utwór *Trouble's What You're In*. W ostatnim czasie wewnątrz jego mieszkania rozbrzmiewało muzyką spokojną, nienachalną; była tłem dla jego myśli i wspomnień. Choć słuchał starego rocka, Led Zeppelin czy Stonesów, to w ostatnich miesiącach rzadziej włączał ich płyty. Stawiał na muzykę spokojniejszą. Co kilka tygodni przeglądał polskie i międzynarodowe listy przebojów i kupował co ciekawsze płyty. Zamawiał przez Internet kilka, a nawet kilkanaście płyt jednocześnie. Po otrzymaniu przesyłki siedział ze skrzyżowanymi nogami przed sprzętem audio i słuchał każdej z nich. Nie było go wtedy dla nikogo. Po prostu odpływał. Dźwięki otaczały go ze wszystkich stron.

Przetarł ręką przezroczystą ścianę kabiny prysznicowej i spojrzął na dużą nowoczesną łazienkę. Wyłożona była jasną glazurą. Nowoczesna armatura sanitarna, jedna z droższych, jakie były w sklepie, nowa kabina prysznicowa z funkcją masażu oraz masa kosmetyków dla mężczyzn w średnim wieku – na to wszystko mógł sobie pozwolić, bo żył sam i nie chciał na sobie oszczędzać. Nie miał większych wydatków poza utrzymaniem mieszkania, samochodu

i bieżącymi opłatami. Nie żałował pieniędzy na dobre jedzenie, wyposażenie mieszkania i sprzęt elektroniczny, którym lubił się otaczać. Laptop, duży telewizor i wysokiej jakości sprzęt audio, który kosztował go kilkanaście tysięcy złotych. A do tego, co było jego odwiecznym marzeniem, gramofon i kolekcja płyt winylowych. Należał do wymierającego gatunku w kwestii podejścia do muzyki i tego, w jaki sposób jej słuchał. Dzisiejsze pokolenie szło na łatwiznę, na potęgę nielegalnie ściągając muzykę w postaci plików mp3. Nie wyobrażał sobie, jak można było nie szanować artystów i ich ciężkiej pracy. Owszem, płyty były drogie. Jedna nierzadko kosztowała tyle, ile przeciętny Polak zarabiał w ciągu kilku godzin pracy, czasami nawet przez cały dzień. Zbieranie płyt stawało się więc nie lada wyzwaniem, ponieważ wiązało się z ogromnym kosztem, i rozumiał, skąd tak wielka skala piractwa. Mimo to nie był w stanie pojąć, jak można się delektować muzyką, która pochodziła z nielegalnego źródła, ani też jak można jej było słuchać na nośnikach wielkości pudełka zapalek. Wyznawał inną, bardziej szlachetną i tradycyjną kulturę dźwięku i muzyki, zdecydowanie również bardziej wyrafinowaną, choć kosztowniejszą.

Cieszył się tym, że mógł spieniężyć odziedziczone po rodzicach dwa mieszkania oraz działkę pod miastem i przeznaczyć części sumy, by kupić inne i urządzić je ze smakiem. Nie musiał spłacać kredytu. Miał też oszczędności na dwóch lokatach. Stać go było na różne zachcianki. Zanim zatrudnił się w wojsku, pracował przez kilka lat za granicą, a każdy zaoszczędzony grosz gromadził na koncie. Zarobki były wielokrotnie większe niż w kraju. Płacił tylko za jedzenie i dach nad głową. Potem, gdy wrócił do kraju, wiele lat pracował w wojsku aż do czasu likwidacji jednostki. Wówczas przeszedł do policji. Dwie trzecie pensji przelewał na konto oszczędnościowe.

Nastawił funkcję masażu, a po chwili poczuł krótkie i silne uderzenia strumienia. Po paru minutach czuł się o kilka lat młodszy. Po odświeżeniu ubrał się w swoją ulubioną koszulkę z logo Chicago Bulls i usiadł z talerzem kanapek przed telewizorem. Bezmyślnie wpatrywał się w wiadomości i wsłuchiwał w monotony głos dziennikarza. Przez parę minut nie odrywał wzroku od zegara, który z każdym niemal bezszelestnym uderzeniem wskazówki zbliżał go do snu. Siedział i pochłaniał kanapki jak zahipnotyzowany, gdy nagle usłyszał dźwięk dzwonka do drzwi.

– Jacek... – wyszeptał i odłożył talerz na ławę. – Czego ty chcesz o tej porze, człowieku? Ludzie muszą odpoczywać. – Podeszedł do drzwi. Stał w miejscu. Przyglądał się sobie chwilę w lustrze, mężczyźnie po pięćdziesiątce z krótko przystrzyżonymi włosami, w koszulce sportowej i spodniach dresowych, z którymi się rozstawał jedynie, gdy wybierał się do pracy. Chociaż kilka razy zdarzało mu się pojechać w nich na służbę. Czasami nosił też złoty łańcuszek.

Otworzył drzwi i zrobił zaskoczoną minę. Przez moment nie mógł umieścić obrazu w rzeczywistości.

W progu stała jego kuzynka z mężem i córką.

– Zaskoczony, co? – niemal krzyknęła. – Co u ciebie?

Spojrzał na nich. Wyglądali jak zmęczeni przybysze stojący przed zamkniętym hotelem, zrezygnowani i wycieńczeni. Kuzynka próbowała jednak nadrabiać miną.

– Zaskoczony? – zapytał, czując zmieszanie. – Mało powiedziane...

– Wujku! – krzyknęła dziewięcioletnia siostrzenica Anita i podbiegła, by go przytulić.

Iwanowicz poczuł się nieswojo i niezręcznie jako wieszak dla ludzi. Przycisnął ich mocno do siebie, ale po chwili rozluźnił uścisk, by dać znać, że już wystarczy. Obok stał niski i krępy mężczyzna.

– Cześć, Dawidzie. – Wyciągnął rękę do głowy rodziny. – Jak się masz?

– Ach, trochę zmęczony po podróży, ale ogólnie w porządku. Interes dobrze się kręci, więc nie narzekam.

Z całej trójki był najspokojniejszy. Był raczej wycofany i nienarzucający się nikomu. Znali się kilkanaście lat, a zamienił z nim tylko parę zdań. Był przeciwieństwem swojej wygadanej i temperamentnej żony, Joanny. Miała tak samo na imię jak żona Gawłowskiego. Dwie Aśki, z którymi łączyła go dość specyficzna i trudna relacja.

– Marek, jak się masz? – przywitała się.

– Chodźcie, nie będziemy stali w progu.

Rodzina Kowalewiczów wtargnęła do mieszkania i szybko się rozgościła. Anita zaczęła biegać po pokojach jak poparzona, węsząc w każdym kącie i sprawdzając, co wujek ma nowego. Miała więcej temperamentu niż oni wszyscy razem wzięci. Była sympatyczną osobką o dużych zielonych oczach i falujących blond włosach, które zazwyczaj miała zaplecione w grube warkocze.

Iwanowicz przyjął ich w dużym pokoju, w którym jeszcze przed minutą siedział przed telewizorem. Usiedli przy stole pod oknem. Gospodarz podał wino i zaproponował kanapki, bo do niczego innego o tej porze i przy tym stopniu zmęczenia nie miał głowy. Przygotowanie ich zajęło mu parę minut. Mógłby przyrządzić na przykład spaghetti, jednakże powiedzieli, by się nie fatygował. Zostali więc przy drobnych przekąskach.

– Tak naprawdę to jesteśmy w Jeleniej przejeździe, chcieliśmy zrobić ci niespodziankę – wyjaśniła powód niezapowiedzianych odwiedzin.

– No to udało wam się, nie ukrywam – odparł, siląc się na dyplomatyczny uśmiech. Stał przy blacie i wycierał go ściereczką, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Przywykł do samotności i tego, że stół w kuchni zajmowała jedna osoba. Odwykł do tego, że nie musiał odpowiadać na czyjeś pytania. Przez ostatnie lata to on je zadawał.

– Och, daj spokój, co prawda Dawid mówił mi, żebym do ciebie zadzwoniła przed przyjazdem, bo miał obawy, że jesteś w pracy, ale przecież wiesz, nie mogłam tego zrobić. A poza tym znam cię. Pewnie byś powiedział, że cię nie ma albo że jesteś w robocie, więc uznałam, że lepiej przyjechać bez zapowiedzi. Przechytryłam cię. Jeden zero dla mnie.

Zmusił się do uśmiechu.

– Gratuluję, udało ci się. Ale faktycznie, szkoda, gdybym był w pracy, wtedy nici z niespodzianki, a sami narazilibyście się na robienie zbędnych kilometrów – rzekł bez przekonania, rozlewając gościom wino do dużych kieliszków. Anicie nalał soku jabłkowego. – Ale mimo to cieszę się, że wam się udało. I że znów się widzimy.

– Pewnie zwykle dopiero o tej porze kończysz.

– Gdybyście zadzwonili, kupiłbym coś na kolację albo zrobił coś pysznego do jedzenia – tłumaczył się. Starał się nie pokazywać, że ich przyjazd nie był mu na rękę. – Robiłbym coś bardziej wyrafinowanego niż kanapki. Mamy w mieście kilka dobrych restauracji i pizzerii, w których podają świetne jedzenie.

– Nie, wymigałbyś się, stary byku. Już ja cię znam.

– Nie, nie mam powodów, by kłamać. Po prostu lepiej bym się przygotował i ugościłbym was jak należy.

– Chcieliśmy cię złapać w twoim, jakby to powiedzieć, naturalnym środowisku... – wyjaśniła Joanna, kręcąc głową na boki. Spoglądała to na Marka, to na swojego męża. Miała prawie czterdzieści lat. Była ładną kobietą o niezwykle regularnych rysach. Wyglądała jak sfinks, tyle że miała jasne blond włosy. Była jedną z dwóch kuzynek Iwanowicza ze strony matki. Nie okazywał jej specjalnie ani sympatii, ani niechęci. Starał się zachowywać grzecznie i taktownie. Tyle wystarczało, by podtrzymywać więzi rodzinne. Niemniej irytowała go jej bezpośredniość i to, że kilka lat temu za bardzo narzucała mu swój punkt widzenia i mówiła, co ma robić i jak postępować w życiu po stracie syna. Na siłę próbowała mu pomóc, bez jego zgody załatwiła mu wizytę u terapeuty. Raz też wykupiła mu wypoczynek w ciepłych krajach, by – jak mówiła – oderwał się od swojej tragicznej codzienności i poleciał odpocząć. Nie skorzystał. Obawiał się, że ich dzisiejsza wizyta również miała jakiś cel. Iwanowicz dopiero po dłuższym czasie zaczął doceniać, że tak bardzo chciała mu pomóc. Pewnego razu zadzwonił do niej pijany, bo tylko wtedy stać go było na szczerość, i podziękował jej za okazywaną pomoc.

– Boże, ile to czasu minęło od ostatniego spotkania! Ile? Rok, półtora? Sama już nie wiem.

Iwanowicz usiadł z nimi przy stole i spojrzał na swoją siostrzenicę, która nieśmiało puszczała do niego oko. Po wymianie uśmiechów usiadła mu na kolanach i zaczęła się do niego przytulać. Była jedynym dzieckiem, które bezgranicznie lubił. Rozumieli się bez słów i ta mała istotka chyba darzyła go ogromną sympatią. Być może też współczuła mu, ale nie miał pewności, czy Anita rozumiała, co tak naprawdę się stało parę lat temu. Czy pojęła, że straciła kuzyna, z którym lubiła się bawić, i że już nigdy go nie zobaczy?

– Możliwe, nie liczyłem czasu, on tak szybko płynie – odpowiedział na odczepnego. Ścisnął Anitę mocno, aż ta zaczęła się śmiać i pisać z radości. – Może rok, dwa. Anita, ile czasu minęło?

Dziewczynka milczała, wzruszyła tylko ramionami.

– Opowiadaj, co u ciebie! Boże, ty się nic nie zmieniasz! – zapytała Joanna.

– Wiem, praca mnie dobrze konserwuje. – Zaśmiał się pod nosem, nie odrywając wzroku od siostrzenicy, przy której czuł się coraz lepiej. W dużej mierze jej obecność była przyczyną radości z ich odwiedzin. Nie musiał rozmawiać z Joanną czy z Dawidem, wystarczyła ich córka. Przez moment wydawał się naprawdę zadowolony i nie krył uśmiechu, chociaż trochę się go wstydził. Nie chciał pokazywać w żaden sposób, że życie w samotności jest w jakiś sposób gorsze. Od dawna żył sam i nigdy z nikim nie rozmawiał o swoim wyborze, o tym, że nie chciał się z nikim wiązać. Teraz jednak uśmiech na jego twarzy zdradzał, że brakowało mu innych ludzi, zwłaszcza dzieci. Przyznał przed samym sobą, że Anita wydobyła uśmiech i skrywane emocje spod kamiennej maski policjanta.

– No więc co w pracy? – zapytała kuzynka ponaglająco i łyknęła czerwonego wina. Kieliszek był tak duży, że zasłonił jej niemal całą twarz.

– Bez zmian.

– To znaczy?

– Aśka, co mam ci powiedzieć? – Skrzywił się. – Chcesz znać szczerą prawdę? Mam ci powiedzieć, że ludzie nieustająco są dla siebie bezlitośni, źli, podli? Że niczego się nie uczą i wciąż popełniają te same błędy, te same przewinienia? Nie rozumieją, że złem nie stworzą

dobra – odpowiedział sentencjonalnie, nie namyślając się nad tym dłużej. Joanna nie była osobą, z którą miał ochotę rozmawiać o swojej pracy. Wiedział, że pytała go tylko z grzeczności, toteż nie angażował się w rozmowę. Z drugiej strony dyskusja z policjantem mogła wywołać dreszczyk emocji, zwłaszcza jeśli służył on w wydziale kryminalnym. Ciekawość robiła swoje, człowiek chciał pytać o wszystko, ale gdy doszło już do rozmowy, tracił rezon i zadawał banalne pytania. – Poza tym bywa ciężko, jak to w policji.

– No tak, czasami słyszymy to i owo, czytamy gazety i wiemy, co się dzieje. Czytaliśmy jakiś czas temu o morderstwach w Kowarach. Straszne. Wiemy, że pracowałeś przy tym.

– Faktycznie, podła sprawa.

– A teraz nad czym pracujesz? – zapytała tonem rozmówcy, który udawał, że się zna i interesuje pracą tutejszej policji. Było to pytanie z tych, o których następnego dnia opowiada się koleżankom w pracy, by zabłysnąć sensacyjną ciekawostką. Nie każdy miał takiego kuzyna.

– Rutynowe śledztwo – odpowiedział. Spojrzał na nią, po chwili przeniósł wzrok na siostrzenicę, która wstydziła się jeszcze do niego odezwać, co nie przeszkadzało jej do niego się przytulić.

– Jakaś kradzież?

– Nie. Dwa dni temu zniknęła... – Ugryzł się w język, bo nie chciał przy dziecku o tym mówić.

– A zresztą, opowiem wam, gdy już zamkniemy śledztwo, na razie, z uwagi na jego dobro, nie powinienem... Nie chcę niczego przesądzać, ale wygląda to na dość podłą sprawę. Ale nie mówmy o mnie i o mojej pracy. Opowiedzcie, co u was?

– W porządku, panie tajemniczy – rzekła, robiąc znak cudzysłowu w powietrzu. – U nas fantastycznie, wracamy znad morza, byliśmy w Ustce. Mieliśmy cudowną pogodę. Mimo że bardzo dużo ludzi na plaży, to i tak wyszaleliśmy się za wszystkie czasy. W drodze do domu postanowiliśmy zjechać do ciebie, zobaczyć, jak żyjesz.

– W drodze do domu, powiadasz? Ale w drodze do Wałbrzycha Jelenia nie jest tak...

– Trochę musieliśmy zboczyć.

– Z Ustki?

– Marek, co w tym dziwnego, że chcieliśmy się z tobą zobaczyć? Wszyscy chcieliśmy, a najbardziej Anita.

– Wiem, jak się jedzie z Wrocławia do Wałbrzycha. Jelenia Góra nie jest po drodze.

– Mówię przecież, że zboczyliśmy z trasy – powiedziała i po raz pierwszy spoważniała.

– Okej, rozumiem. – Skwitował rozmowę uśmiechem, bo nie spodobał mu się kierunek, w którym zmierzała. Wyczuwał, że coś się szykowało. Czegoś od niego chcieli, bo w to, że tak się za nim stęsknili, jakoś nie wierzył. Może Anita, ale nie oni. Obudziła się w nim nieufność.

– Zostajecie na noc? – spytał.

– Hmm... Może... Czy ja wiem. Nawet o tym nie myśleliśmy. Dawid? – Spojrzała na męża. – Zostajemy?

– Możemy, jeśli chcesz, kochanie.

– Mogę wam pościelić tutaj. – Wskazał kanapę przy telewizorze. – Jest rozkładana. – Jeszcze przed dziesięcioma minutami nie chciał, by zostali, ale teraz zmienił zdanie. Zaproponował im nocleg przede wszystkim z uwagi na Anitę, z którą trudno byłoby mu się teraz rozstać. W ciągu paru minut uwolniła go od złego humoru i wprawiła w dobre samopoczucie. – Spokojnie się zmieścicie we trójkę. Zjecie coś jeszcze. Mam też dużo wina. Białego, czerwonego. Piwo też się

znajdzie, w piwnicy leży też kilka butelek whisky. W sumie mam tam prawie wszystko, co potrzebne do życia. Gdyby wybuchła wojna, przetrwałbym parę miesięcy. – Zaśmiał się.

– Potrafisz być przekonujący, wino jest wyborne.

Dawid nieśmiało kiwnął głową.

– Pivka chętnie bym się napił.

– W porządku. Rano około ósmej będę musiał iść do roboty. Zostawię wam klucze, a potem, gdy już się ogarniecie i będziecie chcieli wracać, to podrzucicie mi je do pracy.

Goście przystali na jego propozycję. Iwanowicz ponad rok nikogo nie gościł na noc. Raczej unikał spotkań rodzinnych. Nie zależało mu na podtrzymywaniu relacji z bliskimi i pewnie nadal by tak było, gdyby nie Anita, która coraz mocniej się do niego tuliła. Jakoś łączyła go z przeszłością i dzięki niej na moment poczuł ciepło dziecięcej bliskości. Biorąc pod uwagę to, jaką sprawą teraz się zajmował, chciał mieć przy sobie kogoś, kto oderwie go na moment od cienia zmarłych lub porwanych osób.

Większą część wieczoru spędził z siostrzenicą, którą zabrał na krótki spacer po okolicy. Było jeszcze na tyle ciepło, że rodzice chętnie się na to zgodzili. Zostawił Joannę i Dawida, oglądali jakiś film sensacyjny, a z nią pojechał do pobliskiego marketu. Mimo że była już prawie dwudziesta druga, w niczym to nie przeszkadzało ani jej, ani rodzicom. Dziecko miało wakacje, więc mogło pójść później spać, a rodzice mogli chwilę pobyć sami. Najważniejsze było to, że wreszcie Iwanowicz przez moment poczuł się naprawdę komuś potrzebny.

Anita początkowo niewiele mówiła, ale cały czas trzymała wujka za rękę i cieszyła jego obecnością. Nie musiała, a może wręcz nie chciała wiele mówić, chociaż przez parę minut opowiadała mu o swoich szkolnych ocenach, koleżankach i tym, co teraz modne. W świecie dziewięcio- i dziesięciolatków panowały mody na ubrania, zabawki, zeszyty z wizerunkami postaci z kreskówek czy bohaterami filmowymi, z których istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy. Chwaliła się tym, że prawie wszystkie przybory szkolne, zeszyty oraz plecak ma w motywy ze swojego ulubionego serialu. Nazwa i tak niewiele mu mówiła, jednak nie powstrzymało go to, by kupić jej kilka kolejnych rzeczy, których jeszcze nie miała. Później nakupował jej słodyczy. Potem poszli do działu z przyborami szkolnymi i kupił jej prawie wszystko to, czego potrzebowała do szkoły. Kilkanaście zeszytów, piórniki, zestaw najdroższych pisaków. Wystarczyło kiwnięcie palcem. Taką sprawiał mu to przyjemność, że zapomniał o umiarze i oddał się rozpieszczaniu małej. Później poszli do działu z ubraniami dla dzieci i pozwolił jej przymierzyć i kupić wszystko, co chciała. Nie oszczędzał na niej. Mógł wreszcie w niewielkim stopniu komuś się przydać, kogoś pocieszyć i sprawić mu ogromną przyjemność. Nie wiedział, które z nich – ona czy on – bardziej się teraz cieszyło zakupami.

W drodze do domu wstąpili jeszcze po hamburgery i colę. Zjedli w samochodzie, a po drodze poprosił, by nie mówiła o tym rodzicom. To miało zostać ich niewinną tajemnicą. Kiwnęła głową, następnie udała, że zasuwą usta i zamyka kluczykiem, który wyrzuciła przez okno.

To były najmilej spędzone dwie godziny. Nie pamiętał, by cokolwiek sprawiło mu tyle radości. Poczł namiastkę dawno utraconej beztroski i szczerzej przyjemności.

Dopili colę i szybko pobiegli w kierunku kamienicy, trzymając w rękach ciężkie torby z zakupami.

Iwanowicz nagle stanął w miejscu, bo wydawało mu się, że usłyszał szept. Dziecięcy, jakby ktoś go wołał, ale brzmiał tak niewyraźnie, tak lekko, jakby przypominał jesienny szelest liści. Rozejrzał się bacznie, ale w pobliżu nikogo nie dostrzegł.





Od rana siedział w biurze i przeglądał ułożone w niewielki stos dokumenty kilku śledztw. Niektóre, rozpoczęte przed paroma miesiącami, wciąż nie były zamknięte. W przypadku trzech z nich czekali na ekspertyzy, wyniki badań albo szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki którym dochodzenie ruszyłoby z kopyta. Znajdzie się świadek, znajdzie się jakiś ślad. Rzadko które sprawy rozwiązywali od ręki. Często ciągnęły się one długimi tygodniami, a nieliczne – latami.

Na samej górze leżała teczka, w której znajdowały się wszystkie notatki z poszukiwań dziewczyny. Miał przed sobą zeznania rodziców Patrycji Linkiewicz. Czytał wielokrotnie te same słowa, te same smutne zdania. Mijał kolejny dzień, od kiedy zniknęła. Trzeci. Do tej pory nie zgłosił się żaden wiarygodny świadek, który widziałby ją czy to w mieście, czy to w okolicach Jeleniej Góry. Nie było żadnego konkretnego śladu, mimo iż rozwieszono komunikaty o zaginięciu na przystankach i na słupach. Zadbala o to jej matka. Policjanci wracający z patroli zdawali relację, że widzieli blondynkę w średnim wieku rozwieszającą ogłoszenia. Gdy tylko się do niej zbliżali i widzieli treść ogłoszenia, odchodzili bez słowa. Była to Izabela Linkiewicz. Wieszala ogłoszenia, gdzie popadło. Na przystankach, słupach, ścianach sklepów, marketach oraz przy dworcu autobusowym. Również w niedozwolonych miejscach.

Wczoraj wieczorem na policję dzwoniła kobieta, która rzekomo widziała dziewczynę, ale po pierwsze nie była w stanie określić dokładnie rysopisu, a po drugie jej informacja w żaden sposób nie była konkretna. Mówiła ogólnikami, widziała dziewczynę o blond włosach, niewykluczone, że właśnie tę, której wszyscy szukają. Było to w pobliżu ulicy Sudeckiej. Funkcjonariusze rozmawiali z nią, ale nie uzyskali żadnej konkretnej informacji. Iwanowicz analizował później przydatność relacji kobiety, ale uznał, że nie jest w stanie w tym momencie jej wykorzystać. Na wszelki wypadek miał jednak zanotowany jej numer.

Sprawa nabrała szczególnego charakteru. Iwanowicz czuł to podskórnym. Widział i czuł tę silną, milczącą wymowę tragicznego zdarzenia, która omamiła policjantów. Mieli oni nieformalne pozwolenie na wiele, jak to nazywał Iwanowicz. Nieczęsto się zdarzało, że w mieście ginęła bez wieści młoda osoba. Strona internetowa jeleniogórskiej policji od dawna udostępniała ogłoszenia o zaginięciu, ale były to osoby starsze, dorosłe. Do grona tych nieszczęśników na polecenie wydziału kryminalnego została wpisana Patrycja. Dziś rano komisarz zalogował się na stronie. Kliknął zakładkę „Poszukiwani?”. Oblicze dziewczyny nie pasowało do reszty zaginionych. Wesoła, ładna twarz o regularnych rysach. Rodzice Patrycji również wystosowali apele o pomoc poprzez jeleniogórskie media, zwłaszcza trzy portale internetowe oraz radio. Gdy przyglądał się jej twarzy i opisowi na stronie, otworzyły się drzwi i wszedł podkomisarz. Wyjątkowo był uśmiechnięty i wyglądał, jakby wrócił z urlopu. Miał na sobie zieloną koszulę w kratkę i kolorowe spodnie. Iwanowicz na widok kolegi powiedział:

- Witaj w miejscu rozprawiania się z krzywdami i ludzkim cierpieniem, kolego.
- Też się cieszę, że cię widzę.
- Wyglądasz, jakbyś wracał z odpustu.

– Ja ciebie też lubię.

– Chcesz kawy?

Gawłowski postawił torbę z jedzeniem na krześle przy jego biurku, przeznaczonym dla gości i przesłuchiowanych osób.

– Po tych uprzejmościach? Chętnie – odparł i zrobił zdziwioną minę. Zrobił kilka kroków i nagle stanął. Spojrzał na kolegę z zaciekawieniem. Dostrzegł od razu jakiś cień zmiany w jego zachowaniu, bo Iwanowicz zwykle nikomu nie proponował niczego do picia. Rzadko się uśmiechał, był oschły i niespecjalnie empatyczny.

– Przed paroma minutami miałem telefon – powiedział po jakimś czasie komisarz, który stał przy niewielkim stoliku i wsypywał kawę do kubków. – Płetwonurkowie przeszukiwali wczoraj zbiorniki wodne w Pilchowicach i w żwirowni w Łomnicy. Będą tam jeszcze mieli od cholery roboty, pewnie zajmie im to kilka dni. Jak na razie niczego, a właściwie nikogo nie znaleźli. Z tego, co wiem, za parę dni mają przeszukiwać dno rzeki. Zaczną tutaj, w Jeleniej. Będą płynęli od góry z prądem rzeki. Mają zbadać wszystkie jazy, spady i śluzy.

Gawłowski usiadł przy biurku.

– Problem polega na tym, że zwłoki wypływają po jakimś czasie. W rzece wszystko zależy od prądu lub tego, czy ciało nie zaczepiło się o gałęzie i konary. Albo zaczepi się gdzieś przy brzegu, w jakimś mało zaludnionym miejscu, może w lesie, i przez długie tygodnie możemy go nie znaleźć. Dopiero jakiś przechodzień natknie się na nie, gdy poczuje smród.

– Na samą myśl o pracy płetwonurków robi mi się niedobrze, kurwa, współczuję im.

– A sobie nie współczujesz? Lepszą mamy? – spytał komisarz.

– Nie o to chodzi, ale wyobraź sobie, że płyniesz w ciemności, dotykasz brzuchem dna i nagle przed oczami pojawia ci się blade ciało dziecka, topielca. Masz. – Podeszedł do niego i podał mu kubek kawy. – Obudź się, a potem bierzmy się do roboty.

Zamilkli i zajęli się swoją pracą. Do biura zaczęły się wkradać promienie słońca, które przecinane przysłoniętą żaluzją, tworzyły jasne linie na podłodze i częściowo biurku komisarza.

– Marek... – zaczął Gawłowski po dziesięciu minutach, nie odrywając spojrzenia od komputera.

– Co jest? Masz coś?

– Tak się zastanawiam... – Odchylił się w fotelu.

– Nad czym?

– Chyba pierwszy raz w życiu zrobiłeś mi kawę, co się stało?

Komisarz zignorował jego słowa i wzruszył ramionami.

– Pracujemy tyle lat i jeszcze nigdy nie zaproponowałeś mi czegoś do picia.

– Ciesz się tą chwilą, bo nie wiem, kiedy zrobię to drugi raz.

– Z taką częstotliwością to chyba przed samą emeryturą – powiedział i parsknął, ale nie udało mu się rozbawić kolegi.

Jego śmiech przerwało wtargnięcie do biura Rafała Jończyka, technika kryminalistyki.

– Mamy wyniki analizy zawartości telefonu Patrycji Linkiewicz – poinformował od razu. – Dostałem to z wydziału operacyjnego.

– Mów.

– Informatyk przejrzał zawartość wszystkich katalogów z danymi, jakie były w telefonie. Filmy, zdjęcia, kontakty, wiadomości. Dostęp do danych jest ograniczony. To trochę tak, jakby

w komputerze usunąć plik, a następnie opróżnić kosz. Niby pliku już nie ma, ale to jeszcze nie wystarczy, by pozbyć się wszystkich danych, bo one są.

– Jaśniej.

– Usunięte pliki tak naprawdę wciąż są na karcie pamięci. Wygląda to jak odzyskiwanie danych z twardego dysku. Niby usuwasz, ale przez jakiś czas wszystko można przywrócić. Łapiecie? – zapytał spokojnie. Jończyk jak zawsze był zaangażowany w to, co robił.

– Rozumiem, że to, co mówisz, ma znaczenie? – powiedział Gawłowski. – I że do czegoś zmierzasz?

– Ma znaczenie, bo udało się odzyskać część danych z telefonu dziewczyny.

Wyciągnął z kieszeni płytę CD i im dał, a potem wyszedł, mówiąc, że musi załatwić jeszcze kilka spraw i później do nich zajrzy. Komisarz błyskawicznie włożył płytę do komputera. Stary sprzęt powoli nabierał rozpędu. Iwanowicz nerwowo stukał palcami o blat biurka. Upił duży łyk kawy i zaczął klikać ikony w komputerze, by jak najszybciej poznać to, co skrywały dane z telefonu dziewczyny. Zawartość płyty podzielona była tematycznie, zgodnie z tym, co udało się odzyskać. Iwanowicz znał bardzo pobieżnie sposób odzyskiwania danych, lecz coś niecoś na ten temat się dowiedział, gdy kilka miesięcy temu niechcący skasował ważne pliki w służbowym komputerze. Ponieważ nie dało się ich odzyskać w prosty sposób, musiał wezwać policyjnego informatyka, który zainstalował program do odzyskiwania plików. Odzyskiwane dane można było odpowiednio filtrować, ustawiając między innymi zakres czasu, typ plików czy ich wielkość. Po kilkunastu minutach pojawiała się na ekranie lista plików, które można było przywrócić. Taki sam sposób odzyskiwania danych można było stosować do innych nośników danych.

Spojrzał na dane podzielone na foldery: *Muzyka*, *Wiadomości tekstowe*, *Filmy*, *Zdjęcia*. W tej samej chwili Gawłowski podjechał bliżej na swoim fotelu biurowym.

– Otwieraj po kolei każdy katalog.

Kliknął na *Muzykę*. Folder dzielił się na kolejne podfoldery – *Z dysku*, *Odzyskane*. Kliknął najpierw na pierwszy folder, w którym znajdowała się muzyka, jakiej słuchała na co dzień. Iwanowicz nie znał żadnego wykonawcy. Było tylko pięć utworów, a w folderze odzyskanych plików znajdowała się tylko jedna piosenka. Komisarz nie sądził, by musieli przesłuchiwać muzykę, dlatego cofnął się do folderu nadrzędnego i kliknął w ten z wiadomościami tekstowymi. Najpierw spoglądali na zawartość SMS-ów, które były dostępne w menu telefonu, nieusunięte. Były to dokładnie te same wiadomości, które Iwanowicz czytał wczoraj, gdy był w mieszkaniu Patrycji. SMS od operatora, wiadomości systemowe o nieodebranych połączeniach, wiadomości sprzed kilku tygodni od Moniki z informacją, co zadano w szkole, czy ma odpowiedzi do zadań z matematyki. Julia pytała, czy będzie na Facebooku. W innym pytała, czy ma numer do Roberta. Plik tekstowy zawierał czternaście wiadomości. Folder *Usunięte* zawierał również pliki tekstowe. Znajdowało się w nim dziewięć wiadomości. Sześć usuniętych – systemowe o doładowaniu konta. Jedna od Moniki: *Co z nim?* Kolejna wiadomość była wysłana z numeru, który w książce opisała: Paweł. Iwanowicz pomyślał, że musiał to być ten sam Paweł, o którego z kolei pytała Monika. SMS zawierał tylko jedno słowo: *Będziesz?* Ostatnia wiadomość, jaką udało im się odzyskać, była z nieznanego numeru i brzmiała: *Lepiej się zastanów*. Iwanowicz spisał na kartkę numery, treści, daty i godziny otrzymanych wiadomości. Spojrzał na Gawłowskiego, który siedział obok i ciężko oddychał.

– *Będiesz? Lepiej się zastanów. Co z nim? Rozumiesz coś z tego?*  
– Nie bardzo. Chodzi o tego Pawła? Co z nim? – spytał Gawłowski.  
– Wiem tyle, co ty. Trzeba dowiedzieć się, kim on jest. Może coś nam powie na temat dziewczyny.

Iwanowicz cofnął się znów do folderu nadrzędnego i wybrał tym razem katalog z filmami. Był w nim tylko jeden film. Uruchomił plik wideo.

Dziewczyny siedziały na szkolnej ławce i śpiewały piosenkę. Iwanowicz, co było do przewidzenia, nie znał ani wykonawcy, ani tytułu. Rozpoznał jednak jakiś wakacyjny hit, bo ostatnio słyszał ten utwór w radiu. Filmik trwał dwie minuty i pięć sekund. Nieufnie przyglądali się każdej osobie, jaka pojawiła się w kadrze. Komisarz pomyślał, że taka właśnie jest współczesna młodzież – filmująca swoje chwile, ważne i mniej ważne. Śmieszne ujęcia z lekcji, grę na boisku, popisy kolegów skaczących na deskorolkach. Dla dziewczyn śpiewanie piosenki było przejawem potrzeby nagrania swojej małej rzeczywistości, która jest dla nich ważna. Sfilmowały swój śpiew na jednej z przerw. Czy film miał jakiś sens, czy było to raczej niewinne nagranie, jakich są tysiące w Internecie i w telefonach młodych osób? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Po dwóch minutach film nagle się urwał, zniknęła chęć na dalsze wspólne śpiewanie.

Został im ostatni folder *Zdjęcia*. Iwanowicz wszedł w folder *Z dysku*. W pamięci telefonu znajdowało się kilkadziesiąt zdjęć, z czego ponad trzydzieści to były tapety telefonu oraz wygaszacze ekranu zapisane w formacie gif. Nie wnikał w to, co przedstawiały obrazki, bo nie miało to żadnego znaczenia, choć pewnie zdjęcia mówiły coś o charakterze dziewczyny. Pozostałe fotografie nieco bardziej zainteresowały policjantów, choć już z podglądu miniaturk komisarz uznał, że nie znajdzie między nimi niczego szczególnego. Ponad dwadzieścia z nich zrobionych było niedbale, większość na szkolnym korytarzu. Patrycja i jej koleżanki. Na wszystkich zdjęciach wyglądała na radosną. Zatrzymał przewijanie, wybrał jedno najodpowiedniejsze zdjęcie. Przyglądał mu się przez chwilę. Włączył opcję drukowania. Po paru sekundach maszyna rozgrzała się i wydrukowała zdjęcie nastolatki, potem przypiął je na tablicy korkowej, która wisiała na wprost niego, tuż obok drzwi wejściowych. Wrócił do przeglądania pozostałych zdjęć. Patrycja robiła selfie, niektóre były pozowane przy lustrze, inne w towarzystwie koleżanek. Znów te same twarze, które widział na filmie. Musiała to być Monika, Majka i Julia. Słynna trójca, o której już słyszał, ale której nie zdążył jeszcze poznać, ale i na to przyjdzie czas. Zdjęcia ze szkoły, z boiska szkolnego. Na niektórych pojawiali się chłopcy, najprawdopodobniej koledzy z klasy, ale musieli to ustalić. Uśmiechali się, nikt nie miał wrogiej miny ani nie przejawiał nienawiści. Ale to tylko zdjęcia, prawda mogła się kryć pod pozorami. Iwanowicz właśnie takich zdjęć szukał. Miał nadzieję, że wśród bliskich Patrycji osób znajdzie kogoś, kto miał wobec niej złe zamiary, kogoś, kto mógł mieć wpływ na jej zniknięcie. Pragnął znaleźć zdjęcie, na którym znajdzie coś szczególnego, coś nietypowego, coś, co zaklasyfikuje daną osobę jako taką, która mogłaby się cieszyć z jej zniknięcia. Na pozostałych pojawiał się niemal ten sam obraz sprzed kilku i kilkunastu tygodni – szkolna codzienność. Wszystko się zgadzało. Młoda dziewczyna fotografowała osoby ze swojego otoczenia, wyłącznie te, które były dla niej ważne. Zapewne większość była z jej klasy. Z klasy 1B, a od września 2B. Przeglądanie folderu nie dało większych rezultatów poza tym, że pobeżnie

wniknęli w jej życie. Ale to wciąż za mało. Była to tylko częśćka jej świata zakodowana pod postacią bitów.

Za mało, powtórzył w myślach.

Pozostał folder *Usunięte*, jednakże i ten nie przyniósł żadnych rewelacji, co tylko zmartwiło komisarza. Kilkanaście usuniętych zdjęć, zapewne dlatego, że były nieudane i rozmazane, z efektami nagłego przesunięcia, na których widniały charakterystyczne przeciągnięte linie, powodując, że było ono nieczytelne, a twarze wyglądały jak z horroru. Błede, jasne, źle oświetlone oblicza osób, które wyglądały jak zmarłe.

Być może jedna z nich właśnie zmarła, pomyślał ponuro komisarz.

Nikt nie chciał mieć w pamięci telefonu nieudanych zdjęć.

Nikt nie chciał w wieku czternastu lat wyglądać jak zmarły.

Wszyscy chcieli żyć pełnią życia.

Niestety nie każdy mógł.



Po południu pojechał na obiad. Klucze, tak jak się umówił z samego rana z kuzynką, zostawili u sąsiadów, bo uznał, że lepiej jeśli nie będą przyjeżdżali na komendę. Nie miał żadnych obaw, by zostawili je u zaprzyjaźnionej z nim pani Lucyny; sam niejednokrotnie tak robił, gdy tylko zaszła taka potrzeba. Zamówił pizzę do domu, a potem, gdy już zjadł niemal całą, zdrzemnął się.

Śniły mu się twarze z niedawno przeglądanych katalogów z telefonu Patrycji Linkiewicz. Twarze ożywały, przysuwały się do niego, coś szeptały zniekształconym głosem. Ale były to głosy zamazane, niewyraźne, niczym twarze, które ktoś kreślił ołówkiem i jednocześnie wymazywał, by jak najszybciej się ich pozbyć. Czy właśnie to zrobiła ze swoją przeszłością Patrycja? Usuwając nieudane zdjęcia, chciała się czegoś pozbyć? Nie samych zdjęć, ale właśnie czegoś innego. Czy między tymi zdjęciami kryła się odpowiedź na pytanie, co się z nią stało? Komisarz przez sen rozmyślał o śledztwie, co zdarzało mu się niestety coraz częściej. Sen nie zawsze gwarantował oderwanie od rzeczywistości. Sen i jawa się przenikały.

Kilkanaście minut później obudził go budzik w telefonie. Nie chciał spać za długo, dlatego miał nastawioną drzemkę. Musiał dyscyplinować samego siebie, bo bez tego mógłby obudzić się dopiero wieczorem i cały dzień przeszedłby bokiem, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie w takim momencie. Nie w chwili, gdy Patrycja zaczynała nabierać w jego głowie coraz wyraźniejszych kształtów i charakteru. Stawała się osobą nie tylko ze zdjęcia i opowieści jej rodziców. Wniknął w jej namacalną prywatność, czuł się tak, jakby powoli ożywała w jego wyobraźni. Ale tylko w niej.

Po drzemce wrócił do komendy. Wbiegł po schodach do swojego biura. Natknął się na kilka osób, które próbowały go zagadać i dowiedzieć się czegoś o postępach poszukiwań, ale wszystkich zbył wyjaśnieniem, że niczego nie wie. Policjant siedzący w dyżurce próbował go zatrzymać i przekazać informację, ale Iwanowicz go zignorował. Wyłączył się dla otoczenia i na razie nie chciał z nikim rozmawiać.

W biurze był sam. Wziął z biurka kartkę z zanotowanym numerem telefonu i wybrał go. Od razu usłyszał komunikat informujący, że abonent jest niedostępny. Spojrzał jeszcze raz do swojego komputera i otworzył plik z danymi. Numer się zgadzał. Wykręcił ponownie, ale tym razem z telefonu stacjonarnego. Automat znów przekazał identyczny komunikat. Zaczął nerwowo stukać palcami po blacie. Może ktoś celowo wyłączył numer?

Załopotąła żaluzja w oknie, a w powietrze uniósł się kurz, jakby przed chwilą ktoś tędy przeszedł z ogromną prędkością, ale był to tylko chwilowy przeciąg. Wykręcił numer informatyka policyjnego z wydziału techniki operacyjnej. Zlecił mu, by dowiedział się wszystkiego na temat interesującego ich numeru. Poprosił o potraktowanie sprawy priorytetowo. Myśli wirowały mu w głowie. Wyciągnął z szuflady biurka dużą i czystą kartkę papieru i zanotował:



*Co z nim? (Monika)*  
*Będziesz?*  
*Lepiej się zastanów.*

Autorem pierwszej wiadomości była Monika, jedna z najbliższych koleżanek Patrycji.

– Co z nim? – powtórzył na głos. Pomieszczenie było wygłuszone przez meble, toteż głos wydawał się pusty, jakby dochodził z wnętrza dużego pudła. – Kogo, Patrycjo, dotyczą te słowa? To musimy teraz ustalić w pierwszej kolejności. Czy chodzi o Pawła? To właśnie o nim mówimy, Patrycjo? – zadawał sobie na głos pytania, jakby z nią rozmawiał.

Kilka tygodni temu zauważył, że mówienie do siebie przychodziło mu coraz łatwiej. Bał się, że to może oznaczać już coś poważnego.

Kilkanaście minut później do biura wszedł Gawłowski, który trzymał w ręku przezroczystą reklamówkę z jogurtem i kefirami. Widząc i słysząc, że jego kolega mówi do siebie, stał w wejściu i spoglądał na niego jak na eksponat muzealny, kręcąc głową.

– Słyszałem jakieś głosy przed chwilą, rozmawiałeś z kimś?

– Sam ze sobą.

– Ach, rozumiem, a dogadaliście się?

– Jak zawsze.

– No to nie mam więcej pytań. Grunt to się dobrze rozumieć. – Podkomisarz kiwnął głową i przeszedł do porządku dziennego nad zachowaniem kolegi. Usiadł ciężko na fotelu obok i wyciągnął jedzenie z reklamówki. Odsunął wszystkie dokumenty i zrobił miejsce na biurku. Ono w tej chwili było dla niego najważniejsze.

– Kurwa, ale ostatnio jestem głodny. Jakbym miał tasiemca, mogę wpietrzyć bez końca.

Iwanowicz nawet nie zareagował na jego wypowiedź.

– Mamy sporo rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim musimy jeszcze raz przesłuchać Linkiewiczów. Trzeci dzień, a ich córki wciąż nie ma. Potem musimy ustalić, o kim mogły rozmawiać.

– Co rozmawiać? – zapytał niewyraźnie, bo miał pełne usta.

– W tych wiadomościach.

– A jakie to ma znaczenie?

– Odpowiem inaczej. Nie bez znaczenia jest to, że usunęła wiadomość.

– Nie przesadzasz?

– Do tej pory nurkowie nie znaleźli zwłok dziewczyny. Nikt się nie zgłosił na komendę ani jakiś okoliczny komisariat. Nie ma na razie żadnych śladów. Jak znam życie i potrafię sobie wyobrazić, co dzieje się kilka kilometrów stąd na ulicy Sudeckiej, to matka rwie sobie włosy z głowy.

– Albo już nie ma czego rwać.

– W sprawę poszukiwań dziewczyny jest zaangażowanych kilkunastu policjantów. Patrole też nie próżnują, robią, co się da. Mało tego, prokurator śledzi każdy nasz ruch. A jeśli nie każdy, to prawie. Zaraz się, kurwa, poczujemy jak w policyjnym Big Brotherze. Mija już trzecia doba. Media kilkakrotnie nadawały komunikat o jej zaginięciu. Czy naprawdę uważasz, że będę bagatelizował jej telefon i pominię sprawę usuniętych wiadomości? Skąd wiesz, czy te SMS-y nie mają dla nas znaczenia?

– Bo są sprzed paru tygodni? – odparł bez przekonania Gawłowski i wzruszył ramionami.

– I co z tego, że sprzed paru tygodni? Dziewczyna mogła się w coś wplątać, a sprawa ciągnąć miesiącami. Jacek, spójrz na to trochę szerzej. Nie możemy zignorować tych faktów, rozumiesz? Nie możemy. Trzeba wszystko sprawdzić, każdy szczegół. Po kolei – powiedział podenerwowanym i podniesionym głosem.

– W porządku. Zrobimy, jak zechcesz. W takim razie co planujesz? – Gawłowski mówił powoli. Widać, że był zmęczony nieustającym żarem płynącym z nieba. Pogoda była okrutna. Ludzie chodzili niemal na wpół żywi. Mijał już kolejny dzień bez kropli deszczu. Prognozy dla regionu wciąż były bezlitosne, co więcej, mówiło się, że najbliższe dni mają być jeszcze gorętsze, a już teraz termometry wskazywały trzydzieści pięć stopni, a momentami więcej. To wystarczyło, by człowiek po paru godzinach miał dość wszystkiego, marudził i był podenerwowany. Iwanowicz to rozumiał, ale nie mógł pozwolić, by cokolwiek w tej sprawie zostało pominięte lub zbagatelizowane.

– Po pierwsze trzeba się dowiedzieć, co to za numer, z którego przyszedł do Patrycji SMS „Lepiej się zastanów”. Brzmi to, jakby ktoś dawał jej... Bo ja wiem, coś w rodzaju ultimatum. Zrób coś albo... – Nie dokończył.

– Albo my ci coś zrobimy? Jak coś w rodzaju zakamuflowanej groźby, to fakt. Tak to widzę.

– Tak, i od tego musimy zacząć.

– Mam się tym zająć?

Komisarz kiwnął głową, patrząc na zdjęcie Patrycji Linkiewicz, młodej, ładnej dziewczyny. Miała blond włosy do ramion, sympatyczną i miłą twarz wzbudzającą zaufanie. Nie umiał powiedzieć dlaczego, ale uważał, że była dobra i pomocna. Takimi też słowami określiła ją wychowawczyni. Matka nie musiała tego mówić, ale wiadomo, że uważała tak samo. O swoim dziecku zawsze ma się najlepsze zdanie.

– Przyciśnij informatyków w sprawie telefonów. Pilnuj, by się nie opierdalali. Chcę wiedzieć o tych numerach wszystko. Koordynuj to z nimi.

Gawłowski zanotował i kiwnął głową.

– Co dalej?

– Przesłuchamy jeszcze raz Linkiewiczów. Tutaj, na komendzie. Powiedz, że musimy uzupełnić zeznania. Na razie nic nie mów o tym, co znaleźliśmy w telefonie, bo jeśli są w coś zamieszani, to zdążą się wykręcić albo coś wymyślą. Zajmij się tym teraz.

Gawłowski nie czekał na dalsze polecenia. Odsunął jedzenie i zniknął gdzieś w głębinach komendy. Iwanowicz w tym czasie przeglądał akta. Codziennie wszyscy zdawali raporty ze swojej pracy, oni również. Komisarz jednak pisał lapidarnie lub przekazywał to Gawłowskiemu, bo ten wykonywał za niego znaczną część papierkowej roboty. Nie było to nagminne, jednakże w momentach krytycznych i szczególnie trudnych wymieniali się obowiązkami i każdy zajmował tym, w czym czuł się lepiej.

Gawłowski wrócił po dziesięciu minutach, oznajmiając, że matka Patrycji gotowa jest przyjść choćby zaraz, bo według niej wszystko jest lepsze niż czekanie w domu. Ma być za dwadzieścia minut. Na ojca będą musieli poczekać do wieczoru, bo jest w pracy. Iwanowicz kiwnął głową. Wodził wzrokiem po wszystkich raportach, które zebrał w całość i ułożył na drugim stosie, część teczek leżała rozłożona jedna na drugiej niczym talia kart. Zamknął oczy i odchylił się w swoim fotelu tak mocno, że omal nie upadł do tyłu. Z zamkniętymi oczami bujał się w tył i w przód.

Skoro ojciec Patrycji nie mógł się teraz pojawić na komendzie na przesłuchanie, to trzeba go było ściągnąć siłą. Oczywiście wszystko w ramach rozsądku, bo w gruncie rzeczy mieli ograniczone prawa. Uznali jednak, że najlepszym rozwiązaniem będzie spotkanie się z nimi tutaj. Sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Marek Iwanowicz z wydziału kryminalnego. Dzwonię, bo chciałbym się z panem teraz spotkać na komendzie.

– O której dokładnie?

– Za piętnaście minut.

– Dzwonił do mnie przed chwilą pana kolega. Dosłownie minutę temu. Mówiłem mu, że naprawdę nie mogę, nie jestem w stanie teraz przyjechać.

– Od kogo zależy to, czy pan może urwać się z pracy, czy nie? Jest pan inspektorem budowlanym, więc może sobie pan, rzecz jasna w pewnym zakresie, regulować czas pracy, czy tak?

– Jestem teraz bardzo zajęty.

– Nie wątpię.

– Przykro mi, może za dwie, trzy godziny? Pasuje panu? Wcześniej nie dam rady.

– Proszę być za piętnaście minut na komendzie, bo musimy porozmawiać. W końcu chodzi o pańską córkę. Jeśli odmówi pan spotkania, zapraszam jutro osobiście do prokuratora jeleniogórskiego. Przekażę panu wszystkie namiary, gdy ustalę z nim termin spotkania. Proszę sobie na to jutrzejsze spotkanie zarezerwować co najmniej trzy, cztery godziny.

– Ale przecież tak nie można...

Iwanowicz się rozłączył.

Ty cholerny dziadu – wściekł się – co przed nami ukrywasz? Wciąż zachowujesz się jak nieprzenikniony sukinsyn, który w żaden sposób nie chce zaangażować się w sprawę zniknięcia córki. Czemu nie chcesz jej pomóc? I nam. Jest coś, o czym nie chcesz nam powiedzieć, czuję to, rozmyślał, układając w wyobraźni pytania i odpowiadając na nie. W tym czasie ponownie przejrzał zawartość telefonu dziewczyny. Wydrukował kilkanaście zdjęć, robiąc odpowiednie powiększenie do formatu A4. Wybierał te, na których było najwięcej osób z jej otoczenia. Jeśli twarze się powtarzały, a zdjęcia były do siebie stosunkowo podobne, pomijał je. W rezultacie naliczył pięć osób, które pojawiały się wokół niej.

– Trzy dziewczyny i dwóch chłopców. Wszyscy w podobnym wieku. Niemy krzyk, niesłyszalny śmiech, bez troska, radość i bezgraniczne zadowolenie z tego, że ukończyli rok szkolny. Typowe zachowania, które są wszystkim znane, w każdym miejscu, w każdym kraju, gdy ma się czternaście lat.

Przejrzał je jeszcze raz, a potem skompresował folder i wysłał go jako załącznik na swoją pocztę. Chciał mieć do nich dostęp także w swoim prywatnym komputerze.

– Żadnych innych osób w pobliżu – dodał.

– O czym mówisz?

– O niej.

– Ale w pobliżu obiektu czy w ogóle w życiu? – zapytał podkomisarz, bo nie rozumiał, co Iwanowicz miał na myśli. Czasami miał problem, by pośród ciszy i odgłosów dochodzących zza drzwi oraz wirowania wentylatora wyłapać sens słów kolegi, który rzucał luźne myśli po długim milczeniu. Iwanowicz często zaczynał mówić coś, co nie wymagało specjalnie dalszego

kontynuowania czy rozwijania. Mówiąc na głos, łatwiej mu się pracowało, choć wielu mogło to uznawać za dziwactwo.

– I takich, i takich. Na razie mamy tylko wstępne podstawy do tego, by ocenić, kto wokół niej się kręcił. Z kim się przyjaźniła, z kim zadawała. Jak na moje oko... – powiedział i zaczął wyciągać z szuflady okulary do czytania. – Jak na moje oko to są niewinne dzieciaki. Zwykli gimnazjaliści. Młodzi, dorastający. Nie znają brudów tego świata. Jeszcze nie wiedzą, co to zło, nienawiść. Cieszą się z piątki z fizyki, chemii, matematyki i innych przedmiotów, ale jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy, że do niczego im się ona w życiu, kurwa, nie przyda. Męczą się i pocą, by pozaliczać sprawdziany, które tylko uprzykrzają im życie. A potem nie mają z tego żadnego pożytku, żadnej radości. Młodzi i niewinni. Patrzą na siebie, przytulają się po koleżeńsku, obejmują, uśmiechają do obiektywu aparatu, który dostali od rodziców. Czują się tak, jakby stawali się panami tej szkoły, tego miejsca, tego miasta. Poznają swoje ciała, swoją biologię i fizjologię. A potem odczuwają wzajemne pożądanie. Zaczyna się buzowanie hormonów, budzi się w nich popęd. Czternasto – i piętnastolatki. Powoli, stopniowo zamieniają zabawki na gadzety, jakby się wstydzili przed rówieśnikami tego, że przed chwilą byli dziećmi. Stają się mentalnie kimś między dzieckiem a dorosłym, a to trudny stan. Nagle chcą błyszczeć, imponować dziewczynom, chcą się podobać, więc sobie żelują włosy, zaczynają modelować ciało, zachowanie i poglądy. W pewnej chwili dokonują rewizji i przewartościowują swój światopogląd. Układają po kryjomu własną pseudofilozofię życia, by zaimponować dziewczynie z klasy. Udają mędrców, cytując jakieś urywki z Nietzschego albo Grochowiaka, gdy tylko lizną współczesność na języku polskim – mędrców i artystów, których i tak ni w ząb nie rozumieją. Udają buntowników, którymi tak naprawdę nie są. Zaczynają robić wszystko, by podporządkować sobie życie, by w łatwy sposób rozładowywać pożądanie, i by zaspokajać zachcianki. A wszystko to w otoczeniu modnych ubrań, telefonów i odtwarzaczy mp3, które kupują im rodzice. Jeśli ich stać. Chcą tworzyć kręgi towarzyskie na wzór tych, które oglądają w telewizji, w tej przerażająco miálkiej sieczce, bo to ona stwarza dzisiaj wzorce. Płytkie, ale jednak wzorce. MTV, pokolenie bzdury i robienia z siebie kretyna. Zbierają się i tworzą tak zwane paczki. Modne, luzackie, wystylizowane, choć rzekomo naturalne i spontaniczne. I oto zaczyna się między nimi rywalizacja. Zaczynają dochodzić do głosu skryte pragnienia i zazdrość. Zaczynają rywalizować między sobą. Walczą o dziewczynę i jej względy niczym lwy. Rodzi się walka, stopniowo, powoli. Ci czternasto-, piętnastolatki wchodzą w rolę, które będą już im przypisane przez całe życie, a które zgasną w średnim wieku, gdy już będą mieli wszystkiego dość. Te role im spowszednieją. Walka... o względy, o bycie lepszym i modniejszym. Walka o dobra materialne, o lepszą dziewczynę. Tu wśród was – spojrzał na zdjęcie, mówiąc powoli – jest ta rywalizacja, ale jeszcze ukryta, jakby zgaszona. Ona jest, choć jej jeszcze nie widać. Jeszcze ze sobą nie walczyacie, ale będziecie. A może się mylę? – Spojrzał na chłopców. – Może wśród was jest już ktoś, kto chciał walczyć o Patrycję? Który z was chciał okazać się samcem alfa? Który z was, powiedzcie mi, jest tym, który się w niej podkochał, podrywał ją? Który z was chciał ją mieć na wyłączność? Co?

Monolog komisarza przerwał telefon z dyżurki. Policjant poinformował go, że na dole czeka Izabela Linkiewicz. Komisarz trzepnął zdjęciem, a Gawłowski patrzył pełen podziwu, ponieważ od paru minut przysłuchiwał się wykładowi. Iwanowicz odłożył słuchawkę i zszedł na parter po kobietę.

Po chwili wrócili do biura i wskazał jej twarde krzesło. Gawłowski skończył w tym czasie pić jogurt i schował wszystko do szafki. Przetarł dłonią pobrudzoną twarz.

– Napije się pani kawy? – zapytał zatroskany komisarz, który współczuł kobiecie. Od wczoraj zmieniła się nie do poznania. Zapewne było to niemożliwe, ale wyglądała, jakby schudła kilka kilogramów. Nikła w oczach. Topiła się niczym lód na piecu. Jej nieumyte blond włosy wyglądały jak spalone słońcem kłosa pszenicy. Ubrana była w tanią koronkową bluzkę. Była spocona i to, że usiadła nieopodal stojącego wiatraka, musiało przynieść jej ulgę.

– Tak, poproszę – odpowiedziała cicho.

Iwanowicz spojrział na kolegę i dał znak, by się tym zajął.

– Wezwaliśmy panią, bo mamy pewne podejrzenia i chcemy je możliwie szybko rozwiązać.

Spojrzała na niego z rosnącą obawą.

– Jakie podejrzenia?

– Przeanalizowaliśmy telefon pani córki i dostaliśmy już ekspertyzę.

– O Chryste, czego się dowiedzieliście? – przerwała mu gwałtownie, ożywiając się.

– Mam całą zawartość jej telefonu w swoim komputerze. Technicy przekazali nam dane i od razu zapoznaliśmy się z jego zawartością. Poza tym, że są w nim SMS-y, których Patrycja nie skasowała, informatykowi udało się odzyskać część, a może i całość usuniętych danych. Nie ma tego dużo, jednakże pani jako matka powinna je poznać.

Do biura wszedł podkomisarz i podał jej kawę. Z podręcznej szafki wyciągnął cukiernicę i postawił obok. Podziękowała skinieniem głowy. Wsluchiwała się w każde słowo, jakie padało w tym pokoju, a może czekała na coś, co ulży jej cierpieniom, jakby ten jeden z pokoiów wydziału kryminalnego był miejscem magicznym i jakby tu miała się objawić za moment prawda o losach jej dziecka.

– Co to za wiadomości? Niech mnie pan nie trzyma w niepewności, bo zaraz nie wytrzymam, jak Boga Kocham.

– Na razie nie umiemy jeszcze ocenić ich wartości, ale mamy pewne obawy, że ich adresat nie chciał niczego pisać wprost, więc posługiwał się półsłówkami. I dlatego tu panią wezwaliśmy.

– Czym, przepraszam?

– Półsłówkami, to znaczy nie mówił wprost. Chciał ukryć swoją intencję, ale dał Patrycji znać...

– Niech pan wreszcie powie, o co chodzi.

– Pierwszy SMS od Moniki. Jego treść brzmiała... – Iwanowicz sięgnął po kartkę i odczytał swoje notatki: „Co z nim?”

– Co z nim? – powtórzyła, ponawiając pytanie.

– Tak. Jak pani sądzi, o kogo mogła pytać?

– Jezu, nie wiem. Trzeba zapytać Monikę.

Komisarz zwrócił uwagę, że kobieta powtarza „Boże” albo „Jezu”. Słowa te wyrażały szok, doskonale oddawały stan jej uczuć.

– Próbowaliśmy, ale nie ma ich w Jeleniej Górze. Niemniej treść wskazywałaby, że wokół Patrycji ktoś się... kręcił. Nie wiemy jeszcze kto. Dlatego oczekujemy, że pomoże nam pani to ustalić.

Zadzwoił telefon. Znowu dzwoniło z dyżurki. Podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Marcin Linkiewicz do pana. Mówił, że był umówiony.

Wcale nie był umówiony, po prostu wystraszył się wizji spotkania w prokuraturze, pomyślał. Ale i tak przyjechał błyskawicznie. A to tylko początek tego, co komisarz chciał mu przygotować na nadchodzące dni.

– Już schodzę – powiedział i odłożył słuchawkę. – Za minutę wracam, czekajcie na mnie.

W tym czasie kobieta nieśmiało rozglądała się po biurze. Próbowła coś powiedzieć, zagadać siedzącego Gawłowskiego na jakikolwiek temat, ale to nie miało sensu. Przez chwilę mówiła coś o pogodzie. Czuła się zbyt mocno przytłoczona tragedią, jaka ją spotkała. Czekwała cierpliwie, ukryta w swojej skorupie.

Po trzech minutach do biura wszedł komisarz w towarzystwie jej męża.

– Proszę siadać. – Wskazał krzesło znajdujące się naprzeciw drugiego biurka.

Odwróciła się nagle. Spojrzała na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– A to co, przepraszam? – zapytała, dziwiąc się temu spotkaniu.

– To pani mąż – odpowiedział Gawłowski.

– Nie wiedziałam, że on też dostał wezwanie?

– Jesteście rodzicami Patrycji. Macie takie same prawa... – wyjaśnił. Zrobił przy tym minę znużonego sprzedawcy samochodu, który po raz kolejny musi pokazać sprzedawany towar. Wyraz nieskrywanej łaski i niechęci. – Jak więc wspominałem, znaleźliśmy w telefonie Patrycji wiadomość o treści „Co z nim?”. Czyją osobą mogła się interesować? – Dopiero po wypowiedzeniu tych pytań komisarz zorientował się, że użył przypadkowo czasu przeszłego.

Mężczyzna siedział nieporuszony i nie zdradzał żadnych emocji.

– Nic nie wiem, mąż pewnie też nie. Patrycja nic nam nie mówiła na ten temat. Co z nim? Co to może w ogóle oznaczać?

– Tego nie wiemy, chodzi na razie o ustalenie, co ich łączyło, ale przede wszystkim kim on jest.

– Naprawdę nie wiemy. Może miała chłopaka? Jak Boga kocham, nic nam nie mówiła. Taką rzecz na pewno by mi powiedziała... Ale żeby Patrycja? Miałam... Mam z nią dobre relacje, o wszystkim mi mówiła. To znaczy mówi. Przepraszam, zaczyna mi się plątać język.

– Ale jak widać, nie mówiła wszystkiego – skomentował Gawłowski.

– To po pierwsze – uzupełnił Iwanowicz. – A po drugie, czy wiedzą państwo, kim jest Paweł? Czy Patrycja ma kolegę o tym imieniu? Kuzyna, znajomego? Może to właśnie ten poszukiwany przez nas chłopak?

– Paweł, Paweł... Zaraz, chyba coś kojarzę. Tak, Paweł Winnicki, kolega z klasy – wyjaśnił ojciec.

– Znają go państwo?

– Niespecjalnie, a co? – odparła matka.

– Ja również nie – powiedział jej mąż – ale znam ojca, bo kilka razy rozmawiałem z nim na zebraniu rodziców. Miły gość. Nie żebyśmy się od razu dobrze znali, ale parę słów z jego ojcem w życiu zamieniłem.

– A więc samego Pawła pan nie zna?

– Nie, tylko ojca. Zamieniłem parę słów, jak mówię. Trudno mi cokolwiek o nim powiedzieć.

Na moment zamilkli. Iwanowicz bawił się swoją komórką, nie patrząc przez chwilę na zebranych. Delikatnie stukał nią w biurko, a potem obracał ją w palcach. Dopiero po jakimś czasie zauważył, że skupił na sobie wzrok wszystkich, więc otrząsnął się z zamyślenia.

– Dziwne i zastanawiające jest to, że skoro się znali, to Patrycja nie miała od niego żadnych SMS-ów w swojej skrzynce odbiorczej.

– Po co pyta pan o tego Pawła z klasy?

– Bo poza jedną wiadomością, usuniętą – kontynuował, ignorując pytanie ojca – natrafilismy na coś ciekawego, coś, czego nie możemy zignorować. Cztery dni temu wysłał wiadomość do państwa córki o treści „Czy będziesz?”.

– Jak to „czy będziesz”? Jak to „będzie”? Gdzie? – Linkiewiczowa zasypała ich pytaniami. Wyraźnie się ożywiła. – O co w tym wszystkim chodzi, co to za gierki? Proszę mi wszystko wyjaśnić!

– Nic więcej nie napisał i dlatego chciałbym to z państwem omówić. Dlatego pytamy o Pawła i o to, czy go znacie, bo może mieć coś wspólnego ze zniknięciem państwa córki. Po to to wszystko – spotkanie oraz liczne pytania o jej znajomych. Po to państwa zaprosiłem, żeby niczego nie pominąć.

– Na szczerą i do bólu uczciwą rozmowę – dodał Gawłowski.

Linkiewicz siedział napięty jak struna fortepianowa, która miała za chwilę pęknąć. Ubrany był tak jak ostatnio w koszulkę polo i jasne lniane spodnie. Opalenizna, starannie ułożona fryzura. Głęboko osadzone oczy spoglądały nieufnie i z pewną dozą niepokoju. Nie wyglądał jak inspektor budowlany, raczej jak biznesmen. Nie miał jednak przy sobie wiecznie dzwoniącej komórki, jaka jest symbolem tego zawodu – jedyna rzecz, która go wykluczała z grona biznesmenów, reszta pasowała idealnie.

Obok niego jego żona. Skulona, pulchna, nabita niczym worek. Do tego ubrana zupełnie bez gustu.

Jak ty nie pasujesz do tej kobiety, pomyślał Iwanowicz. Czy nie widzicie tego? Chorobliwie cierpiąca matka, która oddałaby swoje życie za życie córki. Obok niej mąż, wyglądający jak podstarzały model z niemieckiego katalogu mody. Coś tu się nie zgadzało, komisarz o tym wiedział. Ale co? Kim wy jesteście? Dlaczego się ze sobą męczycie, skoro wasza miłość, o ile kiedykolwiek istniała, dawno temu odpłynęła, zapewne z chwilą przyjścia na świat waszej córki. Czemu nie ustąpicie, czemu blokujecie siebie nawzajem? Czemu nie dacie sobie szansy na nowe, lepsze życie, bez tego męczenia się nawzajem. Iwanowicz nie mógł przestać myśleć o tym, jak bardzo do siebie nie pasowali, o tym, jaki tworzyli dysonans, który był widoczny z daleka – w ich związku brakowało zrozumienia, przyjaźni, empatii, miłości. Ktoś musi wam to wreszcie powiedzieć. Obudźcie się. Powie, że człowiek nie musi marnować czasu tylko dlatego, że dwadzieścia lat temu obiecał wierność. Obudźcie się, powtórzył w myślach, choć miał ochotę to wykrzyknąć.

– Rozumiem więc, że nie znają państwo Pawła? Nigdy nie był u was w domu ani Patrycja nigdy o nim nie wspominała?

– Nie – odparli niemal jednocześnie.

– I tutaj pojawiają się schody, z którymi musimy się zmierzyć. Wszyscy. – Po tych słowach zamilkł. Czekał i patrzył na reakcję, na gesty i to, jak przeżywają tragedię. Iwanowicz zauważył,

że przeżywali ją oddzielnie. Każde indywidualnie. Każde na swój sposób. Tragedia zbliża, owszem, ale nie ich, skonstatował.

– Bo albo państwo kłamią i trzeba to szybko wyjaśnić, albo córka was okłamywała.

Zrobił pauzę. Czekał na reakcję, które z nich odezwie się pierwsze.

– Niby dlaczego? – zapytał mężczyzna.

– Bo to wiem – odpowiedział szybko, lecz nie do końca mówił prawdę. Ryzykował, ale musiał zastosować słowny podstęp.

– Skąd?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, czy znaliście państwo Pawła.

– Nie.

– Czy wiedzieliście, że może być zamieszany w zniknięcie Patrycji?

– A był?

– Niewykluczone, bo oto przechodzimy do ostatniego SMS-a, jaki Patrycja usunęła niedawno.

– Jakiego? – zapytała wyraźnie zaniepokojona kobieta. Jej oczy rozświetliły się, jakby wszystko miało się za moment wyjaśnić. Linkiewicz jeszcze bardziej się spiął, co komisarz od razu zauważył.

– „Lepiej się zastanów”. Tak brzmi trzeci SMS, który Patrycja otrzymała parę dni przed zniknięciem. Nie wiemy jednak, skąd został wysłany. Próbujemy to ustalić. Potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

– Brzmi jak groźba – stwierdził mężczyzna i po raz pierwszy spojrzął na żonę. Izabela Linkiewicz nie zwróciła na niego uwagi. Dzielili ich ściana. Spoglądała na policjantów, jakby wciąż nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest i co robi. Była całkowicie oszołomiona, jakby owa tragedia pozostawała tylko marnym spektaklem z jej udziałem, w którym nie mogła się odnaleźć. Chciała jak najprędzej się z niego wydostać, zapomnieć o nim, a potem rzucić się w ramiona rzeczywistości, w której wszystko jest normalne i wszyscy są na swoim miejscu – głównie córka.

– Nie wykluczamy tego. Dlatego musimy mieć pewność, że mówicie nam absolutnie wszystko na temat swojego dziecka. I tego, z kim się zadawała – powiedział Gawłowski.

Komisarz przytaknął.

– Próbowaliśmy skontaktować się z tym numerem, jednakże bez rezultatu. Mamy pewne podejrzenia, że osoba, która wysłała jej tego SMS-a, może mieć jakiś związek ze zniknięciem państwa córki. Musicie się skoncentrować i pomóc nam w namierzeniu tego kogoś. Nie wiemy, kto wysłał jej tę wiadomość. Może ten sam Paweł, może ktoś inny. Jeśli ktoś inny – pytanie kto.

Iwanowicz nie mówił całej prawdy. Zlecił Gawłowskiemu rozpoznanie w sprawie numerów, z których zostały wysłane do dziewczyny wiadomości. Zapewne niebawem będą w posiadaniu pełnych informacji o tym numerze.

– Jak wspominałem, w jej klasie jest Paweł, ale nie kojarzę, by się przyjaźnili, właściwie to chyba nie mieli ze sobą kontaktu – powiedział ojciec dziewczyny.

Iwanowiczowi wszystko się zazębiało. Słowa Linkiewicza zgadzały się z tym, co sam myślał i zdążył już wywnioskować. Jeżeli rzeczywiście Patrycja została porwana, co już wcześniej podejrzewał, jej kolega z klasy nie mógł mieć z tym nic wspólnego. A może tylko pomagał, może był pośrednikiem. Bo czy czternastolatek mógłby porwać rówieśnicę? Czy dysponował odpowiednimi środkami, by coś takiego zorganizować? Szczerze w to wątpił, dlatego musiał teraz skoncentrować się na tym, żeby ustalić, kogo jeszcze znała.



– A inne osoby o tym imieniu? Czy ktoś przychodzi państwu na myśl?

– Nie. Kiedyś jeden z sąsiadów miał na imię Paweł. Paweł Walski albo Wolski, nie pamiętam. Miał wtedy ponad dwadzieścia lat, ale wyprowadził się z Jeleniej Góry pięć, sześć lat temu, więc Patrycja była wtedy młodziotka.

Komisarz odnotował tę informację w notesie. Kolejna osoba do sprawdzenia.

– Ktoś jeszcze?

Oboje pokręcili głową.

– Kuzyn, brat sąsiadów, znajomy? Sklepikarz, listonosz?

– Nikogo nie kojarzę – odpowiedziała Linkiewiczowa po chwili namysłu.

Iwanowicz znów to odnotował.

– Dobrze, idźmy dalej. Ponieważ w grę może wchodzić porwanie, muszę zadać dość istotne pytanie. Czy istnieje możliwość, że państwa córka została porwana dla okupu?

– Słucham?

– Zapytam wprost. Czy są państwo bogaci? Macie oszczędności, o których ktoś się dowiedział? – uściślił. Na ich twarzach pojawiło się zdziwienie i coś na kształt niedowierzania, że z ust policjanta padło takie pytanie.

– Słucham?! – zachnął się Linkiewicz. Oczy jego zrobiły się czujne i nieufne.

– Czy są państwo bogaci? – powtórzył naturalnym głosem komisarz. Wyczuł, że pytanie było według nich niestosowne, ale nie zamierzał się wycofywać.

– Ale co to ma wspólnego z Patrycją?

– Ma. To znaczy może mieć. Trzeba wykluczyć lub potwierdzić jak najwięcej scenariuszy.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponaglił ich Gawłowski.

– Podejrzewamy, co już przed momentem powiedziałem – kontynuował Iwanowicz – że Patrycja mogła zostać porwana. Do tej pory nikt się z nami nie skontaktował. Jak rozumiem z państwem też nie. Ale nie możemy wykluczyć, że stanie się to w najbliższym czasie. Za dzień, dwa, może za tydzień. I tutaj pojawia się odpowiedź o zasadność mojego pytania. Czy ktoś mógł porwać Patrycję dla okupu? Czy posiadają państwo jakieś oszczędności, obligacje lub inne wartościowe przedmioty, na które ktoś mógłby się połuszczyć? Poza tym jakiś czas temu prosiliśmy was o to, że jeśli ktokolwiek zadzwoni w sprawie córki, to od razu macie nam dać znać. Tak? Tak – odpowiedział za nich. – Teraz więc rozwijamy ten wątek i dochodzimy do szczegółów, bo już chyba najwyższa pora.

Mężczyzna odwrócił wzrok, którym jeszcze przed chwilą przewiercał policjanta. Teraz jednak złagodniał, po chwili spojrzął w okno, gdzieś w dal, w mieniącą się od żaru słońca codzienność. Błądził spojrzeniem, czując, że traci grunt pod nogami. Nawet na moment nie spojrzął na swoją żonę, która zamknęła się w sobie. Jakaś niewidoczna skorupa odgradzała ją od tego, co działo się w tym pomieszczeniu, i nie chciała zaakceptować żadnych stawianych przez policjantów teorii. Może nie chciała, może nie potrafiła albo była zbyt otępiała z powodu nawarstwienia się problemów. Spozstrzegł, że do tej pory prawie nie tknęła kawy, która już przestygła.

– Nie mamy dużych pieniędzy, mamy średniej wielkości mieszkanie, nie wiem, ile może być warte. Trzeba by sprawdzić aktualne ceny rynkowe. Poza tym jeden samochód terenowy, kilkuletnią mazdę. Też nie wiem, ile może być warta. Trzydzieści tysięcy? Może mniej, może więcej? Nie zastanawiałem się na tym. Ale czy ktokolwiek porywa komuś dziecko dla zwykłego samochodu? Dla mieszkania na kredyt? Brzmi to absurdalnie.

– A państwa oszczędności? Nie chcę być wścibski, proszę mi wierzyć.

– Każda wartość rodzi pokusy. Szybki, łatwy, choć cholernie niebezpieczny zarobek – wyjaśnił podkomisarz.

– Nie mamy dużych, teraz nie pamiętam, ile jest na koncie. Musiałbym...

– Wiem, zadzwonić do banku – powiedział za niego Iwanowicz. – Nie chodzi mi o konkretną kwotę. Tylko czy jest to pięć tysięcy, czy pięćset.

– A skąd tam, panie. Może dwadzieścia, może dwadzieścia cztery.

Policjanci spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Taka suma nie interesowałaby porywaczy. To za mało, by porywać czyjąś córkę. Niemniej musieli pamiętać o ewentualności, że ktoś, kto wiedział o ich oszczędnościach, mógł się na nie pokusić. Ale to wątpliwe. Nawet bardzo.

– Czy ktoś wie o państwa oszczędnościach? Znajomi, rodzina?

– Raczej nie. Jak wspomniałem, to nie są duże pieniądze. Nie ma się czym chwalić. Człowiek całe życie zasuwa i nie jest w stanie zarobić na dobry samochód...

Jedna z opcji, którą zakładali, została zmarginalizowana. Powód finansowy. Oczywiście Iwanowicz brał pod uwagę, że Marcin Linkiewicz mógł coś ukrywać lub nie powiedział im wszystkiego. Dla wygody jednak uznał, że powiedział prawdę.

– Spadek? Sprawy rodzinne? Jakikolwiek powód do zemsty? Zazdrości?

Oboje pokręcili głowami. Ich miny mówiły same za siebie. Komisarz zaczął bębnić palcami w blat biurka. Spojrzał na kolegę.

– Jeśli nie porwanie, to co? – zapytał po chwili Linkiewicz, by odejść od tematu związanego z finansami. Być może z jakichś powodów nie chciał o tym rozmawiać.

– Po to tutaj właśnie jesteśmy. Próbujemy to ustalić. Im więcej dowiemy się na temat Patrycji i państwa, tym łatwiej nam będzie poczynić jakieś kroki – wyjaśnił podkomisarz.

– Powtórzę pytanie, choć bardziej wprost – ciągnął Iwanowicz. – Czy mają państwo jakichś wrogów? Pan, pani? Ktokolwiek wam groził? Czy w ostatnim czasie działo się w waszym domu, w kamienicy coś dziwnego?

– Pan żartuje, prawda? My wrogów? Zwariował pan? To jakieś kpiny... Ile razy mamy pytać, po co to wszystko!

Iwanowicz błyskawicznie zrobił się czerwony, jakby ktoś go oblał wrzątkiem.

– Czy ja wyglądam na dowcipnisią!? – rzucił nieprzyjemnym tonem, patrząc wrogo na ojca Patrycji. Musiał pokazać, że cała ta dyskusja nie jest ich widzimisię, tylko próbują dowiedzieć się czegoś o losach dziewczyny. – Czy myśli pan, że stroimy sobie żarty, co!? – Wstał i uderzył otwartą dłońią o stół. W pomieszczeniu rozległ się głośny trzask, a biurko zadrżało. Oparł się o nie i spojrzął głęboko w oczy swojemu rozmówcy. Jeszcze jedno słowo i rzuciłby się na niego, ale znieruchomiał wyczekująco.

Linkiewicz spuścił wzrok. Nie odzywał się. Iwanowicz wyglądał groźnie. Gawłowski dostrzegł, że na biurku rozlała się kawa. Komisarz po paru sekundach zdecydował się usiąść.

– Nie, nie. Chodzi tylko o to, że nie wierzymy w to, co się stało. Nie możemy w to uwierzyć, jakby to był jakiś cholerny film... Przepraszam – powiedział skruszony Linkiewicz. – Nie umiem się właściwie zachować w ostatnim czasie. To mnie przerasta...

– Więc nam pomóżcie! Nie utrudniajcie, nie wnukajcie w to, dlaczego jakieś pytanie zadajemy. Chcemy wam pomóc. Przecież, do cholery, jesteśmy po tej samej stronie. Tak?

– Tak – potwierdził cicho.

– Więc? Ktoś mógł uprowadzić waszą córkę?

– Absolutnie nikogo nie podejrzewamy. Jestem zwykłym inspektorem budowlanym, pracuję uczciwie. Żona nie pracuje, kiedyś sprzedawała w sklepie spożywczym. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy komuś zaszkodzić. Naprawdę nie wiem i nic mi nie przychodzi do głowy.

– Rozumiem, że nie prowadzą państwo takiego życia, które mogłoby spowodować czyjaś wrogość, niechęć, zawiść? Pytam po raz ostatni, by więcej już do tego nie wracać i zamknąć ten wątek.

Iwanowicza prawie mdliło od tych pytań, ale musiał je zadawać.

– W porządku, proszę pytać, o co chcecie, nam już wszystko jedno... – powiedziała kobieta z ledwo tłącym się płomieniem w oczach. Gasła, a jednocześnie było w niej coś, co nie pasowało do całej zgaszanej sylwetki, ciała, spojrzenia. Co to było? Coś tajemniczego, jakby na dnie jej duszy kryła się cząstka nieokreślonego pierwiastka, do którego nie dało się dotrzeć.

– Nie może wam być wszystko jedno, musimy walczyć o dziewczynę. Nie ma jej kolejny dzień, to dobrze nie wróży, wiem, ale trzeba mieć nadzieję. Trzeba – podkreślił. – Dlatego musimy wymieniać się pomysłami. Zrobić burzę mózgow. Podajecie jakiś pomysł, a my to sprawdzamy. Mówicie, kogo znała, z kim się przyjaźniła, a my porozmawiamy z tymi osobami. Tak to powinno działać. Wy macie informacje, my mamy władzę i możliwości.

– Nie mieliśmy nigdy wrogów. Ani ja nie mam, ani też nie podejrzewam, by Iza jakichś miała... Boże, o co tu chodzi? Kto nam to zrobił i dlaczego?

– A w pracy? Czy wszystko się układa między klientami tak, jakby sobie pan tego życzył? Czy nie był pan skonfliktowany? Ostatnio, parę miesięcy temu?

– Nie, zupełnie nic. Wszystko robię jak należy i nie mam z powodu swojej pracy żadnych nieprzyjemności. Pracuję sumiennie i rzetelnie.

– Okej, zostawmy już to. – Komisarz zaczął stukać nerwowo palcami w biurko i oparł głowę na rękę. Myślał, co dalej. Sprawa się komplikowała. Porywacze powinni się odezwać. A jeśli nie oni, to kto? Przypadkowi turyści lub grzybiarze, którzy znajdą zwłoki w lesie?

Wrócił myślami do swoich rozmówców. Jakkolwiek zachowywali się nerwowo i kompulsywnie, to sami się już w tym wszystkim nie mogli odnaleźć. Nie mieli pojęcia, gdzie mogła być ich córka. Trzeci dzień. Zegar tykał. Odliczał martwe sekundy. Co się z nią stało? Do tej pory pływaczom nie odnaleźli jej ciała, mimo że codziennie przeszukiwali dno rzeki, zalewów oraz szukali przy słuzach i jazach. Patrole policji i straży miejskiej nie natrafiły na żaden ślad dziewczyny. Przed oczami komisarza pojawiły się sceny z przeszłości, z akt rozmaitych śledztw, nawet z programów telewizyjnych, w których sporo mówiło się o zaginięciach młodych osób. Przez lata nieodnalezionych. Fundacje, stowarzyszenia i Internet – ich siła oraz rozmach nieustannie pomagały docierać do świadków, kogoś, kto mógł coś wiedzieć na temat zaginionych. Ponad piętnaście spraw z okolicy Jeleniej Góry wciąż pozostawało niewyjaśnionych mimo upływu lat. Kilkanaście tajemniczych zniknięć. Brak śladów. Brak ciała. Brak znaku życia. Jakby było ono piórkiem, które w końcu ulatywało, wirowało w powietrzu, a potem niepostrzeżenie znikowało pod wpływem przypadkowego podmuchu. Równie lekkie, delikatne i tak łatwe do zagubienia.

Czy właśnie to spotkało Patrycję? Czy jej życie też zostało przerwane przez parszywe i nieszcześnie zrzędzenie losu, zastanawiał się. Czy dołączyła do tego szeregu osób zaginionych

i nigdy nieodnalezionych, tych, o których istnieniu będą za parę lat przypominać już tylko ułożone w piwnicy dokumenty nigdy nierozwiązanych śledztw?



Mieszkanie rodziców Mai Kulczyckiej znajdowało się w jeleniogórskiej dzielnicy PRL-owskich blokowisk na Zabobrze przy ulicy Kiepury w pobliżu powstającego od wielu lat kościoła. Jego budowa przebiegała tak ślamazarnie, że mieszkańcy stracili nadzieję, iż kiedykolwiek zostanie skończony.

Wcześniej Gawłowski rozmawiał przez telefon z rodzicami koleżanek Patrycji – Julii Nowak oraz Moniki Błaszkiwicz, ale obie rodziny wciąż są poza Jelenią Górą. Wracają z wakacji dopiero za kilka dni. Wyjechali razem do Mielnia. Przyjaźnią się ze sobą, jak tłumaczył ojciec Moniki, toteż jak co roku wyjechali na wspólny wypoczynek. Niestety Kulczyccy nie mogli wyjechać z powodów zawodowych. Prowadzą własną firmę i nie mogli sobie pozwolić na wyjazd w tym terminie.

Policjanci wjechali windą na szóste piętro wysokiego bloku i skierowali się ciemnym korytarzem w lewą stronę. W drzwiach czekał na nich wysoki mężczyzna. Mógł mieć nie więcej jak czterdzieści lat. Ubrany był, jakby właśnie wrócił z budowy, w wojskowe moro poplamione farbą.

Wyciągnął do nich dłoń.

– Dzień dobry, zapraszam. Maja czeka w dużym pokoju. Strasznie się stresuje, aż mi jej szkoda. No ale co zrobić? Mus to mus.

– Nam też szkoda. I nie tylko jej.

Dziewczyna siedziała na skórzanej kanapie i patrzyła na wchodzących mężczyzn. Przedstawili się i usiedli w szerokich fotelach. Maja przysunęła się do ojca.

– Czy podać coś do picia?

Podkomisarz machnął ręką, by nie robić kłopotu.

– Chyba wiesz, po co przyjechaliśmy – zaczął Gawłowski.

– Tak – odpowiedziała tak cicho, że ledwo co ją usłyszeli, chociaż siedzieli w odległości dwóch metrów.

– Chcieliśmy zapytać, czy wiesz, co się stało z Patrycją.

– Nie mam pojęcia.

– Wszędzie jej szukamy.

Dziewczyna spojrzała na nich i wzruszyła ramionami.

– To twoja najlepsza koleżanka.

– Prawie najlepsza, chociaż bardzo się przyjaźnimy. To prawda.

– Wspominała, że gdzieś wyjeżdża? Gdzieś się wybiera?

– Nie.

– Na wakacje, do koleżanki, do znajomych, do ciotki?

– Nie.

– Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiałyście?

– Chyba cztery dni temu. Przez telefon.

– Możemy wiedzieć o czym?

– O szkole. O tym, że wakacje szybko mijają... – Zawiesiła głos. – Takie tam gadanie.

– O czym jeszcze?

Znów wzruszyła ramionami. Jej ojciec nie zabierał głosu. Czuwał.

– O niczym ważnym. – Wzruszyła ramionami.

Dziewczyna była szczupła, miała faliste rude włosy. Jej czoło pokrywał trądzik, który próbowała maskować cienką warstwą pudru. Ubrana była w białą bluzkę i spodenki w kratkę. Uszy zdobiły błękitne kolczyki.

Spuściła głowę. Milczała. Iwanowicz nie miał pewności, ale wyglądała, jakby płakała.

– W tej sprawie wszystko może być ważne – dodał komisarz. – Maju, skoncentruj się. Zapomnij o tajemnicach. Zapominaj o wstydlivych tematach, o czyichś kompleksach, o tym, że dałaś komuś słowo. Do tej pory jedna z twoich najlepszych koleżanek nie wróciła do domu. Wyszła rano, by wyrzucić śmieci, i już nie wróciła. Nie ma po niej śladu. Wciąż szukają jej policjanci, strażnicy miejscy. Chcemy, abyś nam pomogła. Możliwe, że wiesz o Patrycji więcej niż my wszyscy. Ty, Monika oraz Julia.

– Naprawdę nie rozmawialiśmy o ważnych rzeczach. Po prostu śmiałyśmy się, gadałyśmy o ciuchach, o tym, że ściągnęła fajny album z Internetu. Słuchała muzyki i po prostu chwaliła się tym. Potem puściła inną płytę, też ściągniętą z Internetu. Pogadałyśmy trochę, może kilkanaście minut i to wszystko. Nic specjalnego. Często tak gadałyśmy.

– A jeszcze wcześniej? W poprzednich dniach?

– Nie. Raczej tylko z Julką i Moniką, ale też tylko przez telefon, bo są nad morzem. My nie pojechaliśmy. – Spojrzała na ojca. – Bo tato nie mógł. Zostały więc nam rozmowy przez telefon i esemesowanie.

– Co jeszcze?

– Nic.

– O niczym więcej?

– Nie.

– Rozumiem – odparł komisarz bez przekonania, bo niczego tak naprawdę nie rozumiał.

Ojciec spojrzał na nią.

– Maju, przypomnij sobie, kochanie. Może jednak Patrycja mówiła coś ważnego? – zapytał.

– Nie, tato.

Iwanowicz kiwnął głową. Podkomisarz wszystko szybko zapisywał, chociaż do tej pory niewiele tego było.

– Czy Patrycja miała chłopaka?

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie, z nikim nie chodziła.

– Na pewno? A osoby z klasy? W którymś z chłopaków była może zakochana?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Maja była małomówna. Sądził, że albo miała coś do ukrycia, albo ich obecność ją onieśmielała. Być może bała się mówić, co było poniekąd zrozumiałe. Stres. A może coś jeszcze.

– Paweł.

Spojrzała na niego z pewnym zaciekawieniem.

– Co Paweł?

- Patrycja znalazła kogoś o tym imieniu. Kim jest Paweł?
- Do naszej klasy chodzi Paweł Winnicki.
- I? Jakie ma relacje z Patrycją?
- Jak co drugi chłopak. Rozmawiamy, czasem się śmiejemy. Ale to nie jest jej chłopak.
- Rozmawiają ze sobą? Coś ich łączy?
- Nie, to zwykły kolega. Po lekcjach w ogóle się nie widzimy.
- A jednak Patrycja miała jego numer w telefonie – stwierdził Iwanowicz.
- No ale przecież to nic złego! Każda z nas ma numer do innych osób w klasie. To o niczym nie świadczy.
- Fakt. Ale to właśnie jego numer znaleźliśmy w jej telefonie. I SMS od niego. Dziwny, trochę niejasny.
- Jaki?
- Brzmiał „Czy będziesz”? Jest sprzed kilku dni. Stąd moje pytanie, bo zastanawiające jest to, że wiadomość została usunięta. Czy Patrycja mogła się z nim umówić? Rodzice Patrycji o niczym nie wiedzą. Jesteś niemalże jedyną osobą, która może coś wiedzieć.
- Gdyby się z kimś umawiała, na przykład z Pawłem, to pewnie bym o tym wiedziała. Mówiliśmy sobie takie rzeczy. Poza tym Pawła nie ma w Polsce od dłuższego czasu. Jest z rodzicami w Hiszpanii, chwalił się zdjęciami na Facebooku.
- Gawłowski skończył pisać. Spojrzał na córkę i jej ojca. W ich oczach widać było współczucie oraz potępienie dla tego, co się stało. Kulczycki objął córkę i pocałował w głowę. Troszczył się o nią, bo być może i Mai groziło to, co Patrycji. Bo coś się wydarzyło, tylko nikt nie wiedział co.
- Czy miałyście jakieś plany na nadchodzące dni? Byłyście umówione? Chciałyście dokądś jechać, coś załatwić, kupić, spotkać się z kimś?
- Dziewczyna stanowczo pokręciła głową.
- Nie, miałyśmy się spotkać z dziewczynami, bo niedługo wracają znad morza. Zwykle spotkanie w domu Moniki lub Julki, bez znaczenia w którym. Czasami to jest po prostu spontan, decydujemy w sekundę i spotykamy się u jednej z nas. Są w Mielnie, więc będzie o czym gadać.
- Iwanowicz odchylił głowę tak mocno, że aż zobaczył sufit. Poczuli, jak mu strzeliły kręgi w szyi. Rozmasował ją, a potem zadał kolejne pytanie.
- Czy Patrycja mówiła o czymś, co wydawało ci się dziwne? W ostatnim czasie, parę tygodni temu...
- A co według pana mogłoby to być? Nie wiem, co policji wydaje się dziwne? Dla mnie dziwne jest to, że ktoś nie ćwiczy na WF-ie parę dni z rzędu albo nie ma w domu własnego pokoju.
- Nie, chodzi mi raczej o coś związanego z... bezpieczeństwem. Czy na przykład dostawała jakieś niepokojące wiadomości? Ktoś jej groził, prześladował ją?
- Nic nie wiem.
- Ktoś ją śledził? Zaczepiał? Podrywał?
- Maja uśmiechnęła się pod nosem, ale był to ten z rodzajów uśmiechów, którym człowiek próbował zasłonić prawdziwe uczucia.
- Podrywanie to chyba nie jest nic niepokojącego?
- Rzeczywiście, może nie to dokładnie miałem na myśli.



– Jasne, rozumiem – przytaknęła. – Wiem, o co panu chodzi. Chyba jednak nic takiego się nie działo. Raczej by mi powiedziała.

Policjant kiwnął głową.

– Dziękuję za poświęcony czas. Zostawię swój numer telefonu na wszelki wypadek; gdyby cokolwiek ci się przypomniało, proszę dać znać. – Wyciągnął z kieszeni wizytówkę ze swoim numerem.

Pożegnali się i wyszli z bloku.

– Za kilka dni wracają jej dwie inne koleżanki. Nie podoba mi się to wszystko.

– Co?

– Im też może grozić niebezpieczeństwo. Musimy przyspieszyć, bo za wolno się wszystko toczy. Z każdą godziną się od niej oddalamy. Albo ona od nas i od tego miejsca.

Iwanowicz wyciągnął telefon i wybrał jeden z numerów z książki adresowej. W tym czasie Gawłowski odszedł od niego i usiadł na ławce pod blokiem, bo stała w cieniu i chroniła przed słońcem.

Czekał kilka sygnałów.

– Cześć, tu Marek. Jak idzie sprawdzanie nagrań?

– Na razie lipa. Jak do tej pory na nic nie natrafiliśmy – odpowiedział młodszy aspirant Robert Jackiewicz. Iwanowicz miał w książce telefonicznej większość policjantów z komendy głównej, z którymi współpracował.

– Ile już udało wam się sprawdzić?

– Sporo, ale drugie tyle przed nami. Szukamy od wczoraj. Pomagają nam tu strażnicy miejscy. Wszystko się powtarza, ale i tak boję się czasami, że coś przeoczymy. Nagrania z monitoringu miasta nie są najwyższej jakości, ale robimy, co możemy. Jeszcze trochę, jeszcze trochę. Robota idzie do przodu. Jeśli dziewczyna szła ulicą Wojska Polskiego, w dół Sudecką w kierunku centrum, Bankową albo Wolności, to na pewno wcześniej czy później ją zobaczymy. Sęk w tym... – Rozmówca zawiesił głos, jakby coś się stało.

– Co? Masz coś?

– Nie. Po prostu przy każdej dość młodej dziewczynie, którą widzę na nagraniu, robię pauzę i przyglądam się jej. Teraz jakąś zobaczyłem, ale to nie ona.

– Jaki obszar bierzecie pod uwagę?

– Na razie promień obejmujący mniej więcej kilometr wokół miejsca jej zamieszkania. Sporo. Jeśli nie zobaczymy jej do jutra na nagraniach, bo wtedy powinniśmy skończyć, to znaczy, że zapadła się pod ziemię albo ją porwali jebani kosmici.

Komisarz spojrział ponuro na Gawłowskiego, który chwilami, niczym dziecko, potrafił się odciąć od otaczającej go rzeczywistości, od obowiązków i tego, czym się zajmował, i siedział beztrudnie uśmiechnięty, patrząc przed siebie. Nie interesowało go to, co ustalił komisarz. Może właśnie dlatego się nie dopytywał? Zachowywał się tak, jakby był gdzieś daleko, poza wszystkim, co tu się działo. Tak jakby nie współczuł i jakby jego nigdy nie spotkała żadna tragedia, nie czuł troski lub smutku.

Iwanowicz rozłączył się bez słowa pożegnania. Spojrzął znów w słońce, w sam środek piekła, które od kilku dni rozgrzewało bezbronną okolicę, na roztopiony od żaru asfalt, który uwalniał smród smoły, na parkingi i pnące się na kilkanaście metrów rozgrzane i ciasne bloki.

A potem pomyślał o innym piekle. O tym, do którego trafiła Patrycja.



Zrzucił z siebie brudne ubranie i otworzył butelkę czerwonego wytrawnego wina. Włączył kanał z wiadomościami. Kilka miesięcy temu kupił telewizor plazmowy z zakrzywionym ekranem. Najnowszy ponadpięćdziesięciocalowy model, na którym, jak go zapewniono w sklepie, widać każdy szczegół oglądanego filmu lub programu. Długo się zastanawiał, czy jest mu potrzebny taki sprzęt. Chodził tam i z powrotem po sklepie, machnął ręką, uznając, że życie jest po to, by realizować swoje kaprysy, o ile można sobie na nie pozwolić. Bo jeśli żyje się raz, to ten argument zawsze zwyciężał.

Po wiadomościach zaczął przerzucać kanały. Palec niemal sam podrygiwał. Czuł zmęczenie, ale nie tyle silne, by kłaść się spać. Wciąż rozmyślał o ostatnich godzinach pracy. O rozmowie z Mają Kulczycką. I tym, że nie wspomniał jej o wszystkich wiadomościach, jakie były w telefonie dziewczyny. „Lepiej się zastanów” brzmiało tyleż tajemniczo, co groźnie, przynajmniej tak mu podpowiadała intuicja, choć – analizował różne możliwe konteksty – mogła to być odpowiedź na wiele różnych innych i neutralnych zdań. „Chcesz iść do kina? Nie. Lepiej się zastanów” – to chociażby jedna z wielu rozmów. Mogła, ale podejrzewał, że było inaczej, ponieważ miał tylko złe skojarzenia i nie potrafił tego sformułowania wpleść w zwykłe codzienne pogaduszki.

Po rozmowie z Mają wysłał funkcjonariuszy po komputer Patrycji. Rodzice wyrazili zgodę i powiedzieli, że udostępnią wszystko, co trzeba. Jej pokój, jak również całe mieszkanie, według zapewnień, były do ich pełnej dyspozycji. Nie mieli niczego do ukrycia. Zależało im na tym, żeby policja mogła pracować pełną parą. Sprawnie i szybko.

Spojrzał na zegarek, minęły cztery godziny. Komputer powinien być już po wstępnej analizie informatycznej. Musiał im go przekazać, ponieważ system miał założone hasło dostępu. Nikt, włącznie z rodzicami, nie wiedział, jak ono brzmiało. Specjalista miał jeszcze wyciągnąć wszystkie ważniejsze informacje. Bo, jak wiedział z doświadczenia, w dzisiejszych czasach prawie każdy uznaje swój komputer za sprzęt służący rozrywce, pracy, niemal centrum multimedialne oraz narzędzie do komunikacji. Kiedyś widział przyklejony na szafce policyjnego informatyka żartobliwy slogan „Pokaż mi swój komputer, a powiem ci, kim jesteś”. W myśl tej zasady, z którą po części się zgadzał, sądził, że z zawartości komputera sporo się dowiedzą o jego właścicielce. To, z kim rozmawiała, o czym, jakie miała zdjęcia w komputerze, jakiej słuchała muzyki. Linkiewiczowie powiedzieli policjantom, że Patrycja dostała nowy laptop, gdy skończyła rok szkolny, a więc niewiele ponad miesiąc temu. Nowy komputer oznaczał być może w jej życiu jakąś zmianę niedostrzegalną gołym okiem. Być może prowadziła blog, pamiętnik, może miała notatki lub numery telefonów do kogoś, kto mógł mieć związek z jej zniknięciem.

A potem zaczął myśleć o sobie, o tym, co by się stało, gdyby ktoś przeszukał jego komputer? Nowoczesny laptop za kilka tysięcy z dużą matrycą o wysokiej rozdzielczości. Czarny z podświetlaną na niebiesko klawiaturą, który, według słów sprzedawcy, mógł pomieścić dziesiątki tysięcy zdjęć, setki filmów, mnóstwo plików tekstowych i dokumentów, a on

w gruncie rzeczy wykorzystywał zaledwie kilka procent pamięci dysku. Głównie miał w nim zdjęcia, które co jakiś czas przysyłał mu Jończyk albo Żabicki – z sekcji zwłok, z miejsc zbrodni, napadów czy wypadków. Dokumenty od prokuratora, sporo zeskanowanych akt. Było tego dużo, ale to wciąż ułamek tego, co według sprzedawcy oferował laptop. Skarbnica Iwanowicza. Centrum gromadzenia najrozmaitszych dokumentów. Co powiedziałby specjalista, gdyby spojrzął w historię przeglądanych stron? Setki logowań na pocztę, do strony banku, z której opłacał rachunki, linki do portali informacyjnych, bazy związane z toczącymi się sprawami, orzeczeniami sądów – po to, by być na bieżąco ze wszystkim. Czy to wszystko? Czy na tej podstawie oceniano się osobowość właściciela komputera? A co, pomyślał, z rzeczami, których w nim nie było? Nie było tu przecież żadnych filmów, ani jednego utworu muzycznego, gier, zdjęć z wakacji, filmów i nagrań z rodziną. Zadawał więc sobie pytanie, czy rzeczy przemilczane, rzeczy usunięte, rzeczy, które myślimy, że nigdy w życiu się nie wydarzyły, też podlegają ocenie i ostatecznemu ocenieniu. Czy osobowość ocenia się wedle tego, co w człowieku jest, czy na podstawie tego, czego brakuje? Zasepił się, a potem sięgnął po kieliszek wina. Rozmyślał o sobie, dzisiejszym dniu, przesłuchaniach, a potem o Anicie, z którą spędził wspaniałą wieczór. Cudowne chwile, które w człowieku może wyczarować tylko dziecko, tylko niewinna wspaniała osoba, którą się szczerze lubi lub kocha. Zaczął też siłą rzeczy rozmyślać o swoim synu, który zginął tragicznie na jego oczach na jezdni. Dwieście metrów od domu. Dokładnie kilkanaście sekund po tym, jak wyszli ze sklepu. Do dziś pamięta, co kupili. Wryło mu się to w pamięć niczym napis w kamieniu. Nowy plecak, dziesięć zeszytów, cztery w linie, sześć w kratkę, dzienniczek ucznia, piórnik z jego ulubionym piłkarzem Zinedine’em Zidane’em, zestaw flamastrów, nożyczki, klej. I dokładnie wszystko to zbierali policjanci kilkadziesiąt minut później z asfaltu. Setki, a może tysiące razy widział zdjęcia zrobione przez Żabickiego. Do dziś trzymał je w głęboko schowanym katalogu bez nazwy. Kilka dni po śmierci syna zadzwonił do technika i kazał mu przysłać wszystkie zdjęcia. Otrzymał maila z najtragiczniejszym załącznikiem, jaki można sobie było wyobrazić. Żabicki napisał: „To, o co prosiłeś, a czego nigdy więcej nie powinieneś ponownie oglądać. Łączymy się z Tobą w bólu”. Zdjęcia skopiował na dysk, ale nie wiedział, do jakiego folderu ma je wrzucić. Sprawy prywatne czy...? Przez parę minut zastanawiał się, jak zaklasyfikować zdjęcia zwłok własnego syna. Jakimi komentarzami je opatrzyć, jak nazwać?

Mateusz szedł do czwartej klasy. Było to dla nich ważne wydarzenie. Nowi nauczyciele, nowe przedmioty, kółka zainteresowań. Nieopisane zaciekawienie tym, co go czeka. Był drugim z najlepszych uczniów w klasie, więc nie mógł się doczekać nowych wyzwań, zwłaszcza konkursów. Uwielbiał czytać książki z nauk ścisłych. Miał typowo logiczne zainteresowania; w mig rozwiązywał zadania matematyczne, świetnie zapamiętywał trudne nazwy geograficzne. I choć był prymusem, wcale się nie wysiłał, by mieć bardzo dobre oceny. Uczenie nie sprawiało mu żadnych trudności, choć gorzej mu szło z rysowaniem czy śpiewaniem. Nie czuł się w tym mocny.

Był sierpień, zbliżał się koniec wakacji, wyjątkowo nie mógł się doczekać nowego roku szkolnego. Apelu pierwszego września, gdy spotka się ze swoimi kolegami, potem pozna nową wychowawczynię. Ranek był ciepły, niemal bezwietrzny. Marek zamknął drzwi sklepowe, w drugiej ręce trzymał torbę pełną zakupów. Rozmawiał przez telefon, który przyciskał ramieniem do ucha. Mateusz wyskoczył przed ojca, zaczął biegać, podskakiwać, chciał uciekać

i bawić się, kto pierwszy dobiegnie do domu. Dwieście metrów. Ta niewielka odległość między punktem A i punktem B, sklepem i domem. O czym wtedy myślał? O czym rozmawiał? Setki, jeśli nie tysiące razy wracał do tego dnia myślami. Setki, jeśli nie tysiące razy żałował, że wówczas nie był dość ostrożny i czujny. Nie przypilnował własnego syna. Nie zadbał o jego bezpieczeństwo. I nie uratował. On, który dba o bezpieczeństwo tego miasta. On, który właśnie rozmawiał z prokuratorem w sprawie niedostatecznie zebranego materiału dowodowego w sprawie pobicia mężczyzny w jednej z jeleniogórskich dyskotek i o braku podstaw do oskarżenia. Był wściekły, że przez następne dni lub tygodnie będzie musiał się tym zajmować. Pamiętał też, że spojrzał w niebo, by ocenić, czy jeszcze zdążą pojechać do parku. Co jeszcze pamiętał z tego dnia? Niewiele, ale przede wszystkim tę rozmowę z prokuratorem. A potem to, że zakończył ją, schylił głowę, by schować telefon do kieszeni.

Nie wiedział, że za kilka sekund stanie się coś, co na zawsze zmieni jego życie i wpłynie na to, jaki będzie. Nie wiedział, że to odwrócenie głowy, schowanie telefonu do kieszeni i rozmyślanie o kilku rzeczach jednocześnie będzie go tyle kosztowało. Nie zdawał sobie sprawy, że jego syn znajduje się za blisko ruchliwej jezdni. Uśmiechnął się pod nosem, pomyślał o parku, a potem usłyszał z oddali wołanie syna. O co go wtedy prosił? Ach tak, miał go gonić do domu, a ten, kto przegra, robi kolację. A potem ujrzał ten jego cudowny uśmiech, ten, na który patrzył prawie dziesięć lat, nieustannie dziękując losowi, że ma syna. Nawet nie zdążył zareagować, odpowiedzieć ani krzyknąć. Mateusz rzucił się biegiem na przejście dla pieszych. Nie było świateł. Należało czekać, aż zwolnią auta. Ale czy ten ciągle uśmiechnięty dziesięciolatek o tym zapomniał? Czy nie zauważył czarnego auta, które zbliżało się z dużą prędkością?

W komputerze miał kilkadziesiąt zdjęć z miejsca wypadku. Od trzech lat, po tym, jak rozliczył się ze swoją tragiczną przeszłością, nie zaglądał do tego folderu. Folder bez nazwy był zamknięciem etapu w życiu. Rozliczonym, odżałowanym. Trzyletnia i najtragiczniejsza żałoba. Ten czas to było wyprucie z człowieka całego optymizmu i szczęścia. Wyzbycie się każdego skrawka uśmiechu i pogody. Iwanowicz stał się innym człowiekiem, bardziej chłodnym, smutnym. Nie umiał sobie z tym poradzić. Cierpiał niewyobrażalnie. Płakał, kilka razy chciał popełnić samobójstwo, ale za każdym razem odzywały się w nim resztki zdrowego rozsądku. Małej, niemal niedostrzegalnej siły, która kazała mu żyć. Przede wszystkim po to, by do końca swojego życia pielęgnować pamięć o zmarłym synu, na wszelki możliwy sposób. W tym ogromnym cierpieniu nie umiał siebie zaakceptować. Nie potrafił pojąć, dlaczego spotkało go najtragiczniejsze z możliwych zrzędzeń losu. Nie umiał i do dziś nie umie odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego to się stało. Dlaczego Mateusz wbiegł na jezdnię? Co takiego się stało? Kto popełnił błąd?

Nigdy się tego nie dowiedział, mimo że codziennie zadawał sobie to pytanie, ale było to bezcelowe. Pytanie wracało bez odpowiedzi niczym echo odbite od ścian. Nigdy się nie dowiedział, dlaczego musiał zginąć ukochany, upragniony i jedyny syn, ten, którego przez całe życie tak pragnął. Jedyna osoba, którą kochał i którą miał. Jedyna, dla której żył, którą wspierał, otaczał troską i uczył świata. Chciał być dla niego przewodnikiem, ale przede wszystkim przyjacielem. Kimś, na kogo obaj zasłużyli, ponieważ obaj mieli tylko siebie, nikogo więcej. Chciał pokazywać rzeczy ciekawe i inspirujące. Dokładnie te, które po jego śmierci okazały się nieistotne.

Sierpień.

Najtragiczniejsza chwila w jego zyciu, która będzie trwała już zawsze, od której się nie uwolni. Okres, po którym nigdy już nie będzie tym samym człowiekiem. Stał się kimś, kto na nowo z trudem odnajduje przyjemność w codzienności niczym osoba po wylewie, która uczy się mówić, pisać, robić najprostsze czynności. Małymi krokami w głąb tego, co utracone jak po ciężkiej, wyniszczającej chorobie.

Obejrzał film dokumentalny, a potem wyłączył telewizor. Nim dotarł do sypialni, poszedł do łazienki umyć zęby. Spoglądał przez chwilę na swoją zmęczoną twarz. Twarz osoby twardej, o silnym charakterze. Przynajmniej tak był zawsze postrzegany przez wszystkich; jako osoba ostra, niemal bezkompromisowa. Ale to była tylko jedna z masek.

Wyplukał jeszcze zęby płynem, przebrał się w szarą koszulkę z logo Chicago Bulls i poszedł do sypialni. W oddali usłyszał dzwonek telefonu. Podniósł się i poszedł do pokoju. Spojrzał na wyświetlacz, nieznany numer. Błyskawicznie przeanalizował, kto mógł dzwonić, ale nie przychodziło mu nic do głowy. Usłyszał kilka sygnałów i czekał, aż przestanie. Siedem, osiem, dziewięć. Telefon wciąż dzwonił. Odebrał.

– Słucham.

– To ja.

– Kto?

– Poznaliśmy się.

– Kim jesteś?

– Dzwonię, bo... – Głos był niezdecydowany, wyciszony. Iwanowicz zaniepokoił się i poczuł lekkie zdenerwowanie. Nie lubił bawić się w podchody, tym bardziej przez telefon i o tej porze. Miał za sobą setki, jeśli nie tysiące przeprowadzonych przesłuchań, rozmawiał z wieloma ludźmi i wielu z nich miało jego numer, dlatego starał się co dwa, trzy lata zmienić go, by odcinać się od starych spraw. Niejednokrotnie mu grożono, ale nigdy nie wyniknęło nic poważnego. Odszukał w pamięci wszystkie możliwe sprawy, w których ktoś musiałby się z nim teraz skontaktować, ale nie znalazł powodu do rozmowy o tej porze.

– Bo? Bo co?

Rozmówca chrząknął. Głos, który słyszał w słuchawce, skądś znał, ale nie kojarzył teraz skąd. Dziesiątki możliwości. Poszkodowany, świadek, oskarżony? Gorzej, jeśli skazany, który wyszedł już na wolność.

– Chyba... Chyba znalazłem dziewczynę.

Komisarz zamarł, poczuł, jak twarz oblewa mu fala gorąca. Podeszedł do okna i spojrzął na ulicę. W oddali na pomarańczowo świeciły latarnie. Przy lampach wirowały setki ciem i much. Leciały do światła bez opamiętania. Rozejrzał się po okolicy. Coś mu podpowiadało, że rozmówca znajdował się gdzieś blisko, ale nie wiedział, czemu tak pomyślał.

– Co?! Kim jesteś? – Komisarz wciąż próbował sobie przypomnieć ten głos, ale nie mógł skojarzyć. Na pewno był to starszy mężczyzna, ale kim był i skąd miał do niego numer telefonu?

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie.

Ciężki oddech osoby, westchnięcie, a potem wydech, jakby samo mówienie sprawiało tyle wysiłku.

– Spotkaliśmy się wczoraj, pamięta pan? – odpowiedział po jakimś czasie.

– Nie pamiętam.

– Jestem właścicielem stacji benzynowej. Wczoraj szukaliśmy dziewczyny na monitoringu.  
Zgadza się?

Iwanowicz zasłonił ciężkie firany i zamknął oczy. Skupił się wyłącznie na swoim rozmówcy.

– Tak. Pamiętam. Co z dziewczyną?

– Chyba ją znalazłem, ale... Sam nie wiem.

– Mów pan, do cholery, jaśniej! Gdzie ona jest?

Iwanowicz miał ochotę krzyknąć, ale musiał się powstrzymać. Nie mógł go za bardzo wystraszyć.

– Musimy się spotkać, nie mam pewności, czy to ona.

– W porządku. Gdzie i za ile?

Wysłuchał właściciela stacji. Rozłączył się, a potem pobiegł się ubrać. Było już późno, ale sen zniknął. Później zaczął dokładnie jeszcze raz odtwarzać w pamięci to, co usłyszał przez telefon.





Iwanowicz pognał na stację benzynową znajdującą się przy ruchliwym skrzyżowaniu ulicy Karkonoskiej z Jana Pawła II. Była to nieduża stacja ze sklepem i barem szybkiej obsługi. Wjechał na teren nieprzeznaczony dla samochodów, ale stanął tak, by nie blokować nikomu wyjazdu. Wyłączył płytę Hendrixa i trzasnął drzwiami. Spojrzał na zegarek. Było późno, ciemno i na szczęście chłodniej. Kilkanaście metrów od stacji znajdowała się droga, po której auta pędziły w kierunku Zabobrza.

Wyciągnął telefon i zadzwonił pod ostatni numer.

– Jestem już na miejscu. Czekam przy odkurzacach samochodowych.

Rozłączył się i zaczął chodzić wokół auta. Kopał nogą koła, by sprawdzić stabilność zawieszenia. Potem wyciągnął nawilżone chusteczki i przetarł reflektory oraz szyby. Po chwili zza budynku stacji wyszedł mężczyzna i podał komisarzowi na powitanie spoconą rękę. Był ubrany w jasne spodnie i koszulkę bez rękawów.

– Zapraszam do środka.

Weszli do ciasnego biura. Było tylko trochę większe od tego, w którym siedzieli wczoraj. Wyposażone w takie same meble biurowe, komputer stacjonarny oraz w dziesiątki dokumentów posegregowanych w odkrytych szufladkach. Na biurku stos faktur, gdzieś obok stał mały stoliczek. Za plecami mężczyzny znajdowała się szara szafa pancerna.

Komisarz usiadł i zaczął nerwowo stukać otwartą dłonią w biurko.

– Dobrze, a teraz do rzeczy. Od początku. Co pan znalazł?

– Myślę, że część tego, co chcę panu powiedzieć, możemy sobie darować. Po prostu wczoraj wieczorem był u mnie jeszcze raz pana kolega i prosił, żebym ponownie przejrzał nagranie z monitoringu. I tak też zrobiłem. Zostawił do was numery telefonów, na wypadek gdybym coś znalazł. Dwa numery. Domyślam się, że pierwszy był do niego, drugi do pana. Przejrzałem jeszcze raz nagranie. Szukałem nie od siódmej, tak jak wczoraj, ale nawet od szóstej pięćdziesiąt. Matce mogło się pomylić, prawda?

Iwanowicz kiwnął głową. Gość myślał logicznie, zauważył.

– Skąd mogła wiedzieć, że była to dokładnie siódma? No więc nie zastanawiając się zbyt długo, bo akurat miałem trochę wolnego czasu, zacząłem uważnie przeglądać nagranie z ulicy Sudeckiej. Szukałem, szukałem. Minuta po minucie. I nic. Ani śladu dziewczyny, która pasowałaby do rysopisu.

– I co? – zapytał policjant. Nie zdradzał swoich emocji, ale w rzeczywistości nie mógł usiedzieć w miejscu.

– Poszedłem krok naprzód. Jestem również współwłaścicielem tej stacji. Wraz z dwoma kolegami mamy spółkę. Zarządzamy tymi stacjami. Pomyślałem więc, że mogę w jakimś stopniu, większym lub mniejszym, pomóc. Zastanowiłem się. Skoro tam nic nie znalazłem, to może tutaj mi się uda – powiedział, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Wyraz twarzy zdradzał, że czuł też coś w rodzaju zadowolenia, a może nawet dumy.

– Do rzeczy – sprowadził go na ziemię komisarz. – Co pan znalazł?

– Przyjechałem tutaj niedawno. Ulica Sudecka jest ruchliwa, owszem, ale nie tak jak to skrzyżowanie. – Wskazał za siebie palcem. – Tutaj przecinają się dwie z większych ulic w Jeleniej Górze, przewijają się tu dziennie tysiące samochodów i tysiące ludzi. Większe prawdopodobieństwo spotkania tego, czego się szuka.

Komisarz słuchał jego słów, ale logika jego wyводу wydawała się tylko częściowo sensowna. Wręcz przeciwnie. Nie miało znaczenia, ile osób dziennie tędy szło. Czekał, aż facet przejdzie wreszcie do konkretów.

– Pomyślałem więc, że dokładnie przejrzę nagranie z tego dnia, kiedy zniknęła dziewczyna. Policzyłem też trochę. Skoro matka powiedziała, że dziewczyna wyszła z domu około siódmej, to ja wziąłem na to margines błędu i założyłem, że wyszła nieco przed siódmą. Rozumie pan? Żeby mieć pewność, że niczego nie pominę. Wszystko sobie zanotowałem i zająłem się pracą.

Komisarz kiwnął głową na znak, że wszystko jest jasne. Cały czas przyglądał się swojemu rozmówcy, który mówił jasno, dość precyzyjnie, co wzbudziło lekkie zaciekawienie Iwanowicza.

– A więc siódma. Wyszła z domu na ulicy Sudeckiej. Skoro miałyby tędy przechodzić pieszo, tym chodnikiem nieopodal wjazdu na stację, to dojście w to miejsce zajęłoby jej, policzyłem szacunkowo, nie więcej jak dwadzieścia minut.

– Dlaczego założył pan, że dziewczyna tędy przechodziła?

– A dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była zbyt oczywista, żeby wymagało to wyjaśnienia. – Skoro przeglądaliśmy monitoring przy Sudeckiej, to dlaczego, mając taką możliwość, nie przejrzeć tego? Co mi szkodziło poszukać? Przecież to nic nie kosztuje, a można pomóc. Źle mówię?

Komisarz uśmiechał się mimowolnie.

– Ustawiłem taśmy od siódmej pięć. Tak dla pewności. Szukałem minuta po minucie, klatka po klatce. Tutaj nawet o tej godzinie przechodzi sporo osób, dużo idzie do marketów, zapewne wie pan o tym, więc chyba nie muszę wyjaśniać.

Tak, wiedział, nawet był w jednym z nich niedawno z Anitą.

– Co pan znalazł?

– Początkowo po przejrzaniu kilkunastu minut straciłem nadzieję. Klikałem, nic tylko klikałem, potem podkręciłem tempo, a nagranie leciało szybciej. Przewijałem i przewijałem. Źmudna praca, tak jak wtedy, gdy razem szukaliśmy. Byłem już trochę znudzony, gdy nagle niemal podskoczyłem jak oparzony. Natychmiast zatrzymałem taśmę i znieruchomiałem. Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie, które mi zostawiliście, a potem porównałem z tym, co miałem przed oczami na monitorze. Potem znów na zdjęcie. Pamiętam, co mówiliście, pokazując mi fotografię. Że dziewczyna ubrana była w spodenki i niebieską koszulkę z krótkim rękawem. I że ma blond włosy. Później wyciągnąłem kartkę i zadzwoniłem najpierw do pana kolegi, ale nie odbierał. Nie zastanawiałem się długo, zadzwoniłem od razu pod drugi numer.

– Co pan odkrył? – zapytał z rosnącym niepokojem Iwanowicz.

Mężczyzna się uśmiechnął. Na jego twarzy rysowała się duma i zadowolenie. Gwałtownie obrócił ekran monitora w kierunku komisarza. Spojrzał na niego porozumiewawczo. Wyciągnął papierosa, przypalił go zieloną zapalniczką, zaciągnął się i wypuścił w górę dym.

– Niech pan sam zobaczy, panie komisarzu.



Przysunął twarz do monitora i podsunął krzesło. Nawet nie zauważył, że w pomieszczeniu gwałtownie zrobiło się duszno, a smród dymu z papierosa rozprzestrzenił się błyskawicznie i nawet wentylator stojący w kącie pomieszczenia nie był w stanie tego zmienić.

Na ekranie zobaczył szczupłą i wysoką jak na swój wiek dziewczynę. Widać było jej lewy profil. Mężczyzna przesunął kolejną klatkę. Spojrzała w jego kierunku, by sprawdzić, czy może przejść przez mały przesmyk, wyjazd ze stacji benzynowej, który przecinał chodnik. Wyglądała tak, jak opisała ją matka. Krótkie blond włosy, jasna i pogodna twarz. Przez myśl przebiegło mu określenie – pospolita, ale o regularnych rysach i ładna. Żadnych rzucających się w oczy znaków szczególnych czy czegoś charakterystycznego. Wyglądała jak typowa nastolatka, jakich dziesiątki, a może setki mija się na ulicach czy widzi w sklepach z koleżankami. Komisarz zwrócił uwagę, że dziewczyna miała na sobie rozpinaną bluzę. Matka opisała, że Patrycja wyszła w zwykłej koszulce oraz kłapkach. Przysunął się jeszcze bardziej i nagle dostrzegł coś, co go zaniepokoiło i spowodowało, że niemal zadrżał. Dziewczyna miała na nogach trampki. W górze ekranu zegar pokazywał siódmą trzydzieści sześć. Zakładając, że z domu szła około piętnastu minut, to wyszła tuż po siódmej. Wszystko obarczone było pewnym marginesem błędu, plus minus pięć, dziesięć minut. Mogła po drodze gdzieś wstąpić, wówczas szacowanie traciło na pewności.

Iwanowicz sięgnął po myszkę i nacisnął *Start*. Po chwili znów zatrzymał ujęcie. Obróciła głowę, spojrzała przed siebie i ruszyła szybko. Zbyt szybki krok jak na spacer. Puścił nagranie i zatrzymał po trzech sekundach. Dostrzegł coś jeszcze. Trudno było zorientować się co to. Cofnął o trzy sekundy nagranie i puścił ponownie. Szła chodnikiem, zatrzymała się na chwilę, obróciła głowę w ich kierunku, by sprawdzić, czy może przejść, i znów ruszyła przed siebie. Bawił się obrazem, przez co wyglądało, jakby była tańczącą w przód i tył kukłą. Całe ujęcie trwało około ośmiu sekund. Kamera była ustawiona na wyjazd ze stacji paliw. Cud, że nie zasłoniło jej jakieś auto, ciężarówka albo autobus. Wówczas być może nigdy by jej nie ujrzeli. I być może nigdy by nie natrafili na jej ślad. Całe tygodnie mogliby poświęcić na szukanie w innym miejscu. Pomyślał o tej cholernej, a niekiedy zbawiennej ironii losu. Sekunda, może dwie i nikt nigdy by nie znalazł tego nagrania. Sekunda lub dwie, które decydują o życiu lub śmierci człowieka lub o tym, że wpadną na jakiś trop.

Osiem sekund. Przewinął film i przyglądał się czemuś, co było najprawdopodobniej torbą przewieszoną przez prawe ramię. Sylwetka częściowo ją zasłaniała, ale szedł o zakład, że dziewczyna miała ze sobą małą, nierzucającą się w oczy młodzieżową torbę. Szła naturalnie, lekko. Widać było pośpiech, co do tego nie miał żadnej wątpliwości.

- Będę bardzo wdzięczny za kopię tego nagrania.
- Nie ma sprawy, podejrzewałem już wcześniej, że będę musiał wam to przekazać.
- Jestem panu bardzo zobowiązany, zrobił pan naprawdę dużo. Nie tylko dla policji, ale i dla jej matki.

Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo i zapytał, czy może zrobić coś jeszcze.

– Tak, czy przeglądał pan cały dzień?

– Niestety nie. Obejrzałem jeszcze kilkanaście minut, ale już się nie pokazała.

– Rozumiem. Odwalił pan kawał dobrej roboty.

Ktoś, kto się tak spieszy, na pewno nie ma zamiaru wracać tą samą drogą po paru minutach, pomyślał. Ale mogła wracać po paru godzinach, może nawet wieczorem. Mogła mieć zaplanowane jakieś spotkanie. Była z kimś umówiona? Ale z kim? Nie umiał znaleźć na to pytanie sensownej odpowiedzi, wiedział, że będzie to teraz kluczowa rzecz do ustalenia. Z kim mogła umówić się czternastolatka? Z koleżanką, z chłopakiem? Z kimś, kto pretendował do tego miana? Z kimś, o kim nie wiedziała ani matka, ani tym bardziej stanowczy ojciec. Myśli jeszcze przez jakiś czas krążyły mu w głowie, ale na razie ten pomysł wydawał się najbardziej prawdopodobny. Z kilku powodów.

– Wobec tego poprosimy pana również o nagranie z całego dnia. Musimy mieć stuprocentową pewność, że dziewczyna już więcej się nie pojawiła.

– Nie ma sprawy. Zaraz nagram wszystkie pliki na płytę.

Iwanowicz wstał i podciągnął spodnie od dresu.

– Zaczekam na zewnątrz.

Wyszedł, a potem podjechał pod dystrybutor i zatankował do pełna. Kupił jeszcze tygodnik, wodę mineralną, trochę słodczy, gumy miętowe i papierosy. Wszystkie drobne zakupy gromadził na przednim siedzeniu lub pod nim. Zebrał już tam spory zapas przekąsek. Czekał. Miał ochotę zapalić papierosa, ale pamiętał o przepisach bezpieczeństwa, więc pozwolił sobie jedynie na kilka batoników, by tylko się czymś zająć.

Na zegarze było grubo po dwudziestej drugiej. Spojrzał w lusterko. W pewnej chwili dostrzegł właściciela stacji, który po chwili podszedł do niego i wręczył mu płytę DVD.

– Tak jak pan prosił, panie komisarzu. Wszystko jest tutaj, życzę powodzenia.

Policjant kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Co pana tknęło, by szukać tej dziewczyny?

– Cóż mogę powiedzieć... – Wzruszył ramionami, jakby to było tak trudne i paradoksalnie tak łatwe do odgadnięcia. A potem spojrział w dal, w ciemną przestrzeń, jakby tam coś się kryło. Coś, czego nikt poza nim nie był w stanie dostrzec. – Po prostu czuję, jakby... jakby należało to do moich obowiązków.

Komisarz znów kiwnął głową na znak, że rozumie, i odjechał. Ani przez sekundę nie wierzył w słowa tego człowieka.



Wracając ze stacji benzynowej, zajechał do mieszkania po swój komputer. Potem zadzwonił jeszcze do komendanta, by poinformować go o nagraniu. To było coś, co dawało pewną nadzieję, że dziewczyna jeszcze żyje. Trzy dni to sporo, ale dawało im niezłego kopa. W tym czasie mogło się wydarzyć tyle, że aż trudno było zliczyć wszystkie możliwości, dlatego komisarz powstrzymał na moment wyobraźnię i pozwolił sobie na ten moment optymizmu. Chociaż jeden w ciągu ostatnich dni.

Gdy wjechał na podwórze, było przed dwudziestą trzecią. Późno, ale nie aż na tyle, by przekładać ważną sprawę na jutro. Nie mógł, a przede wszystkim nie chciał z tym czekać. Uznał, że nie powinien. Nawet gdyby dostał nagranie w środku nocy, ani przez sekundę nie zawahałby się tu przyjechać. Wyłączył silnik. Spojrzał w górę. Światła w mieszkaniu się świeciły. To dobrze, uznał. Wokół panowała cisza, jakby ktoś strzegł tego miejsca przed niepowołanym hałasem. Niewidoczny strażnik obserwował i wyczekiwał, a ściany budynków tłumiły odgłosy nieustannego ruchu samochodów. Wyciągnął torbę, płytę i wszedł do kamienicy. Odszukał w ciemności włącznik. Trzeszczące schody być może wzbudziły niepokój mieszkańców, ponieważ w korytarzu rozległ się regularny chrzęst. Nie dało się bezszelestnie zakraść do tego domu.

Zastukał do drzwi. Po kilku sekundach usłyszał poruszenie, ale nie było żadnej reakcji. Wiedział i czuł, że ktoś czekał. Widział to oczami wyobraźni i miał pewność, że ktoś znajdował się nie więcej jak metr od niego. Ponowił pukanie, bo nie chciał wzbudzać w nich jeszcze większego niepokoju.

– Kto tam? – odezwał się po chwili męski głos.

– Policja. Komisarz Iwanowicz.

Odblokowały się trzy mocno zaryglowane zamki. Stał przed nim Marcin Linkiewicz. Miał mokre włosy i był w samym podkoszulku oraz krótkich spodenkach, pewnie dopiero co wyszedł spod prysznic.

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojonym głosem, a wyraz jego twarzy nagle się zmienił ze zdumienia w zaniepokojenie. Mężczyzna zbladł, co było wyraźnie widać mimo opalenizny. Iwanowicz zdawał sobie sprawę, że jego wizyta w oczach zdesperowanych rodziców mogła oznaczać jedno – że przeszedł ze złą wiadomością. Przyjechał bardzo późno, był sam, miał ponurą minę. I to już wystarczyło, żeby wzbudzić niepokój.

– Mogę wejść? – zapytał spokojnie.

– Oczywiście. Proszę do pokoju.

Usiadł na kanapie.

– Gdzie pańska żona?

– Śpi. Udało się jej wreszcie zasnąć. Obudzić ją?

– Tak. Wolałbym, żeby przy tym była.

Bez słowa poszedł do przylegającej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Wszedł po chwili, a zaraz potem pojawiła się zaspana kobieta. Wyglądała jak ostatnie nieszczęście. Miała bladą twarz i podkrążone oczy. Na widok policjanta jeszcze bardziej zmarniała.

– Proszę usiąść – nakazał łagodnym tonem. Zdawał sobie sprawę, że nie zabrzmiało to ani delikatnie, ani serdecznie. Zwykle jego słowa brzmiały jak komendy. Mimo iż od dawna nie pracował w wojsku, pewnych zachowań nie dało się pozbyć. Miał tego świadomość, jednak też nigdy nie próbował tego zmienić. Często ułatwiało mu to pracę, gdyż nie miał problemów z precyzyjnym wyrażaniem myśli. No i ten przez lata wypracowany ton, którym się posługiwał. Wraz z odpowiednim gestem lub spojrzeniem zwykle dawał oczekiwane rezultaty.

– O Boże, nie... – Jej szept brzmiał tak, jakby za moment miał się zmienić w przeraźliwy spazm.

– Spokojnie, bez obaw.

Usiadła powoli na kanapie, trzymając rękę na sercu. Mąż ją asekurował, by nie upadła.

– Co się stało? Za moment dostanę zawału, nie żartuję.

– Przyjechałem w innej sprawie. Sam nie wiem, czy dobrej, czy złej. Sami państwo ocenicie, ja nie umiem.

Bez słowa wyciągnął laptopa, poczekał, aż się uruchomi. Włożył płytę do napędu. Spoglądali na niego w milczeniu, wyczekując wyjaśnienia, ale Iwanowicz nie zamierzał niczego mówić, dopóki nie pojawi się obraz. Kliknął na odtwarzanie, potem przesuwając paskiem postępu, odszukał odpowiedni fragment.

– Oto co udało nam się znaleźć dziś wieczorem. Nagranie pochodzi z dnia, w którym zniknęła.

Oboje przysunęli się bliżej i spojrzeli na monitor. Na ekranie pojawił się fragment filmu, który ukazywał osiem sekund z życia Patrycji sprzed trzech dni, godzina siódma trzydzieści sześć.

Szła szybkim krokiem, spojrzała w ich kierunku, nie mając pojęcia, że za parę dni jej rodzice będą w ciszy i półżałobie oglądali to nagranie. Że swoim zniknięciem poruszy niebo i ziemię, że niemal doszczętnie zrujnuje nerwy i zdrowie matki. Że postawi na nogi pół jeleniogórskiej policji i straży miejskiej. A także media.

Obróciła głowę i ruszyła w nikomu nieznanym kierunku.

Minęło osiem sekund, nagranie wciąż leciało. Po Patrycji ani śladu.

Milczenie. W oddali widać było jezdnię, po której co chwila przejeżdżały w obu kierunkach pojazdy. Niektóre przystawały, zatrzymując się przy znajdujących się nieopodal światłach. Chodnik po drugiej stronie ulicy był już mało wyraźny. W tle kołysały się wysokie drzewa, bujane porannym spokojnym wiatrem.

Cisza. Ani słów wydobywających się z nagrania, ani słów zaniepokojonych rodziców. Za oknem słyhać było rozmyty szum spokojnego miasta.

– Nie rozumiem – rzekła matka Patrycji po chwili wyczekiwania, aż coś się stanie. Nic więcej jednak się nie stało.

– Tak jak powiedziałem wcześniej, to nagranie jest zwiastunem dobrej i złej wiadomości.

– To znaczy? – zapytał Marcin Linkiewicz, który spoglądał to na komisarza, to na ekran i przygryzał nerwowo paznokcie. – Jak mamy to interpretować?

Iwanowicz westchnął głęboko. Zastanawiał się, co powiedzieć. Ułożył w myślach swoją wypowiedź, zanim tu przyjechał. Musiał być szczerzy, nie mógł ich oszukiwać, a jednocześnie chciał dać im pewien cień nadziei. Było to o tyle trudne zadanie, że musiał podzielić się z nimi



swoimi przemyśleniami. Nie lubił niczego robić na gorąco, ale od początku zakładał, że jego przyjazd tutaj jest bardziej wynikiem ludzkiego odruchu niż służbowego obowiązku. Kierowała nim zwykła potrzeba ulżenia im w cierpieniu.

– Dobra wiadomość jest taka, że nikt nie porwał Patrycji. To już chyba pewne.

– Jak to? – zapytał zaskoczony ojciec. – Przecież niedawno sugerował pan, że...

– Widzieli państwo nagranie? – zapytał błyskawicznie. – Widział pan to samo co ja. Tak?

Oboje zgodnie przytaknęli.

– Wiemy więc, że nie doszło do porwania. Proszę mi wierzyć, nie chcę tutaj wyklądać jakichś podstawowych zagadnień związanych z porwaniami, ale gdyby w sprawę zniknięcia państwa córki zaangażowani byli inni ludzie, to zapewne nigdy byśmy nie ujrzeli tego nagrania. Bo byłaby to zorganizowana akcja i Patrycja nie szłaby sama przez miasto. Mam nadzieję, że to jest zrozumiałe. Tak? Proszę pomyśleć logicznie. Chcę, by wszystko, co mówię, było dla państwa zrozumiałe.

Znów przytaknęli. Zgodnie, niemal synchronicznie.

– I tutaj muszę przejść do złej wiadomości.

– Jakiej?

Iwanowicz chciał być ostrożny w słowach, no i nie mógł mówić za dużo. Nie miał pewności, czy to, co powie, jest prawdą czy tylko domysłem. Logicznym, prawdopodobnym, nawet bardzo, jednak wciąż domysłem i owa hipoteza musiała znaleźć jeszcze potwierdzenie, toteż biorąc to pod uwagę, musiał ważyć słowa i nie powiedzieć niczego, co nie miałyby potwierdzenia w doświadczeniu, statystyce lub chociażby teorii. Bądź w zdrowym rozsądku.

– Patrycja celowo wyszła z domu. Zaplanowała wszystko od początku do końca. Swoje wyjście albo swoją ucieczkę.

Zamilkł. Poczekał, aż minie pierwsze wrażenie wywołane jego słowami.

– Ale może przesadzam. Może jest to jakaś banalna wycieczka, która... Naprawdę nie wiem, jak to określić, bo w grę wchodzi jeszcze inne możliwości. Wiem jednak, że to wszystko zostało zaplanowane. Od początku do końca.

– Jak to?! – zapytała matka.

– Jeśli nie została porwana, jeśli jej koleżanki są całe i zdrowe, jeśli nikt dookoła nie wie, gdzie podziała się Patrycja, i jeśli dodamy do tego to, co widzą państwo na nagraniu, wniosek nasuwa się jeden. Patrycja uciekła z domu, chociaż musimy jeszcze pewne rzeczy potwierdzić.

– Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę. To nie ma sensu. Słyszysz pan samego siebie?

Nie odpowiedział. Wiedział, co myślała, a myślała o swojej córce. Grzecznej, prawdomównej, z dobrymi ocenami. Ich zdaniem nie mogła tak po prostu uciec z domu. Nie mieściło się to w jej matczynym wyobrażeniu o idealnej córce. O dobrze wychowanej nastolatce. O wspólnym przeżywaniu problemów, trudnych zagadnień, dzieleniu się każdą drobnostką i trudnością. Coś się jej nie zgadzało, zapewne czuła się teraz zawiedziona i zdradzona. Córka o czymś nie chciała rozmawiać i czymś nie chciała się podzielić.

– Czy pamięta pan, co powiedziałam trzy dni temu? Ona mi o wszystkim mówiła. To niemożliwe. Nie wierzę panu.

A jednak, stało się, bo pozornie proste życie nastolatki się zmieniło, pomyślał. Coś pękło w jej prostolinijnej i ustabilizowanej codzienności. Jej rzeczywistość, do niedawna niczym niezakłócona, zmieniła się. Coś się w niej pojawiło. Coś, co kazało jej to zrobić. Nie mogła

wytrzymać i musiała działać. Albo chciała zwrócić na siebie uwagę. Ale czyją? Ich czy kogoś innego? – pytał sam siebie.

– Niestety, ale wydaje się, że to jest najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ucieczka. Tylko tak możemy to tłumaczyć. – I jakby na potwierdzenie swoich słów ponownie włączył nagranie i wówczas zapadło milczenie. Linkiewicz nie odrywał paznokci od ust. Sprawiał wrażenie ojca, który myślał tylko o wymierzeniu kary za to, co zrobiła. Jego żona szukała w spojrzeniu komisarza kolejnych wyjaśnień.

– Co możemy zrobić? Gdzie jej szukać? Boże, gdzie jest moja kochana córeczka?

Wstała i zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Po chwili jednak usiadła. Nie wiedziała, co zrobić ze sobą i z natłokiem myśli.

– Sprawa może być dość prosta do rozwiązania, ale jest sporo rzeczy do zrobienia. Musimy też dokładnie przeszukać jej pokój. Każdy centymetr, każdą szafkę, szufladę. Musimy mieć pewność...

– Już szukałam – przerwała mu, odpowiadając bez namysłu. – Sprawdziłam pokój dokładnie.

– Niemożliwe. Coś musiała pani pominąć.

– Co?

Wzruszył ramionami, ale i tak miał plan, co robić dalej.

– Musimy to ustalić. Poza tym do tej pory nie wiedzieliśmy, czego szukać.

– A teraz już wiecie? – zapytał ojciec.

– W pewnym sensie.

– To znaczy? Bo nie wiem, co może świadczyć o tym, że córka postanowiła uciec z domu. Jak to mamy rozpoznać?

– Jeżeli założymy, że postanowiła wyjść, wyjechać dokądkolwiek, to musiała się do tego przygotować. Ale tak, żebyście się nie zorientowali. Skoro do tej pory się nie odezwała, to pewnie chciała zrobić to możliwie skrycie.

– Skrycie?

– Powiedzmy tak, by nikt się nie zorientował.

– Nie rozumiem, jak mielibyśmy się nie zorientować? Przecież wiemy, że jej nie ma.

– Proszę sobie przypomnieć – zignorował pytanie i spojrzał na kobietę – co powiedziała mi pani o wyjściu Patrycji z domu. W co była ubrana?

– Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałam, ale chyba... Boże, chwileczkę. – Nagle pstryknęła palcami. – Powiedziałam panu, że była ubrana w krótkie spodenki, koszulkę... i klapki – dodała po namyśle, ponieważ odtwarzanie z pamięci swoich słów sprzed kilku dni nie było łatwym zadaniem.

– Zgadza się, tak pani wtedy mówiła. Proszę spojrzeć na film.

Odwróciła głowę i uważnie przyjrzała się nagraniu. Być może za pierwszym razem nie dostrzegła tego, co miał na myśli komisarz, ponieważ za bardzo była przejęta widokiem córki. Emocje przysłoniły szczegóły. Komisarz kątem oka obserwował jej reakcję. W duchu cieszyła się, a jednocześnie zbyt mocno przeżywała, by racjonalnie myśleć i analizować. Musiała teraz odczuwać sprzeczne emocje, przez co zachowywała się niespójnie. Była zbyt podenerwowana, by dostrzec wszystko za pierwszym razem.

– Nie ma kłapek. Nie ma koszulki.

Kiwnął głową i zatrzymał nagranie. Zrobił powiększenie obrazu. Stał się mniej wyraźny, ale chciał mieć dowód na potwierdzenie swoich słów.

– Teraz pani rozumie? – odpowiedział spokojnie. Starał się mówić tak, by nic im nie umknęło.

Przytaknęła. Popłynęły pierwsze łzy. Nie kryła się z tym. Policjant dał jej chwilę, by przetrwała nieprzyjemną prawdę. Odczekał, rozglądając się po mieszkaniu. Zrobił to dyskretnie. Linkiewicz poszedł do łazienki i przyniósł jej chusteczkę. Kobieta wytarła łzy i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko jest dla mnie za trudne, nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem. Ale teraz proszę pomyśleć nie o Patrycji, ale o mnie. O nas, o policji. Jak państwo widzą, wszyscy już wiemy tyle samo. Wiem, że coś się stało, że Patrycja zniknęła. Dysponujemy podobną wiedzą – my ze swojej strony jako policja, a wy ze swojej jako rodzice. Musimy uzupełnić teraz swoje informacje o państwa córce, by ją odnaleźć. Jeszcze raz to powtórzę: proszę teraz pomyśleć o nas, nie o niej, bo podejdziecie do tego zbyt emocjonalnie. Trzeba myśleć logicznie, czysto, możliwie obiektywnie. Musimy precyzyjnie ustalić i zweryfikować to, co się stało trzy dni temu. Dlaczego wyszła z domu.

– Co możemy zrobić? – zapytał Linkiewicz.

– Potrzebny jest nam całkowity dostęp do jej rzeczy. Musimy jeszcze raz sprawdzić pokój. Co zniknęło, co mogła ze sobą zabrać. Interesuje nas naprawdę wszystko, choć wiele rzeczy można z góry wykluczyć.

– Na przykład?

– Skoro zaplanowała to wszystko, to zapewne skupiła się wyłącznie na rzeczach niezbędnych. Jeśli też założymy, że na ramieniu miała torbę, to wzięła najpotrzebniejsze rzeczy. Małe. Coś osobistego i coś, dzięki czemu będzie mogła przetrwać. I działać dalej. Bez względu na cel.

Wszyscy przez chwilę zastanawiali się na listą niezbędnych rzeczy. Każdy taką ma, ale tylko oni znali swoje dziecko. Ponadto należało wziąć pod uwagę jej wiek, sytuację materialną, a więc mocno ograniczone możliwości.

– Telefon był w domu, sam pan go oglądał.

– Wiem, to trochę zastanawiające. Z jednej strony telefon jest ważny, a z drugiej strony mogła go celowo zostawić, żebyśmy nie mieli z nią kontaktu. To znaczy wy.

– Laptop też został, daliśmy wam do analizy.

Policjant kiwnął głową. Analiza zawartości komputera miała teraz ogromne znaczenie, ponieważ mogły się w nim znajdować ważne pliki, zdjęcia, filmy, ale również rozmowy zapisane w pamięci podręcznej przeglądark lub komunikatora. To również szansa na uzyskanie zapisanych haseł, które umożliwią pełny dostęp do jej kont na serwisach społecznościowych i innych stron, gdzie spędzała czas. Informatyk musiał złamać hasło, by dać im dostęp do laptopa. Wszystko jest kwestią czasu. Muszą uzbroić się w cierpliwość i poczekać.

– Tak, czekamy na ustalenia naszego specjalisty. Teraz proszę zastanowić się, co jeszcze mogła wziąć. Co było dla niej ważne?

Kobieta wstała bez słowa i nakazała komisarzowi, by poszedł z nią, ale nie odpowiedziała na jego pytanie. Otworzyła drzwi i oświadczyła, że może szukać, czego chce.

– Dziękuję, pewnie chwilę mi to zajmie.

Komisarz rzucił okiem na pomieszczenie. Pokój był nieduży, maksymalnie dwanaście metrów kwadratowych, urządzony funkcjonalnie. Łóżko, po prawej stronie biurko z szufladami oraz

pólkami. Wszystko w białym kolorze. Na biurku stało sporo kubków z przyborami szkolnymi. Na wprost wisiała tablica korkowa, na której znajdował się plan lekcji, kilka zdjęć, pocztówki oraz bazgroły na kolorowych kartkach samoprzylepnych. Komisarz przyjrzał się jej z bliska, usiadł na krześle i zaczął ją dokładnie oglądać. Cztery zdjęcia z koleżankami. Uśmiechnięte, radosne twarze, za którymi nie krył się ani strach, ani niepokój. Żadnych złych myśli. Czuł, że w tych oczach gościła niewinna, młodzieńcza radość oraz lekka dawka szaleństwa, na co wskazywały ich śmieszne miny.

Wstał i przejrzał szafę oraz komodę. Otwierał każdą szufladę, dokładnie przyglądając się zawartości. Wszystko równo poukładane. Każdy element stroju, również bielizna, miał swoje miejsce. Zbyt idealnie, zbyt nieskazitelnie jak na nastolatkę, pomyślał. Ale potem doszedł do wniosku, że nie ma żadnych podstaw, by ją osądzać w ten sposób. Nie znał jej.

– Poznaje pani bluzę, jaką miała na sobie Patrycja na tym nagraniu? – spytał, nie odrywając się od pracy.

– Nie, chociaż Patrycja miała podobną. Chwileczkę, zaraz znajdę. Powinna gdzieś tu być.

Kobieta podeszła do szafy i zaczęła nerwowo ją przeszukiwać, rozrzucając idealnie poukładane ubrania.

– Jest tutaj – rzekła, wyciągając ją.

Komisarz wziął ją do ręki, spojrzał pod światło.

– Inny kolor. Trochę jaśniejszy odcień, no i fason, chociaż faktycznie podobna. Proszę jeszcze raz spojrzeć na nagranie. Ta ma jaśniejsze paski, o tu. Na nagraniu ich nie ma.

– Możliwe, ma pan rację – odpowiedziała.

– Czyli nie kojarzy pani, aby córka miała taką bluzę – raczej stwierdził, niż zapytał.

Kobieta przejrzała jeszcze dla pewności szafę.

– A buty? Te, które widać na nagraniu.

Kobieta wyszła z pokoju, potem rzuciła okiem na monitor i wróciła do komisarza.

– To nie jej buty, nie ma takich.

– Jest pani pewna?

– Tak. Teraz jestem już pewna. Nie dostrzegłam wcześniej ich na nagraniu.

Odnotował ten fakt w pamięci. Potem zaczął szukać i podnosić poukładane w kostkę koszulki, spodnie i spodenki. Zajrzał też do komody, mając nadzieję, że na coś natrafi. Znajdowała się w niej sama bielizna oraz mniejsze ubrania. Po jakimś czasie było to już szukanie w ciemno, bo cel poszukiwań zaczynał się rozpląwać. Szukał wszystkiego. Czyli praktycznie niczego. Zrobił małe podsumowanie w myślach. Dwie rzeczy wskazywały na to, że dziewczyna zaplanowała ucieczkę z domu. Dwa małe szczegóły. Ile ich jeszcze było? Notatnik, jakieś zapiski. Może znajdzie coś ukrytego, a może wręcz przeciwnie – coś, czego brakowało w tym miejscu. Przez moment nie miał pomysłu, co robić dalej, bo pokój wyglądał zbyt idealnie. Szafę wypełniały ubrania i raczej niczego nie brakowało. Ubrania były starannie poukładane, nic wyrzuconego w pośpiechu, co świadczyłoby o szybkim pakowaniu. Żadnych pustych wieszaków. Szafa wyglądała tak, jakby ktoś w niej przed chwilą sprzątał. Dotykał ściany szafy w poszukiwaniu ukrytych zeszytów lub notesów. Obmacał każdy element. Ponownie usiadł na wygodnym krześle biurowym. Nim się zajął zawartością biurka, zajrzał pod spód. Zobaczył plecak. Wyciągnął wszystkie spakowane jeszcze w czerwcu zeszyty i ułożył całą zawartość na biurku. Pięć

zeszytów, sześć podręczników, dwa zeszyty ćwiczeń, piórnik, papierki. Kartki z notatkami z lekcji. Upewnił się, że niczego więcej nie było, a potem zaczął dokładnie wszystko przeglądać.

Poprosił gospodynię o kawę i powiedział, że sam tu teraz popracuje, a gdy będzie jeszcze czegoś potrzebował, to ją zawoła. Po paru minutach przyniosła mu ogromny kubek gorącego napoju.

Przekartkował wszystkie zeszyty. Czytał pobieżnie tematy lekcji, notatki na marginesach i obowiązkowo tył zeszytu, który u wielu uczniów był brudnopisem. Miejscem na dziesiątki rysunków, podpisów, sloganów, emotikonów. Nie znalazł jednak żadnych ważnych notatek, numerów telefonów czy nazw miejscowości, które zapisałaby nudząca się na lekcji dziewczyna. Kolejny zeszyt. Zajrzał na ostatnią stronę – nie było bazgrołów, rysunków czy gry w kółko i krzyżyk. Wzorowa uczennica nie miała ani jednej niepotrzebnej kreski czy zbędnego rysunku. W podręcznikach też niczego nie znalazł, choć miał nadzieję, że coś wzbudzi jego niepokój. Zeszyty ćwiczeń były do przesady starannie uzupełnione. Jediną ekstrawagancją, na którą sobie pozwoliła, były ozdobne inicjały na pierwszej stronie, w miejscu, gdzie wpisuje się imię i nazwisko. Ozdabiały je kolorowe kwiatki. Wyglądały, jakby narysował je dyplomowany plastyk. Choć nie znał się na sztuce, dostrzegał w niej spory potencjał. W piórniku wszystkie przybory znajdowały się na swoim miejscu. Żadnych ukrytych lub zwiniętych karteczek, schowanych w długopisie. Żadnych ściąg, napisów. Czystość, która aż raziła. Uczniowie gimnazjum to buntownicy, to dorastający ludzie, którzy zaczynają się sprzeciwiać narzucanym im zasadom, normom. Drażnią się z rodzicami, kłócą, niszczą i zmieniają swoje otoczenie, by nadać wszystkiemu, co ich otacza, indywidualny charakter. Stąd pomazane zeszyty, książki, plecaki. Stąd silna potrzeba wyklejania ścian plakatami, wymyślne fryzury, nowoczesny język identyfikujący pewien typ osób, posługiwanie się slangiem. Ale Patrycja Linkiewicz nie wpisywała się w ten model. U niej wszystko było nieskazitelne. Gdyby nie dziwne miny na zdjęciach z koleżankami, pomyślałby, że jest wręcz ascetką, której przyszło żyć w zbyt nowoczesnych czasach. Poukładana aż do przesady. Wszystko wskazywało na to, że jest porządną osobą; w szerokim rozumieniu tego słowa. Jak na swój wiek może zbyt porządną. Już z rozmów z matką na początku wysnuł pewne przypuszczenie, które – jak teraz się przekonywał – zaczynało się powoli sprawdzać. Brakowało mu oczywiście jeszcze sporo informacji. Niemniej coś w jej dotychczasowym życiu się stało. Coś na tyle poważnego, że musiała porzucić swoje dotychczasowe życie. Możliwości były dwie. Albo coś się wydarzyło tutaj, w domu, co nie dało dziewczynie wyboru, albo wydarzyło się na zewnątrz, co nie ma związku z rodzicami. Szkoła albo dom. Jeden z tych światów nie dał jej wyboru – musiała zniknąć.

W szufladzie też niczego nie znalazł. Pełno przyborów szkolnych, kalkulator, kilka płyt DVD z filmami, niedrogie kosmetyki. Przeszukał jeszcze łóżko. Zajrzał pod materac, pod poduszki. Miał nadzieję, że znajdzie coś bardzo osobistego, co pozwoli mu lepiej ją poznać. Potem stanął przy oknie w kącie, odwrócił się i spojrzął z tego miejsca na cały pokój. Mały, przytulny, ale bez wyrazu, jakby czegoś w nim brakowało. Schludny, czysty jak u dorastającej zakonnicy. Praktyczne minimum. Ale wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że czegoś w nim brakowało. Czego? – zastanawiał się. Na ścianie przy drzwiach znajdował się stojący wieszak. Nic na nim nie wisiało.

Iwanowicz wyszedł z pokoju i dostrzegł siedzącą na kanapie matkę, która jak zamroczona wpatrywała się w ekran jego laptopa. Mechaniczne spojrzenie córki. Bez emocji. Dziewczyna dążąca do celu, spiesząca się w jakieś miejsce.

– Niech się pani jeszcze raz przyjrzy – poprosił. – Pani córka miała ze sobą torbę. Niestety słabo widać. Rozpoznaje ją pani?

Pokręciła głową. Wstała i bez słowa podeszła do okna. Coś się stało. Jej postawa nie zdradzała żadnych skrajnych emocji – ani nie cieszyła się, że najprawdopodobniej dziewczyna żyje, ani nie płakała, choć jeszcze parę godzin temu zalewała się łzami. Przygasła już jakiś czas temu, ale po tym nagraniu jakby poczuła się zawiedziona. To nagranie ją zmieniło.

– Powinam się cieszyć, prawda? – powiedziała, nie odrywając wzroku od ciemnego widnokregu, który roztaczał się za oknem. Wyglądała jak stojąca nad brzegiem postać, która obserwuje płynący w oddali statek.

Iwanowicz milczał. Pozwolił jej wszystko przetrwać. Może zacznie mówić. Może pokusi się o jeszcze większą szczerość. Otworzy się. Męża nie było w pobliżu, toteż tak mogło się stać.

– Tak, chyba powinam się cieszyć... Ale jakoś nie potrafię. Na tym filmie widać, że to wszystko, co do tej pory myślałam, było tylko ułudą. Łudziłam się, że wychowałam szczerą i przede wszystkim dobrą córkę. Prawda jest inna. Ona od nas uciekła – oznajmiła ze smutkiem. – Coś się musiało wydarzyć. Może coś jej powiedziałam, może poczuła się skrzywdzona... Ale kiedy? Boże, nie wiem, kiedy i co mogło się stać? A ona nic nie mówiąc, po prostu od nas uciekła... – wyszeptwała.

– Tego nie wiemy, proszę tak nie mówić.

– Ale ona mnie oszukała...

– Na razie nie mamy pewności – powtórzył. – Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. A ta torba, którą Patrycja ma na filmie, należy do niej? Zdaję sobie sprawę, że słabo widać. Proszę się przyjrzeć.

– Już to zrobiłam. Nie, to nie jej.

– Jest pani pewna?

Kiwnęła głową. Wciąż stała do niego tyłem i spoglądała na mieniące się gwiazdy.

– Podejrzewa pani, skąd mogła to wszystko mieć?

Mechanicznie wzruszyła ramionami.

Chciał jej powiedzieć, że przyjechał tu dzisiaj mimo późnej pory, by sprawić jej radość, dać dowód, że najprawdopodobniej dziewczyna jest cała i zdrowa. I dać nadzieję, że może nic się nie stało. Chciał ją jakoś poruszyć, pocieszyć, ale ona do tego nagrania podeszła inaczej i zamknęła się w sobie. Zawiodła się na córce, choć tak naprawdę nie było wiadomo, o co tu chodzi.

Trzeba sprawdzić, skąd Patrycja wzięła ubrania.

Po północy wrócił do domu. Panował w nim względny chłód, jednak włączył klimatyzację, by było jeszcze chłodniej i przyjemniej. Wziął prysznic, a potem poszedł do sypialni. Położył się do łóżka i włączył muzykę. Z głośników rozbrzmiewała spokojna muzyka, do snu, która w takich chwilach jak te pozwalała mu łatwiej zasnąć. Leżał z rękami pod głową i zastanawiał się nad losem dziewczyny. Potem przed oczami pojawił się obraz jej pokoju. Małego, ciasnego i ascetycznego. Poukładanego niczym wystawa niewielkiego świata, w którym żyła i borykała się ze swoimi problemami. Tymi, które doprowadziły do obecnej sytuacji.

Dlaczego uciekła? Nie ufała im na tyle, żeby powiedzieć, co się stało? A może nie mogli jej pomóc? Nie byli w stanie czy nie chcieli? A może to oni sami ten problem stworzyli? To było prawdopodobne, ale nie miał jeszcze pomysłu, jak to sprawdzić. I jak do nich dotrzeć.

Chwycił pilota i przełączył utwór na jeszcze spokojniejszy. Wziął kilka łyków wody mineralnej. Po chwili zamknął oczy.

Pod powiekami wirowały mu obrazy. Wyglądały jak porzrzucone na podłodze czarno-białe zdjęcia. Na każdym widniał obraz tego, co przeżył w ciągu ostatnich dni. Próbował stworzyć jakąś całość, ale była ona nieczytelna i wciąż niejasna.

Coś mu w tym wszystkim zgrzytało. Coś przeoczył, ale nie wiedział co. Nie mógł tego uchwycić. Oczami wyobraźni znów widział pokój Patrycji. Tam coś było, co kryło odpowiedź na pytanie, gdzie podziała się dziewczyna. Był o tym przekonany, ale nie potrafił jeszcze dostrzec, co to takiego.





Ósma rano. Mimo że była jeszcze wczesna pora, termometr wskazywał już dwadzieścia pięć stopni. W radiu zapowiadali upały sięgające trzydziestu sześciu lub siedmiu stopni. Piekło się zbliżało. Było tuż-tuż.

Opowiedział Gawłowskiemu o wczorajszym odkryciu na stacji benzynowej, a potem o nocnej wizycie u Linkiewiczów. Podkomisarz z nieskrywanym zainteresowaniem słuchał opowieści kolegi. Siedział z rękami złożonymi w piramidkę, wpatrując się w jeden punkt na podłodze. Po wysłuchaniu wszystkiego, co miał do powiedzenia Iwanowicz, wziął głęboki wdech, odchylił się na fotelu i przez dłuższy czas się nie odzywał. Wyglądał jak sędzia, który zastanawiał się nad wyrokiem dla oskarżonego. Rzadko przybierał takie pozy, był człowiekiem raczej ruchliwym, często niezdecydowanym, o temperamencie sportowca, dynamicznym i rzutkim, nie zadumanym myślicielem. Może to zmęczenie upałami, może się starzał, pomyślał komisarz. Każda odpowiedź była dobra, ale i tak nie pasowało mu to jego zachowanie.

Widać było, że Gawłowski się wahał, kilka razy otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale za każdym razem rezygnował. Chwilę się nad czymś zastanawiał. W końcu podszedł szybko do wiszącej na jednej ze ścian mapy miasta.

- Marek, na pewno mówimy o skrzyżowaniu Alei Jana Pawła z Mostową i Grunwaldzką?
- Dokładnie to przed chwilą powiedziałem.
- Kurwa, przecież tam są kamery, pojebało nas czy co, że tak późno na to wpadliśmy?
- Okej, zadzwoń do wydziału komunikacji. Musimy mieć jak najszybciej wszystkie nagrania z tego dnia.
- Która godzina?
- Siódma trzydzieści sześć. Weź z zapasem.
- Wezmę.

Gawłowski wyszedł z biura. Komisarz aż zadrżał na wieść, że może uda im się odtworzyć więcej z tego dnia. Przekleństwem i zbawieniem było to, że dziś niemal każde miasto ma monitoring obejmujący kluczowe miejsca – centrum miasta, główne deptaki, place, a przede wszystkim ulice, większe skrzyżowania oraz obwodnice. Ich kamery, choć skierowane przede wszystkim na drogę, niejednokrotnie obejmowały również fragmenty chodnika i przejścia dla pieszych.

Wrócił po paru minutach.

- Spotkałem na korytarzu komendanta. O szesnastej mamy zebranie. Trzeba się przygotować.
- Nie mam do tego głowy. Na razie jest kilka rzeczy do zrobienia. Zebrania mogą poczekać.

Wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.
- Sprawdziłeś Linkiewicza?
- Sprawdziłem, nic na niego nie mamy. Jest czysty niczym koszula naszego prokuratora.
- Na pewno? Sprawdziłeś dokładnie?

– Tak.

– Wszystkie możliwe bazy?

Kolega kiwnął głową.

– Złe parkowanie, mandaty, znęcanie się nad zwierzętami, jazda po pijaku, odciski? Był kiedykolwiek notowany?

Wzruszył ramionami.

– Nic.

– Okej, a ona?

– Też nic. Od ponad dwudziestu lat ma prawo jazdy i nigdy nie dostała mandatu. Czyżby była kierowcą idealnym? A może nigdy nie jeździła autem?

– Cholera wie, takich osób są tysiące. Robią prawo jazdy zaraz po skończeniu osiemnastego roku życia, bo taka jest presja rodziny, bo tak wypada, a potem nigdy nie siadają za kółkiem.

– No jak na przykład moja teściowa. – Zaśmiał się.

– Dobra, mniejsza z tym. Wiesz coś na temat ich rodzin?

– Tak, trochę nad tym siedzieliśmy. Generalnie w ich rodzinie nigdy nie doszło do jakichś ekscesów. Nikt nie był karany ani skazany. Wydają się normalną rodziną.

– Mogą się maskować – podpowiedział Iwanowicz. – Nie wiem jak i po co, ale mogą. Sprawdziłeś wszystko? Wszystkie bazy, jakimi dysponujemy?

– Marek, mówię niewyraźnie? Sprawdziłem. Owszem, mogą się kryć, coś ukrywać, ale tego już nie znajdziemy w bazach danych.

Komisarz zaczął ogryzać paznokcie. Potem nerwowo wypluł kawałek przed siebie, wstał i wysunął zza szafy dużą białą tablicę. Wyciągnął z szafki marker. Podciągnął fotel i usiadł przy niej. Otworzył pisak i narysował przez całą wysokość tablicy linię, dzieląc ją na pół. Po prawej stronie zapisał kolejno:

*Co z nim?* – SMS wysłany przez Monikę

*Będziesz?* – SMS wysłany przez Pawła.

*Lepiej się zastanów – ???*

Po lewej stronie narysował prowizoryczne drzewo genealogiczne rodziny. Na górze napisał imiona i nazwiska rodziców, pod nimi strzałkę i imię ich córki. Nad imionami rodziców zaznaczył dziadków. Wszystkie dane przygotowali wcześniej policjanci. Janina i Tadeusz Rybiccy, rodzice Izabeli Linkiewicz. Nad Linkiewiczem jego rodzice, Zofia i Wiesław Linkiewiczowie. Ojciec zmarł dwa lata temu.

– Aż tak szczegółowo chcesz to rozpisać? – zapytał Gawłowski, bacznie przyglądając się temu, co robił kolega.

– Nie wiem, czy pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi – odpowiedział, nie odrywając wzroku od schematu. – Czy kontaktowaliśmy się osobiście z jej dziadkami?

– Tak, poprosiłem o to Tomka Jaworskiego. Sprawdził ich dla mnie, obdzwonił, popytał o Patrycję. Niczego nie wiedzą. Nie są w stanie nam pomóc.

Aspirant Tomasz Jaworski pomagał im bardzo często w wielu sprawach. Zawsze mogli na niego liczyć i wiedzieli, że robił wszystko rzetelnie. Nie pominąłby niczego w tej sprawie.

– Gdzie mieszkają?

– Rodzice matki Patrycji mieszkają we Lwówku. Nie byli przesłuchiwani, Tomek rozmawiał tylko z nimi przez telefon. Próbował dowiedzieć się wszystkiego, ale z rozmowy wynika, że o niczym nie wiedzą. Zresztą masz to w dokumentach i w notatkach...

– I co?

– Są zrozpaczeni. Pomagają na tyle, ile mogą. Wspierają córkę, ale nie mają pojęcia, co się stało z ich wnuczką.

– Dziwne. Dziewczyny nie ma od paru dni w domu i do tej pory nie pojawili się u córki, by ją wspierać? Tu, na miejscu? Może lepiej to sprawdzić? Może wyślemy tam ludzi ze Lwówka?

– A skąd wiesz, że już nie byli? – zapytał Gawłowski.

Iwanowicz wzruszył ramionami.

– Ja bym przyjechał, bez względu na wszystko.

– Mają swoje lata...

Iwanowicz stał źle napisany wyraz, a potem napisał go poprawnie.

– Może tak, może nie. A co z matką Marcina Linkiewicza?

– Też do niej dzwonił. Mieszka niedaleko Kamiennej Góry. Jest zbyt schorowana, by przyjeżdżać, mimo że to tylko kilkadziesiąt kilometrów stąd. Nie wie nic o wnuczce.

– Nie wie, że w ogóle zniknęła, czy nie wie, gdzie może być?

– Nie wie, gdzie może być.

– A zatem mamy tym większy problem. Dziewczyna uciekła do kogoś innego.

– Do kogo?

– Pytanie za sto punktów. Rozwiążesz zagadkę, to postawię obiad. I dobre wino.

Bez odrywania wzroku od tablicy zaczął poprawiać swój schemat i wykres zależności między członkami rodziny. Wyciągnął z kieszeni telefon. Odszukał w dokumentach zapisane numery z SMS-ów. Trzy wiadomości, pierwsza od Moniki. Wiedział i pamiętał, że miała pojawić się lada chwila w Jeleniej Górze. Wciąż była z rodzicami na wczasach. Drugi numer, według książki adresowej, należał do Pawła. Wystukał numer i czekał na połączenie. Po kilku sekundach odezwał się ten sam komunikat co dwa dni temu „Abonent czasowo niedostępny. Proszę zadzwonić później”.

Trzeci, nieznany numer. Wykręcił go, a potem czekał na sygnał. Znow bez skutku. „Abonent czasowo niedostępny...”

Komisarz wybrał numer do informatyka.

– Cześć, udało wam się coś ustalić w sprawie numerów telefonów z komórki dziewczyny?

– Powinienem mieć niedługo jakiś cynk. Oddzwonię, gdy tylko będę miał coś konkretnego.

– Informuj mnie na bieżąco, nie chcę z niczym czekać. Interesuje mnie wszystko. Wszystko – powtórzył i rozłączył się.

Wytarł krople potu z czoła i zaczął stukać aparatem o brodę. Nic nie przychodziło mu do głowy, chwilowa pustka. Stan, którego nie znosił. Siedzenie i czekanie, bezczynność.

Wyszedł przed komendę i zapalił papierosa. Usiadł na ławce. Skrył się w cieniu, bo nie chciał łapać już promieni słońca. Był zbyt opalony. Gdy spoglądał na siebie w lustrze, widział przede wszystkim białe gałki oczne. Zbyt wyraziste na tle ciemnej opalenizny. Dopalił papierosa do połowy i pstryknął nim mocno w dal. Wracając do swojego biura, zaszedł po kawę z ekspresu.

Usiadł na blacie biurka i zanotował numery obok SMS-ów, by mieć je przed oczami.

Znów sięgnął po telefon, wybrał pierwszy numer z góry i czekał na połączenie. Po siedmiu sygnałach odezwał się młody głos.

– Słucham?

– Nazywasz się Monika Błaszkiwicz i jesteś najlepszą koleżanką Patrycji Linkiewicz. Zgadza się?

– Tak... Ale nie rozumiem, o co chodzi? – zapytała, nie kryjąc zdziwienia.

– Dwa dni temu dzwonił do ciebie podkomisarz Jacek Gawłowski z jeleniogórskiej policji z informacją, że twoja koleżanka zniknęła. Pamiętasz?

– Tak, proszę pana. W jakiej sprawie pan dzwoni? – zapytała. Mówiła powoli, jakby nie wiedziała, do czego zmierza rozmowa. – Coś się stało? Chyba nie...

– Twoja koleżanka, przyjaciółka, zniknęła – powtórzył. – Nigdzie jej nie ma. Od kilku dni nie kontaktowała się z najbliższą rodziną, matką i ojcem. Nie wspominając o dziadkach i znajomych. Zapadła się pod ziemię. W szkole też nic nie wiedzą. Wciąż jej szukamy. Jako jej przyjaciółka może dałabyś radę nam pomóc.

– Jak?

– Mówiąc nam wszystko, co wiesz. Oczywiście o nic cię nie podejrzewam, niczego też nie chcę sugerować, ale... – Nie dokończył. Usłyszał hałas w słuchawce. Chwila ciszy. W oddali jakiś męski głos. Potem znów szmery.

– Halo, kto mówi?

– Kim pan jest?

– Jerzy Błaszkiwicz, jestem tatą Moniki. A pan?

– Nazywam się Marek Iwanowicz, jestem z jeleniogórskiej policji.

– W jakiej sprawie pan dzwoni?

– Szukamy zaginionej Patrycji Linkiewicz. Pana córka jest jedną z jej najlepszych koleżanek.

– No tak, jasne, rozumiem. Tylko po co...

– Szukamy jej wszędzie – przerwał mu. – Robię, co w mojej mocy, by ustalić, co się z nią stało. Dlatego pozwoliłem sobie zadzwonić do pana córki.

– Teraz już jasne. Usłyszałem, że Monika odebrała telefon i dziwnie z kimś rozmawia. Bałem się, że może dzwonić ktoś, kto...

– Spokojnie... Proszę wybaczyć, że państwa niepokoję. Robimy, co do nas należy. Musimy się dowiedzieć, i to najlepiej bezpośrednio od Moniki, co się mogło stać Patrycji. Były, to znaczy są przyjaciółkami, więc każda informacja może być ważna.

– Tak, ważne, żeby się odnalazła. Bardzo się o nią martwimy. Znamy ją nie od dziś. Świetna i miła osoba, dziewczyny są bardzo ze sobą zżyte. Mam nadzieję, że niebawem wróci do domu cała i zdrowa.

– Również mam taką nadzieję.

– Skoro wszystko jasne, to oddaję słuchawkę. Za dwa dni wracamy do Jeleniej, jeśli zajdzie taka konieczność, przywiozę Monikę na przesłuchanie. Chcemy pomóc na wszelki możliwy sposób.

Usłyszał w głośniku szmery, a potem odezwała się dziewczyna.

– Tato mnie pilnuje, pewnie pan rozumie. Co pan chce wiedzieć? Mówiłam już wszystko tamtemu drugiemu policjantowi.

– Mówiłem, że możesz nam pomóc.

– Jak? – zapytała ponownie.

– Postaraj się za wszelką cenę przypomnieć sobie ostatnie tygodnie. Co się wtedy działo? Jak się zachowywała Patrycja? Jaka była?

– Chyba normalna. A jaka miała być? Cieszyła się z wakacji. Jak każdy.

– I już?

– A co jeszcze? No może tylko to, że była trochę smutna, bo nigdzie nie wyjeżdżała.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Po prostu była smutna z tego powodu, ale pocieszałam ją, że ja jadę tylko na kilka dni, potem wracam i też będę gniła w Jeleniej. Majka też nie pojechała, jej tata nie mógł. Jakieś problemy w firmie czy coś w tym stylu, nie wiem dokładnie, to nie moja sprawa.

– Mówiła ci o czymś w tajemnicy? Chwaliła się czymś, czym na przykład nie mogłaby się pochwalić mamie lub tacie? Zwierzała się z czegoś, co ją dręczyło? Bolało?

Komisarz sięgnął po kubek. Wciąż siedział na blacie biurka, spoglądając na tablicę. Wziął kilka łyków. Gorący płyn rozlał się po wnętrzu i tak rozgrzanego już organizmu.

W słuchawce panowała cisza.

– Moniko, jesteś tam?

– Tak, tak, jestem...

– No więc?

– Patrycja cieszyła się z wakacji. Zdałyśmy do drugiej klasy. Miałyśmy już plany, wie pan, gadałyśmy, jak to będzie za jakiś czas. Może zmienią się nauczyciele, pojawi się coś nowego, nie wiem, takie luźne gadanie.

– Podobno była... – Ugryzł się w język. – Podobno jest jedną z najlepszych uczennic w szkole?

– Tak, szybko wszystkiego się uczy. Ma średnią pięć dwadzieścia pięć, bardzo wysoką. A poziom w naszej szkole naprawdę jest wysoki.

Iwanowicz usłyszał w słuchawce piknięcie. Po chwili kolejne. Ktoś próbował się do niego dodzwonić.

– Jakiś czas temu wysłałaś SMS-a do Patrycji: „Co z nim?”. Tak brzmiała treść wiadomości. Pamiętasz?

Iwanowicz zaczął się pocić coraz mocniej. Wstał i podszedł do wentylatora. Ustawił go na maksymalne obroty i podsunął bliżej twarz, by się schłodzić.

– Hm... Możliwe, nie pamiętam dokładnie.

– To przypomnij sobie, to bardzo ważne. Istotny jest każdy szczegół. Zrozum, tu chodzi o twoją najbliższą koleżankę, która zapadła się pod ziemię. Możliwe, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Wie pan, często do siebie pisałyśmy. Możliwe, że coś...

Gawłowski wstał i zaczął robić porządek w dokumentach, a niepotrzebne papiery schował do szuflady. Komisarz kątem oka dostrzegł, że zabrał ze sobą kluczyki od auta, a potem wyszedł.

– Wiem, zdaję sobie z tego sprawę – rzekł po chwili. – Rozmawialiście codziennie, tak często, że nie pamiętasz wszystkich rozmów, bo rozmawialiście rano, popołudniami i wieczorem. W szkole, przez telefon. I pewnie o wszystkim.

– No właśnie, trudno mi teraz sobie przypomnieć.

– Ale spośród wszystkich wypowiedzianych słów, spośród wszystkich wiadomości, jakie miała od ciebie w telefonie, tylko jedną usunęła. Nie wierzę, że to przypadek.

– Nie wiem...

– To naprawdę ważne. Postaraj się.

– Hmm, zaraz... Chwila... Chyba chodziło mi o jej komputer.

– To znaczy?

– Jakiś czas temu rodzice kupili jej nowy laptop. Poprzedni jej się popsuł. Tak... Teraz już pamiętam, że o nim rozmawialiśmy. Miała tam dużo swoich danych, szkoda jej było tego wszystkiego. Bała się, że straci wszystkie dane z dysku. Rodzice Pati oddali go do naprawy, potem po kilku dniach wrócił z serwisu. No a ja wysłałam jakiś czas temu do niej wiadomość. Tak, teraz pamiętam. To była ta wiadomość. Właśnie tak brzmiała „Co z nim?”.

– I co ona na to?

– Nie pamiętam już dokładnie słowo w słowo, ale coś mi odpisała, że nie nadaje się do naprawy i trzeba będzie kupić nowy.

– Moniko...

– Tak?

– Dziękuję ci za pomoc. Mam drugą rozmowę. Gdybym jeszcze czegoś potrzebował, zadzwonię do ciebie.

– Oby pan nie musiał, do widzenia.

Komisarz się rozłączył. Nie wiedział, czy był przekonujący w tej rozmowie. Nie wiedział również, czy w ogóle jako policjant potrafił rozmawiać z młodymi ludźmi. Niewątpliwie, by dotrzeć do młodego człowieka, potrzebna była wprawa, podstawy znajomości psychologii, odpowiednie podejście, ton głosu, inna formuła pytań, właściwe słownictwo. Może i spotkanie twarzą w twarz, odpowiednia mimika i gesty. Rozmowa powinna odbywać się w miejscu, które nie będzie zbyt mocno wpływało na osobę w tym wieku. Ale dziś, tu i teraz, nie miał innej możliwości, musiał działać możliwie szybko i skutecznie. Zrobił, co mógł i jak potrafił najlepiej.

Położył telefon na biurku i podszedł do okna. W oddali widział część policyjnego parkingu, nieco bliżej garaże, a z drugiej strony las, za którym od północy znajdowało się osiedle domów jednorodzinnych. Widok mieniącej się zieleni wprowadził go w nieco przyjemniejszy nastrój. Na moment zapomniał o duchocie, która niekiedy działała na niego niczym zamknięta przestrzeń na człowieka z klaustrofobią, dlatego możliwie często podchodził do okna, by mieć przed sobą rozległy krajobraz.

Na jego twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. Myśl o zbliżającym się za kilka tygodni urlopie wprowadziła go w pogodniejszy nastrój. Wykupił tygodniowy wyjazd do Grecji. Miał możliwość dokupienia przelotu do Egiptu, zapłaciłby dużo mniej. Wahał się przez jakiś czas, rozważał wszystkie za i przeciw, ale wreszcie sobie odpuścił. Bał się, że nie wytrzyma tak długiego pobytu, a co dopiero jeszcze wyjazd na kilka dni do Afryki.

Dziś, gdy na Dolnym Śląsku panowały nieznosne upały, coraz bardziej miał ochotę wyjechać w takie miejsce, gdzie odpocząłby od ostrego słońca. Może do Skandynawii? Byłaby to świetna podróż. Jeszcze nigdy tam nie jeździł. Wakacje nie należały do zbyt drogich, bo nie był to zbyt popularny kierunek o tej porze roku. Niemal wszyscy wyjeżdżali do ciepłych krajów, do znanych kurortów, a on, wbrew wszystkim modom, popłynąłby w rejs po Morzu Bałtyckim, na północ. Potem ruszyłby szlakiem górzystej Norwegii, wychłodził się, zmarł. Nie miałby nic

przeciwko nocowaniu w wysoko położonych schroniskach. Może właśnie tego w głębi duszy pragnął? Beztroskiej tułaczki i odseparowania od miejsca, które mu ciążyło. Rozmarzył się. Chciał przez moment oderwać się myślami od Jeleniej Góry, tutejszych problemów, trosk i natłoku obowiązków. Bo to dodawało mu sił. Stał jak zahipnotyzowany, ale po chwili wrócił myślami. Zaczął zastanawiać się, co w tej sprawie było nie tak. Czego Patrycja się bała? Co ukrywał jej ojciec, a może i matka? Czy mieli coś na sumieniu? Owszem, mogli, ale jak to sprawdzić? Po chwili odtworzył sobie w pamięci rozmowę z Moniką, jej powierniczką tajemnic, trosk, problemów i najskrytszych myśli. Była zapewne kimś, z kim Patrycja czuła się dobrze i komu mogła zaufać. Tylko dlaczego ta właśnie dziewczyna próbowała coś przed nim ukryć? I dlaczego właśnie przed paroma minutami skłamała?





Po południu zajechał na parking McDonalda, który znajdowała się przy skrzyżowaniu ulic Jana Pawła II z Mostową i Grunwaldzką. Wszedł do środka, zamówił ogromny zestaw obiadowy z największym kubkiem coli. Czekał niespełna dwie minuty na realizację zamówienia. Z czerwoną tacką wypełnioną jedzeniem aż po brzegi pomaszerował pod przeszkloną ścianę. Usiadł w rogu. Stąd miał widok na jezdnię. Restauracja znajdowała się niemal na wprost stacji benzynowej. Też, której kamery zarejestrowały maszerującą w niewiadomym kierunku dziewczynę.

Była godzina 7.36. Dziewczyna wyszła z domu około siódmej, może parę minut po. To by dawało mniej więcej pół godziny na dotarcie w to miejsce. Znał to miasto niemal na pamięć. Wiedział, że spokojnym krokiem z ulicy Sudeckiej można było przejść w piętnaście, dwadzieścia minut. Czas dojścia w to miejsce wstępnie by się zgadzał, nawet z pewnym zapasem. Mogła po drodze gdzieś wstąpić. Gdzie i do kogo? Sklepy są otwarte od dziewiątej lub dziesiątej. Piętnaście minut, co więc robiła przez pozostały czas? Z domu, który znajdował się tuż za skrzyżowaniem Wojska Polskiego i Sudeckiej, dotarła tu najbliższą drogą, niemal po przekątnej. Czy szła taką trasą, by żaden z sąsiadów i znajomych jej nie zobaczył? Godzina 7.36, Jelenia Góra, niemal koniec sierpnia. Co się wtedy wydarzyło?

Poczuł drzenie w kieszeni. Spojrzał na ekran. Informatyk. Odebrał.

– Mów.

– Mam informację w sprawie numerów telefonów.

– No i?

– Słowem, złe wieści i urwany trop.

– Mów.

– Oba numery, z których zostały wysłane wiadomości „Będziesz” i „Lepiej się zastanów”, to numery prepaid. Wszystko sprawdziłem. Pierwszy został kupiony w czerwcu, użytkownik po kilku tygodniach przestał korzystać z telefonu. Praktycznie jest nie do namierzenia. Ostatnie logowania wskazują na lokalizację w samym centrum miasta, sprawdziłem odczyty z umieszczonych tam nadajników. Niestety od tamtej pory nie było żadnych logowań, żadnych połączeń, nic. Ostatnie logowanie miało miejsce jedenaście dni temu.

Iwanowicz już kilka razy dzwonił pod oba numery, ale za każdym razem słyszał ten sam komunikat. Ktoś wyłączył telefon albo zniszczył kartę.

– A ten drugi? Ten, z którego dostała wiadomość dwa dni przed zniknięciem?

– Niebawem ustalę. Sęk w tym, że to też prepaid i może być z tym problem. Od tamtej pory nie było też logowania, jakby ktoś po wysłaniu wiadomości od razu ją usunął.

– Dzięki za informację. Dawaj znać, gdybyś się czegoś dowiedział, to pilne. Potraktuj to priorytetowo. I wcale nie żartuję, tu chodzi o dziewczynę. O jej życie.

– Później powinienem coś mieć.

Rozłączył się.

Zjadł hamburgera i popił go colą, a potem zaczął kolejnego. W tym samym czasie dokładnie przyglądał się temu miejscu, skrzyżowaniu, na którym ruch nigdy nie ustawał. Auta bez końca podążały w jednym bądź drugim kierunku. Potem obrócił się i spojrział w przeciwną stronę. Zasepił się na chwilę. Jedna kamera uchwyciła idącą dziewczynę, pozostawało więc pytanie, czy inne też ją zarejestrowały.

Rano Gawłowski dzwonił do wydziału komunikacji. Jeszcze dziś mają odezwać się w tej sprawie i przekazać policji materiały. Iwanowicz dostrzegł, że w okolicy było kilka kamer, każda skierowana na jezdnię. Ale może któraś zarejestrowała choć jakiś mały skrawek, cień, jakiś najmniejszy ślad dziewczyny. Na tym mu teraz najbardziej zależało.

Dokończył posiłek, dopił colę. Wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę skrzyżowania, dotarł do przejścia dla pieszych. Poczekał na zielone światło i przeszedł na drugą stronę, do stacji benzynowej. Tej samej, na której był wczoraj wieczorem. Słońce prażyło bezlitośnie, nawet nie było gdzie się schować. Przechodnie ubrani byli w najkrótsze i najcieńsze ubrania.

Odtworzył trasę, jaką wtedy przeszła. Potem stanął w miejscu, rozejrzał się i zaczął analizować. Po lewej stronie stacja benzynowa, po przeciwnej stał duży dom mieszkalny, zaraz za nim, u zbiegu ulic, restauracja. A już daleko za skrzyżowaniem market i droga wyjazdowa w kierunku Lwówka Śląskiego. Ponad kilometr stąd znajdowała się szkoła wyższa wraz z akademikami, które powstały na miejscu dawnej jednostki wojskowej. Znał doskonale to miejsce, bo przepracował w nim wiele lat. Ale nie myślał o tym teraz. Nie chciał uruchamiać żadnych wspomnień.

Starał się przypomnieć sobie wszystkie firmy, zakłady oraz sklepy, jakie znajdowały się wzdłuż drogi. Zanotował w pamięci, by potem tym się zająć.

Po prawej stronie droga na Zabobrze, na duże jeleniogórskie blokowisko. Tam mieszkały Maja Kulczycka. Hm... Czy jeśli chciałyby się z nią spotkać, to szłyby tą trasą? Wątpliwe, z ulicy Sudeckiej mogła dotrzeć inaczej i znacznie szybciej. Zrobiłaby za duże koło. Patrycji się spieszyło, przynajmniej tak wynikało z nagrania, a więc nie poszła do Mai.

Po lewej stronie obwodnica, a dalej droga wylotowa z miasta. Każda większa droga rozgałęziała się na kolejne, mniejsze, a te na jeszcze mniejsze. Uliczki, alejki. Do tego setki domów. Kilka dużych sklepów, w tym również markety. Możliwości zniknięcia w tym gąszczu mnożyły się po każdym spojrzeniu. Który obrać scenariusz? Którędy poszła? Ile to dawało dróg ucieczki?

Stał przez dłuższy czas na środku chodnika, starając się odtworzyć w pamięci ten dzień.

Siódma rano. Patrycja idzie wyrzucić śmieci. Dziewczyna bierze czarną, niebieską lub zieloną folię z odpadkami i idzie za dom, po czym wyrzuca je do dużego pordzewiałego pojemnika. Spogląda na zegarek, o ile go ma. Plan musi się zgadzać. Potem znika. Ciemność. Film się urywa. Tak wyglądałoby to według opisu matki. Ale ten scenariusz niewiele mówi o tym, co się wówczas stało.

Drugi scenariusz. Godzina siódma, Patrycja idzie wyrzucić śmieci. Dziewczyna wchodzi najpierw do swojego pokoju, zabiera niepostrzeżenie to, co przygotowała wcześniej, wraca po śmieci, schodzi po schodach, potem znika spod domu. Idzie dość szybkim krokiem. Robi wszystko, by nie wzbudzać podejrzeń. O siódmej pięć jest przy jeleniogórskim teatrze, siódma siedem, osiem lub dziewięć mija swoją szkołę lub idzie z dala od niej, by nikt jej nie dostrzegł. Kto? Kto może ją dostrzec o tej godzinie? Trudno powiedzieć. Nie, idzie obok szkoły.

W sierpniu o siódmej rano nie musi się bać, że ktoś ją dostrzeże. Idzie cały czas jedną ulicą i tak dociera do Bankowej, tam skręca w Krótką, którą przemierza całą wzdłuż. Patrzy na witryny sklepów, ale nie może się zatrzymać. Ma cel lub czegoś się boi. Dochodzi do placu Wyszyńskiego. Skręca w prawo i rusza ulicą Podwale, która potem łączy się z Mostową. Czeką na światłach przy przejściu dla pieszych. Po kilkunastu minutach dociera w to miejsce, w którym właśnie stoi Iwanowicz. Jest 7.36.

Dotąd wszystko się zgadza. Wszystko jest klarowne.

Odszukał w kieszeni kartkę z numerem telefonu, wystukał na klawiaturze i zadzwonił. Czekał dwa sygnały.

– Izabela Linkiewicz, słucham – odezwał się kobiecy głos.

– Marek Iwanowicz z policji.

– Ach, to pan, poznaję.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Bez obaw – przerwała mu – właściwie cały czas siedzę i czekam na telefon z policji. Lub skądinąd. Nic innego nie jestem w stanie robić.

– Dzwonię w konkretnej sprawie i chciałbym, żeby mi pani pomogła.

– Postaram się – odpowiedziała bez namysłu.

– Niech pani jednak nie dziwi się moim pytaniom.

– Przywykłam, że muszę na nie odpowiadać.

– O której godzinie Patrycja codziennie wstaje?

– Hm... To zależy... W ciągu roku szkolnego tuż po siódmej, bo musi zdążyć do szkoły. Idzie się od naszego domu około dziesięciu minut, a nim jeszcze się umyje, zje śniadanie...

– To mnie nie interesuje. A teraz, w wakacje, o której zazwyczaj rano wstaje?

– Zwykle po ósmej, nawet po dziewiątej.

Iwanowicz rozejrzał się po obu stronach ulicy. Poczekał, aż przejadą auta, i przeszedł w niedozwolonym miejscu przez jezdnię. Schował się w cieniu drzew.

– A tamtego dnia? Co się stało, że Patrycja wstała tak wcześnie?

Rozmówczyni głośno westchnęła. Policjant wiedział już, jaką usłyszy odpowiedź. Męczyły już go te odpowiedzi i sam fakt, że je przewidywał.

– Nie mam pojęcia, nie spała już od jakiegoś czasu.

– Mówiła coś? Na przykład, dlaczego tak wcześnie wstała?

– Niemal od świtu kręciła się po mieszkaniu. Powiedziała mi, że nie może już spać i że miała bezsenność.

– Była czymś zdenerwowana?

– Trudno powiedzieć, ale nie zauważyłam nic podejrzanego. Ani też niezwykłego. Po prostu wspomniała, że obudziły ją komary, latające nad ranem muchy i że w ogóle całą noc ciężko spała.

– A więc nie zauważyła pani niczego niezwykłego?

– Raczej nie, panie komisarzu. Sama byłam zasnana, bo i mnie pogryzły jakieś muszki. Poszłam do łazienki, a gdy już z niej wyszłam, to Pati coś jadła. Później zaczęła się trochę krzątać, jakby nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Chodziła bez celu jak to w wolnym czasie, gdy nie ma się na głowie żadnych obowiązków poza sprzątaniem pokoju. Potem zamknęła się na chwilę w pokoju, włączyła muzykę. Nie wiem, co tam robiła, dla mnie to było normalne, bo

każdy dzień wygląda podobnie. Córka zachowywała się raczej zwyczajnie, pomijając fakt, że wcześniej wstała. Była w pokoju, a po jakimś czasie z niego wyszła.

– Która mogła być godzina?

– Nie wiem, czy sobie przypomnę, ale pewnie kilka minut przed siódmą. Może za dziesięć?

– I?

– Zapytała, czy pomóc mi sprzątać. Powiedziałam jej, że może umyć umywalkę lub wannę, choć... Muszę panu powiedzieć, że w domu zwykle mamy czysto, ale widziałam, że trochę się nudzi, może nawet męczy, pewnie przez tą bezsenność, dlatego jej to zaproponowałam, by zajęła się ogarnięciem mieszkania. Sama często nie śpię, gdy latają komary. Istna udręka. Więc gdy tylko już się wybudzę, robię coś, by mieć zajęcie.

– I miała sprzątać przed siódmą rano? – zapytał zaskoczony, nie kryjąc zdziwienia.

– Tak, bo nasza rodzina należy do tych, co wcześniej zaczynają dzień. Nic nie mogłam na to poradzić, pomyślałam, że mi w czymś pomoże.

– I zaczęła sprzątać łazienkę?

– Nie. Powiedziała, że zmyje naczynia. Ale nim to się stało, wyczyściła blat, potem zebrała jakieś resztki, wrzuciła do kosza. Okazało się, że jest już pełny... A resztę pan zna.

– Tak, resztę już znam.

– I od tamtej pory...

– Co się stało później? Proszę przypomnieć sobie każdy, nawet najmniejszy szczegół tego dnia.

– Chwileczkę, poukładałam to sobie. Czy coś się jeszcze wydarzyło...? – zapytała samą siebie.

Komisarz zamknął oczy, bo chciał to sobie wyobrazić. Pamiętał ich mieszkanie, niemal każdy kąt. Nie widział tylko łazienki, ale podczas ostatnich wizyt zdążył już wyrobić sobie w pamięci obraz tego miejsca. Trzy pokoje. Jeden duży, gościnny, sypialnia Linkiewiczów i pokój dziewczyny. Obok nieduża kuchnia, a przy wejściu łazienka. Gdyby go teraz zapytano, zapewne pamiętałby odległości między nimi i podał je w metrach. Oceniał, że ich mieszkanie miało czterdzieści dziewięć, może pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Niedrogo wyposażone. Zero ekstrawagancji, zwykły styl przeciętnego mieszkańca średniej wielkości miasta. Część wyposażenia jak telewizor czy lodówka była nowa, zapewne kupiona na raty. Linkiewiczowie mieli oszczędności, ale nie wydawali ich na prawo i lewo. Żyli bardzo przeciętnie.

– Wrzuciła coś do kosza i co? – zaczął mówić za nią. – Powiedziała, że trzeba wynieść śmieci? Czy tak było? Potem związała worek, włożyła w tym czasie nowy i czysty. Wyszła z kuchni, odstawiła go przy drzwiach wyjściowych. Poszła do swojego pokoju na moment... Na pół minuty, może na minutę. A potem wróciła, włożyła klapki i wyszła. Czy tak?

– Tak, skąd pan wie?

Komisarz nie odpowiedział na pytanie.

– Gdzie pani w tym czasie była?

– Gdy Patrycja wychodziła z mieszkania? W swojej sypialni.

– Co pani robiła?

– Po tym jak Patrycja zaczęła sprzątać, poszłam zaścielić łóżko.

– Czy widziała pani moment, gdy Patrycja wychodziła z domu?

– Tylko słyszałam. Pati krzyknęła, że wychodzi.

– Tylko tyle?

– Tak, ani słowa więcej. Słyszałam szeleszczący worek i po chwili zamykanie drzwi. Od tamtej pory... – Rozmówczyni pociągnęła nosem. Usłyszał cichy płacz. Odczekał chwilę, nie chciał wyjść na niewspółczującego rozmówcę. Musiał być gdzieś pomiędzy tym wszystkim; między tragedią a rzetelną postawą śledczego.

– Ile czasu mogła spędzić w swoim pokoju tuż przed wyjściem?

– Bo ja wiem, no tyle, co pan mówił, może z minutę? Mniej więcej. Dlaczego pan o to pyta? O co tu chodzi? Po prostu poszła wyrzucić śmieci.

Komisarz widział wszystko jak na filmie. Każdy krok, każdą sekundę. Wiedział, że wszystko było nieprawdą. Dziewczyna nie poszła tak po prostu wyrzucić śmieci. Najpierw weszła do pokoju, by zabrać przygotowane rzeczy. Śmieci były tylko pretekstem do wyjścia z domu.

Znow odtworzył w pamięci tę scenę. Ich mieszkanie. Dokładnie pamiętał wzory i kolory tapet, drewniane drzwi do każdego pomieszczenia. Zapamiętał tę charakterystyczną wyczuwalną woń, specyficzną dla każdego domu i domownika. Każdy człowiek ma swój niepowtarzalny zapach, indywidualny; inny w czasie dzieciństwa, inny w czasie dorastania. Każda rodzina ma swój; a potem gdy przemnoży się go przez liczbę osób, czas, miejsce oraz inne czynniki, pozostaje jeden, spójny i mocno charakterystyczny, który jest z nami już na zawsze niczym linie papilarne. Nie da się go usunąć. W żaden sposób. Zapach. On jest z człowiekiem. Miał ich zapach w pamięci, co tylko jeszcze bardziej urealniało mu tę wizję. Ale gdyby miał go nazwać i określić, miałby z tym problem, bo jakże nazwać zapach – można go tylko z czymś porównać i skojarzyć.

– Laptop, który miała Patrycja... – zaczął. – Ten, który wzięliśmy do analizy...

– Tak, co z nim? Czy już wszystko sprawdziliście? – zapytała szybko, nie dając mu nawet szansy dokończyć.

– Nie o to chodzi. Od kiedy Patrycja go ma? Kiedy go jej kupiliście?

– Dostała na zakończenie roku szkolnego. Za dobre wyniki w nauce.

– A co się stało z poprzednim?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Zepsuł się?

– Nie, ale nie wiem, czemu pan o to pyta.

– Proszę odpowiedzieć.

– Skądże znowu. Mój mąż obiecał Patrycji, że jeśli tylko będzie miała średnią na koniec roku powyżej pięciu, to dostanie nowy laptop. No i dostała, nie chcę jej chwalić, ale miała o wiele wyższą średnią.

Komisarz przypomniał sobie słowa Moniki, jej koleżanki, która mówiła, że treść wysłanego przez nią SMS-a: „Co z nim?” dotyczyła laptopa.

– A więc jej poprzedni laptop się nie popsuł i nie był nigdy naprawiany? Czy dobrze rozumiem?

– A skąd! Mąż kupił jej nowy, bo chciała go mieć. Obiecał więc, że jeśli tylko zdobędzie średnią...

Iwanowicz odsunął słuchawkę na moment, ponieważ już drugi raz słyszał to samo. Skrzywił się, bo spomiędzy liści wyłoniły się parzące promienie, a słońce było ostatnią rzeczą, na które miał ochotę patrzeć.

– Mają państwo ten laptop w domu?

– Oczywiście, cały czas. Korzystam z niego czasami. Czy chciałby pan go zobaczyć? Jest wam do czegoś potrzebny?

Przygryzł nerwowo wargę.

Wszystko wydawało się misternie przygotowanym kłamstwem. Od samego początku.

– Dziękuję za pomoc, na razie tyle mi wystarczy.

Iwanowicz się rozłączył.

Stało się to, co przypuszczał, ale nie sądził, że będzie musiał brodzić w tak głębokim kłamstwie. Patrycja Linkiewicz była w coś zamieszana i próbowała coś ukryć. Spakowała najważniejsze rzeczy i uciekła z domu. Była zdeterminowana. Zniknęła. Tak by nikt jej nie zauważył. Zniknęła, bo chciała albo ktoś ją do tego zmusił. Wciąż zastanawiał się, jaką w tym wszystkim rolę odgrywali rodzice?

Matka – prawdomówna, szczerą i przejętą losem swojego dziecka. Oplakująca córkę, choć już z pewnym cieniem nadziei, że odnajdzie się cała i zdrowa. Na wieść o tym, że pojawiła się w mieście na nagraniu monitoringu, czuła, że córka ją oszukała. Ale to i tak nie umniejszało tego, co się stało – zniknęła i nikt nie wiedział, gdzie jest. Była gotowa odpowiadać na wszystkie pytania, nie miała przed nimi żadnych tajemnic, współpracowała, nie kryła niczego. Albo tak świetnie udawała.

A obok tego wszystkiego ojciec. Nieobecny, skryty, wymagający, niemalże wyprany z uczuć. Jakby był uosobieniem kogoś, na kim nie mogła polegać ani córka, ani żona.

Coś w tej rodzinie się stało. Podejrzewał, że coś się wydarzyło, ale nikt nie chciał powiedzieć co. Nikt nie chciał, by to coś wyszło na jaw.

Swoista zmowa milczenia.



Wrócił na komendę. W pokoju zastał Gawłowskiego, który ze wzrokiem wbitym w monitor pogryzał kabanosy i popijał je sokiem pomarańczowym.

– Przed momentem był informatyk. Na biurku zostawił ci ekspertyzę oraz wykaz zawartości komputera Patrycji. Częstuj się, jeśli chcesz. – Podsunął w jego kierunku jedzenie.

– I co?

– Przejrzałem pobieżnie, raczej niczego ciekawego nie znalazł. Ważne, że złamał hasło.

Iwanowicz usiadł przy swoim biurku, przysunął się. Leżał przed nim nowy srebrno-czerwony laptop, a obok niego wydrukowane pliki z ekspertyzą. Spojrzał na dokumenty i szybko je przekartkował. Oszacował, że przeczytanie wszystkiego zajmie mu co najmniej godzinę, jeśli nie więcej. Był to szczegółowy wykaz zainstalowanych aplikacji, zawartości dysku, historii przeglądanych stron. Właśnie na tym najbardziej mu zależało. Policyjny informatyk, Patryk Halicki, skupił się przede wszystkim na dokładnym zbadaniu zawartości laptopa. Ten nie ingerował w nic więcej, robił swoje, czyli czystą pracę techniczną. Analizę i wyciąganie wniosków pozostawiał już im. Podobne podejście do pracy charakteryzowało jeleniogórskich techników kryminalistyki – trzymali się z dala od daleko posuniętych interpretacji i hipotez, skupiali się niemal wyłącznie na swojej pracy, przede wszystkim na badaniu miejsc przestępstw. Resztę pozostawiali im, chyba że byli proszeni o opinię czy wzięcie udziału w naradzie w czasie śledztwa.

„Niczego ciekawego nie znalazł”, powtórzył w myślach słowa Jacka.

– A czego my właściwie szukamy? – zapytał komisarz.

– Co?

– Nic, nic, pytałem retorycznie.

– Sorry, ale mamy sporo zaległości, staram się to ogarnąć – powiedział, patrząc w monitor. – I trochę jestem myślami gdzie indziej.

Znów nie mógł liczyć na Gawłowskiego, który zbyt mocno był skupiony na swoich sprawach. Pracowali wspólnie od lat, ale podkomisarz bywał momentami oderwany od tego, co tu się działo. Nie umiał aż tak bardzo angażować się w dochodzenie. Bardziej zajmowały go dokumenty. Bywał większym formalistą od Iwanowicza, a zaraz po pracy wychodził z komendy i wracał do rodziny – do żony Aśki oraz córek. Miał mały dom po miastem, trawnik, na którego pielęgnację poświęcał sporo czasu, garaż, małe królestwo pasjonata mechanika, mecze piłki nożnej oraz wieczornego grilla. Umiał się oddawać wszystkiemu, ale nie potrafił angażować się na sto procent w śledztwo. Bywał pomocny, można było na niego liczyć, jednakże nie był osobą, która dawała tej pracy całego siebie. Iwanowicz odnosił czasem wrażenie, że Gawłowski jest tylko jego asystentem i powiernikiem myśli, które wypowiadał na głos. Sam zaś z własnej inicjatywy rzadko robił coś dla śledztwa. Gawłowski potrzebował kogoś, kto będzie nim kierował. Był raczej uległy, jednakże trochę to przeczyło jego naturze osoby nerwowej, a dawniej niezwykle agresywnej.



W jeleniogórskiej policji niespełna dziesięć lat temu aż huczało od plotek związanych z zachowaniem Gawłowskiego, dawnego boksera policyjnego klubu sportowego. Dziesiątki interwencji, w których brał udział, kończyło się na tym, że policjanci musieli go wyciągać lub wręcz wyszarpywać z bójek, w które się wdawał niemal co sobota. Bywał agresywny, o czym wiedziało wielu jeleniogórskich przestępców. Między innymi dlatego mieli do niego duży szacunek za to, jaki był. Starali się mu nie podpadać, bo im się to nie opłacało, więc musieli z nim trzymać sztamę. Krążyły nawet plotki, jakoby Gawłowski miał powiązania z półświatkiem, ale nigdy mu tego nie udowodniono. Nigdy nie widziano go z żadnym gangsterem, pomijając wspólne treningi na siłowni.

W rzeczywistości Gawłowski był czysty i wiedzieli o tym wszyscy, którzy dobrze go znali. Nigdy się z nimi nie spoufalał, ale jego agresywna natura i wygląd przestępcy dawały wrażenie, że jest jednym z nich. Bokser odwiedzający siłownię, ewentualne rozmowy o odżywkach czy sterydach, wspólne treningi, masywna sylwetka – tyle wystarczało, by na lata wyrobić sobie taki wizerunek. A jemu samemu raz, że nigdy to nie przeszkadzało, dwa, nie chciał z tym walczyć. Dopiero po tym jak został ojcem, zaczął się zmieniać. Coraz rzadziej widziano go na ulicy, coraz mniej słyszało się o awanturach z jego udziałem. Wyciszył się. To był długi proces, przecież nie można zmienić swojego temperamentu z dnia na dzień. Aśka zapisała go na zajęcia z panowania nad gniewem, bardzo niechętnie uczęszczał na te sesje. Wstydził się tego, a przede wszystkim nie potrafił przyznać się przed samym sobą oraz rodziną, że ma z tym problem. Nie umiał oceniać się krytycznie. Jak wówczas uważał, prawie każdy facet bywa konfliktowy i ma ochotę dać czasem komuś po mordzie – i tylko tym tłumaczył swoje zachowanie oraz potrzebę lania innym. Uznawał, że każdy co jakiś czas powinien robić to dla zasady, zdrowia psychicznego i swoistej równowagi. Z biegiem czasu zaczął się przyznawać, że ma trudności z kontrolowaniem się, zwłaszcza gdy popije. Zgodził się zapisać na zajęcia terapeutyczne, ale nie w Jeleniej Górze, ponieważ nie chciał, by ktoś go tu widział. Po wielu sesjach Gawłowski wspierany przez rodzinę stopniowo łagodniał. Zalecono mu, by znalazł sobie hobby, skierował myśli na coś innego. By nie myślał ani o zemście, ani o udowadnianiu swojej siły czy racji. Oddał się więc, jak mu zalecono, nowym zainteresowaniom i w pełni poświęcił rodzinie. Od czasu do czasu miewał stany kryzysowe, wówczas w czasie pracy bywał nieprzyjemny, przeklinał, jeździł szybko i niebezpiecznie. Bywało również, że drzemiąca w nim złość wciąż buzowała, musiał więc odreagowywać w codziennych czynnościach lub na policyjnej siłowni.

Ale i tak wszyscy uważali, że się zmienił. Dziś Gawłowski był o wiele pokorniejszy i nie sprawiał już takich problemów.

Przeglądając ekspertyzę, Iwanowicz podjechał fotelem pod okno i położył nogi na parapecie. Uchylił okno i odsunął roletę. Wyjął z szafki wodę mineralną.

Komputer Patrycji był narzędziem do nauki i do komunikacji, jak dla większości młodych osób, ale być może służył do czegoś jeszcze, taką miał nadzieję. A jeśli tak, to musiała pozostawić po sobie coś, co może naprowadzi ich na jakiś ślad. Plik wydruków był gruby, nawet nie spodziewał się, że tyle tego będzie. Komisarz odnalazł tę część, w której widniała historia odwiedzanych stron. Jeśli dziewczyna miała komputer od nowości, to od końca czerwca przez półtora miesiąca mogła odwiedzić tysiące stron. Już po paru minutach czytania linków dostrzegł, że część z nich się powtarzała. Zapalił papierosa i zaczął zmuszoną analizę. Polecane kosmetyki

młodzieżowe, ubrania, serwisy plotkarskie ze świata młodych wokalistów i aktorów, serwisy z zadaniami domowymi, tabele chemiczne, matematyczne, portale społecznościowe, strony ze śmiesznymi filmikami, słownik polsko-angielski, idiomy. I tak w kółko.

Przez następne piętnaście minut Iwanowicz zdołał rozłożyć kilkadziesiąt stron wydruków na podłodze i pogrupować je w interesujące go kategorie. Analizował je, zestawiał ze sobą, szukał wspólnych i łączących je podobnych zapytań, które wpisywała do wyszukiwarki. I czegoś, co dałoby mu odpowiedź na pytanie, jaką była dziewczyna, czym się zajmowała, czym zapelniała sobie czas, głowę i myśli, czy coś ją trapiło. Rozmyślał o wszelkich niejasnych sprawach związanych z dziewczyną. Co łączyło ją z innymi osobami, zwłaszcza tymi, o których istnieniu nie mieli pojęcia jej rodzice, a także o tym, co wiązało się z jej zainteresowaniami oraz ze szkołą. A potem chciał ułożyć to w całość. Na koniec musiał odnaleźć coś niepokojącego, jakiś punkt zapalny w jej przeszłości, który stał się impulsem do wszystkich przykrych wydarzeń w jej życiu. A więc coś, co spowodowało, że dziewczyna zniknęła. Ze wszystkich męczących go myśli najbardziej niepokoiła go jedna. I nie umiał się od niej uwolnić. Wciąż uważał, że w zniknięcie Patrycji zamieszany był jej ojciec.



Po piętnastej zabrał ze sobą komputer dziewczyny, akta śledztwa, wydruki i pojechał do domu. Musiał zdrzemnąć się po obiedzie. Zjadł w restauracji Gazownia, która znajdowała się w centrum miasta. Wziął danie mięsne z makaronem. Zwykle jadał tam pizzę, ale dziś skusił się na co innego. Potem jeszcze podjechał do sklepu po napoje, wodę mineralną oraz drobne przekąski. Kiedy już wniósł do domu sześć zgrzewek wody i dwie torby pełne jedzenia, musiał się zdrzemnąć. Wszystko zostawił w kuchni, a rozpakowaniem chciał się zająć później.

Obudził go dźwięk telefonu, który leżał w drugim pokoju. Nim wstał z łóżka, odruchowo spojrzął na zegarek. Zdziwiło go to, że słyszał melodię, zwykle miał włączoną tylko wibrację, ale w ostatnich dniach musiał być czujny i nie mógł przespać czegoś ważnego. Pobiegł szybko do pokoju. Spojrzął na wyświetlacz i ujrzał nazwisko Gawłowskiego.

– Mów – powiedział i usiadł na ciężkim krześle. Podobnie jak w innych pomieszczeniach, tu również dominowały ciężkie i solidne meble. Drewniane krzesła robione na zamówienie u stolarza służyły mu już ponad pięć lat i wciąż były w idealnym stanie. Czuł różnicę między solidną ręczną robotą a meblami z sieciowych sklepów meblowych, choć za tę jakość musiał znacznie więcej zapłacić.

– Dostaliśmy przed chwilą wiadomość z centrum monitorowania miasta. Zobaczyli dziewczynę.

– Co?! – Niemal krzyknął i natychmiast wstał. – Jak, gdzie?

– Dobrze słyszysz, działali według naszych wskazówek, po tym jak kazałeś szukać na skrzyżowaniu Jana Pawła z Grunwaldzką. O siódmej trzydzieści siedem widać, jak Patrycja idzie w kierunku skrzyżowania, a potem skręca w lewo, w kierunku mostu, kojarzysz?

Iwanowicz stał dziś w tym samym miejscu, w którym zarejestrowała ją kamera. Kamery monitorowania musiały uchwycić kolejny fragment tej części skrzyżowania. Odtworzył sobie w pamięci dokładnie trasę, kluczowe miejsca, zakłady, firmy, jakie znajdowały się w tamtej części miasta. Tyle że aleja Jana Pawła II była długą ulicą i jedną z bardziej ruchliwych w mieście, prowadziła przez wiele skrzyżowań i rozmaitych odnóg. Oczywiście fakt, że Patrycja Linkiewicz znalazła się tam, a nie gdzie indziej, sugerował, dokąd należało kierować siły poszukiwawcze. W kierunku trasy wyjazdowej oraz części dawnych zakładów przemysłowych, a dziś miejsca, gdzie znajdowały się hurtownie, magazyny i kilka większych sklepów. Ucieszył się w duchu. Każdego dnia odkrajali kolejną część miasta i wykluczali coraz więcej miejsc. Pole poszukiwań zacieśniało się, a sam środek przesuwał się w innym kierunku. Na północ.

– Tak, kojarzę – odpowiedział, gdy już wrócił myślami do rozmowy. – Masz to nagranie?

– Tak, umieścili mi na serwerze, więc mam dostęp. Wysłać ci?

– Jak najszybciej.

– W porządku, za chwilę dostaniesz.

Nie rozłączyli się. Iwanowicz powędrował do swojego gabinetu i wybudził laptop z trybu uśpienia. Po niespełna pięciu sekundach był gotowy do pracy. Zalogował się do poczty, a potem kliknął w link przesłany przez kolegę. Odczekał moment i uruchomił film.

Na obrazie zarejestrowanym przez kamery monitorujące miasto i ruch uliczny widział tę samą znaną już mu stację benzynową, ale z innego miejsca. Był jasny, słoneczny poranek. Słońce przebijało się między drzewami przy jezdni. Zatrzymujące się i ruszające przed światłami auta. Wszechobecny pośpiech. Przechodnie nerwowo czekający na zielone światło. Czarny rozgrzany asfalt. Skrawek miasta, ułamek, jego niewielki wycinek.

W kącie ekranu zobaczył dziewczynę. Miała na sobie niebieską bluzę. Kamera zarejestrowała ją chwilę po tym, jak zniknęła z kadru kamery ze stacji benzynowej. Filmy niemalże na siebie nachodziły, jeden uzupełniał drugi. Szła szybko, nie zwracając na nikogo uwagi, jakby liczyło się dla niej jedynie osiągnięcie wyznaczonego celu.

– Widziałeś nagranie? – zapytał.

– Tak, obejrzałem. Nie ma tego dużo, raptem kilkanaście sekund. Zwróciłem uwagę na to, jakby... uciekała.

– Uciekała?

– A nie odniosłeś takiego wrażenia?

– Idzie szybko, ale nie biegnie. Spieszyła się, a jednocześnie szła naturalnie. Fakt, da się wyczuć, że coś jest nie tak.

– Może się bała, że zwróci na siebie uwagę.

– Możliwe.

– Była z kimś umówiona? – Wymieniali się uwagami, ale nie znali odpowiedzi na dręczące ich pytania.

Film się skończył. Trwał osiemnaście sekund. W tym czasie Patrycja przeszła kilkadziesiąt metrów, skręciła w lewo w kierunku mostu znajdującego się w pobliżu dawnego liceum chemicznego. Dalej droga prowadziła do ronda, przy którym znajdowała się dawna fabryka ZREMB, a w dalszej części wychodziła już poza miasto i ciągnęła się aż do miejscowości znajdujących się na trasie między Jelenią Górą a Zgorzelcem. Dziesiątki miejscowości na ponad sześćdziesięciopięciokilometrowej trasie, a potem już granica niemiecka.

Sporo tego. Bronił się przez myśl, ile ich jeszcze czekało pracy. Zminimalizował okno z nagraniem i włączył mapę okolicy. Pasiecznik, Lubomierz, Olszyna, Gryfów, Lubań, a między nimi mniejsze miejscowości.

– Dobra, na razie skupiamy wszelkie siły na sprawdzeniu nagrań z samej Jeleniej. Zakładamy, że dziewczyna być może docelowo chciała się wydostać z miasta, pamiętajmy o tym. Myślmy, co mogła robić albo dokąd się udać w samej Jeleniej Górze. Do kogo mogła pójść, do kogo pojechać, kogo odwiedzić?

– Marek, ale przecież wszystko już prawie wykluczyliśmy. Kurwa mać, rodzinę, dziadków, szkołę, sklepikarzy...

– I koleżanki. Wiem, wiem, ale musimy przez to przebrnąć, nie ma innej możliwości. Gdzieś tu jest jakaś luka, przez którą się precyzyjnie.

– Wszyscy zostali przesłuchani, jak nie przez nas, to przez innych. Nie wiem, co jeszcze. Na razie zajmę się przygotowaniem listy firm, które znajdują się wzdłuż ulicy... Poczekaj, podejdę do mapy... Wzdłuż alei Jana Pawła, Sobieskiego, potem jest rondo, kurwa. Rozwidlenie – na

północ ulica Sobieskiego leci w kierunku wyjazdu z Jeleniej, a w lewą stronę, na zachód, tam zaczyna się ulica Zgorzelecka, Spółdzielcza. – Gawłowski zaczął wymieniać ulice, które komisarz przed momentem sprawdzał. – Tam prawie wszędzie stoją magazyny i budynki pofabryczne, Celwiskoza i inna chujzoza.

– Wiem, sporo. Weź do pomocy chłopaków. Niech pokręcą się tam. I niech rzucą okiem na ewentualne monitoringi, zrobią listę firm. Dacie radę.

Rozłączył się, a potem wstał i poszedł do kuchni. Nie musiał wyglądać przez okno, żeby wiedzieć, że na zewnątrz wciąż jest jak w piecu. Na szczęście jego ratowała dobrze zaizolowana kamienica, klimatyzacja oraz pozamykane i pozasłaniane okna. Dzięki temu promienie słoneczne nie nagrzewały mieszkania.

Usiadł z kubkiem kawy przed laptopem dziewczyny i zaczął przeglądać zawartość katalogów. Na pulpicie panował porządek, wszystkie pliki posegregowane były według kategorii: zdjęcia, filmy, muzyka, szkoła. Ponadto znajdowały się różne ikony – program biurowy, odtwarzacz filmów i muzyki, komunikator internetowy. Przejrzał każdy folder, uruchomił niemal każdy dokument. Zaczął od szkoły, podejrzewając, że będzie miał tam najmniej roboty. W folderze znajdowały się wypracowania z języka polskiego, tablice matematyczne, wzory fizyczne i chemiczne. W następnym katalogu znajdowała się muzyka. Iwanowicz nie znał tych utworów. Jego gust muzyczny opierał się na tym, co można było nazwać klasyką rocka, muzyką poważną, relaksacyjną i chillout. Znał trochę starego popu, ale o najnowszych hitach nie miał żadnego pojęcia. Patrycja słuchała przebojów, które – jak podejrzewał – zmieniały się co roku. Potem spojrzął na filmy. Siedem filmów młodzieżowych. Znow nic, co by znał. Został folder ze zdjęciami. Dwadzieścia cztery zdjęcia, nic więcej. Włączył pokaz slajdów i napił się kawy. Ponad dwadzieścia zdjęć to mało, doszedł do wniosku. Ludzie mają w telefonach setki nikomu niepotrzebnych zdjęć, robionych co chwila, często bez sensu, kompletnie nieprzemyślanych, a Patrycja miała ich tak mało. Ukazywały życie w szkole, na boisku, w drodze do domu. Uśmiechy. Dużo radości i beztroski. Ważną częścią jej życia były koleżanki. W tle, choć rzadko, widać było inne postaci; pojedyncze sylwetki kolegów z klasy. Ale i tak liczyły się tylko one, Maja, Julka i Monika, stanowiąc pierwszy i centralny plan większości fotografii. Pomyślał, że może trzeba było szukać nie tego, co znajdowało się w centralnym miejscu, lecz w tle. Tego, co schowane i przemilczane. Tło było trudniej zaplanować. To w nim pojawiały się czasami rzeczy niechciane, takie, jakich człowiek nie jest w stanie przewidzieć. Rzeczy nieusuwalne. Sięgnął po swojego laptopa. Poszukał w szufladzie pendrive'a, a potem przekopiował wszystkie zdjęcia. Jego komputer miał zdecydowanie lepszą rozdzielczość, dlatego go kupił. Potrzebował dobrego sprzętu. Często pracował w domu, przeglądał zdjęcia z miejsc zbrodni. I wtedy liczyły się szczegóły i dobre nasycenie kolorów.

Przysunął bliżej twarz i zaczął ponownie oglądać zdjęcia. Na tym ekranie nabrały innego wyrazu. Matryca lepiej oddawała kolory i widać też było więcej szczegółów.

Tło. Skupić się na tle, pomyślał, nie na nich samych, trzeba dostrzec coś w tle. Wszystko to, co wyda się inne, niechciane.

Dziesięć zdjęć, ale na żadnym nie dostrzegł niczego niezwykłego. Wszystkie przypominały te, które oglądał już parę dni temu, te z telefonu. Uśmiechy, rozmazane sylwetki podskakujących lub tulących się osób. Ruch, uśmiechy, spontaniczność. Nic specjalnego. Klikał znudzony. Obejrzał jeszcze kilka zdjęć. W pewnej chwili zatrzymał. Wpatrywał się przez chwilę w jedno

z nich. Zrobione było na boisku, w tle widać było ogromny ceglany budynek szkoły. Budynek jak z koszmaru, idealnie pasujący do horroru o nawiedzonym miejscu. Przysunął twarz jeszcze bliżej.

Jej koleżanka Maja ubrana była w błękitną bluzę. Tę samą, którą miała na sobie Patrycja w chwili zniknięcia. Zrobił powiększenie. Potem szybko przełączył okna i otworzył nagranie z monitoringu. Obejrzał jeszcze raz cały film, potem zwęził okna przeglądarki, by oba obrazy były obok siebie. Nie miał ani cienia wątpliwości, to była ta sama bluza. Krew w żyłach zmroził mu stojący w oddali mężczyzna, który się im przyglądał. Sylwetka była tak mała, że ledwie dostrzegalna. Ale i tak go poznał.





Podjechał pod dziesięciopiętrowy blok znajdujący się na jeleniogórskim osiedlu Zabobrze. Chciał wcisnąć przycisk domofonu, ale dostrzegł, że drzwi do klatki są uchylone, więc wszedł do środka. Wjechał windą na piąte piętro, potem podszedł do mieszkania, w którym był niedawno. Zadzwoił dwa razy i czekał. Po chwili otworzyła mu kobieta w średnim wieku. Miała ostre rysy twarzy i zapewne taki sam charakter.

– Tak?

– Marek Iwanowicz, komenda miejska policji. Czy zastałem pani córkę, Maję?

– Tak, jest, a w jakiej sprawie? Czy chodzi o Patrycję?

– Zgadza się – kiwnął głową – muszę zadać pani córce dodatkowe pytania. Już ją przesłuchiwałem kilka dni temu, ale chciałbym jednak uzupełnić pewne rzeczy i nieścisłości.

– Proszę.

Wszedł do dużego i przestronnego mieszkania. Było nowocześnie wyposażone, wyraźnie właścicielom nie brakowało pieniędzy, choć pamiętał, co mówiła Monika, że Błaszkiwiczowie nie pojechali na wakacje z powodów finansowych, a konkretnie problemów w firmie taty Mai.

– Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazała mu skórzaną kanapę. – Zawołam Maję.

Usłyszał oddalające się kroki, a niecałą minutę później do salonu weszła blada dziewczyna. Nie przywitała się ani w żaden sposób nie zareagowała na obecność policjanta. Usiadła przy stole z dala od niego. Miała podkrążone oczy, ziemisty kolor skóry i przetłuszczone włosy. Ubrana była w piżamę. Wyglądała tak, jakby cały dzień leżała w łóżku lub siedziała przy komputerze bądź przed telewizorem.

– Maju, muszę cię o coś zapytać, ale zanim to zrobię, chciałbym ci coś pokazać.

Ponieważ dostrzegł, że dziewczyna była w słabszej kondycji, starał się być delikatny. Poprzednim razem, gdy ją widział, wyglądała znacznie lepiej. Owszem, zachowywała się wówczas nieśmiało, jednak spoglądała na nich i nawiązywała kontakt, choć i tak zapewne w ich obecności czuła się obco, dziś miała w sobie tylko resztę tej energii.

– Czy od naszego ostatniego spotkania dowiedziałaś się czegoś na temat Patrycji?

Pokręciła głową.

– Nie kontaktowała się z tobą w żaden sposób?

Znów zaprzeczyła.

– Rozumiem, rozumiem – powtórzył i zrobił wymowną pauzę. Spojrzał na swoje paznokcie, strzepnął kurz ze spodni i wyciągnął z czarnej torby komputer. – Wobec tego chciałbym, żebyś coś zobaczyła.

Usiadł tuż obok niej, po czym włączył film z monitoringu stacji benzynowej. Dziewczyna początkowo niechętnie, a potem z rosnącym zaciekawieniem patrzyła na ekran. Iwanowicz znał ten fragment na pamięć, każdą sekundę i każdy szczegół, więc nie spoglądał na nagranie, lecz na nią. Z każdą chwilą twarz wyraźnie się zmieniała, spojrzenie zdradzało zaciekawienie i rosnące podekscytowanie. Nagranie się skończyło.

– Patrycja żyje...

– Jest pan pewien?

– Ale z niewiadomych przyczyn wyszła z domu, uciekła, nie wiem, jak to nazwać. Czy mogłabyś mi wyjaśnić, o co tu chodzi? Co się stało, co między wami zaszło? W co się wmieszałyście? Przed kim uciekła? Czy i tobie coś grozi?

Spojrzała na niego ze strachem. Przeraził ją natłok pytań.

– O co pan pyta? I co pan sugeruje?

– Skomentuj, powiedz coś, wyduś z siebie jakieś słowa. Powiedz wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi!

– Proszę nieco spokojniej, widzi pan, w jakim jest stanie? – zwróciła mu uwagę jej matka.

– Cała jeleniogórska policja szuka Patrycji. Gdy tylko możemy, gdy tylko nie jesteśmy wzywani do wypadków i nagłych spraw, i gdy tylko ludzkiemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, oddajemy się bez reszty tej sprawie, jej zaginięciu. Powiedz coś, co nam pomoże, Maju, potrzebujemy tego. A zresztą – machnął ręką – pomyśl nie o mnie, ale o niej. Spojrzał jej głęboko w oczy. – Wiem, że coś się stało.

– Ale ja nie wiem, co mam powiedzieć...

– Proszę spokojniej, mówię po raz ostatni. Niech pan na nią spojrzy! Widzi pan, w jakim jest stanie?!

Komisarz wziął kilka głębokich wdechów, by się opanować. Starał się nie odpowiadać w takim tonie, bo rozmowa mogłaby się źle skończyć.

– Naprawdę nie wiem – dziewczyna rzekła ledwie słyszalnie.

– Wobec tego spójrz jeszcze raz na nagranie. Patrycja, jeśli dobrze się przyjrzałaś, ma na sobie twoją bluzę, poznajesz?

Dziewczyna kiwnęła głową, ale wcale nie była zdziwiona.

– Ma, owszem, pożyczyłam jej jakiś czas temu. I co z tego?

– Kiedy dokładnie?

– Kilka tygodni temu...

– Czy poznajesz też inne rzeczy?

– Jakie na przykład?

– Torbę, buty.

– Nie widać jej tu zbyt dobrze, nie wiem. A co to ma wspólnego ze mną? Zniknięciem?

– Ma, i muszę to ustalić. I ty mi w tym pomożesz. Torby nie poznajesz?

– Raczej nie.

– A co z butami? Spójrz, proszę.

Dziewczyna oderwała wzrok od swoich dłoni, którymi nerwowo się zajmowała, i popatrzyła na ekran. Chwilę to trwało. Poprosiła, żeby puścił film ponownie, a potem jeszcze raz.

– Nie mam pewności, ale wydaje mi, że Patrycja ma takie w domu. To chyba jej.

– Rozumiem, że nie są to twoje rzeczy?

– Buty nie, pożyczałam jej tylko bluzę.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Chciał być z nią szczerzy, tego samego oczekiwał od niej. Zdawał sobie sprawę, że nie był najlepszym rozmówcą, często się denerwował, a jego poważny ton nie skłaniał innych do szczerych wyznań. Jego głos i powaga miały duże znaczenie podczas

rozmów z przestępcami. Gorzej jednak było właśnie wtedy, gdy należało rozmawiać spokojnie, w takich momentach jak te.

– Maju, jak sądzisz, co się stało z twoją koleżanką? Dlaczego postanowiła uciec z domu? – spytał, siląc się na maksymalny spokój. Głos ściszył niemal do minimum, sam uznał go za szept.

– Wiem, że na pewno coś się wydarzyło. Ustalę to, choćbym miał poruszyć niebo i ziemię, z twoją pomocą lub nie, ale ustalę to. Pomożesz mi?

– Nie wiem, co się wydarzyło... – powiedziała szeptem.

– Zadała się z kimś, z kim nie powinna? Ktoś jej groził? Ktoś ją szantażował?

Maja wzruszyła ramionami. Była zobojętniała. Niewiele mógł z niej wyciągnąć. Przez moment rozważał włącznie do śledztwa psychologa, który zająłby się rozmową z dziewczyną, ale na razie zdany był na siebie.

– Pożyczyłam jej jakiś czas temu bluzę, nic więcej. Nie mówiła mi o niczym. Niczego też nie planowała, żadnej ucieczki. Nie wiem nic, proszę... Niech mi pan da już spokój...

– Uznajmy tę rozmowę za zakończoną. Moja córka już nic więcej nie powie, źle się czuje, chyba pan to widzi? – rzekła poważnym tonem matka, robiąc srogą minę.

– Mamo... Mówię prawdę, sama nie wiem, o co w tym chodzi. Skąd niby mam wiedzieć, czemu uciekła z domu, przecież nic się w domu nie wydarzyło? Wiem, że kocha rodziców. Nikt z nas nie wie, czemu to zrobiła.

Iwanowicz podziękował za rozmowę. Przy wyjściu przeprosił za najście, ale powiedział, że rozmowa była niezwykle przydatna. Skłamał, jak zwykle w takiej sytuacji.

Śledztwo to stąpanie do przodu. Robi się małe kroczki. Czasami chwilowo drepcze się w miejscu, ale zwykle powoli robi się postępy. Zastanawiał się, jak było tym razem.

Niemal przez godzinę analizował zawartość dysku komputera Patrycji Linkiewicz, wszystkich ukrytych plików i folderów. Próbował korzystać z funkcji wyszukiwania schowanych plików, licząc, że coś znajdzie. Zajął mu to sporo czasu i nieźle się przy tym nagimnastykował. Trzy lata temu brał udział w szkoleniu z zakresu śledztwa informatycznego. Poznał tylko podstawy, ale w tym część trików, jakie można zastosować, żeby schować pliki. Był w stanie odszukiwać pliki z zapisanymi informacjami o wszystkich logowaniach do systemu komputerowego, czasie trwania sesji czy chowaniu danych. Wszystko to dziś wykorzystał. Historia odwiedzanych stron, skrzynka mailowa, komunikatory internetowe, schowane pliki. Nie miał tyle czasu, by sprawdzać, jakiej dokładnie słuchała muzyki czy jakie oglądała filmy. Nie miało to raczej większego znaczenia.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta, noc przyjdzie dopiero za parę godzin, a wraz z nią zbawienne obniżenie temperatury do dwudziestu pięciu stopni. Wciąż dużo, ale przy ponad trzydziestosześcioletnim upale zawsze coś.

Po kilkunastu minutach dostał od Gawłowskiego SMS-a z informacją, że robią rozeznanie w sprawie monitoringów z wszystkich możliwych miejsc z interesującej ich okolicy. Zakłady, firmy, sklepy oraz stacje benzynowe. Odczytał wiadomość, ale nic nie odpisał. Sprawdził skrzynkę mailową Patrycji, w której znajdowało się niewiele wiadomości. Dziewięć odebranych, pięć wysłanych. Żadnych wersji roboczych. Żadnych plików na dyskach przypisanych do jej konta, żadnych zdjęć. Wszędzie pusto – poza wiadomościami. Ale żadna z nich nie była interesująca. Wymiana plików tekstowych z koleżankami. Prace szkolne, kilka zdjęć – tych

samych, które znajdowały się w jej komputerze. Monika prosiła o wysłanie linku do strony z darmowym hostingiem zdjęć. Iwanowicz wszedł na tę stronę, ale link wygasł. Krążył ciągle wokół tego samego. Jej świat był albo tak nieskomplikowany, albo tak skryty, że nie był w stanie niczego znaleźć, uznał. Jedno albo drugie – któreś musiało być prawdą. Po godzinie pojechał do domu. Krążył w nadziei, że ruch odgoni znużenie.

Usiadł na czarnej skórzanej kanapie, zatopił się wśród ogromnych poduszek, wypił ponad pół szklanki wody i usnął, myśląc o tym, co jeszcze należało zrobić.

I o czymś jeszcze, co nie dawało mu spokoju. Wiedział, że coś przeoczył.

Spojrzał od góry, by odsunąć wzrok od tego nieprzyjemnego widoku, lecz nie chciał odchodzić od zbiegowiska. Czekał na dalszy tok wydarzeń. Ktoś z oddali krzyknął, że nadjeżdża milicja. Szesnaście minut po wezwaniu, rzekł drugi. Bandyta zniknął między opuszczonymi budynkami. Nieprzytomny mężczyzna krwawił obficie.

Spoglądał mu w oczy, nie odrywał od nich wzroku, wiedząc, że nic nie może zrobić. Ranny pragnął, by wreszcie przyjechała karetka. Zaklinał cały świat, by stało się to jak najprędzej. O niczym innym nie myślał, po prostu pragnął przetrwać.

Chłopiec nie odrywał od niego wzroku. Widział, że życie człowieka wpływało wraz z ciemnobordową krwią, która wypełniała wszelkie wgłębienia i nierówności chodnika. Jedna z kobiet stojących bezpośrednio nad mężczyzną uklękła przy nim i otuliła go swymi rękami, chwytając za zakrwawioną szyję. Zrozpaczona chciała mu pomóc, robiła, co w jej mocy, ale nie wiedziała tak naprawdę, że wcale mu nie pomaga.

– Niech go pani zostawi! To może mu zaszkodzić! – krzyknął jakiś mężczyzna z tłumu.

Kobieta łkała donośnie, wrzeszczała jak oszalała.

– Czy wy wszyscy nie widzicie, że on umiera!? Czy nie macie w sobie litości, współczucia, zróbcie coś do cholery! – krzyknęła z całych sił.

Spojrzał na twarze osób, które stały naprzeciw niego. Blade i zmartwione oblicza, dziwne, oszczędne gesty. Ich spojrzenia się krzyżowały. Wielu z nich zapewne uważało, że już po nim. Nieważne, kim był, co robił, jak do tego doszło. Ważna była ta chwila, gdy umierał. Sensacyjna, szokująca. Tyle wystarczyło, by zahipnotyzować tłum. Wiedział, że to dla nich rozrywka, którą z zaciekawieniem śledzili. Potem wrócą do domów, do codziennych obowiązków, którymi zapelniali nudę. Śmierć na oczach całego osiedla. Zjawisko dla nich niezupełnie obce, ale za każdym razem tak samo frapujące. Przywykli już do tego.

– Ludzie pomóżcie mi, on umiera! Czy do was to nie dociera!? – krzyknęła ponownie kobieta.

– Wezwaliśmy pogotowie! Co jeszcze mamy zrobić?! – rzucił tęgi mężczyzna stojący naprzeciwko.

– To niech pan dzwoni jeszcze raz, na litość boską! – wrzasnęła na niego. – Biegnijcie do telefonu.

Mężczyzna dyskretnie oddalił się od tłumu, spoglądając obojętnie na umierającego. Zbliżali się milicjanci. Czarne sylwetki w niebieskich mundurach przeciskały się przez tłum, by dostać się do rannego.

– Proszę się odsunąć, proszę zrobić miejsce! – wykrzykiwał jeden z nich. W ślimaczym tempie przebijali się przez zbiegowisko. Jeden z nich uklękł nad mężczyzną i zaczął nim delikatnie potrząsać, chyba chcąc w ten sposób wskrzesić w nim życie. Czy właśnie tego ich uczono

w szkole milicyjnej? Że tak się postępuje z nieprzytomnym, rannym człowiekiem? Tak się właśnie dokonuje analizy stanu zdrowia wykrwawiającego się człowieka?

– W ten sposób nic pan nie pomoże, do cholery! Niech się pan lepiej odsunie, zanim mu pan zrobi krzywdę – powiedział jeden z gapiów. Był to ogromny mężczyzna. Może się nie bał powiedzieć prawdy.

– Spokojnie. Wiem, co robię – odparł milicjant, potrząsając mężczyzną.

– Czy ktoś go zna? – spytał drugi.

Wszyscy milczeli.

– Czyli nikt go nie zna, tak? A czy ktoś widział napastnika? – zadał kolejne pytanie, notując coś w podręcznym notesie. Spojrzał na twarze zebranych osób i pokręcił głową na znak dezaprobaty. – Czyli nikt nie widział osoby, która zaatakowała tego mężczyznę? – spytał ponownie. Raz jeszcze pokręcił głową, po czym coś zanotował w zeszytcie.

Ludzie wymieniali między sobą spojrzenia, udając, że żaden z nich nie widział uciekającego opryszka. Nikt nie powiedział, że bandzior pobiegł w kierunku ulicy Dworcowej, gdzieś pomiędzy opuszczone budynki. Wszyscy milczeli.

– Ludzie, na litość boską! To by nam pomogło szybciej schwytać sprawców! – krzyknął milicjant. Spojrzał na ich twarze, lecz nic z nich nie wyczytał. Wreszcie usłyszał wycie syreny pogotowia ratunkowego. Po chwili z karetki wysiadło dwóch mężczyzn w zielonych kitlach i błyskawicznie precyzyjnie się do środka zgromadzenia, taranując przy tym ludzi ze zbiegowiska. Rannego ułożyli w odpowiedniej pozycji i dokonali szczegółowego badania. Niski mężczyzna spojrzał przed siebie, spotykając jego spojrzenie. Małego chłopca, który stał między dorosłymi i starał się zrozumieć, co tu się stało. Patrzył na to wszystko jak zaczarowany. Układał sobie to w głowie, ale nie wiedział, jak to interpretować.

– Puls niewyczuwalny! – krzyknął.

– Robimy masaż serca! – krzyknął drugi.

Nie zważając na nic, podwinął rękawy fartucha i zaczął silnie uciskać klatkę piersiową, wspomagając się przy tym ciężarem własnego ciała. Wykonał kilkanaście ruchów mających przywrócić pracę serca, na przemian wykonując oddech zastępczy.

– On nie żyje – rzekł ratownik, spoglądając leżącemu w oczy. – Daj spokój...

Drugi ratownik przetarł czoło rękawem. Mężczyźni spoglądali na siebie chwilę w bezruchu. Jeden popatrzył na zegarek.

– Zgon nastąpił o dziewiętnastej pięćdziesiąt.

– Jak długo tu leżał? – ratownik skierował pytanie do gapiów, którzy w odpowiedzi zaczęli spoglądać jeden na drugiego. Milicjanci stojący z boku próbowali wypatrzeć wśród tłumu osobę, która była na miejscu najwcześniej. Kobieta krępych kształtów wyrzuciła z siebie:

– Byłam zaraz za panem, który zjawił się tu pierwszy i wezwał pogotowie. Już go tutaj nie ma, poszedł przed chwilą. Jestem tu od piętnastu, może dwudziestu minut.

– Czy widziała pani sprawcę bądź sprawców? – spytał tęgawy milicjant.

– Nie. Gdy przyszłam, mężczyzna już leżał. O tak... bokiem, aż do chwili, gdy panowie z pogotowia obrócili go na plecy. Nic więcej nie wiem.

Ludzie odwracali wzrok i ruszali przed siebie, by za kilka minut zniknąć gdzieś w gąszczu zabudowań. Wysoki milicjant wcisnął notes w kieszeń i poszedł do radiowozu. Ratownicy przełożyli ciało na nosze i zanieśli do karetki. Po paru minutach nie było już nikogo. Tylko

czerwona ciecz, która jeszcze niedawno krążyła w żyłach człowieka, krzepła na chodniku, tworząc dziwny kształt, jakby ktoś wylał puszkę farby.

Iwanowicz słyszał dzwonek telefonu dobiegający z oddali. Rytmiczna melodia i drżenie. Nagle zerwał się na równe nogi. Spojrzał jak zwykle na zegarek. Wskazówki pokazywały dwudziestą dwadzieścia osiem. Pobiegnął szybko do telefonu, ale dźwięk się urwał.

– Co jest? Dzwoniłeś przed momentem, przysnąłem i nie zdążyłem dojść.

– Złe wiadomości, Marek – rzekł ściszym głosem. Iwanowicz już dawno nie słyszał u niego takiego tonu.

– Nie, kurwa, nie. Tylko nie to.

– Niestety. Parę minut temu dostaliśmy zgłoszenie.

– Mów.

Ale rozmówca niczego nie powiedział. Słyszał oddalone kliknięcia. Gawłowski zapewne siedział przy komputerze. Coś zajęło jego uwagę i nic nie mówił.

– No? – ponaglił go.

– Jakiś wędkarz znalazł ciało dziewczyny. Według wstępnych szacunków miała około czternastu, piętnastu lat.

Policjant zamknął oczy i opadł na krzesło.

– O kurwa, nie...

Jak to się mogło stać, pomyślał. Jak mogli tak spieprzyć całą sprawę? Jak mógł do tego dopuścić? Za mało zaangażowania. Za mało się temu wszystkiemu przyjrzeni, nie wyczuli tego, co się działo naprawdę. Przeoczyli coś. Pominęli. A więc miał rację, że coś przeoczyli, ale zupełnie nie wiedział co.

– Niestety, ale to prawda. Marek, właśnie wyłączam komputer i wyjeżdżam z komendy. Zbieraj się, przyjadę po ciebie za pięć minut.

Iwanowicz wcisnął czerwoną słuchawkę. Dawno nie czuł takiego zawodu i rozczarowania. Przez chwilę ogarnęła go taka bezsilność, że mógł tylko milczeć. Ale wiedział, że to niczego nie rozwiąże.



Gnali autem służbowym z włączonym kogutem. Samochody stawały w miejscu lub zjeżdżały na bok, by ich przepuścić. Tuż za nimi jechał jeszcze jeden radiowóz. Gawłowski manewrował nerwowo, wyprzedzając inne samochody. Komisarz przywykł już do jego agresywnego sposobu kierowania. Jeździł pewnie, ale na granicy bezpieczeństwa. Pocieszające było to, że od kiedy się znali, Gawłowski nie miał nawet stłuczki. Był dobrym kierowcą, choć czasami nie chciało się w to wierzyć.

Z ulicy Bankowej skręcili w Sobieskiego, potem przecięli aleję Jana Pawła II i przejechawszy kawałek, skręcili w Różaną, która zaraz przechodziła w Krzywoustego. Nie zważając na przepisy ruchu nakazujące ostrożność i ograniczenie prędkości, gnali bardzo wąską drogą. Potem wjechali w leśną ścieżkę. W tej chwili zadzwonił telefon Iwanowicza.

– Gdzie jesteście? – zapytał aspirant Jaworski.

– Na Różanej, przed chwilą minęliśmy po prawej stronie jakiś barak. Kojarzysz?

– Tak, jesteście już prawie na miejscu. Zostawcie tam auto, przejdźcie mostkiem nad rzeką, a potem idźcie wzdłuż brzegu. Później skręćcie w lewo. Za cyplem idźcie jakieś pięćdziesiąt metrów, sześćdziesiąt metrów. To tam.

– Zaraz się widzimy.

Iwanowiczowi się zamyślił. Na ostatnim nagraniu widać, że Patrycja szła właśnie w tym kierunku. Na skrzyżowaniu skręciła w lewo, na wiadukt, a potem poszła dalej, niedaleko obu szkół średnich stojących w pobliżu dworca PKS. Potem skręciła w to miejsce.

Co się stało? Ktoś tu na nią czekał? Podczas umówionego spotkania doszło do walki, w której wyniku zmarła?

Po chwili dotarli na miejsce.

– Tu? – zapytał, biorąc ze sobą wodę mineralną.

– Tak, tu. Za mną.

Przeszli niewielkim mostkiem i skręcili w lewo, zgodnie ze wskazówkami Jaworskiego. Przeszli kilkadziesiąt metrów. W oddali dostrzegli mury jednej ze szkół średnich, tuż obok widać było zaniedbane budynki mieszkalne, pojedyncze drzewa, a dalej już pola. Dziwne miejsce, taki mały wycinek, który wyglądał jak zapomniany przez wszystkich skraj miasta, a jednak było stąd blisko do centrum. W oddali za rzeką widać było zachodzące słońce i punkt widokowy, białą wieżę, znajdującą się na Wzgórzu Krzywoustego. Z daleka wyglądała jak latarnia morska. Rozciągał się stamtąd doskonały widok na miasto. Przeszli niedużym laskiem. Iwanowicza nagle dopadły duszności. Był zmuszony na chwilę przystanąć. Po raz kolejny odezwały się dawne dolegliwości. Las. To się dzieje w lasach. Kurwa mać. Omdleвам w dusznych miejscach, pomyślał. Dziwne. Zwolnił się oddech, tracił siły. Oparł się o niewielkie drzewo. Starał się oddychać regularnie. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Jasne punkty, które miał przed oczami, stopniowo zaczynały znikać.



– Marek, wszystko w porządku? – zapytał Gawłowski, gdy zobaczył, że kolega przystanął i oddycha z trudem.

Machnął ręką, że wszystko dobrze, i kazał mu iść. Odczekał ponad minutę, wypił pół butelki wody i ruszył przed siebie. W oddali między drzewami dostrzegł wóz strażacki oraz karetkę pogotowia. Daleko na horyzoncie widział zabudowania miejskiej oczyszczalni ścieków. Dopiero teraz zorientował się, że auta przyjechały inną drogą – Gawłowski dotarł tu najkrótszą z możliwych, jednakże przez niewielki mostek dla rowerzystów i pieszych nie mogli przejechać radiowozem. Inne służby nadjechały od strony oczyszczalni.

Podszedł do zgromadzonych. Wśród nich stał też lekarz. Iwanowicz z nikim się nie przywitał. Stał między nimi. Pięciu strażaków w czarnych kombinezonach i dwóch medyków w pomarańczowych kamizelkach.

– Co mamy? – zapytał.

– Utonięcie – odpowiedział jeden z ratowników. – A właściwie morderstwo. Dziewczyna miała związane ręce.

Iwanowicz zamknął oczy i przelknął żółć, która podeszła mu do gardła.

– Kiedy to się stało?

– Najprawdopodobniej była w wodzie od wczoraj. Ciało nie jest jeszcze aż tak bardzo napuchnięte, stawiam, że spędziła w niej nie więcej jak dobę.

Komisarz kiwnął głową i przepchnął się między strażakami, by podejść jeszcze bliżej. Spojrzał na ciało. Metr od niego leżały zwłoki dziewczyny oblepione roślinnością rzeczną i drobnymi gałązkami. Musiała zahaczyć wielokrotnie o dno. Na jasnych włosach sięgających ramion znajdowały się reszki zielonawego i wilgotnego szlamu oraz mułu. Dziewczyna leżała na brzuchu, nie widać było twarzy. Miała na sobie tylko krótkie spodenki oraz buty sportowe. Reszta ciała była obnażona. Miała posiniaczone plecy, szyję oraz liczne ślady na nogach. Ciało było bladospine, co sprawiało wrażenie, jakby ktoś posypał ją popiołem.

– Dobra, obróćmy ją, trzeba jak najszybciej potwierdzić tożsamość.

Iwanowicz wcale nie musiał sięgać do kieszeni po zdjęcie Patrycji, choć miał je przy sobie, ponieważ doskonale znał jej twarz. Nawet najmniejszy szczegół.

Policjanci przytaknęli i przysunęli się bliżej.

– Jasne, nie ma na co czekać – odpowiedział Tomasz Jaworski.

Aspirant poprosił strażaków, by się odsunęli i nachylił się nad nią. Nałożył rękawiczki i powoli obrócił denatkę. Iwanowicz, który stał blisko jej nóg, okrążył ciało i kucnął przy samej twarzy. Pomógł Jaworskiemu położyć ją na plecach. Spojrzał na opuchnięte i poobijane oblicze młodej dziewczyny. Przez kilkanaście sekund nikt się nie odzywał. Wpatrywał się bez mrugnięcia i badał każdy centymetr kwadratowy jej twarzy. Poczul się dziwnie, bo wszystkie oczy skierowane były nie na nią, lecz na niego. Funkcjonariusze wiedzieli, że to on prowadził śledztwo i teraz jest najważniejszy. To on musi teraz przelknąć tę gorzką pigułkę. Dali mu chwilę, bo zdawali sobie sprawę, co przeżywał. Wiedzieli lub po prostu czuli, że w takiej chwili wypadało milczeć.

Komisarz spojrzął przed siebie. Między sylwetkami stojących policjantów i strażaków szukał wzrokiem jakiegoś oddalonego punktu. Wypatrywał czegoś, czego nie był w stanie znaleźć. Doznał dziwnego uczucia. Wszystko ucichło, jakby ktoś wyłączył dźwięk na nagraniu. Słyszał tylko swój oddech, bicie, a może wręcz dudnienie własnego serca oraz delikatny szum rzeki.

I nic więcej. Zniknęły odgłosy pędzących w oddali samochodów, śpiew ptaków i brzęczenie owadów. Zamilkły odgłosy buczenia urządzeń znajdującej się w pobliżu oczyszczalni ścieków.

Cisza.

Ona zdawała się odgrywać najważniejszą rolę tego wieczoru. Iwanowicz znów poczuł to dziwne ukłucie w sercu, to, które coraz częściej go męczyło, to samo, które czuł jeszcze przed parunastoma dniami. Owo nieustające poczucie osłabienia, które mu doskwierało i oznaczało, że robił się coraz starszy. A potem jeszcze raz spojrzął na denatkę. Jasną, młodą, o regularnych rysach twarzy ze zdjęcia. Wstał, odsunął się od zbiegowiska, dokładnie tak samo jak w tym śnie, który miał przed godziną, wyminął zbiegowisko i odszedł kilkanaście metrów. Wciąż czuł na sobie spojrzenia ludzi, choć stał do nich plecami. Wyciągnął telefon. Odszukał numer telefonu, wybrał i czekał na połączenie. Po paru sekundach usłyszał kobiecy głos.

– Halo?



– Silne otarcia naskórka, liczne rany na całym ciele, zwłaszcza na głowie, rękach, kolanach, czyli tych miejscach, które bezpośrednio stykały się z kamienistym dnem górskiej rzeki oraz wystającymi bolcami i klinami regulującymi brzeg rzeki. Ale to nie wszystko, o czym pewnie wiesz, bo na dnie znajduje się wiele metalowych przedmiotów, nawet ciężkie śmieci, które są jak śmiertelne pułapki i ranią niczym zęby piranii.

Słowa odbijały się echem po niewielkiej sali prosektorium, a potem wirowały mu w głowie jak puszczony w ruch.

– Spójrz tu, widzisz?

Iwanowicz kiwnął głową i przysunął się bliżej.

W tej samej chwili poczuł drżenie telefonu w kieszeni, na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko prokuratora. Dzwonił, by powiedzieć, że na pewno się spóźni. Nie skomentował tej informacji.

– Zobacz, ile ma siniaków. Nie chcę strzelać, ale dziewczyna co najmniej kilkadziesiąt razy uderzyła głową o dno. Jak mówię, głównie o kamienie lub coś równie twardego, a ponieważ głowa jest ciężka, dlatego bardzo często najmocniej obrywa. Ciało tak się układa, że jest ona zwykle na samym dole. Podejrzewam, że przy takim skrępowaniu rąk, tak silnym węźle, nie miała najmniejszej szansy na przeżycie. Do tego dolicz głębokość rzeki, w niektórych miejscach ponad dwa metry, twarde dno, wychłodzenie organizmu.

Zalewski spojrzał wymownie na komisarza i poruszył ramionami, by poprawić spadający fartuch.

– Lekarz mówił, że była w wodzie około dwudziestu czterech godzin...

Anatomopatolog odwrócił głowę tak szybko, jakby ktoś go zawołał. Chwilę trwał w milczeniu. Komisarz nie wiedział, co mu się stało. Wyglądał na poważnie zamyślnego. Nagle się wybudził, obejrzał po raz kolejny zwłoki. Po jakimś czasie rzekł:

– Tak... Lub nawet mniej. Maceracja naskórka jeszcze nie wystąpiła, nie ma rozwarstwienia, tylko silne pomarszczenie. Biorąc pod uwagę temperaturę wody... Tak, myślę, że nie więcej niż doba. Podam dokładniejszy czas zgonu w protokole sekcji.

Komisarz się zasępił.

– To nam poniekąd ułatwia działanie – powiedział cicho. – Zginęła w nocy. Ktoś ją wrzucił do rzeki tak, by nikt tego nie widział... Kurwa mać... Co tu się dzieje...? Jakiś obłąd.

– Nie wiem, Marek, ja tylko po was sprzątam – rzekł chudy, wysoki mężczyzna. Miał na sobie długi biały fartuch zapięty aż pod samą szyję. Obok na stole leżały jego rzeczy osobiste, telefon komórkowy, portfel, kluczyki oraz niewielki notebook. Przyjechał do prosektorium w pośpiechu na specjalne żądanie. Zdążył jedynie się przebrać i potem zajął się pracą.

Dochodziła pierwsza w nocy.

Iwanowicz odszedł od stołu sekcyjnego. Otworzył na oścież okno i usiadł na parapecie. Wyciągnął papierosa. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale nie dbał w tej chwili o przepisy. Znajdowali się obok dużego jeleniogórskiego szpitala przy ulicy Ogińskiego, w niewielkim

parterowym budynku. Ciemna szarość przechodząca w pastelową zieleń elewacji była tak samo nijaka jak to miejsce. Ponure i bez wyrazu.

A czy powinno być inne? – zapytał sam siebie. Czy powinno być ładniejsze? Może właśnie takie miało być – nierzucające się w oczy, bez duszy. Pozbawione życia, niczym ci, którzy się tutaj znajdowali.

– Marek, jest już po pierwszej – rzekł lekarz, spoglądając na zegarek. – Czeka mnie jeszcze sporo pracy przy niej, bo chciałbym możliwie szybko dać wam protokół. Chyba że ci się nie spieszy, to mogę to podrzucić za parę dni. Skończ palić i daj mi popracować.

Iwanowicz nawet na niego nie spojrzał. Patrzył w okna kilkupiętrowego szpitala miejskiego, który w nocy wyglądał jak postawiona na pustyni ogromna baza wojskowa. Modernistyczne powierzchnie przypominające sześciany wyglądały jak przypadkowo rzucone na siebie klocki.

Dopalił papierosa, zgasił o zewnętrzny parapet i wyrzucił przez okno.

– Zrób jak najszybciej – rzekł, wychodząc z prosektorium.

1.27. Wsiadł do samochodu zaparkowanego tuż przed wejściem. Włączył lampkę pod sufitem. Wziął do ręki teczkę z aktami śledztwa. Przekartkował zeznania wędkarza, który natknął się na zwłoki. Czytał je po raz trzeci. Starszy mężczyzna wybrał się jak co dzień nad rzekę, by łapać na muchę. Wszedł do rzeki w woderach. Tego dnia prąd nie był zbyt silny, toteż mógł swobodnie łowić. Rzucił kilka razy przynętą, co z oddali wygląda, jakby wędkarz zarzucał łąso, ponieważ żyłka jest gruba, ciężka i wymaga silnego, nawet wielokrotnego zarzutu. Po piątym rzucie sztuczna mucha zahaczyła o coś ciężkiego. Bez zbędnego czekania ruszył w jej kierunku, bo nie chciał stracić przynęty, ale zaczep powoli dryfował w jego stronę. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, było około dwudziestej, ale drzewa nad rzeką przysłaniały widoczność. Wędkarz był coraz bliżej zaczepu. Nieprzerwanie nawijał żyłkę na kołowrotek. Pociągał wędkę, mając nadzieję, że uda się odczepić haczyk, ale po chwili wywnioskował, że złapało się coś ciężkiego. Nie była to ryba, ponieważ nie szarpała się ani nie próbowała wypiąć, stąd wniosek, że zahaczył o gałąź lub pływający worek. Kiedyś zdarzyło mu się coś podobnego – mucha zaczepiła się o worek śmieci.

Dotarł już bliżej, przyjrzał się z bliska temu, co złapał, a potem wrzasnął z całych sił. Przewracając się, upuścił wędkę. Cały się skąpał, a gdy zaczął się nerwowo podnosić, wpadł w panikę, bo do woderów wpłynęła woda, przez co stał się ociążały i trudno mu było wstać. Tracił równowagę. Po kilku sekundach dotknął gołego ciała, dryfującego w nieco płytszej części rzeki. Znów zaczął krzyczeć, ale w miarę szybko się opamiętał. Próbował racjonalnie myśleć.

Gdy złapał równowagę, zaczął tak manewrować ciałem, by dociągnąć je do brzegu. Zajęło mu to dwie lub trzy minuty. Upewniwszy się, że dobrze zabezpieczył ciało, by nie odpłynęło, wygramolił się z rzeki i poszedł zadzwonić na policję. Czekał na nich, nie ruszając się z miejsca. W tym czasie zaczął z siebie zdejmować przemoczone ubranie. Bał się zostać ze zwłokami sam na sam, ale musiał.

Komisarz przerzucał kartki. Odnalazł tę z informacją o dziewczynie.

Nazywała się Dominika Łaszczyńska, miała czternaście lat i była uczennicą tej samej klasy, do której chodziła Patrycja. Rozpoznał ją tuż po tym, jak przekręcili ją na plecy. Przyglądał się jej przez kilkanaście sekund. Od razu skojarzył twarz z jednego ze zdjęć, które znajdowało się na komputerze Patrycji. Stała w oddali, co mogło świadczyć o tym, że nie była z nimi zaprzyjaźniona, ale mimo to kilka razy pojawiła się na fotografiach. Zadzwonił od razu

z informacją do wychowawczynie Patrycji, Małgorzaty Winiarskiej, aby przekazać jej tragiczną wiadomość. Scharakteryzował dziewczynę. Z opisu raczej nie miała wątpliwości, choć w czasie rozmowy próbowała nie dopuścić do siebie tej informacji, jakby umysł wzbraniał się przed poznaniem przykrej prawdy. Nie chciała w to wszystko uwierzyć. Potem na prośbę komisarza przyjechała, by zidentyfikować zwłoki. Reszta potoczyła się szybko. Przekazała im wszystkie niezbędne dane, przede wszystkim adres. Mieszkała wraz z matką przy ulicy Wincentego Pola w starej dużej kamienicy.

Wyciągnął z kieszeni telefon. Jedno nieodebrane połączenie od Gawłowskiego. Wybrał numer i czekał.

– Właśnie wyszliśmy parę minut temu. Rozmawiałem tylko z matką, dziewczyna nie ma ojca.

– Wiem. I co?

– Trudno powiedzieć, była w trzy dupy pijana. Zdaje się, że ostro chła. Jednym słowem patologia.

Iwanowicz zamknął teczkę, przełączył rozmowę na tryb głośnomówiący i wyjechał spod szpitala. Nie wiedział, czy było w tym mieście smutniejsze miejsce niż prosektorium. Gdyby stworzyć ranking, zapewne znalazłoby się ono w ścisłej czołówce.

– W tych sprawach jesteś dla mnie autorytetem. Nikt nie zna się na tym lepiej od ciebie, więc wierzę na słowo.

– Matka była równo wcięta, nie wiem, czy w ogóle zrozumiała, co do niej mówiliśmy. Potem się chyba kapnęła, po co przyjechaliśmy. Gdybym był sam, wiesz, pewnie by w ogóle się nie zorientowała, że jestem z policji. Mam na sobie koszulkę z nadrukami – wyjaśnił.

Iwanowicz wiedział, że obaj wyglądali nieprzekonująco. Dopiero pokazanie legitymacji zmieniało rozmowę, choć i to nie zawsze skutkowało. Nieufni ludzie bali się, że może być podrobiona.

– Ale był ze mną Tomek, w mundurze, więc zrozumiała, że to nie żart – kontynuował Gawłowski.

– Rozumiem, że udało się z nią jakoś rozmawiać?

– Dobre słowo, jakoś.

– Nie zauważyła, że córka zniknęła? Nie widziała, że dziewczyny nie ma od dawna w domu?

– W tym sęk, że nie. Pewnie nie trzeźwiała przez dłuższy czas. Wiesz, jak wygląda życie takich ludzi. Budzi się, wstaje, by iść do sklepu po picie, potem znów chła, później się kładzie, najczęściej w swoim pawiu. Dzień myli się z nocą, a dni ciurkiem przechodzą jeden w drugi. Taki żul nie wie nawet, jak się nazywa i co robi.

Iwanowicz skinął głową do samego siebie, Gawłowski był mistrzem opisów. W tej kwestii był niezastąpiony. Bywał w takich domach co parę dni. Nic już go nie zaskakiwało. Mógł się pochwalić niezliczoną ilością interwencji w takich miejscach.

– A mieszkanie?

– Chyba cię nie zaskoczę, jeśli powiem, że ogólnie sajgon. Stęchlizna, wilgoć, brudne naczynia. Obejrzałem pokój Dominiki. Nie miała jakichś specjalnych warunków, ale można powiedzieć, że miała swój ką. Było w nim w miarę czysto, o dziwo. Przeszukaliśmy wszystko, ale nie znalazłem nic podejrzanego.

– Podejrzanego, czyli czego?

– W ogóle... Nie wiem, właściwie to niewiele było rzeczy w tym pokoju.

- To znaczy?
  - Rozkładane łóżko, mała meblościanka, wysuwane biurko. Nie miała komputera, nawet nie znaleźliśmy telefonu. Przeszukaliśmy wszystkie meble.
  - A plecak, ubrania?
  - Coś miała, ale...
  - Kurwa, Jacek, konkrety. Ginie nam dziewczyna, ktoś ją wrzucił do rzeki ze związanymi rękoma. Mamy morderstwo nieletniej. Może zaraz będzie kolejne, obudź się. Nie ma, że „miała jakieś ubrania, miała plecak?”. Tu liczą się konkrety. Co znaleźliście?
  - Nic – powiedział po jakimś czasie. – W pokoju niczego nie znaleźliśmy, co dawałoby nam podstawę sądzić, że mogła być w coś zamieszana.
  - A na biurku... Czy było miejsce po laptopie? Ładowarka do telefonu w gniazdku lub szufladzie? Karty SIM, cokolwiek? Po tym zawsze najłatwiej sprawdzić, czy coś zginęło. Zwykle takie rzeczy zostają w domu.
  - Tak, kojarzę, czarna ładowarka do telefonu była pod biurkiem.
  - A więc miała telefon.
  - Matka nic nam o nim nie mówiła. Nie była w stanie.
  - Mogła nie wiedzieć. Dziewczyna pewnie sama kupiła. Zapytam jeszcze raz: szukaliście dobrze, ale nie znaleźliście telefonu, tak?
  - Tak.
  - Dobra, zdobyłeś jej zdjęcie, tak jak prosiłem?
  - Mam dwa. Zrobione kilka miesięcy temu, ale jest na nich dobrze widoczna.
  - Żadnych innych?
  - Były sprzed dwóch lat, a takich nie potrzebujemy.
- Komisarz zastanowił się nad tym. Lepiej było mieć wszystko, ale uznał, że tyle im na razie wystarczy.
- W porządku, rano widzimy się na komendzie. Aha, Jacek... – powiedział w ostatniej chwili, gdy już chciał się rozłączyć.
  - Co jest?
  - Zorganizuj jutro rano zespół ludzi, którzy przejdą się wzdłuż rzeki i wytypują jakieś miejsca... – Urwał, bo nie wiedział do końca, jak to wyrazić. – Miejsca...
  - Jakie?
- Iwanowicz milczał. Wciąż się zastanawiał.
- Miejsca, gdzie może znajdą ślady wzdłuż linii brzegowej. Niech zaczną od mostu kolejowego, niedaleko wiaduktu. Potem niech posuwają się w górę rzeki, im dalej, tym lepiej. Sam oceń, ilu potrzeba ludzi.
- Rozłączył się. Przyhamował, skręcił na pobocze i zatrzymał auto. Stał przy ulicy Różewicza na jeleniogórskim Zabobrze. Zewsząd otaczały go czteropiętrowe bloki. Wysiadł i oparł się o rozgrzaną maskę. Czuł zapach oleju. Okolica była wyludniona. W oddali dostrzegł tylko mężczyznę, który wyprowadzał psa na spacer. Przygryzł pięść, wahając się, co robić. Wyciągnął telefon. Przejrzał listę ostatnio wybieranych połączeń i kliknął jeden z numerów.
- Po chwili usłyszał znajomy głos.
- Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze – zaczął.

– Nie szkodzi, oby nie dzwonił pan znów ze złą wiadomością. Rzadko kto mi serwuje taką nerwówkę jak pan...

– Muszę to zapamiętać. A może nawet zapiszę sobie i każę wyryć na nagrobku.

Kobieta się zaśmiała.

– Ale rozbawiać też pan umie. To pocieszające, bo dawno się już nie śmiałam.

– Nie jest to moja mocna strona – rzekł, ale po chwili zmienił temat. – Dzwonię jednak w innej sprawie.

– Skoro nie ma pan złych wiadomości, to domyślałam się, że chcę pan zapytać o Dominikę.

– Punkt dla pani.

– Czy możemy się umówić na jutro? Jest już późno. Chociaż... Nie wiem, czy zasnę. Ciągle mam ją przed oczami... Nie mogę tego zrozumieć. Wciąż nie wierzę, że to się stało. Znam ją dobrze, to znaczy znałam.

Komisarz nic nie powiedział. Czekał. Usłyszał, że zaczęła płakać. Wiedział, że po tym będzie jej łatwiej rozmawiać. Często w takich sytuacjach nic nie mówił. Może niektórzy właśnie oczekiwali od niego milczenia w takich chwilach.

Komisarz starał się to zgrabnie wykorzystywać.

– Może się pani ze mną spotkać?

– Teraz? O tej porze?

– Skoro pani nie śpi.

– Ale...

– Zajmę pani najwyżej piętnaście minut, obiecuję.

– Sama nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Przejdzie się pani, pooddycha świeżym powietrzem.

– Nie możemy poczekać do jutra?

– Moglibyśmy, ale chyba lepiej nie zwlekać. Tutaj ważny jest czas. – Iwanowicz westchnął wymownie. – Poza tym nie chcę, by cokolwiek stało się kolejnej pani uczennicy, bo nadal nie wiemy, o co w tym wszystkim chodzi.

– Może i ma pan rację. Wie pan, gdzie mieszkam?

Komisarz się rozejrzył. Mężczyzna z psem już zniknął, a w pobliżu nie było nikogo. Tuż obok niego przejechały dwa samochody.

– Tak, wiem, gdzie pani mieszka. Stoję pod pani blokiem.

– Dominika Łaszczyńska była grzeczną dziewczyną. Pochodziła z bardzo biednej rodziny, nie miała ojca. W dokumentach tylko matka figuruje jako jej prawny opiekun. Jadwiga Łaszczyńska.

– Tak, wiemy już. Jest alkoholiczką...

– Widzę, że policja szybciej zbiera informacje niż my.

Skrzywił się.

– Nie rozumiem.

Szli jedną z niewielkich alejek znajdujących się między niskimi blokami pobliskiego osiedla. Kobieta ubrana była w dżinsy i jasną koszulkę. Ciemne włosy upięła w kucyk. Wyglądała jeszcze ładniej niż wtedy, gdy z nią rozmawiał kilka godzin temu, kiedy przyjechała zidentyfikować ciało. Pachniała teraz mydłem i delikatnym szamponem.



– Dominikę znam od roku, a matkę spotkałam tylko raz – w chwili składania dokumentów w szkole. Pojawiła się dosłownie na moment, podpisała wszystkie dokumenty potrzebne przy zapisywaniu córki, a potem nikt jej więcej nie widział. Już ani razu nie pojawiła się w szkole. Chyba domyśla się pan, że każdy rodzic ma obowiązek przychodzić na zebrania, kontaktować się co jakiś czas w różnych sprawach. Cokolwiek by to było, nawet wyrażenie zgody na uczestniczenie dziecka w zajęciach, ewentualną pomoc w organizowaniu imprez szkolnych... Wie pan, co mam na myśli?

Kiwnął głową.

– Jadwiga Łaszczyńska nigdy nie przyszła.

– Nie wzbudziło to pani podejrzeń?

– Owszem, wzbudziło. Staram się jak najlepiej wywiązywać ze swoich obowiązków. Bycie wychowawczynią to nie tylko prowadzenie lekcji wychowawczych i chodzenie na wycieczki. To cała masa obowiązków. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak wiele ich jest. No, ale wracając do meritum... Nigdy nie udało mi się ściągnąć tej kobiety do szkoły.

– Rozmawiała pani o tym z Dominiką?

– Żeby to raz – odpowiedziała spokojnie, trzymając ręce w kieszeni. – Mało razy? Za każdym razem słyszałam, że matka jest chora. Albo w szpitalu.

– I nigdy nie udało się pani z nią porozmawiać?

– Nie, znałam praktycznie tylko Dominikę. Zgłosiłam to oczywiście dyrektorowi szkoły, bo takie mamy procedury, on z kolei pedagogowi. Wiem, że coś próbowano w tej sprawie zrobić. Nawet nasza pedagog szkolna była u nich w domu, ale nie udało się zastać matki. Potem czas mijał, przestaliśmy się tym zajmować. Wie pan... To jest trochę tak, że dopóki dziecko jest grzeczne i nie ma z nim problemów, to zwykle nie zaprzędamy sobie głowy rodzicami. Owszem, co należało do naszych obowiązków, to zrobiliśmy, ale nie jesteśmy MOPS-em czy inną instytucją, by się tym zajmować. Realizujemy cele statutowe, i tyle. Cóż więcej możemy? Nie mamy czasu ani środków, żeby zajmować się naprawianiem rodzin.

Iwanowicz wsłuchiwał się w słowa kobiety. Powtórzył w myślach wszystko, co powiedziała. Starał sobie wyrobić jakieś zdanie na temat tej dziewczyny. Już drugiej osoby w ciągu ostatnich kilku dni, której nie poznał osobiście, chociaż wokół Patrycji i Dominiki kręciła się cała machina śledcza. Wszystkiego dowiadywał się od osób trzecich.

– A pani, jak rozumiem, nie miała zbyt poważnego powodu, by zajmować się tą sprawą?

– No właśnie nie miałam. Dominika, mimo całej swojej... Boże, brakuje mi słowa...

– Biedy, skromności?

– Lepiej będzie ubóstwa, które rzucało się w oczy, była bardzo fajną dziewczyną. Dobrze się uczyła, choć miewała czasami jakieś problemy. Jak każdy. Niemniej naprawdę się starała. Nie była w stanie przewyciężyć tego, w jakim środowisku się wychowywała i żyła, ale próbowała wyciągnąć się z tego bagna. Korzystała z zajęć reedukacyjnych, chodziła na bezpłatne dodatkowe lekcje w naszej szkole. Nie mogę powiedzieć o niej złego słowa.

– A czy była akceptowana przez resztę klasy?

– O tak, wszyscy ją lubili. Pomagali jej, wspierali ją. Miała w sobie to coś, co powodowało, że wiele osób darzyło ją sympatią. Nie wiem, jak to określić ani jak to nazwać. A ona sama też starała się nie odstawać od reszty, robiła, co mogła, by być jak inne dziewczyny. Chociaż nie miała drogiej rzeczy i nie mogła sobie pozwolić na modne gadżety popularne wśród młodzieży,

to potrafiła sobie zaskarbić sympatię innych. Co, jak pan wie, wcale w dzisiejszych czasach nie jest łatwe, zwłaszcza wśród dzieciaków.

– A jej relacje z Patrycją, Majką i resztą dziewczyn?

Kobieta wzruszyła ramionami i głośno westchnęła, jakby to miało pomóc zrzucić jej cały ciężar z barków. Obróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Choć było ciemno, Iwanowicz poczuł to spojrzenie na sobie. Nie wiedział, co ono oznaczało, ale czuł, że coś jednak się za nim kryło – czy coś w sprawie dziewczyny, czy coś osobistego. Poczul przez moment przyspieszone bicie serca. Jego rozmówczyni była niezwykle atrakcyjną kobietą. Była dość pewna siebie i zapewne świadoma tego, jak reagowali na nią mężczyźni.

– Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę? Był pan wtedy z podkomisarzem... – Uśmiechnęła się zmieszana, bo nie mogła przypomnieć sobie nazwiska.

– Pamiętam.

– Mówiłam wtedy, że moja klasa należy do dość spokojnych. Może nie jest to idealne słowo, ale dość dobrze odzwierciedla stan faktyczny. Kontakty między uczniami są bardzo dobre, choć nie są wzorowe. Nie wszyscy się przyjaźnią ze sobą, bo nigdzie tak nie jest. Ale nie ma sytuacji, by ktoś był źle traktowany. Poza tym nic niepokojącego nie wydarzyło się w ostatnim czasie. Nikt nikomu nie dokucza, to znaczy w miarę rozsądku, wśród młodzieży cały czas zdarzają się jakieś docinki, złośliwości, ale to są żarty. Normalna sprawa. Ale nie działo się nic, co by podpadało pod jakiś paragraf, jak to się mówi. Nie wiem więc, wracając do pana pytania, jak układały się relacje między dziewczętami, bo zawsze mogły coś ukryć, ale nigdy nie widziałam nic podejrzanego. I nic, co wymagałoby mojej interwencji.

Komisarz dyskretnie spojrzał na zegarek. Było pięć po drugiej. Był tak zmęczony, że usnąłby nawet na stojąco. Mimo to nie mógł dać po sobie poznać zmęczenia. O każdej porze dnia i nocy musiał być w pełni gotowy do pracy. Zaczął marzyć o prysznicu, szklance soku lub wody. No i tym, co go czeka, gdy tylko położy się do łóżka – o błogim odpoczynku. A jednak spotkanie z kobietą było na tyle ważne, że nie mógł sobie pozwolić na odłożenie go na później.

– Czy Dominika miała telefon komórkowy?

– Tego nie wiem, w szkole mamy tylko dane rodziców. Nie gromadzimy ewidencji numerów telefonów uczniów, chyba że w czasie wycieczki szkolnej, wtedy się przydają. Ale Dominika nie jeździła na wycieczki. Nie było jej stać. Pojechała tylko raz, ale było to w ramach zajęć dodatkowych, na które chodziła.

– Ostatnie pytanie. Czy Dominika miała kogoś, z kim się przyjaźniła? Kogoś, z kim lubiła spędzać czas? W szkole i poza nią, może miała chłopaka?

Kobieta chwilę się zastanawiała. Widział po wyrazie jej twarzy, że nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Wykrzywiła usta, co oznaczało jedno. Potem spojrzała na niego i pokręciła głową. Właściwie mogła tego nie mówić na głos, wiedział, czego się spodziewać.

– Chyba nikogo takiego nie miała.

Iwanowicz po dziesięciu minutach podziękował za rozmowę i pojechał do domu. Pytania odbijały się jak piłki od ściany i wciąż wracały do punktu wyjścia. A może nie umiał zadać tego jednego, ważnego, które skruszyłoby mury i wniknęło w sedno problemu i całej zagadki. Cały czas przed oczami miał sylwetkę Małgorzaty Winiarskiej, wychowawczyni, której podopieczną spotkała taka tragedia. I choć nie było w tym jej winy, zapewne odbierała to jako swoją porażkę

wychowawczą. Coś się wydarzyło w jej klasie, ale ona nie zdawała sobie sprawy co takiego. Nie miała pomysłu, jak mogłaby pomóc w śledztwie. Starła się, ale dotarła do ściany, dalej była już tylko bezradność. Miał przed oczami obraz ładnej kobiety, na której wdzięk nie pozostawał obojętny. Była niezwykle atrakcyjna. Poważne, dojrzałe i przesywające człowieka spojrzenie. Miły wyraz twarzy, zgrabna sylwetka. I ten świeży zapach. Naturalny, delikatny.

Położył się do łóżka.

Na nocnym stoliku umieścił kartkę z danymi osobowymi Dominiki. Przyglądał się literom i cyfrom, które zanotowała nauczycielka. Miała ładny charakter pisma. Pomyślał, że należał do osoby poukładanej, dominującej i... Zabrakło mu słowa. Był pewien, że podobała się mężczyznom i to nie tylko z powodu swojego wyglądu, ale też siły, stanowczości, inteligencji i czegoś jeszcze, czegoś nieuchwytnego. Z drugiej strony wiedział, że nie mógł sobie pozwolić na myślenie o niej. Dawno nie czuł się tak zmęczony, a jednocześnie tak podbudowany jakimś spotkaniem. Nie wiedział, na czym skupić myśli, jakby wstydził się przed samym sobą, że zwyczajnie mu się spodobała i nie umie przestać o niej myśleć.

Po piętnastu minutach organizm jego się poddał i Iwanowicz usnął twardym snem niczym dziecko po całym dniu pełnym wrażeń.

A potem we śnie to zobaczył. Patrycję i kogoś jeszcze. Kogoś, kto za nią stał.



Spojrzał na wyświetlacz i wystukał numer.

– Dzień dobry, tu Marek Iwanowicz z komendy jeleniogórskiej. Chciałem rozmawiać z pani córką.

– Z Mają? – zapytała zdziwiona kobieta.

– Ma pani inną córkę?

– No nie...

– Więc mogę ją prosić do telefonu? Nie dam rady teraz przyjechać osobiście, a to dość ważne.

Usłyszał oddalające się kroki. W głębi mieszkania słychać było głos kobiety. Po chwili w telefonie usłyszał szept. Oczami wyobraźni widział wychudzoną dziewczynę, która chwytając resztkami sił słuchawkę. Błada, wycieńczona codziennością nastolatka.

– Słucham?

– Komisarz Marek Iwanowicz, mam do ciebie tylko jedno pytanie.

– Coś się stało?

– Czy masz numer telefonu do Dominiki?

– Do Dominiki Łaszczyńskiej?

– Tak.

– Powinam mieć w telefonie. A o co chodzi?

Iwanowicz spojrzał na pusty fotel swojego kolegi. Od jakiegoś czasu siedział sam w biurze. Zamyślił się na moment. Przed oczami pojawił się obraz leżącej na brzegu martwej dziewczyny. Związane sine ręce. Jasne tenisówki, w które wplątały się rośliny. Biała pomarszczona skóra. Krótkie blond włosy, sylwetka do złudzenia przypominająca Patrycję. Podobny wzrost, włosy, ten sam wiek. Martwa dziewczyna leżąca kilka metrów od brzegu górskiej rzeki. I te ogromne sińce, które obnażały bezlitosną prawdę, że nie żyje.

Rozważył błyskawicznie wszystkie scenariusze rozmowy i rzekł:

– Jest mi pilnie potrzebny, nie mogę ci teraz tego wytłumaczyć.

– Proszę chwilę poczekać.

Znów oddalające się kroki.

Wróciła po chwili.

– Mogę już podyktować? Ma pan coś do pisania?

Przez dziesięć minut komisarz usiłował dodzwonić się pod wskazany numer. Za każdym razem słyszał to samo „Abonent jest czasowo niedostępny. Proszę zadzwonić później”. Próbował kilkanaście razy, za każdym razem mając nadzieję, że usłyszy sygnał. Dziki upór kazał mu dzwonić do skutku, ale nie udało się. Upór to skuteczne narzędzie w dążeniu do celu, ale nie w tym wypadku. Zadzwonił do informatyka z wydziału operacyjnego i kazał mu sprawdzić numer. Ten obiecał, że potraktuje sprawę priorytetowo. Iwanowicz wiedział, że sukces w tej sprawie mogą zapewnić wyęźnione tempo pracy i działanie bez zwłoki. Wziął do ręki wstępną

protokół Zalewskiego, który przygotował im na szybko. Przeczytał go od deski do deski kilka razy, a potem odsunął się na fotelu. Dziewczyna w chwili utonięcia miała skrępowane ręce. Linka miała metr trzydzieści długości, grubość trzy milimetry, elastyczna, dobrze się na niej robi supły. Przy dużym zacisku nie daje się już rozplątać. Przy każdej próbie rozerwania zaciska się coraz mocniej. Problemem było to, że taką linkę można kupić w każdym sklepie z wyposażeniem domowym, ponieważ stosowano ją w popularnych suszarkach wiszących w łazience nad wanną. Z raportu wynikało, że dziewczyna zmarła na skutek utonięcia, na co wskazują zmiany w płucach oraz obecność w organizmie płynu topielnego. Zgon nastąpił najprawdopodobniej po niespełna trzech lub czterech minutach od momentu wrzucenia do wody. Nie miała żadnych szans, by się uratować.

Iwanowicz z całej siły cisnął raportem. Spięte w teczce karki poleciały i uderzyły o ścianę, po czym opadły pogniecione na podłogę. Wstał gwałtownie i zbiegł na dół po schodach. Wziął z dyżurki kluczyki do radiowozu alfy romeo 159 i wyjechał z parkingu. Włączył syrenę i ruszył pędem ulicą Nowowiejską aż do Wojska Polskiego. Potem skręcił w Sudecką. Wąskimi uliczkami dotarł pod bramę szkolną gimnazjum im. Piłsudskiego. Kilka razy głośno zatrąbił. Z budki wyszedł stróż. Spojrzał na niego wymownie, zdradzając złość i zdziwienie zarazem. Pokiwał głową. Ustąpił i otworzył bramę.

Iwanowicz wyszedł z auta i skierował się do sekretariatu. Przywitała go ta sama kobieta, z którą rozmawiał kilka dni temu.

– Ja do dyrektora – oznajmił chłodnym głosem.

– Musi pan chwilę poczekać, ma gościa.

– Kogo?

– Pani naczelnik z kuratorium.

– Teraz? – Wskazał palcem na gabinet. – Długo tam będzie siedziała?

Kobieta wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać niemal wszystko.

– Raczej tak.

Komisarz bez słowa podszedł do drzwi i złapał za klamkę.

– Halo, nie może pan... – Sekretarka podniosła się w fotela. – Proszę pana!

Otworzył drzwi na oścież. Naprzeciwko dyrektora szkoły siedziała starsza kobieta w okularach. Analizowała dokumenty, ale z tej odległości nie wiedział, co to było. Nie interesowało go to.

– Muszę z panem porozmawiać.

Mężczyzna w średnim wieku spojrzał na niego przenikliwie. Ubrany był w szary garnitur.

– Rozumiem, że jest pan z policji? Słyszałem przed momentem syrenę. I dostrzegłem kątem oka radiowóz.

Iwanowicz spojrzał przez okno, które znajdowało się za dyrektorem. Faktycznie, widać stąd było część boiska, a tym samym kto wjeżdżał na teren szkoły.

Skinął głową.

– Wrócimy do rozmowy za parę minut. Przepraszam najmocniej – powiedział do kobiety.

Wyszli z gabinetu i stanęli na korytarzu.

– Zapewne wie pan, co się wczoraj stało – zaczął komisarz.

– Tak, słyszałem, to straszliwa tragedia. Wciąż nie wiem...

– My również nie wiemy – przerwał mu, nie czekając, aż dokończy.

– Jak możemy panu pomóc? – zapytał dyrektor głosem palacza. Krótkie wąsy miał żółtawe od nikotyny. Był wysokim i chudym mężczyzną. Iwanowicz podejrzewał, że mógł kiedyś uczyć wychowania fizycznego. Mimo zgarbionej sylwetki miał zwinne i wyćwiczone ruchy.

– Potrzebuję listy pracowników szkoły. Wszystkich, nie tylko nauczycieli.

– Proszę pana, lista naszych nauczycieli nie jest jakąś tajemnicą. Jeśli wejdzie pan na naszą stronę internetową i w zakładkę kadra pedagogiczna...

– Nie – przerwał mu. – Potrzebuję pełnych informacji. Z danymi osobowymi, numerami telefonów oraz zajmowanym stanowiskiem. Jak szybko da się to zrobić?

Mężczyzna podrapał się po wąsach, a potem je wyrównał wyćwiczonymi ruchami palców.

– Mogę wiedzieć w jakim celu?

– Jedna z pana uczennic zaginęła parę dni temu. Drugą wyłowiliśmy wczoraj wieczorem. Możemy podejrzewać, że to nie koniec. Już pan się domyśla?

– Proszę chwilę tu poczekać, powiem w administracji, by wygenerowali plik z danymi. Robię to nieformalnie, wie pan, że powinniśmy mieć oficjalne...

– Wiem – przerwał mu po raz kolejny – ale nie mam czasu. Nikt z nas nie ma. Nie tylko ja, ale pan, rodzice wszystkich dzieciaków, a przede wszystkim one same.

– Moja córka uczy się w tej szkole.

– Więc powinien się pan bać podwójnie. Jako dyrektor i jako ojciec.

Mężczyzna, nie czekając na dalsze słowa komisarza, poszedł w głąb długiego korytarza. Jego sylwetka odcinała się na tle jasnego okna znajdującego się na końcu długiego holu. Wyglądał, jakby szedł długim tunelem. Po chwili zniknął w jednym z pomieszczeń.

Iwanowicz przechadzał się po korytarzach starego gimnazjum. Oglądał tablice edukacyjne, zdjęcia, gazetki, gabloty z pucharami, medalami i dyplomami. Zajęło mu to parę minut. Kilka klas było otwartych – woźne sprzątały pomieszczenia i czyściły meble. Okres wakacyjny mieli tylko uczniowie i nauczyciele, reszta pracowników działała na pełnych obrotach, doprowadzając szkołę do perfekcyjnego stanu, by przetrwała kolejny rok. W gruncie rzeczy był to jedyny czas, kiedy można było przeprowadzić bez pośpiechu remont lub wykonać wszystkie niezbędne prace konserwatorskie. Doszedł do końca korytarza. W pewnej chwili stanął przed drzwiami z oznaczeniem 1B. Do tej klasy chodziły Patrycja, Dominika i jej koleżanki. Majka, Monika, Julia. Za tymi drzwiami spędzały sporo czasu. Kilka godzin dziennie. Poczul, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Dotknął delikatnie klamki, nacisnął, ale drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte.

Nagle poczul na swoich plecach rękę. Drgnął i obrócił się gwałtownie.

Za nim stał woźny. Niski mężczyzna o mętnym spojrzeniu. Ten sam, którego widział już dwa albo trzy razy na zdjęciach.

– Kogoś pan szuka? – Jego głos był cichy i matowy.

– Wystraszył mnie pan – odpowiedział. Czul, jak skoczyło mu gwałtownie ciśnienie.

– Szuka pan kogoś?

– Już znalazłem, czekam na dyrektora.

– W tym miejscu? Gabinet znajduje się tuż przy wejściu.

Woźny był co najmniej o piętnaście centymetrów niższy od komisarza i miał, według oceny policjanta, ponad sześćdziesiąt lat, zniszczone ręce i niewiele zdradzające spojrzenie. Nie umiał odczytać, co się za nim kryło – nieufność, złość, pogarda?

– Wiem, czekam na niego. Postanowiłem, że przejdę się w tym czasie po szkole.

– Szkoła to nie muzeum – odpowiedział woźny, a potem odszedł bezszelestnie. Zniknął w innym skrzydle korytarza.

Iwanowicz spojrzął na zegarek. Minęło niespełna dziesięć minut od chwili, gdy skończył rozmawiać z dyrektorem. Wrócił i poczekał na ławce na korytarzu tuż obok sekretariatu.

Po chwili usłyszał odgłos zamykania drzwi i ujrzał w oddali sylwetkę dyrektora. Zbliżał się do niego szybkim krokiem.

– Proszę. Tylko do pana wiadomości. Niech pan jak najszybciej złapie tego...

– Zrobię to – odpowiedział, chwytając wydruk. – Zrobię, choć jeszcze nie wiem jak.

Analizował wszystkie wydruki, korzystając z policyjnego systemu. Policyjna baza danych to ogromny zbiór informacji na temat przestępstw popełnionych w kraju. Do bazy trafiają również inne wzmianki, które mogą być policji potrzebne. Wyszukiwania mogą zostać zawężone do rozmaitych kryteriów, wedle potrzeb. Można wyszukiwać po charakterystycznych słowach kluczach, według typu przestępstwa, miejsca itd. Krajowy System Informacji Policji bardzo ułatwia poszukiwania, choć nie zawsze daje gotowe odpowiedzi na dręczące policjantów pytania.

Iwanowicz przez trzy godziny sprawdzał każdego pracownika szkoły pod kątem karalności, udziału w wydarzeniu o charakterze kryminalnym lub jako świadka. Dotarł do końca listy. Sprawdził ostatnią osobę. Żebrowski Włodzimierz, woźny. Zatrudniony w szkole od września 1993 roku. Brak informacji o karalności. Był to ten sam człowiek, którego spotkał dziś na szkolnym korytarzu i którego dostrzegł na fotografii Patrycji. Dziwne, pomyślał. Za duży zbieg okoliczności. Żaden z pracowników szkoły nie był karany. Byli czyści niczym koszula prokuratora, skwitował w myślach sformułowaniem Gawłowskiego. Uderzył pięścią w stół, aż zadrżał kubek z kawą. Tylu pracowników. Dwudziestu nauczycieli, siedmiu pracowników administracji, łącznie z dyrektcją, sekretarką, księgowością, woźnymi, pełniącymi również funkcję konserwatorów, sprzątaczkami, pielęgniarką. I nic. Dziwne. Aż za bardzo.

– Kurwa mać!

Wyciągnął z szuflady chusteczki, wyszarpał je z pudełka i wytarł stół. Cudem dokumenty nie zostały zalane kawą. Wybrał numer podkomisarza.

– Gdzie jesteś? – zapytał głosem zdradzającym zdenerwowanie i pretensję.

– Na Zgorzeleckiej, sprawdzamy kolejną firmę, która ma kamery, i weryfikujemy nagrania. A ty?

– I jak wam idzie?

– Na razie kiepsko. Przejrzeliśmy kilka nagrań, udało nam się znaleźć nagranie z kamery, na którym widać kawałek chodnika, kierunek na Cieplice. Ale nic nie ma. Wziąłem pod uwagę godzinę ucieczki Patrycji z domu, siódmą rano. O siódmej trzydzieści sześć była przy skrzyżowaniu tuż przy stacji benzynowej. Obliczyliśmy z Tomkiem, jak szybko się poruszała. Zakładając, że szła właśnie w tamtym kierunku, przy Zgorzeleckiej powinna być tuż przed ósmą. Robiliśmy testy. Stałem na początku ulicy, potem wzięliśmy pod uwagę prędkość poruszania się dziewczyny, bazując na nagraniach, które mamy ze stacji benzynowej, następnie takim samym tempem pokonałem całą ulicę. Zgorzelecka ma około kilometra długości, więc żeby ją przejść całą, potrzeba średnio dziesięciu minut. Wzięliśmy to oczywiście w dość spore widełki.



Potem ulica przechodzi w Spółdzielczą, tam również jest kilka zakładów, dwa lub trzy z nich mają monitoring. Naszych kamer miejskich jest niewiele, bo jest mało skrzyżowań. Bazujemy więc przede wszystkim na prywatnych.

– Dużo wam jeszcze zostało?

– Byliśmy już w pięciu miejscach. Na razie nie robią nam problemów, udostępniają od ręki. Gdyby ktoś się uparł, musielibyśmy czekać na pozwolenia. Ale do tej pory każdy pomaga jak może. Nie wiem, Marek, może ze dwa, może trzy zakłady, bo po drodze jest jeszcze stacja paliw, tam też spróbujemy. Potem już koniec. Zostaje nam modlić się do Boga, by dziewczyna się odnalazła. Jeśli nie uchwycimy tego, gdzie skręciła i w którą stronę poszła, to będziemy mieć problem.

Iwanowicz przygryzł wargę. Faktycznie, będą mieć problem, ale na razie odłożył zamartwianie się na później.

– Zająłeś się już sprawą poszukiwań nad rzeką? – zmienił temat.

– Tak, ogarniamy temat. Nasi już tam są.

– Ilu?

– Dwie grupy poszukiwawcze.

– Jakiś system?

– Tak, ale nie twierdzę, że jest idealny.

– Mów.

– Przede wszystkim, choć może to trochę ryzykowne, założyłem, że brzeg w tym miejscu nie mógł być za wysoki, ponieważ w chwili wrzucania ciała zabójca nie mógł sobie pozwolić, by zwrócić na siebie uwagę zbyt głośnym odgłosem uderzenia o wodę. A jeśli założymy, że wszystko działo się w nocy, tym bardziej musiał być cicho. Wykluczaliśmy więc miejsca, w których brzeg jest zbyt wysoki lub w ogóle jest do niego utrudniony dostęp.

– Co do tego pełna zgoda. – Komisarz nie miał żadnych zastrzeżeń. – Wszystko brzmi sensownie, żaden idiota nie narażałby się na to, że ktoś go usłyszy. Zabójca raczej chce zostać niezauważony.

– No tak, to lećmy dalej. Kolejne wytyczne. Muszą to być miejsca na odludziu. Założyłem, że w promieniu około stu metrów nie mogły się znajdować budynki mieszkalne. Znowu zbyt duże ryzyko. Staralem się myśleć jak on. Zabójca na pewno był świadomy, że ogromnie ryzykuje, więc musiał wybrać takie miejsce, w którym nikt go nie zobaczy. Nie musiał to być las, ale też nie mógł to być środek miasta, okolice osiedli, domków jednorodzinnych lub działek ogrodowych.

– Słusznie.

– Trzecie to dojazd. Założyliśmy wstępnie, że w pobliżu takiego miejsca musi znajdować się droga, co już przed chwilą mówiłem. Zabójca zapewne porusza się samochodem, więc musi być przynajmniej w pobliżu droga polna, dróżka... Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

– Dziewczyna miała skrepowane ręce, więc tylko tak mógł to zrobić.

– Wyciągnął ją z auta, przeniósł i wrzucił do rzeki. Funkcjonariusze mieli za zadanie znaleźć takie miejsca, w których dałoby się spokojnie i bez większych problemów podjechać i wrzucić ciało, pozostając niezauważonym.

– Coś jeszcze?

– Na razie tyle.

– Okej, informuj mnie na bieżąco.

Zamknął oczy i rozłączył się. Widział uciekającą Patrycję. W ciemności.

Ktoś ją gonił, a może uciekała dlatego, że została do tego zmuszona. Coś się wydarzyło. Postanowiła nie czekać. A może nie mogła dłużej trwać w takim stanie. W jej ruchach widać było determinację. Nagranie nie pozostawiało złudzeń, że nie była to zwykła wycieczka. Coś się stało, że nie mogła zostać w domu. Nie czuła się tam bezpiecznie.

Bo być może ktoś ją prześladował.

I wtedy podświadomie pomyślał o jej ojcu.



Iwanowicz już ponad godzinę na przemian oglądał nagrania z monitoringu oraz czytał zeznania rodziców, nauczycieli i znajomych dziewczyny. Robił to z takim zacięciem, jakby postawił sobie za cel wchłonięcie wszystkich informacji i nauczenie się ich na pamięć. W głowie miał już każdy ruch, spojrzenie, skinienie oraz samo tło – kolory, kształty, liczbę przejeżdżających samochodów, ich tempo, ale i wszystkie wypowiedziane słowa. Potem zajął się nakreśleniem sylwetki jej ojca, jak na razie jedyne podejrzane. Musiał zebrać o nim jak najwięcej informacji – wykształcenie, przebieg kariery, czy był kiedykolwiek notowany. Gawłowski zajął się już częścią tych tematów, ale komisarz wiedział, że jest jeszcze sporo do zrobienia. Również sprawdzenie go od strony działalności zawodowej, zeznań podatkowych, ale to będzie trwało. Jednak intuicja podpowiadała mu, że Marcin Linkiewicz jest w jakiś sposób wplątany w zaginięcie dziewczyny. Zadawał sobie jednak pytanie, dlaczego tak sądził. Nie umiał odpowiedzieć, tym bardziej tego udowodnić, ale coś mu w nim nie pasowało. Zbyt wiele niewiadomych, zbyt duże wycofanie. Coś skrywał. Coś miał na sumieniu. Czuł to. Nie pasowała tylko jedna rzecz. Czy miał również coś wspólnego z morderstwem jej koleżanki, Dominiki? Jeśli tak, to co? Dlaczego to zrobił? Zanotował, że trzeba będzie sprawdzić jego alibi na dzień, kiedy została zamordowana. I nagle na myśl przyszedł mu jeden argument. Tak mocny, że sam nie był w stanie przez moment w niego uwierzyć, ale po chwili wydał się na tyle racjonalny, że aż zrobiło mu się gorąco. Złał się potem. Trzeba było to tylko mu udowodnić.

Gdy już chciał wstać i zanotować swoje podejrzenia na tablicy, usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Do biura wszedł komendant, inspektor Roman Bielecki. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych emocji. Nie dało się wyczytać z niej ani jego humoru, ani też w jakiej przychodził sprawie. Gawłowski już wiele razy powtarzał w takich chwilach: „Jak zwykle ma taką minę, że nie wiadomo, czy przychodzi nas pochwalić, opierdolić, czy zapytać o papier do ksero”. Wyuczona powściągliwość, niemal zawodowy brak emocji. Neutralne spojrzenie człowieka, który robił swoje i wiele już w życiu widział, którego nic nie mogło już zaskoczyć. Miał na sobie nienagannie wyprasowaną białą koszulę z pagonami. W dłoni trzymał biały kubek z logo policji.

– Marek – zaczął, gdy usiadł naprzeciw niego. Skrzywił się od zaduchu, jaki panował w pomieszczeniu. Przynął się bliżej wentylatora. – Wiesz, po co przychodzę?

Iwanowicz spojrział na niego wyraźnie zaskoczony.

– W komendzie panuje ukrop nie do zniesienia, ale chyba nie przyszedłeś ochłodzić się przy moim wentylatorze?

– Nie.

– No to nie mam zielonego pojęcia.

– To posłuchaj. Dziś mamy piątek. Ale pozwól, że przypomnę ci, co się stało. Jedna dziewczyna znika w niejasnych okolicznościach. Nikt nic nie wie. Intensywnie pracujecie nad tą sprawą.

– O, miło, że zauważyłeś.

– Pozwól, że dokończę.

– Proszę.

– Wczoraj wylawiacie z rzeki ciało jej koleżanki. Nie macie żadnych podejrzanych, nie wiecie, co się dzieje. Zresztą nie tylko wy. My wszyscy jesteśmy, brzydko mówiąc, w czarnej głębokiej dupie i poruszamy się w niej po omacku.

– Nie do końca się zgodzę co do miejsca, w którym się znajdujemy, ale jakoś przełknę metaforę. Bo, jak rozumiem, posługujesz się przenośnią?

Komendant nieznacznie kiwnął głową.

– Możesz mi więc powiedzieć, na jakim etapie jest śledztwo? – zapytał spokojnym głosem. Chociaż sprawa wszystkich niezwykle poruszyła, w Jeleniej Górze wrzało od plotek, pojawiały się różnorodne hipotezy, media szalały, prokuratura wciąż ich naciskała, to komendant mówił tak grzecznym tonem, jakby opowiadał mu, co podają dziś na obiad w stołówce. Bielecki złożył dłonie w piramidkę i spojrzał przenikliwie na swojego podwładnego. – Bo wiesz, że lada chwila wszyscy zwałą mi się na kark. Staram się wszystko i wszystkich trzymać za mordę. Wiesz, że potrafię i że chronię to miejsce jak własny dom. I was także. Robię, co mogę, i oczekuję jedynie tego, byś mnie informował na bieżąco, żebym wiedział, co mówić i myśleć. A więc być może robił to, co do ciebie należy.

– A nie robię? – Iwanowicz podniósł głos i głowę jednocześnie.

– Robisz. – Komendant uśmiechnął się bez przekonania. – Robisz za dwóch, nie neguję tego, ale oczekuję też twojej innej aktywności.

– Czego konkretnie?

– Mam wymieniać?

– Skoro masz uwagi do mojej pracy, to wołałbym jednak wiedzieć.

– Chcę, byś pojawiał się na odprawach i na wszystkich zebraniach. Ale nawet gdybyś nie przychodził na zebrania – machnął ręką – pal cię licho, jestem to w stanie zaakceptować, znamy się już długo. Nie musisz się przede mną tłumaczyć, szanujemy się nawzajem, znam twój tryb pracy, wiem, jaki jesteś. Wycofany, ale skuteczny i metodyczny. Ale gdybyś chociaż zechciał odpisywać na maile. Kiedy na przykład ostatnio logowałeś się do poczty?

Komisarz wzruszył ramionami, choć wiedział, że komendant ma rację. Zebrały mu się dziesiątki nieodczytanych wiadomości. Przez lata tak skutecznie nauczył się nie odpisywać na maile, że praktycznie już ich nawet nie dostrzegał.

– Gdybyś zechciał zadzwonić czasami do mnie i opowiedzieć. Gdybyś odebrał czasami telefon ode mnie, to zapewne nie musiałbym dzisiaj z tobą w tej sprawie rozmawiać.

– Są raporty. Codziennie.

– Chcę o wszystkie wiedzieć z pierwszej ręki.

– Raporty – powtórzył, chcąc ukrócić temat. – Dostajesz codziennie.

– Tak, owszem, są. Pisane przez Jacka, nie przez ciebie.

Komisarz kiwnął głową, łyknął kawy i rozwalił się w fotelu. Próbował się zorientować, o co naprawdę szefowi chodziło. Przeczynał, że przyszedł tu w innej sprawie.

– Ale ja nie mam do powiedzenia nic ponad to, co jest tam napisane. Czytam każdy raport, który pisze Jacek. Powiedzmy, że piszemy go wspólnie.

– Marek, on to pisze, a ty się tylko podpisujesz. On robi swoje, ty swoje. On jest inny, ty inny. Sęk w tym, że on tak naprawdę nie zawsze wie, co ty robisz. Nie wie o wielu rzeczach. Idę o zakład, że tak jest.

Iwanowicz wzruszył ramionami.

– Ale wychodzi na to samo. Zrozum, mam ważniejsze rzeczy na głowie. Chcesz, byśmy się zamienili rolami? Jego puszczaj na miasto, jemu każ wszystkim się zajmować, prowadzić każde śledztwo, a ja będę siedział przy biurku. Okej, w porządku, skoro tak chcesz. Proszę bardzo! Ja będę dłużej w dokumentach, uważam to za doskonały pomysł, może wreszcie odpocznę, wyśpię się, nie będę miał koszmarów. Tak, zwal to na niego, tylko nie zdziw się, że pewnego dnia...

Komendant podniósł rękę.

– Marek, nie bądź cyniczny. Mnie zależy na tym, abyśmy rozmawiali. Jak facet z facetem, jak kolega z kolegą, ale też jak pracownik ze swoim przełożonym. Nie możesz tylko ciągle, cholera, uciekać. Nie możesz nas unikać. Chodzi o to, że... – Spojrzał za okno, poczekał chwilę, by znaleźć odpowiednie słowo. – Chodzi o to, że śledztwo nie może toczyć się tylko w twojej głowie. Powinno toczyć się we wszystkich miejscach jednocześnie. Nie dość, że sobie tym nie pomagasz, to i mnie nie ułatwiasz zadania. Bo chwilami nie wiem, co robić. Co mam mówić innym, co mówić prokuratorowi, bo i on do ciebie nie może się dodzwonić. A wiesz, że prokuratura też potrafi mi nie dawać spokoju.

Iwanowicz pomyślał o kilku nieodebranych połączeniach od prokuratora w ciągu ostatnich pięciu dni. Zwyczajnie je ignorował. Wiedział, że długo tak nie pociągnie i wreszcie będzie musiał spotkać się z prokuratorem.

– Czego ode mnie oczekujesz, że od dziś będę sam pisał wszystkie raporty? Że będę dzwonił do ciebie co wieczór i zdawał relację, i że będę pisał wiadomości? Tak? I że będę odbierał telefony?

Komendant pokiwał głową.

– Roman, wiesz, że papierkowa robota to nie dla mnie. Nigdy nie sprawiała mi żadnej przyjemności. Nie na tym polega robota policjanta. Nie dość, że wszystko noszę w sobie, owszem, śledztwo toczy się w mojej głowie, jak powiedziałeś, to jeszcze mam to samo przelewać na papier? Codziennie? To są tortury, którym nie zamierzam się poddawać. Wystarczy, że codziennie zdaję relację Gawłowskiemu, on pisze część dokumentów za mnie, i tyle. Wszyscy robią swoje. Nie to, co muszą, lecz to, co potrafią najlepiej. A w rezultacie praktycznie wszyscy są zadowoleni.

– Nie wszyscy, Marek.

Zapadła cisza. Komendant przysunął się jeszcze bliżej wentylatora i zamknął oczy.

– A wiesz, że gdybyś sam usiadł i porządnie napisał raport, tak po prostu, od początku do końca, być może zrzuciłbyś z siebie jakiś ciężar, który cię cały czas przygniata? Z którym cały czas się męczysz? Wiesz, że to też jest dobra forma terapii, bo wyrzucasz z siebie cały ten gnój, który się w nas kotłuje? Wiesz o tym? Próbowaleś?

Komisarz wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nie odpowiedział. Zastanawiał się nad słowami przełożonego. Znał dziesiątki teorii mówiących wyrzucaniu z siebie problemów, lęków i strachów. Część zaczyna znikać jak po spowiedzi. Pojawia się owo uczucie lekkości. Oddanie części lęków komu innemu miało swoje uzasadnienie w psychologii, dlatego niemal każda terapia opiera się przede wszystkim na rozmowie. Na mówieniu, nawet bełkotliwym wyrzucaniu

z siebie wszystkich dręczących myśli. Iwanowicz dotąd nie wierzył, że pisanie raportów mogłoby odciążyć jego psychikę i być może pozwoliłoby mu zapomnieć o koszmarnych szczegółach śledztw. Uznał, że to mogłoby poskutkować.

– Czego ode mnie oczekujesz? – ponowił pytanie.

– Podalem ci przed chwilą trzy formy przekazywania informacji. Raporty pisane wyłącznie przez ciebie, telefon lub mail. Mail to w sumie jak raport, tylko bardziej zwięzły. Wybierz sobie jedną z nich.

Wstał, wziął ze stołu biały kubek i stanął w drzwiach.

– Od dzisiaj.

Iwanowicz kiwnął głową.

Został w biurze sam. Potrzebował samotności jak nigdy wcześniej. Nie chciał, by ktokolwiek mu przeszkadzał. Chociaż w pomieszczeniu było duszno, nie miał ochoty stąd wychodzić.

Dlaczego zniknęły dwie niewinne dziewczyny? Jedna z nich skończyła tragicznie, została brutalnie zamordowana. Druga uciekła z domu, by uniknąć tego samego. Patrycja musiała zostawić po sobie jakiś ślad. Samobójcy i uciekinierzy często zostawiają list pożegnalny. Odczuwają silną potrzebę wyjaśnienia swojego zachowania. Zamknął oczy i przez ponad dziesięć minut przypominał sobie ostatnie dni, każdy po kolei. Początkowo chciał wszystko rozpisać, wziąć kartkę i zanotować każdą drobnostkę, każdą rozmowę w porządku chronologicznym. Ułożyć plan, rozrysować go graficznie albo stworzyć formę opowieści – niczym dziennik pisany przez śledczego, a wszystko po to, by nic mu nie umknęło. Miał oczywiście do dyspozycji raporty, dane, notatki służbowe. Ale czuł, że to za mało, a poza tym i tak znał je na pamięć. Nie chciał wczytywać się w suche dane. Potrzebował jakiegoś planu, w którym zanotowałyby wszystko, co przechowywał w pamięci. W pojawiające się luki zaczął wstawiać znaki zapytania, a później sukcesywnie dziury będzie uzupełniał. Po chwili jednak wrócił do sprawdzonego schematu, porzucając to, o czym przed momentem myślał. Jego śledztwo, jak ujął to komendant, zawsze toczyło się w głowie. Wszystkie ślady, wskazówki, rzeczy, postaci, zapachy, rozmowy, wydarzenia, znaki, spotkania – wszystko kłębiło się w jednym miejscu. Ustawił sobie każdy szczegół w wyobraźni, każdą rzecz i drobnostkę. I relacje łączące poszczególne osoby, które związane były ze śledztwem. Jeszcze raz rzucił okiem na zgłoszenia dotyczące Patrycji. Siedem osób zgłosiło, że ktoś widział dziewczynę. Za każdym razem policja dokładnie weryfikowała osobę dzwoniącą, potem jechała na miejsce, by wszystko sprawdzić. Do tej pory, mimo siedmiu wyjazdów, nie udało się niczego ustalić. Trzy osoby były pod wpływem alkoholu, a ich zeznania były najprawdopodobniej zmyślane. Nic się w nich nie zgadzało i w żaden sposób nie dało się potwierdzić ich wersji. Już po tym, jak rzekomi świadkowie podawali funkcjonariuszom godzinę, o której widzieli dziewczynę, można było orzec, że to nieprawdziwe informacje i ich relacja jest nic niewarta. Podawali nieprawdziwe dane – złą godzinę, inaczej wyglądającą osobę, wiek, ubranie. Słowem, nic się nie zgadzało poza samym faktem, że widzieli młodą osobę. Kolejne dwa zgłoszenia były bezużyteczne, ponieważ dzwoniący podawali niepasujące miejsce. Wedle ich słów Patrycja miałaby się znajdować w innej części miasta, niż pokazywało nagranie, oddalonej o trzy kilometry, choć zgadzał się sam wiek, pobieżny rysopis i to, że szła pieszo. Również przy kolejnej weryfikacji trzeba było uznać je za nieprzydatne.

Iwanowicz w tej kwestii był bezlitosny. Nie pozwalał na to, by choć jedno zgłoszenie zostało zignorowane czy potraktowane pobieżnie. Kazał zająć się sprawą z najwyższą dokładnością i żmudnie sprawdzać jego wiarygodność. Wyciągnął z szuflady zdjęcia Dominiki Łaszczyńskiej. Długo im się przypatrywał, ale wreszcie zdecydował się na to, które było lepszej jakości i trochę większe. Zeskanował je. Potem odnalazł zdjęcie Patrycji i zrobił to samo. Po chwili obie fotografie pojawiły się na pulpicie komputera. Włączył program graficzny i przyciął obie, pozbywając je zbędnego tła i innych rozpraszających elementów. Gdy już były gotowe, wydrukował je w najlepszej jakości. Przyglądał się chwilę efektowi swojej pracy, potem przypiął je magnesami do tablicy. Tuż obok znajdował się wykres, który zrobił kilka dni temu. Odpiął wszystkie inne wiszące w biurze dokumenty i ogłoszenia. Zdjął też korkową tablicę i wsunął za szafę. Nie chciał, by coś innego go teraz rozpraszało. Gdy skończył, pomieszczenie wydawało się przestronniejsze i łatwiej można było się w nim skoncentrować. Spojrzał na dwie uśmiechnięte twarze. Jedna nieśmiała, zdradzająca brak pewności siebie, a być może i kompleksy. Zapewne była osobą, która nie wierzyła w siebie i walczyła z niską samooceną. Druga dziewczyna, Patrycja, odważniejsza, choć też dało się wyczuć pewną pokorę i nienachalność. Młode, skromne, uczęszczające do tej samej klasy. Zdawał sobie sprawę, że pochodziły z innych światów i innych środowisk. Coś je jednak łączyło. Celowo czy przypadkowo?

Iwanowicz wyciągnął telefon i wybrał numer do Izabeli Linkiewicz. Kobieta odebrała dopiero po ośmiu sygnałach.

– Chciałbym panią zapytać o relacje córki z Dominiką Łaszkiwicz z jej klasy.

– Dlaczego pan o nią pyta?

Nie wyjaśnił. Czekał, aż odpowie na pytanie.

– Raczej się nie przyjaźniły. Ale nie to, żeby się nie lubiły. Patrycja zadawała się ze swoimi koleżankami, a Dominika... – Przerwała. Chwilę czekał, ale nie kontynuowała.

– A Dominika co?

Oczami wyobraźni widział, jak kobieta wzruszyła ramionami i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

– Nie wiem, pewnie ma swoje koleżanki.

Zwrócił uwagę na użyty czasownik – ma, a nie miała. Kobieta nie wiedziała o jej śmierci.

– Czy kiedykolwiek Dominika bywała u was w domu?

– Nie przypominam sobie, raczej nie. Słabo ją znam, a Pati mówiła mi zawsze tylko o swoich najbliższych koleżankach.

– Jest pani pewna? A to, że Dominika... – Zawiesił głos, by wybrać odpowiednią formę. Nie chciał nic mówić o jej śmierci, bał się, że to może zdołować kobietę jeszcze bardziej. – Że ma matkę alkoholicką? Że jest biedna? Wspominała coś?

– Patrycja nie dzieli ludzi na biednych i bogatych, nie jest taką osobą, proszę pana. Ale nie, nie mówiła o niej, czasami wymieniała imiona kolegów czy koleżanek z klasy i kilka razy usłyszałam to imię, to wszystko.

– Jest pani pewna?

– Tak, na pewno bym pamiętała.

– Rozumiem... Chciałem zapytać o jeszcze jedną rzecz. Podejrzewam, że coś pominęliśmy. My, wy...



- Co pan mówi?
- Podejrzewam, że Patrycja mogła zostawić w domu dla pani jakąś wiadomość.
- Ale co? O czym pan mówi?
- O tym, że powinna pani jeszcze raz przeszukać mieszkanie. Patrycja mogła zostawić na przykład jakiś list.
- Szukałam, niczego nie zostawiła.
- Jest pani pewna? Mogła zostawić w jakimś innym miejscu? Piwnica, strych, komórka, jeśli macie, może coś...
- Po co miałyby to zrobić?
- Proszę mi zaufać. Coś mi mówi, że zrobiła to, tylko nikt nie wie gdzie i w jaki sposób.
- Dobrze, poszukam, gdzie się da.

Podziękował za rozmowę i rozłączył się.

Przez parę minut patrzył na białą tablicę. Później wrócił do sprawdzania pracowników szkoły. Bał się, że coś przeoczył. Wciąż nie dawało mu to spokoju. Chciał wykluczyć jak najwięcej, by potem skupić się na ojcu Patrycji.

Sprawił siedem nazwisk z listy liczącej ponad dwudziestu nauczycieli oraz paru pracowników obsługi i administracji. System nie wykazał żadnych wyników. W przerwie wyszedł do toalety. Oplukał twarz. Kręcił się przez moment po komendzie bez wyraźnego celu. Musiał rozprostować kości, ale nie chciał wychodzić na zewnątrz, bo wciąż było gorąco. W budynku było kilka stopni chłodniej za sprawą wirujących w każdym pomieszczeniu wiatraków. Po dziesięciu minutach przerwy rozpoczął żmudną pracę przy komputerze. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany, ponieważ nie chciał popełnić żadnego błędu, sprawdzając pracowników administracji. Nagle kątem oka dostrzegł migającą zieloną diodę w swoim telefonie. Powiadomienie, że otrzymał wiadomość. Dotknął ekranu, by przeczytać.

Był to SMS od operatora sieci. „Podany numer już jest dostępny. Możesz się już z nim skontaktować”.

Iwanowicz zamyślił się, nie odrywając wzroku od wiadomości. Coś mu to mówiło. Widział już ten numer. Błyskawicznie wstał i podszedł do tablicy. Kilka razy spoglądał na ekran, to znów na tablicę. Poczuł szybsze bicie serca, ręce zaczęły drżeć mu z podniecenia. Patrzył na numer i przycisnął zieloną słuchawkę. Był sygnał. Wreszcie pojawiło się coś, co dało mu nadzieję. Otworzyła się jedna z zamkniętych furtek. Po piątym sygnale usłyszał w słuchawce cichy głos.



Gawłowski wraz z aspirantem Tomaszem Jaworskim siedział w cichym, dusznym pomieszczeniu. Było ono na tyle małe, że obaj czuli się słabo z powodu braku świeżego powietrza. Mieli wrażenie, jakby ktoś polewał ich gorącą wodą. Podkomisarz co chwila przecierał czoło. Za ich plecami stał kierownik magazynu budowlanego firmy Warbud. Było to kolejne miejsce, w którym sprawdzali monitoring, przy tak zwanej trasie czeskiej, trasie wyjazdowej z miasta.

– Sprawdźmy nagranie od siódmej trzydzieści.

Wcześniej kierownik Warbudu, Jacek Rotnicki, odpowiedzialny między innymi za sprawne działanie niedużego magazynu, opowiedział im co nieco o kamerach. Ile ich jest, jakie mają parametry oraz dlaczego rozmieszczono je akurat w tych miejscach. Istotna była kamera przy bramie wjazdowej. Dzięki niej mieli pewność, że auta wjeżdżają i wyjeżdżają punktualnie. Pozwalało to unikać wielu nieporozumień w sprawie terminowego dostarczania ładunków. Przy wszelkich spornych sprawach trzeba było mieć twarde dowód, że kierowca wywiązał się z zawartej umowy spedycyjnej, a dowód w postaci nagrania był nie do podważenia. Opowiedział im, że dzięki temu udało im się uniknąć kilku kar finansowych, które chcieli wyłudzić kontrahenci.

Mieli łącznie cztery kamery na budynku, obejmowały wjazd i wyjazd oraz plac manewrowy dla samochodów dostawczych. Jedna z kamer rejestrowała sterowaną automatycznie bramę i część ruchliwej trasy oraz fragment chodnika.

– Dobra, lecimy z tym koksem – powiedział podkomisarz i włączył przycisk, gdy już znaleźli odpowiedni fragment.

Nagranie było wyraźne. Kierownik wspominał wcześniej, że zainwestowali w sprzęt dobrej jakości.

Policjanci zignorowali obraz obejmujący jezdnię, ponieważ cały czas widać na nim było pędzące w obie strony samochody. Interesował ich wyłącznie chodnik.

Mijały minuty. 7.50. 7.51. W tym czasie przeszło kilkanaście osób. 7.52, trzy osoby. Mężczyzna z psem, rowerzysta jadący po chodniku, starsza kobieta uginająca się pod ciężarem wypełnionej torby. 7.54, 7.55, jedna osoba. Kamera uchwyciła dwie ciężarówki, które wjechały na teren zakładu. Szybko zniknęły z pola widzenia. Po chwili wjechała kolejna ciężarówka z żółtą plandeką. Gawłowski wywnioskował z tego, że miały być podstawione do załadunku o ósmej. Przyjechały przed czasem. Plus dla firmy.

Kolejne minuty. 8.05, 8.06. Na teren zakładu wjechały dwa białe samochody z logo firmy na przednich drzwiach. Pewnie pracownicy, pomyślał. Potem zjawił się niewielki ciemny bus. O 8.07 zauważyli kolejnych przechodniów, równoległe do nich rowerzystę. Wszystkie sylwetki rzucały długi cień, gdyż słońce wisiało nisko od strony południowo-wschodniej.

Gawłowski nerwowo szorował dłonią po kilkudniowym zaroście. W ten sposób objawiało się u niego zniecierpliwienie. Miał serdecznie dość siedzenia w tej kanciapie, było mu duszno

i najchętniej by już stąd wyszedł. Spojrzał na duży czarny zegarek elektroniczny i uznał, że zostało im niewiele ponad dziesięć minut. Szukanie o późniejszej godzinie nie miało już sensu. Jego próba przejścia ulicy pieszo wykazała, że dziewczyna powinna być tutaj i tak parę minut temu. Zakładając, że w ogóle tędy szła. Zaczął chodzić po pomieszczeniu, potem uchylił drzwi, by wypuścić więcej powietrza, ale na niewiele się to zdało. Nawet nie poczuli przeciągu. Wyszedł z magazynku i stanął przy radiowozie. Wyciągnął z bagażnika wodę mineralną i wypił duszkiem jedną trzecią butelki. Spojrzał na telefon. Brak nieodebranych połączeń czy nieodczytanych wiadomości. Marzył, by już wrócić do domu, do żony i dwóch córek, z którymi pojedzie wieczorem na zakupy. Jedną z wielu ulubionych czynności. Chociaż same zakupy nie dawały frajdy, to nade wszystko cenił czas spędzany z rodziną. Kochał ją ponad wszystko. Cenił również w nich to, że zmieniły jego życie. Kiedyś bywał brutalny wobec podejrzanych i zdarzało mu się krzyknąć na świadków. W ciągu jego kariery w policji wpłynęły dwadzieścia trzy skargi. Każda z nich dotyczyła tego samego – arogancji, znęcania się psychicznego, brutalnego zachowania, nieposzanowania godności, niekulturalnego odnoszenia się do przesłuchiwanym. Dwadzieścia trzy skargi to był wystarczający powód, by zostać zwolnionym dyscyplinarnie z pracy. Już połowa by wystarczyła. Komendant postawił mu wówczas ultimatum – albo to się skończy, albo on skończy z nim. Jednakże w jego życiu nastąpił przełom. Dzieci. To one go zmieniły. Dwie ukochane córki, które były dla niego wszystkim. One i żona. Od ośmiu lat nie wpłynęła na niego żadna skarga.

Wrócił myślami do tego, co będzie robił wieczorem. Znów załadują koszyk do pełna, dziewczyny spróbują naciągnąć ich na słodycze, colę i lody. Zawsze to samo, zawsze w takiej kolejności. Oni tylko się uśmiechali, wzruszali ramionami, mówiąc za każdym razem, że to już ostatni raz. A potem jeszcze dochodziło robienie zakupów w sklepach odzieżowych. Potrzeby jego córek nie miały końca, i choć oboje uchodzili za stanowcze osoby, wobec nich byli kompletnie bezradni i nie potrafili postawić granicy. Albo nie chcieli.

Gawłowski włączył radio i natrafił na piosenkę *Genesis Another Day in Paradise*. Nim zdążył zamknąć oczy i rozłożyć się w fotelu, usłyszał głos Tomka Jaworskiego. Otworzył oczy i dostrzegł, że ten spieszy w jego kierunku.

– Jacek, mamy ją!

Zerwał się jak oparzony, przebiegł przez całą długość placu, wbiegł do pomieszczenia administracyjnego i usiadł przed monitorem.

– Mam ją – powtórzył aspirant i dotknął palcem ekranu. – Zobacz.



Iwanowicz podjechał pod wysoką kamienicę znajdującą się przy ulicy Wincentego Pola, niedaleko dworca kolejowego. Przez dwie minuty krążył w pobliżu, próbując znaleźć miejsce do parkowania. W końcu zostawił auto tuż obok przystanku autobusów miejskich. Wiedział, że zaparkował nieprawidłowo, ale nie dbał o to. Wbiegł po drewnianych schodach na trzecie piętro. Były tu trzy mieszkania i na żadnych drzwiach nie było numeru. Zaryzykował i zapukał do ostatniego. To musiał być lokal numer 9. Czekał, podszedł do małego okna na końcu korytarza. Wyrzwał przez nie i zobaczył radiowóz, którym przyjechał. Autobus próbował zajechać na przystanek, ale nie był w stanie. Wyminął auto i zatrzymał się kilka metrów dalej. I bardzo dobrze, skwitował w myślach. W życiu trzeba sobie radzić. Usłyszał odciążanie zasuw i zza drzwi wysunęła się mała główka kobiety w średnim wieku. Od razu zwrócił uwagę na jej wielkie przekrwione oczy. Miała krótkie przetłuszczone włosy i obrzmiałą twarz.

Iwanowicz podszedł bliżej. Zdawał sobie sprawę, jakie musiał wywrzeć na niej wrażenie. Kawał chłopa z bronią na szelkach, ubrany niemal jak komandos.

– Dzień dobry, rozmawialiśmy przed momentem przez telefon, Marek Iwanowicz, wydział kryminalny.

Wyciągnął legitymację, ale kobieta nawet na nią nie spojrzała.

– Pan wchodzi.

W mieszkaniu uderzył go zaduch. Czuć było woń starego taniego wina i popsutego jedzenia. Usiedli na małej kanapie, na której, jak uznał, musiała też spać, bo leżał na niej ciepły koc oraz poduszka. Naprzeciw znajdowała się stara i zniszczona meblościanka, na niej mały telewizor oraz zbiór pamiętek sprzed lat w postaci widokówek z Gdańska i innych nadmorskich miejscowości. Tuż przed nim stała niska ława, a na niej trzy brudne szklanki. Gdyby dzieliły je większe odstępki, pomyślałby, że miała gości, ale znajdowały się tuż obok siebie.

– Nie proponuję niczego do picia, bo nie mam, chyba że wodę – powiedziała, sepleniąc. Komisarz dostrzegł, że nie miała paru zębów.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział i rzucił jeszcze raz wzrokiem na szklanki.

– Czy szukacie tego skurwysyna, który zabił moją córkę? – zapytała bez ogródek.

– Nieustająco. Między innymi dlatego chciałem się z panią spotkać.

Machnęła ręką, ale ten gest nic nie oznaczał.

– Byli tu już jacyś policjanci. Powiedziałam, co wiedziałam, i tyle. Poza tym wczoraj... – Urwała na moment. – To był ogromny cios. Ryczałam całą noc. Dziś już jest trochę lepiej, wciąż dochodzę do siebie.

– Przykro mi, naprawdę szczerze pani współczuję. Wiem, jak to boli.

– Ach... – Machnęła ręką, bo znów w jej oczach pojawiły się łzy. Szybko je wytarła, jakby bała się swoich prawdziwych uczuć. – Nic pan nie wiesz, ale dajmy spokój, podczas żałoby będę rozpaczać, teraz muszę wam pomóc.

– Dziękuję za wyrozumiałość.

– Nie ma za co, to pana robota, jak każda inna. Tylko że tu chodzi o moją córkę i o to, co ją spotkało. No, ale jak mówiłam wcześniej, byli tu wczoraj już z policji. Dużi tacy, bałam się ich wpuścić do domu. Pytali się mnie o wszystko. I wszystko, com wiedziała, to powiedziałam.

– Rozumiem, że znalazła pani dzisiaj telefon Dominiki, tak?

Kiwnęła głową.

– I go pani włączyła – dodał.

– Dziś po południu, gdy sprzątałam w jej pokoju.

– Gdzie był?

– Pod kanapą. Nie spodziewałam się, że tam jest. Że tam był – poprawiła.

– Pani go kupiła?

– Co?

– Telefon.

Kobieta wzruszyła ramionami, jakby zadawał głupie pytania.

– Dzisiaj każda nastolatka ma telefon. Bo która nie ma? Za moich czasów, to znaczy za naszych czasów, nie było, co? I jakoś żyliśmy, a te młode bzdziągwy ciągle tylko siedzą na telefonie. I głupoty przychodzą im do głowy.

– A więc dostała go od pani?

– Czasami dawałam jej pieniądze. Tyle, ile miałam. Dziś to się nazywa kieszonkowe. Niewiele tego było, ale zawsze znalazłam dla niej parę groszy. Zbierała. Od złotówki do złotówki, jak to mówią.

– Grosz do gorsza.

– Jeden pies. No, ale fakt faktem, że zebrała na coś, nie wiem, co za to kupiła. No więc wracając do tego, o co pan pyta, nie dostała go ode mnie, ale rzeczywiście, pieniądze jej dałam. To znaczy dawałam. Nie wiem, nie rozumiem tych wszystkich cholernych zachwyków nad komórkami. Niech pan zobaczy, co się porobiło z dzieciakami, żyją z nimi, zasypiają z telefonami w dłoni, słuchają z nich muzyki. Mało to razy śpiącej już córce wyciągałam ją z ręki? Nie wiem, kurka wodna, myśmy żyli inaczej. Nie wiem, czy lepiej, czy gorzej, ale inaczej, co?

Iwanowicz uśmiechnął się smutno.

– Tak, żyliśmy bez telefonów, i chyba dzięki temu mieliśmy mniej trosk.

– Święta prawda, cholera – powiedziała i pociągnęła nosem, a potem odkaslnęła i wypluła flegmę na spodeczek. – Przepraszam, problemy z zatokami czy inna zaraza. – Odstawiła szklankę i wyciągnęła papierosa ze zmiętej paczki. – Nie będzie panu przeszkadzać, jak zajaram? Nie wygląda pan na wrażliwego, przy którym nie można zafajczyć – osądziła.

– To pani dom.

Począł, aż zapali. Chwilę to trwało, bo trzęsły się jej ręce.

– Czy Dominika wspominała, by w ostatnim czasie coś dziwnego działo się w jej życiu? Ktoś jej groził, ktoś ją nachodził? – zapytał, przyglądając się jej uważnie.

Kobieta spojrzała na niego. Wytrzymała jego wzrok dłużej niż przez parę sekund. Wypuściła dym do góry. W tym czasie zdążył przyjrzeć się jej umięśnionym ramionom, mimo iż była bardzo chuda. Ubrana była jak mężczyzna i tak też się zachowywała.

– Jak Boga, kurwa, kocham, nie. Maryja mi świadkiem, nic. Była grzeczna, nie zadawała się z byle kim. Miała tylko parę koleżanek z klasy, głównie z nimi przebywała. Tyle wiem. Zresztą jakiegoś typka spod ciemnej gwiazdy do domu bym nie wpuściła.

Szczerze wyznanie mu wystarczyło, nie wyczuł, by kłamała.

– Czy Dominika miała komputer?

– A skąd... Nie stać nas było. Nie pracuję od dziewięćdziesiątego dziewiątego. Zwolnienia były. Tu niedaleko robiłam, w Jelfie, w fabryce leków.

– Jako?

– A czy to ważne, panie władzo? Szukajcie lepiej bandytów, którzy mi córkę zajebali, a nie pytasz pan mnie o prywatne rzeczy. Nieważne, kim byłam. A zresztą... sprzątaczką, jeśli chcesz pan wiedzieć. Wtedy jeszcze Dominiki na świecie nie było, potem poszłam na zwolnienie, a potem... po jakimś czasie młoda przyszła na świat. Przytrafiło się, nie? No i wychowywałam ją. Nie miała tu idealnych warunków, ale starałam się, by miała co jeść i na książki do szkoły. A czego nie mogłam kupić, to ze szkoły dostawaliśmy. Z rady rodziców, wie pan, taki fundusz, co to wspiera rodziny.

– Wiem.

– No właśnie, więc jakoś sobie radziłyśmy.

– Koleżanki, koledzy? Przychodzili tu do niej?

– A skąd tam, panie, tu? Tu mieli przychodzić? Widzisz pan, że tu nie ma warunków do życia. Jak można tu kogokolwiek przyprowadzić? Żadna tam ze mnie święta. Trochę mi się zdarza wypić, ale co mam zrobić ze sobą? Nie poukładało mi się życie, widać chyba – powiedziała. – Więc Dominika nie przyprowadzała tu nikogo, bo pewnie nie była dumna z tego, gdzie i jak mieszkamy.

Kobieta nie patrzyła mu w oczy, cały czas spoglądała na swoje zniszczone ręce albo wokół siebie. Doszedł do wniosku, że być może wstydziła się spojrzeć mu w oczy. Tylko raz, gdy przypalała papierosa, wytrzymała jego spojrzenie. Przypuszczalnie wstydziła się, że będzie ono jak lustro, z którego wyczyta prawdę o sobie, lub bała się spojrzeć na kogoś, kto wyglądał inaczej niż ona.

– Nie miała komputera, miała za to telefon – podsumował, by jakoś spuentować rozmowę.

– Zgadza się. Potrzebne to panu do czegoś?

Czuł, że cały przesiąkł stęchlizną i zjełczałym tłuszczem. Nie chciał ostentacyjnie wachać swoich ubrań, ale wiedział, że czeka go dzisiaj długa kąpiel, a potem porządne pranie ubrań. Czuł się jak po każdej wizycie w prosektorium, gdy przesiąkał odorem zwłok. Nie znosił czuć się brudnym, odbierało mu to poczucie pewności siebie.

– Podejrzenia? – zapytał, by zmienić temat.

– Co? – odburknęła zachrypniętym głosem.

– Czy ma pani jakieś podejrzenia?

– Przepraszam, psia mać, ale kto kogo powinien o to pytać?

– Minęło dopiero kilkanaście godzin. W parę godzin nie złapiemy zabójcy, choćby pracowało nad śledztwem kilkadziesiąt osób, proszę mi wierzyć. Nie należę do tych policjantów, co to siedzą na dupie i prowadzą śledztwo z za komputera. Robię, co mogę.

Kobieta wzruszyła ramionami. Potem zaczęła grzebać palcem w ustach.



– Wyszła jak zawsze, gdy już odrobiła lekcje, ale nie wróciła. Dopiero wczoraj uświadomiłam sobie, jak bardzo kruche jest życie.

– Zwłaszcza młodej osoby.

– Racja.

Iwanowicz wstał. Podszedł do okna. Poczul świeże, choć gorące powietrze. Gorąco i zaduch powodowały stany omdlenia, więc starał się nie doprowadzić do takiego stanu.

– Widać to po panu...

– Co? – zapytał i obrócił się na pięcie.

Kobieta zaśmiała się smutno i nieśmiało zarazem. Machnęła jednak ręką.

– Nieważne, tak tylko mi się powiedziało.

Komisarz kiwnął głową. Myślał, co zrobić.

Przez ten czas kobieta zdążyła wypalić jednego papierosa i przypalić drugiego. Kątem oka dostrzegł, że kończyły jej się fajki. Zmięte pudełko było niemal puste. Milczał. Minęła minuta. Usiadł pod oknem na obciążonym skajem pufie i spojrzał znów na nią. Zastanawiał się, co czuła, o czym myślała, ale niewiele był w stanie wyczytać z jej twarzy i spojrzenia. Była zamknięta w swoim świecie. Ale cóż to był za świat? Nigdy nie wiedział i nie rozumiał, czym jest alkoholizm, czym jest świat upijania się, odcinania od rzeczywistości, porzucania najbliższych, ignorowania ich problemów i potrzeb. Czym jest to egoistyczne skupienie się na swoich sprawach, na tym, by się upić i sponiewierać za wszelką cenę. Co to był za świat? Jak go nazwać, jak zdefiniować? Jak nazwać osobę, która stawiała siebie i swoje potrzeby na pierwszym miejscu? Egoistą? Czy alkoholikowi powinno się wybaczać tylko dlatego, że jest uzależniony i tym samym chory? Czy wybacza się te wszystkie zaznane krzywdy i to, że inni cierpią z jego powodu? Że cierpią wszyscy dookoła. Nie umiał odpowiedzieć na te pytania, starał się nieraz zgłębić ten problem, ale mu się wymykał. Gdy był młody, czytał opowiadanie *Pętla* Marka Hłaski o balansowaniu na granicy trzeźwości i odurzenia. O wielkim pociągu do wódki i do zatrważającej ucieczki od trzeźwości. Po przeczytaniu tego tekstu wiedział, że osoba zdrowa nie zrozumie alkoholika. I *vice versa*.

Sam lubił napić się wieczorem wina czy whisky, ale nigdy nie miał z tym problemów, mimo że nieraz wypijał wieczorem szklanek alkoholu. Może było to kwestią predyspozycji i genów, które za to odpowiadały. Pijał alkohol, lubił się czasami upić, ale nigdy nie musiał tego robić. Wypijał, bo tak chciał, i nie myślał o alkoholu jako o czymś, co miało mu cokolwiek zastępować.

Spojrzał na to, jak łąpczywie paliła papierosa. Po policzku spłynęła jej łza. Otarła ją błyskawicznie.

– Może mi pani pokazać ten telefon?

Bez słowa przyniosła go z pokoju i podała komisarzowi.

– Będę musiał go zabrać.

Tak mocno kiwnęła głową, że włosy opadły jej na twarz.

– Róbcie, co chcecie, ale gdy skończycie, to oddajcie. Będę miała pamiątkę. Będę miała coś, co lubiła.

Podszedł do drzwi drugiego pokoju.

– Mogę rzucić okiem?

– Jeśli trzeba, proszę.

Było to małe pomieszczenie, ponure, chyba nie można było w nim dobrze się czuć. Po prawej stronie stała duża szafa, w kącie malutkie biurko. Na rdzawobrązowym dywanie stała deska do prasowania.

Przejrzał pobieżnie każdy kąt, zajrzał również do plecaka Dominiki. Otworzył zeszyty. Poczł przez moment déjà vu. Te same czynności wykonywał niedawno w domu jej koleżanki. Kątem oka dostrzegł, że kobieta stała w progu, ale zniknęła, gdy zaczął dokładnie oglądać każdy zeszyt. Nie lubił, gdy ktoś patrzył mu na ręce. Siedem zeszytów, tyle samo podręczników. Rzucone niedbale. Przypomniał sobie, jak mówił Gawłowski, że sprawdzili cały jej pokój. Wspominał też coś o plecaku. Uznał jednak, że u młodych osób plecak jest rzeczą szczególną. Nie rozstają się z nim prawie połowę dnia. Stanowi coś osobistego, czego nie można zignorować. Obejrzał najpierw podręczniki. Przekartkował je uważnie, zajęło mu to dłuższą chwilę, ale nie było w nich żadnych notatek ani rysunków, choć tego właśnie się spodziewał. Potem znów zaczął sprawdzać zeszyty. Każdy po kolei. Matematyka, geografia, chemia, język polski, angielski, historia, fizyka. Innych nie było. Każdy z nich zapisany był niemal do ostatniej strony, co było albo kwestią przypadku, albo właściwych obliczeń Dominiki, że właśnie w tym miejscu, pod koniec roku szkolnego, powinny się skończyć. Nie wnikał w treść tematów i zadań domowych, raczej skupiał się na rzeczach pobocznych, na tym, co robiła większość uczniów w chwilach znużenia i nudy. Rysunki na marginesach, notatki, komentarze, głupie buźki. Dziewczyna pozwalała sobie na szkicowanie, ale nie umieszczała jakichś prywatnych komentarzy i nawiązań do zdarzeń pozaszkolnych. Zeszyty były starannie prowadzone, strona po stronie. Każdy temat skrupulatnie uzupełniany, obszernie opisany. W pewnym momencie coś dostrzegł. Od piątego czerwca w jednym z zeszytów pismo nieco się zmieniło. Dominika zaczęła pisać inaczej, mniej wyraźnie, jakby przestała dbać o jakość. Litery stały się mniej kształtne. Strona po stronie sprawdzał wszystko. Dało się zauważyć w tym pewną prawidłowość, aż do końca roku szkolnego, do ostatniego tematu. Potem rzucił okiem na inne zeszyty. Dotarł do czerwca. W nich również dostrzegł zmianę. Inne pismo, mniej dbałości w notatkach. Coś się stało?

Obrócił gwałtownie głowę, ale nikogo nie było, choć wydawało mu się, jakby stała za nim kobieta. Dominika się zmieniła. Widział to po sposobie prowadzenia wszystkich zeszytów. W gruncie rzeczy niczego nie brakowało, ale ta zmiana nie mogła być kwestią przypadku. Zbyt wyraźnie było to widać.

Potem przeszukał cały pokój, ale nic go nie zainteresowało. Gdy wychodził, nie zdradzając swojego odkrycia, zapytał:

– Czy na początku czerwca wydarzyło się coś w życiu pani córki?

– Nie, nic, a co?

– Tak tylko pytam. – Wzruszył ramionami, by niczego nie sugerować. Mówił obojętnym i spokojnym głosem. – Zwykle jest to czas, gdzie dzieciaki czują wakacje, stają się inne, oderwane już trochę od szkoły, całej nauki, walczenia o lepszą ocenę...

– Nie... Choć jakiś czas temu stała się... Bo ja wiem, jak to nazwać? Bardziej nerwowa? O wszystko się dopominała, mniej jej zależało na ocenach, a bardziej zwracała uwagę na to, co działo się wokół.

– Co ma pani na myśli?

– Panie władzo, mówię tylko o swoich odczuciach względem dziecka. Była już prawie dorosłą dziewczyną, nastolatką w przeddzień dorosłości, co nie? Mam takie wrażenie, że Dominika

zaczęła bardziej przywiązywać wagę do ludzi, otoczenia, kolegów, koleżanek. Chyba przestała się skupiać w ostatnim czasie na nauce. Tak myślę. Ale i tak miała dość dobre oceny.

– Niczego pani nie mówiła, z niczego się nie zwierzała?

Kobieta zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy. Pokazała palcem na telefon.

– To w nim kryła się cała ona – rzekła na koniec.

Iwanowicz nic więcej nie mówił. Po raz ostatni spojrzął na cierpiącą kobietę, która ledwo co radziła sobie z rzeczywistością. Nie miała pieniędzy, nie umiała poradzić sobie z nałogiem, który ją wykańczał, a teraz jeszcze straciła jedyną córkę. Współczuł jej od momentu, gdy wszedł do tego mieszkania. Są takie chwile w życiu, że spotykają się ludzie o podobnych doświadczeniach i zaczynają odczuwać to samo bez względu na to, gdzie mieszkają, kim są, gdzie pracują. Łączą ich wspólne przeżycia, najczęściej jednak silniej i dobitniej odczuwają te złe i tragiczne, pomyślał. Nie umiał jej pomóc, choć bardzo by chciał. Czuł bezradność w tej chwili. Wyjął z kieszeni banknot stułotowy i wręczył jej. Poczul się głupio, ale gdy spojrzała na niego zaskoczona i chwyciła pieniądze, żeby zaraz schować je do kieszeni, ogarnęła go również ulga. Ulżył jej w minimalnym, ledwie dostrzegalnym stopniu. Może dzięki temu upije się, a może kupi jedzenie. Nie chciał wiedzieć, co zrobi, chciał jakoś pomóc i nie miał innego pomysłu. To jedyny gest, na jaki było go stać w tej chwili. Pieniądze nie stanowiły dla niego problemu, miał duże oszczędności, a jej być może pozwolą przeżyć kilka kolejnych dni. I to go ucieszyło. Mimo że dzieliła ich pod każdym względem przepaść, łączyło jedno – oboje stracili dziecko. Nic innego – żadna etyka, kodeks, regulamin ani przyzwoitość – nie miało teraz znaczenia. W tej chwili łączyło go z nią o wiele więcej niż z wieloma osobami, które znał od lat.

Zbiegł szybko do stojącego na przystanku radiowozu. Spojrzął na swój telefon, który leżał na miejscu pasażera. Dwa nieodebrane połączenia od Gawłowskiego. Spojrzął w lusterko. Z tyłu podjeżdżał autobus. Kierowca zaczął trąbić i migać światłami, ale w końcu go ominął i zatrzymał się nieco dalej.

Pasażerowie przeszli kawałek, żeby wsiąść do autobusu.

Iwanowicz trzymał w rękach telefon Dominiki Łaskiewicz. Przedmiot, z którym się nie rozstawała. Niemalże czuł tę jego siłę, ale było to bardziej tworem jego wyobraźni niż faktem. Bliskość i przywiązanie właścicieli nadawało przedmiotom niemal magiczne właściwości, czego był w pełni świadomy.

Oddzwonił do podkomisarza. Ten odebrał po jednym sygnale.

– Znaleźliśmy nagranie, mamy Patrycję.

– Gdzie?

– Jesteśmy na Spółdzielczej pięćdziesiąt dziewięć. Firma Warbud, duży szary magazyn. Przyjeżdżaj jak najszybciej. – Jego głos brzmiał naturalnie, ale dało się w nim wyczuć triumf i coś jeszcze. Coś, po czym każdy śledczy czuł dumę, bez względu na ilość poświęconego czasu i poniesione koszty. Coś, co stanowiło sens tej pracy.

Iwanowicz rozłączył się i spojrzął na ponurą kamienicę, z której przed chwilą wyszedł. A potem popatrzył w górę, na okno, z którego wyglądał niespełna pół godziny temu, gdy tu przyjechał. Teraz wyglądała przez nie matka Dominiki. Wychudzona, z wyrazem twarzy, który niewiele zdradzał. Paliła papierosa. Nie wiedział, o czym myślała. Machnęła mu na pożegnanie. Nie był w stanie ręczyć za to, co dostrzegł, ale teraz odniósł wrażenie, że była mu wdzięczna.

Ustawił głośno radio i ruszył z piskiem opon. Myślał tylko o tym, co go czekało. I o tym, że być może nie było jeszcze za późno na uratowanie Patrycji.



Na parking firmy Warbud dojechał po siedmiu minutach. Nie musiał stać w korkach, ponieważ radiowozem mógł gnać bez obaw. Gawłowski czekał na niego oparty o maskę samochodu. Z wnętrza dobiegały wakacyjne hity w stylu dance z domieszką hip-hopu.

– Jest się z czego cieszyć? – zapytał, gdy wysiadł.

– Sam zobaczysz – odpowiedział, witając się z kolegą. – Myślę, że to kolejny krok. Oby takich było więcej.

Weszli do pomieszczenia administracyjnego. Uderzyła go fala gorącego powietrza. Malutki wentylator pracował na maksymalnych obrotach, ale mógł jedynie dawać namiastkę wiatru. Iwanowicz usiadł obok Tomka Jaworskiego.

– Włączaj – powiedział błyskawicznie. – Długo tu nie wysiedzę.

Nagranie było przygotowane, nie musieli niczego szukać ani przewijać. Przycisnął *play* na panelu sterowania, który znajdował się w górnej części ekranu.

O 8.14 w kącie monitora pojawiła się idąca szybkim krokiem dziewczyna. Już na pierwszy rzut oka wiedział, że to ona, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Miała na sobie jasnoniebieską bluzę dresową z kapturem, krótkie szorty, jasne buty sportowe oraz przewieszoną przez ramię niedużą torbę w niebieskie paski, która mogła pomieścić tylko podręczne rzeczy. Zwrócił na to uwagę i zapamiętał.

Dziesięć sekund, tyle jej zajęło przejście z lewego do prawego rogu ekranu, potem znikła.

Komisarz kazał puścić film jeszcze kilka razy.

– Stop. A teraz włącz funkcję klatkowania. Sekunda po sekundzie. – Chciał ją zobaczyć dokładnie, każdy możliwy szczegół. Nagranie ruszyło bardzo wolno. Szła równym krokiem, na co już wrócił uwagę, ale ani nie biegła, ani się nie ociągała. Obejrzelik nagranie ponownie. Ten sam równy krok od lewej strony ekranu. Pocięszył się w duchu, że na szczęście nie wjeżdżało żadne auto, bo być może zasłoniłoby jej sylwetkę.

Gdy dziewczyna zbliżała się do prawego krańca ekranu, powiedział:

– Cofnij. Jeszcze kawałeczek. A teraz zostaw.

Przysunął się blisko ekranu.

– Możesz powiększyć?

– Chwila.

Aspirat odnalazł funkcję powiększenia obrazu. Zdjęcie zrobiło się większe, ale przez to też mniej wyraźne.

– Spójrz tu. – Wskazał palcem na jej dłoń. Wszyscy się przysunęli. – Widzicie? Nie mam pewności, ale coś trzyma w dłoni. Ciemne, czyżby telefon?

Aspirant jeszcze bardziej powiększył ekran, ale niewiele to dało. Obraz stał się bardziej rozmazany, choć i tak dysponowali dobrą jakością nagraniem. Gdyby w zakładzie były gorsze kamery, niewiele byłoby przy takim zbliżeniu widać.

– Stawiam piwo, że to telefon.

– Bo?

– Nie ma innej opcji.

– Marek, ale my mamy jej telefon. Został zbadany pod każdym możliwym kątem – przypomniał Gawłowski.

– Wiem. I to jest najbardziej zastanawiające. – Komisarz się skrzywił. Złapał myszkę i jeszcze raz puścił film, a potem jeszcze raz. – Nie mam wątpliwości, że to telefon.

– Wobec tego ten, który mamy na komendzie, to...?

Odsunął się od monitora i zastanowił.

– Są dwie możliwości. Albo rodzice nie powiedzieli nam wszystkiego... – Zawiesił głos, by przyjrzeć się twarzy Patrycji Linkiewicz. Od samego początku, gdy tylko ujrzał nagranie, coś go niepokoiło. Wciąż zastanawiał się nad tym, co miał przed oczami. Przyjrzał się dziewczynie. Zdziwił go jej wyraz twarzy. Przyglądał się jej jeszcze przez jakiś czas i starał się zapamiętać wszystko, co widział, a potem ruszył szybkim krokiem i wyszedł z magazynu.

Wysoko na niebie wisiały ledwie dostrzegalne pasy cirrusów. Nie było to zachmurzenie zwiastujące ochłodzenie, raczej dawało odrobinę nadziei na to, że wreszcie pojawi się delikatne ochłodzenie. Myśl o tym, że upały nieco złagodnieją, napawała go radością. Spojrzał na zegarek, robił się wieczór, ale i tak wiedział, że to nie koniec dnia pracy. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Nie nastrajała go optymistycznie myśl, że w tym wszystkim na pewno chodziło o coś więcej niż niewinną ucieczkę z domu.

Wytarł spocone czoło. Usłyszał, że wyszedł za nim podkomisarz.

– Marek, nie dokończyłeś myśli. Co z tym telefonem? – zapytał kolega.

Iwanowicz tylko wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że specjalnie go nam podsunęła, byśmy sądzili, że to jej jedyny telefon – rzekł, wsiadając do auta. – Nie ma innej możliwości. – Uruchomił silnik i ruszył w kierunku miasta.





W komendzie poczuł chłód. Nie wyłączył wiatraka, a dzięki uchylonym oknom zrobił się przyjemny przeciąg. Wyciągnął się w fotelu i zaczął oglądać telefon Dominiki Łaskiewicz. Chciał go jak najszybciej sprawdzić, więc postanowił wpieryw sam go przejrzeć, a dopiero potem oddać informatykowi. Był to stary model z tradycyjną klawiaturą, o wiele prostszy w obsłudze. Przejrzał listę wykonywanych połączeń. Była bardzo krótka. Trzy numery w ciągu ostatnich paru dni, jeden prawie dwa tygodnie temu, wybierany kilkakrotnie. Pozostałe trzy były bez opisu imienia i nazwiska, toteż nie figurowały w książce adresowej. Ostatnie połączenie dwa dni temu. Potem sprawdził czasy połączeń. Były krótkie, kilkanaście sekund, minuta, a najdłuższe niewiele ponad półtorej minuty. I kilka z zerowym czasem połączenia. Może dziewczyna kontaktowała się z innymi poprzez puszczenie sygnałów, bo pewnie nie było jej stać na płaćenie za rozmowy. Przepisał wszystkie numery na kartkę, a potem zaczął dzwonić ze swojej komórki. Trzy numery telefonów i wszystkie niedostępne, jak się okazało po chwili.

– Cholera, a czego się spodziewałem? – mruknął pod nosem.

Jeden numer oznaczono „K.”. Czas rozmowy – dwie minuty. Potem jeszcze pięć innych połączeń z K. Sprzed dwóch tygodni, jak szybko policzył. Wybrał numer i czekał na zgłoszenie. Był sygnał. Cud, uznał po cichu. Zamknął oczy. Sześć, siedem, osiem, dziewięć sygnałów. Nic. Rozłączył się i wszedł do menu telefonu. Sprawdził zawartość Multimediiów. Były tylko zdjęcia, a na nich parę uśmiechniętych twarzy. Siedem zdjęć, wszystkie z koleżankami z klasy. Wrócił do nadrzędnego katalogu. Filmy, muzyka, nagrania głosowe. Wszystkie foldery były puste. Chwilę błędził, bo zapomniał, jak się obsługuje starszy model telefonu. Odwykł już od tradycyjnych przycisków i przyciskał przez przypadek dwa jednocześnie. Wszedł do skrzynki odbiorczej. Tylko pięć wiadomości. Pierwsza z nich brzmiała „Tak”. Drugi SMS: Twoje konto zostało doładowane na kwotę 50 zł. Dodatkowo otrzymałeś pakiet Internetu 1GB”. Trzeci SMS brzmiał dokładnie tak samo. Konto zostało doładowane... Czwarty SMS: „Czekam”. Piąty to był MMS, bez treści. „Aby pobrać wiadomość, kliknij Pobierz”. Iwanowicz bez zastanowienia zaczął pobierać, ale pojawił się błąd. Ponowił kilka razy, ale za każdym razem pojawiał się ten sam komunikat. Odłożył aparat i zadzwonił do informatyka. Przekazanie numerów zajęło mu chwilę. Potem poprosił go jeszcze o ustalenie wszystkich możliwych miejsc w Jeleniej Górze, w których można kupić używany telefon komórkowy. Rozłączył się. Zaczął bębnić palcami o blat biurka. Nie znosił takiej roboty. Już chyba wolał pracować w terenie, rozmawiać z ludźmi, a nie babrać się w informatycznych zawiłościach. Wziął swoje rzeczy oraz telefon dziewczyny i wyszedł z komendy.

Powietrze było odrobinę chłodniejsze. Jeszcze godzina i będzie można normalnie funkcjonować. Czuł, że od paru tygodni działał na zwolnionych obrotach, ale nie był w stanie inaczej, organizm się buntował i odmawiał szybszego tempa pracy.

Dotarł na ulicę Sudecką, wjechał między kamienice, zatrzymał się i szybko wbiegł po schodach. Zadzwoił nerwowo kilka razy. Drzwi się otworzyły. Stał w nich Marcin Linkiewicz. Najwyraźniej dopiero co wziął prysznic. Czuć było zapach mydła i płynu do golenia, a pod samym uchem widać było niestartą piankę. Było już późno, ale nie aż tak, by nie można było składać wizyt.

– Można na moment?

– Proszę. – Gospodarz odsunął się i wpuścił go do środka.

– Jest pana żona?

– Wyszła na spacer.

Może to i dobrze. Jest okazja do kolejnej szczerzej rozmowy, pomyślał, siadając na kanapie.

– Przejdę od razu do rzeczy, bo przyjechałem tutaj w konkretnej sprawie.

Cały czas starał się być ostrożny. Marcina Linkiewicza uważał za podejrzanego. Choć brakowało na to dowodów, to jednak starał się ciągle pamiętać, że facet mógł mieć coś na sumieniu.

– Słucham.

– Czy Patrycja mogła mieć dwa telefony? – zapytał wprost.

Mężczyzna rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Nie, miała jeden. Ten, który przekazała wam żona. Macie go, tak?

– Tak, mamy. Ale w tym właśnie problem, że...

– Że?

– Powiem inaczej. Znaleźliśmy kolejną taśmę, na której widać waszą córkę.

– Gdzie?!

Mężczyzna wyraźnie był poruszony. Komisarz próbował ocenić jego zachowanie. Czy coś zdradzało, coś mówiło? Starał się wyczuć rodzaj podekscytowania.

– Szła ulicą Spółdzielczą, to jest za...

– Wiem, gdzie to jest.

– Zarejestrowała ją jedna z kamer monitorujących prywatny teren, mówi coś panu tamto miejsce, kierunek, cel?

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, nigdy tamtędy nie chodziła, przecież mieszkamy tutaj. A do Spółdzielczej to kawał drogi. Co by miała tam robić? – Nieświadomie zacisnął zęby.

– Właśnie o to pana pytam – przypomniał dla porządku Iwanowicz.

– Cały czas się zastanawiam, dwa razy sam jej szukałem. Jeździłem parę godzin po mieście. Oczywiście na nic nie natrafiłem. Ani śladu, ani wskazówki. Nic. Jakby rozplynęła się w powietrzu. Na nic to wszystko. – Zatoczył ręką koło. – Na nic wszystkie poszukiwania, ogłoszenia, prośby do mieszkańców miasta o zgłaszanie wszelkich informacji...

Linkiewicz wstał, podszedł do barku i nalał sobie pół kieliszka koniaku, ale po chwili namysłu odsunął go od siebie, nie upijając ani trochę. Wrócił na miejsce, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Jeździłem po różnych miejscach, byłem dwa razy pod domem Mai. Jutro wraca chyba Monika, być może tam też pojedę. Wie pan... – zaczął wolno, przerywając po chwili. Policjant wyczuł w jego głosie nieprzetrawiony smutek. Po tylu dniach nieobecności córki w domu przyzwyczał się do tego, ale wciąż nie mógł się z tym pogodzić. – Po tylu dniach mam już złe myśli. Ale wciąż nie tracę nadziei, że wróci do domu cała i zdrowa. Wręcz o tym marzę. Nie

mogę spać, bo tylko usłyszę jakieś poruszenie na klatce schodowej, to myślę sobie, że może wróciła...

– Wierzę, że niedługo tak się właśnie stanie... – powiedział cicho Iwanowicz.

– Że może wróciła i trzeba iść jej otworzyć. Bo przecież nie wzięła ze sobą kluczy. Chociaż... Nie, zresztą nieważne. – Machnął ręką.

– Chociaż co?

– Nieważne, to głupie.

– W takiej sprawie jak ta wszystko jest ważne.

– Tylko proszę się nie śmiać. Ostatniej nocy wydawało mi się, że... że ktoś stał pod naszymi drzwiami.

Komisarz wyraźnie się ożywił i zacisnął nerwowo pięść.

– Kiedy to było? – zapytał, by się upewnić.

– Wczoraj.

Komisarz spojrział odruchowo w górę, odtwarzając w pamięci wczorajszy dzień niczym ktoś, kto tworzy w głowie pełną dokumentację każdego dnia oraz wszystkich wydarzeń i szczegółów.

– Co dalej? Co pan słyszał?

– Obudziłem się w nocy. Wie pan, od kiedy Patrycja zniknęła, słabo śpię, bardzo delikatnie. Wystarczy jakiś szmer, a już otwieram oczy. Podchodzę do okna, wyglądam, a potem znów zasłaniam firanki. Albo idę do kuchni, by się czegoś napić, i wracam do łóżka. Mury kamienicy są tak nagrzane, że nie ma co liczyć na nocny chłód. No w każdym razie obudziłem się późno w nocy, nie wiem, może o trzeciej, może trochę po. I wtedy usłyszałem coś za drzwiami. Bardzo delikatne kroki, niemal na granicy słyszalności. Ale byłem przekonany, że ktoś tam był. W tak małym mieszkaniu odgłosy niosą się wszędzie.

– I co pan zrobił?

– Podeszedłem do drzwi. Staralem się nie robić żadnego hałasu. Byłem boso, więc chyba mi się udało. Stałem chwilę, nasłuchując. Wydawało mi się, że słyszałem czyjś oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. A potem nastąpiła cisza i zacząłem słyszeć coraz głośniejsze bicie własnego serca. Waliło mi tak mocno, że bałem się, że ktoś to usłyszy. Bzdura, wiem, ale strach i ciemność robią swoje. Opadłem na kolana tuż obok drzwi. I... i nie wiedziałem, co robić. Muszę przyznać, że bałem się otworzyć i sprawdzić, czy ktoś tam faktycznie stał. Bałem się jak nigdy. Facet po czterdziestce klęczący w samym podkoszulku pod drzwiami własnego mieszkania. Drzwi zamknięte od środka. Co mogło mi się stać? Jednak serce nie przestawało mi walić. W oddali dostrzegłem tylko niebieską poświatę zegarka elektrycznego w kuchni, nic więcej. Potem jakoś się opanowałem. Wstałem i chciałem odchylić judasza, ale pomyślałem, że w nocy każdy ruch lub dotknięcie jest słyszalne. Noc ma tę swoją bezlitosną akustykę. Wszystko słyhać. Każdy ruch, każdy wydech. No więc zrezygnowałem i poszedłem na palcach do sypialni.

– Więc w końcu nie wyjrzał pan i nie sprawdził, czy ktoś tam faktycznie był?

Pokręcił głową.

– Nie, ale gdy kładłem się do łóżka, obudziłem żonę. Przypadkowo oczywiście, poczuła kołysanie materaca. Przy okazji wstała do toalety. Gdy wracała, stanęła przy drzwiach wejściowych. Potem szybko przysłała do sypialni i powiedziała, że wydawało jej się, że coś słyszała na korytarzu.

Iwanowicz się zamyślił. Nie wiedział, na ile opowieść była prawdziwa.

– Rozważał pan, że to mógł być któryś z sąsiadów? Może coś robił w nocy, na przykład wracał z pracy?

Mężczyzna zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi. Przez chwilę mocno nimi pocierał twarz, aż zrobiła się czerwona.

– Nie mógł... Dwie rodziny, które tu mieszkają, wyjechały na wakacje. Wiem, bo prosili, żeby mieć oko na ich mieszkania. – Obecnie jesteśmy tu sami.

Iwanowicz głośno westchnął. Nie wiedział, co powiedzieć. Trudno było to zweryfikować.

– Ech, nieważne – rzekł po chwili Linkiewicz. – Pewnie nam się wydawało. A wracając do pana tematu, wspomniął pan o nagraniu, na którym widać Patrycję...

– Tak, tak. – Komisarz wybudził się z zamyślenia. – Pytałem, czy to możliwe, bo na nagraniu widać, jakby miała telefon. A skoro jeden zostawiła w domu, to...

– Nie miała dwóch, wiedziałbym o tym – przerwał mu.

– Skąd ta pewność?

– Bo sam jej kupiłem. Nigdy nie dostała żadnego innego.

– Wyklucza więc pan, by miała jeszcze jeden?

– Na pewno. Jestem o tym przekonany, a to chyba wystarczy.

– Na tym etapie przekonanie to za mało.

– To jak chce pan to sprawdzić?

– Czy Patrycja miała własne oszczędności? Zbierała na coś?

Kiwnął zdecydowanie głową.

– Owszem, regularnie od paru lat otrzymywała od nas kieszonkowe, ale je wydawała.

– Jakie to były kwoty? Mniej więcej.

– Pięćdziesiąt złotych.

– Miesięcznie?

– Tygodniowo.

Iwanowicz mało nie zagwizdał z wrażenia. Nieźle, pomyślał.

– Wydawała je? Kontrolowaliście jakoś jej wydatki?

– Nie, nie. Tutaj miała dowolność. Zawsze mogła wydać, na co chciała.

– Czyli jednak nie do końca wiecie, co się działo z jej pieniędzmi.

– To nie tak, panie komisarzu. Część rzeczy dostawała od nas, a za część musiała płacić ze swoich. To prosty podział. Gdy tylko uznaliśmy, że chciała kupić... – Rozejrzał się, jakby z tego miejsca przeniósł się do jej pokoju i chciał coś zaprezentować. – Na przykład kolejną bluzkę czy koszulkę, mimo że kupiliśmy jej niedawno, to musiała płacić ze swoich. To uczciwy układ. I nam, i Patrycji zawsze pasował.

– Często coś kupowała?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak, kilka razy na pewno. Jakies ubrania, jak zwykle. Co innego może kupować dziewczyna w jej wieku?

– Rozumiem – powiedział Iwanowicz i kiwnął głową. – Czy przechowywała je gdzieś?

– Bluzki są w szafie.

– Nie, chodzi mi o pieniądze.

– A... Tak, część miała w portfelu, a część na koncie oszczędnościowym. Sam jej założyłem taką lokatę. Wpłacała co jakiś czas.

– Ma pan nad tym kontrolę?

– Mam. To znaczy jakiś czas temu sprawdzałem, faktycznie wpłacała. Potem już nie miałem takiej potrzeby. Ufam jej. To też forma wychowania.

– Kiedy ostatnio się pan logował na jej konto?

– Bo ja wiem? – Spojrzał na rozmówcę. – Oj, będzie z pół roku.

– Czy możemy je sprawdzić? Dla pewności, by wykluczyć ewentualne... – Nie dokończył, gdy zobaczył, że Linkiewicz wstał. Poszedł do pokoju i po chwili wrócił z komputerem.

– Moment, tylko się zaloguję. – Przez minutę klikał coś w laptopie. – O proszę, to ta strona – rzekł, gdy już uporał się z uruchomieniem i włączeniem przeglądarki. – Jeszcze chwilę. Okej, już mam... Zaloguj... – Iwanowicz bacznie mu się przyglądał. Wyglądał na opanowanego, aż trudno było uwierzyć, że dwie minuty temu opowiadał o tym, jak klęczał pod drzwiami i bał się chodzić po własnym mieszkaniu.

Nagle jego twarz przybrała dziwny wyraz.

– Coś się stało?

Mężczyzna nie odpowiedział. Komisarz usiadł obok niego.

– Nic nie rozumiem. Nic tu nie ma. Wszystko zniknęło... Jak to...

Komisarz spojrział na stronę banku. Konto oszczędnościowe wskazywało, że dostępne środki wynoszą pięćdziesiąt dziewięć groszy.

– Niech pan kliknie w historię rachunku.

Mężczyzna przeszedł do odpowiedniej zakładki. Po chwili ujrzeli historię wszystkich transakcji. Widniało w niej kilka wypłat po pięćset i czterysta złotych. Wpłacała stopniowo każdego dnia. Ostatnia wypłata została wykonana dzień przed zniknięciem.

Jak na czternastolatkę, miała oszczędności, które pozwalały na spore zakupy. Dwa tysiące trzysta złotych. Każdego tygodnia otrzymywała po pięćdziesiąt, więc przez parę lat mogła zgromadzić znacznie więcej. Część tego, co otrzymywała, mogła wpłacać na konto, a część wydawać na bieżąco. Przechylił ekran w swoim kierunku. Przyjrzał się jeszcze pozostałym transakcjom, ale wszystkie dotyczyły regularnych wpłat na konto. Ostatnia była sprzed trzech miesięcy. Wstał i podszedł do okna. Chciał zapalić, ale nie mógł tego zrobić w obcym domu.

– Portfel Patrycji... – zaczął cicho. – Gdy ostatnim razem przeszukiwałem jej pokój, nie znalazłem go.

Linkiewicz zamknął w pośpiechu laptop i odsunął gwałtownie, jakby bał się, że to nie koniec brutalnej prawdy.

– Już go szukałem. Od razu po tym, jak Patrycja zniknęła. Przetrzaśnałem całe mieszkanie. I nic.

Iwanowicz skierował się do drzwi, ale w ostatnim momencie odwrócił się i zapytał:

– Pańska żona... – Westchnął i kiwnął głową w kierunku leżącego na fotelu laptopa. – Powie jej pan o tym?

Ojciec Patrycji wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem, czy to dobry pomysł. Izabela już przypomina cię. Pociesza się tym, że nasza córka wciąż żyje. I niebawem wróci. Każdego dnia, w każdej godzinie mówi tylko o tym. – Jego głos brzmiał poważnie. Dało się wyczuć nieopisany żal do świata, że właśnie to ich córka

wpadła w szpony złego losu. – Więc nie wiem, mówiąc szczerze, czy to dobry pomysł. Ona wciąż żyje nadzieją...

– A teraz? Dzisiaj... Często chodzi na takie spacerunki?

Mężczyzna przekrzywił głowę i spojrzał na niego, jakby nie rozumiał pytania.

– Pomaga jej to? Relaksuje się?

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Ona nie spaceruje, panie komisarzu. Każdego dnia wychodzi z domu późnym popołudniem i wraca wieczorem albo w nocy – powiedział bardzo powoli. – Ona ciągle jej szuka.



Iwanowiczowi mocno waliło serce, nie wiedział, czy to z wysiłku, czy innego powodu. Podświadomie bał się, że nawracają jego omdlenia. Poddawał swój organizm ostremu testowi wytrzymałościowemu zarówno fizycznemu, jak i psychicznemu. Spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka elektronicznego. Przed sobą miał czterech funkcjonariuszy policji. Przyjechał na spotkanie z nimi, by omówić wyniki pracy grup poszukiwawczych, które miały za zadanie wytypować miejsca, gdzie można by wrzucić zwłoki do rzeki. Według wytycznych Gawłowskiego, który zajął się koordynacją prac, dwie grupy miały iść po obu stronach rzeki i zaznaczać na szczegółowej mapie miasta wszystkie takie punkty. Na masce samochodu komisarza rozłożyli mapę i oświetlili latarkami.

Według słów Gawłowskiego, który zadzwonił pół godziny temu, policjanci zakończyli. Sprawdzili całą linię brzegową. Tak jak im kazano.

– Zebraliśmy wszystkie dane, ale udało się namierzyć tylko dwa punkty, gdzie można by pozbyć się zwłok. Oczywiście według tego, co ci już mówiłem. Czyli z dala od domów, z możliwym dojazdem i swobodnym dojściem do samej rzeki. Chodzi o to, że do innych miejsc trudniej jest podjechać autem. Zobacz. – Wskazał na lekki zjazd aż do samego nurtu rzeki i poświecił latarką, ponieważ panowała niemal całkowita ciemność. – Szukaliśmy w promieniu kilkudziesięciu metrów czegoś, co mogłoby posłużyć jako narzędzie zbrodni, czegoś ciężkiego. Sprawdziliśmy też ewentualne ślady po bójce czy szarpaninie. Nic. Nie ma też żadnego sznurka, który byłby podobny do tego, jakim związano ręce dziewczyny. Szukaliśmy czegokolwiek. I jak na razie niewiele mamy. Trzeba iść dalej, już poza miasto. – Podkomisarz skierował światło latarki na mapę. – Drugi punkt znaleźliśmy ponad sto dwadzieścia metrów stąd, nieco w górę rzeki. Problemem są rosnące wszędzie krzaki, ale i tam nic nie znaleźliśmy. Żadnych śladów walki, żadnej krwi, ubrań czy innych podejrzanych rzeczy. Tam również nie ma śladów przy samym zejściu do rzeki.

– I co teraz? – zapytał Iwanowicz zgromadzonych.

– Właśnie w tym problem. Opcje są dwie. Albo odpuszczamy, albo idziemy dalej wzdłuż rzeki, ale zaraz wyjdziemy z poszukiwaniami za miasto. Czy to ma sens?

Iwanowicz przyjrzał się funkcjonariuszom. Trzech młodych mężczyzn i jedna kobieta o krótkich rudych włosach. Spoglądali to na mapę, to na siebie. Komisarz znał ten wyraz twarzy, doskonale wiedział, co się za nim kryło – przede wszystkim potworne zmęczenie, bo ciężka praca wycieńczała, a monotonia potęgowała to uczucie. Patrzył na nich i czuł się tak, jakby oglądał swoje w odbicie w lustrze. Jego oczy musiały wyglądać dokładnie tak samo jak ich, a może i gorzej.

Nagle poczuł wibracje telefonu. Sięgnął do kieszeni, odszedł kilka kroków i odebrał.

– Mów.

– Sprawdziłem wszystkie numery telefonów, o które prosiłeś – rzekł niczym automat informatyk. – Wszystkie karty to prepaid. Zrobiłem próby lokalizacji, ale pewnie nie będziesz



zadowolony. Mam dosłownie parę odczytów, praktycznie wszystkie z nich pochodzą z samego centrum miasta. Jutro wyślę ci spis nadajników, a więc tym samym możliwych lokalizacji. Ale mam coś, co może cię zainteresować.

– Mów.

– Ustaliłem, że trzy z tych numerów pochodzą od tego samego operatora. Ale to jeszcze nie wszystko. Trochę nad tym posiedziałem. Dysponuję już listą wszystkich miejsc, gdzie w Jeleniej można kupić karty oraz telefony. Sporo tego jest, ale nie aż tak dużo, by sprawdzenie ich przekraczało moje możliwości. Wyeliminowałem wszystkie punkty za bardzo oddalone od miejsca zamieszkania dziewczyny. Wziąłem więc pod uwagę przede wszystkim samą Jelenią, a okoliczne miejscowości przylegające do miasta tymczasowo pominąłem. Okazało się, że w ścisłym centrum jest pięć takich punktów, głównie są to nieduże komisje. Kilka punktów też jest w marketach i centrach handlowych.

– Ile tego wyszło?

– Dwanaście. I wszystkie już sprawdziłem.

– Brawo. Jakież rezultaty?

– Tak, otóż sprzedawca z komisji w starym domu towarowym przypomniał sobie, że trzy tygodnie temu była u niego młoda dziewczyna, która kupiła cztery karty prepaid oraz dwa telefony.

Iwanowicz odszedł kilka kroków i stanął tuż nad brzegiem. Szum rzeki nieco zagłuszył rozmowę, więc musiał ustawić nieco głośniejszy telefon.

– Czy pamięta, jak wygląda?

– Nie tylko pamięta, jak wygląda, ale, uwaga, ma też jej dane. Podczas kupowania telefonu konieczne jest sporządzenie umowy sprzedaży.

Komisarz wyraźnie się ożywił.

– Dawaj.

– Nazywa się Dominika Łaszkiewicz. Przesłać ci adres?

– Poczekaj, poczekaj... To przecież... – Nie dokończył.

– Marek, to jeszcze nie koniec. Sprzedawca pamięta, że była z nią koleżanka. Szczupła blondynka z włosami do ramion. Pamięta, że to ona kazała Dominice kupić te karty, wszystko jej mówiła. Szeptala coś do ucha, stojąc nad nią. I na koniec za wszystko zapłaciła.

– Poczekaj. Chociaż umowa była na Dominikę i to ona formalnie kupowała, to druga dziewczyna dała pieniądze... Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Mówił, jakie to były telefony?

– Niedrogie, jakieś proste nokie.

– Patryk?

– No?

– Przecież każdy aparat telefoniczny ma swój numer, czy tak? I przecież da się je namierzyć?

– Tak, potrzebowałbym tylko...

– Umowy...

– Co? – zapytał tak, jakby nie dosłyszał.

– Na umowie sprzedaży muszą być te numery. Skontaktuj się rano z tym sprzedawcą i weź je od niego.

Iwanowicz się rozłączył.

Kolejne powiązanie. Z jakiegoś powodu trzy tygodnie temu Patrycja Linkiewicz kupiła dwa telefony oraz cztery karty. Chciała stworzyć nienamierzalną sieć, inną niż ta oficjalna, by dzięki niej kontaktować się z Dominiką. Czy tylko z nią? Cztery karty wystarczyły, by przez jakiś czas unikać namierzenia. Jedna karta z numerem startowym kosztuje od paru do parunastu złotych – w zależności od tego, czy był to tylko numer startowy, czy miał już jakąś kwotę na koncie do wykorzystania. Patrycja miała spore oszczędności, mogła więc zmieniać karty codziennie. Wiedziała, że w ten sposób nikt jej nie zlokalizuje. A więc w ten dyskretny sposób pozostawała z Dominiką w stałym kontakcie, podsumował. Jedna z dwóch osób zabrała tę tajemnicę ze sobą do grobu. Ale co to była za tajemnica? Co je ze sobą łączyło? Iwanowicz zapalił papierosa i w tym samym momencie podszedł do niego Gawłowski. Wyczuł jego pot, jakby kolega właśnie przebiegł maraton. Pomyślał, że codzienne trwanie w tym upale, problemach, natłoku spraw było swoistym maratonem. A może nawet czymś bardziej wykańczającym.

– Marek, jeśli zabójca zrobił to gdzieś dalej, potrzebuję więcej ludzi lub więcej czasu, by to ustalić. Ale to od jutra, dziś już nikt z nas nie ma sił.

Iwanowicz patrzył na niego, ale wydawało mu się, że nie dosłyszał słów Gawłowskiego. Dwa telefony, o których nikt do tej pory nie wiedział. Kilka kart, by skutecznie zacierać za sobą ślady. Patrycja Linkiewicz nie chciała zostać odnaleziona. Tylko dlaczego?



Z samego rana Iwanowicz pojechał do wskazanego mu przez informatyka komisju z telefonami komórkowymi. Zostawił auto na ulicy Pocztowej tuż przy samej rzeźbie byka porywającego Europę autorstwa Vahana Bego, która stała przy złączeniu z ulicą 1 Maja.

Schował do torby laptopa i poszedł w kierunku domu towarowego. Kiedyś był to jeden z ważniejszych punktów handlowych na mapie miasta, jednak obecnie, w czasie błyskawicznie pojawiających się nowych marketów i centrów handlowych, dawny dom towarowy, mieszczący się w wielkiej przedwojennej kamienicy, praktycznie świecił pustkami. Była dziesiąta i właśnie się zorientował, że jest pierwszym klientem. Zszedł po schodach na poziom minus dwa i podszedł do niedużego stoiska z telefonami. Przedstawił się siedzącemu mężczyźnie, który wpatrywał się w swój telefon. Komisarz położył na ladzie swój komputer. Wyjaśnił, w jakim celu przyjechał, powołując się na wczorajszą rozmowę z informatykiem Patrykiem Halickim.

Sprzedawca miał około trzydziestu pięciu lat, jasne blond włosy i ubrany był w krótką koszulę w kratkę. Twarz szpeciło mu kilka dużych pieprzyków.

– Chciałbym pana prosić o zidentyfikowanie dwóch dziewcząt, które trzy tygodnie temu kupiły u pana te telefony oraz karty.

Przygotował fotografie i pokazał je. Mężczyzna kiwnął głową na widok Dominiki Łaskiewicz.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent to ta dziewczyna.

– W porządku. I jeszcze jedna. Podobno była z nią jej koleżanka. Tak pan wczoraj mówił.

Iwanowicz nacisnął klawisz i pojawiło się przed nim zdjęcie Patrycji Linkiewicz.

Mężczyzna spojrzał na zdjęcie i skinął głową.

– To ona?

– Nie mam żadnych wątpliwości.

– Czy zauważył pan wtedy coś jeszcze?

– Czytałem wiadomości... – zaczął, po czym zawiesił głos i spojrzał komisarzowi prosto w oczy.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Czytałem w Internecie wiadomości. Wczoraj w nocy.

– Na temat?

– Chodzi o zniknięcie, prawda? Jedna z tych dziewczyn zniknęła parę dni temu. Stąd tak nagłe zainteresowanie policji. Mam rację?

Iwanowicz nie znosił, gdy sprawy związane ze śledztwem przeciekały do mediów, ale to była głośna sprawa, chociażby ze względu na ogłaszane w mediach komunikaty o zaginięciu Patrycji. Nie dziwił się, że każdy serwis informacyjny, zwłaszcza regionalny, pisał o tym niemal każdego dnia. Zwykle wiadomości nie różniły się od siebie, choć czasem wzbogacano je o jakieś zdjęcia bądź też urozmaicano, dodając wypowiedź rzecznika jeleniogórskiej policji, który w możliwe

obiektywny i dyplomatyczny sposób mówił o zachowaniu spokoju oraz o tym, że przeprowadzane są czynności śledcze w tej sprawie.

– Tak, chodzi o zniknięcie. Wiemy, że obie dziewczyny niemal dwa tygodnie przez zaginięciem były w pana komisie. Badamy każdy możliwy trop i staramy się ustalić, co wtedy robiły, odtwarzamy ich każdy dzień.

– To smutne.

– Tak. Wracając do pytania, czy zauważył pan tego dnia coś jeszcze?

– Co na przykład?

– Pośpiech, dziwne zachowanie, podenerwowanie? Coś, co wydało się panu dziwne?

Mężczyzna potarł ręce i schował telefon do kieszeni.

– Nie pamiętam wszystkiego, codziennie mam wielu klientów.

– Proszę odpowiedzieć konkretnie.

– Pośpiech... tak. Ma pan rację, wydaje mi się, że się spieszyły. Stojąca za nią dziewczyna...

– Patrycja?

– Tak, bo Dominika siedziała tu przede mną, tak jak pan. – Wskazał krzesło. – A Patrycja, no nie wiem, wydawała się opanowana. To znaczy próbowała taka być, ale odniosłem wrażenie, że się niepokoiła. Co chwila coś szeptała koleżance do ucha, kazała podpisać umowę kupna telefonów, wyciągnęła z torebki pieniądze. Potem, gdy już podpisały, wręczyła jej telefon, a drugi schowała do torby. Pamiętam też, że gdy wchodziły po schodach, cały czas coś jej tłumaczyła. Już nie do ucha, nie było takiej potrzeby... Wie pan. No niby nic się nie działo, nie miałem żadnych podstaw, by uznać tę sytuację za niepokojącą... Aż do wczoraj, gdy połapałem się, że to chodzi o nie.

– Usłyszał pan jakąś rozmowę? Chociaż fragment?

– Niestety, przykro mi. Po prostu schowały telefony i odeszły. Z tego punktu, w którym siedzimy, widać część schodów. Dziewczyny prowadziły ożywioną rozmowę. Ale proszę mi wierzyć, nie miałem powodów, żeby je podsłuchiwać czy śledzić, codziennie ktoś kupuje ode mnie telefon. Nie jest to zbyt ruchliwe miejsce, ale też nie narzekam na brak klientów. Młode osoby też je kupują, nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– I nie zastanowiło to pana, że dwie młode nastolatki kupiły dwa telefony i cztery karty?

Mężczyzna zrobił zaskoczoną minę.

– A cóż w tym niby dziwnego? Jak mówię, codziennie ktoś kupuje telefon i zwykle do tego starter za parę złotych lub starter z pakietem minut. Wtedy jest droższy. Albo jakąś nokię za stówkę czy jakiegoś samsunga. Bo to zwykle najtańsze i najpowszechniejsze marki. A jak się popsuje, to nie jest wielka strata.

– Rozumiem, że już więcej się tu nie pojawiły?

– Nie.

Szybko wyobraził sobie scenę, jaka się tutaj wtedy rozegrała. Faktycznie, sprzedawca nie miał się do czego przyczepić. Każdy ma prawo kupić telefon, nawet kilka, a do tego tyle kart SIM, ile potrzebuje. Niby dlaczego miałyoby to wzbudzić czyjś niepokój? To oczywiste, że Iwanowicz interpretował wydarzenia ze swojego punktu widzenia – policjanta, któremu wiele czynności wydaje się podejrzanych. Teraz, po śmierci jednej z dziewczyn oraz zniknięciu drugiej, kupienie przez nie tych telefonów stało się ważnym elementem śledztwa.

Komisarz zapisał swój numer telefonu i dał go mężczyźnie.

– Gdyby cokolwiek się panu przypomniało, proszę zadzwonić.

Wstał i skierował się w kierunku schodów. Gdy już niemal wszedł na samą górę i dotarł do wyjścia, spojrzął na sufit, ale nigdzie nie znalazł kamer. Obejrzał się za siebie, ale żadnej nie dostrzegł. W starym domu handlowym wciąż nie było klientów. Zegarek wskazywał piętnaście po dziesiątej, co mogło w jakiś sposób tłumaczyć te pustki.

Nagle zbiegł po schodach i podszedł do komisu.

– Zapomniał pan czegoś? – spytał sprzedawca, który robił porządek w gablotce z telefonami. Przecierał je ściereczką i z powrotem układał na miejscu.

Iwanowicz otworzył laptopa, odnalazł odpowiedni fragment filmu i pokazał go mężczyźnie.

– Torba. Niech pan spojrzy. Czy poznaje ją pan?

Mężczyzna spojrzął na komisarza, jakby nie wiedząc, co ma powiedzieć. A potem rzucił okiem jeszcze raz na nagranie. Iwanowicz czekał na odpowiedź.

– Tak, poznaję. To ją właśnie miała ze sobą Dominika, gdy kupowała telefon.



– Mam już niezły mętlik w głowie – rzekł Gawłowski, gdy usłyszał to, co Iwanowicz ustalił w komisie. – Naprawdę popierdolona sprawa, bo zamotana to mało powiedziane.

Spojrzał przez okno. Żar lał się z nieba, a oni pocili się jak myszy. Ślęczeli nad dokumentami. Zamierzali wszystko podsumować.

– Postaram się niczego ważnego nie pominąć. A jeśli tak się stanie, to mnie poprawiaj.

Gawłowski przytaknął i wypił duszkiem pół butelki wody mineralnej.

Iwanowicz przysiadł na swoim biurku i spojrzał na tablicę. Miał obok siebie poukładane wszystkie potrzebne dokumenty.

– Czternastego lipca Patrycja wypłaca z bankomatu pięćset złotych. Bankomat znajduje się tuż obok domu towarowego. Piętnastego lipca Patrycja wraz ze swoją koleżanką Dominiką przychodzi do komisu i kupują dwa telefony oraz cztery karty prepaid z nowymi numerami telefonów. Kosztowało to trzysta dwadzieścia złotych. Tanie, ale sprawne modele. Potem przez jakiś czas nic się nie dzieje. Luka. Kolejna informacja z historii konta bankowego dziewczyny wskazuje, że na trzy dni przed zniknięciem dziewczyna wypłaca czterysta złotych. Potem każdego kolejnego dnia po czterysta lub pięćset złotych. Łącznie dwa tysiące trzysta. Na koncie zostają grosze, resztką, której nie da się wypłacić.

– Wypłacała po trochu najprawdopodobniej dlatego, że mogła mieć dzienny limit wypłat.

– Tak, w końcu to miało być konto oszczędnościowe, a nie rachunek bieżący. Albo bała się wypłacić całość, bo mogłoby to wzbudzić czyjeś podejrzenia. Ojca, który każdego dnia mógł się zalogować na konto i ją sprawdzić, ale jak się okazało, nie robił tego od dawna.

– Albo bała się nosić gotówkę przy sobie.

Iwanowicz przytaknął.

– To jedna z bardziej prawdopodobnych wersji. – Komisarz wziął do ręki dokumenty, przejrzał pobieżnie, choć znał je na pamięć. – Dalej. Tymczasem dziewczyna otrzymała kilka SMS-ów na swój drugi telefon. Bo zakładamy, że miała dwa.

– Ten, który znajdował się w jej domu, był podstawiony – dodał Gawłowski. – Po to, by nikt się nie kapnął, że coś się, kurwa, kroi.

– Raczej tak. Pierwszy z nich to: „Co z nim?”, wysłany przez Monikę, potem: „Będziesz?” – SMS wysłany przez Pawła. Sprawdziliśmy numery, zgadza się ten wysłany przez Monikę, ale nie zgadza się ten z imieniem Paweł. Sprawdziliśmy to. Nie ma żadnego Pawła. To również nie jest ten Paweł, których chodzi do ich klasy, bo i to zostało sprawdzone. Jak na mój gust, to mogła być zwykła zmyłka, a więc podstawione imię, żeby odwrócić uwagę. Numer rzekomego Pawła mógł być numerem, którym posługiwała się jakaś tajemnicza osoba. Równie dobrze mógłby się nazywać Andrzej albo Piotrek, by ukryć czyjąś prawdziwą tożsamość. I uważam, że temu to miało służyć. Nie wiemy jednak, kto to, bo obu numerów przestano używać już kilka tygodni temu. „Lepiej się zastanów” to kolejny SMS, który otrzymała Patrycja, choć nie wiadomo, kto jest nadawcą, ponieważ nie był on wpisany do jej książki telefonicznej, a numer



również jest nieaktywny od dnia, w którym została wysłana wiadomość. Pod tym numerem mogła się kryć praktycznie każda osoba. Anonim.

– I dochodzimy do dnia, w którym Patrycja znika z domu – powiedział podkomisarz, spoglądając na kolegę. Trzymał w ręku notatki z różnymi datami.

– Mów dalej. Może spojrzysz na to bardziej obiektywnie niż ja – zachęcił Iwanowicz.

– Około siódmej rano Patrycja wychodzi z domu, by wyrzucić śmieci. Jak się okazuje, przepada bez wieści. Dziś już wiemy, że dziewczyna wszystko wcześniej zaplanowała, od początku do końca, również to, że zaaranżowała wyjście z domu. I tu pojawia się ciekawostka. Według relacji matki Patrycja od rana była ubrana w spodenki i koszulkę, a na nagraniu z monitoringu widać, że miała już na sobie buty, szorty, bluzę oraz torbę. Miała również ze sobą, co wiemy niemal na sto procent, inny telefon. To daje do myślenia. Rozważmy dwa scenariusze. Albo miała gdzieś na zewnątrz schowaną torbę z przygotowanymi rzeczami, albo przed wyjściem z domu zabrała je z pokoju.

– Tak, matka mówiła, że słyszała, jak córka krzątała się chwilę po mieszkaniu, a potem wyszła – uściślił komisarz.

– Czyli dyskretnie włożyła torbę do worka ze śmieciami.

– A wracając do telefonu; skoro miała drugi, z którego w rzeczywistości korzystała, ten może być zwykłą zmyłką. Przypuszczała, że będziemy jej szukać, więc go nam zostawiła, żebyśmy podejrzewali, że to jedyny telefon, i wykorzystywali go przy poszukiwaniach.

Gawłowski przytaknął.

– To samo dotyczy komputera. Podejrzewam, że mogła celowo wchodzić na takie strony, żeby nas zmylić. Albo zatrzeć swoje prawdziwe działania.

– Jeśli korzystała z sieci, mogła to robić w inny sposób. Nie przez Gadu-Gadu, nie przez Facebooka. A więc jak?

– Problem w tym, że historia odwiedzanych stron czy też analiza aplikacji zainstalowanych w komputerze nie udziela odpowiedzi na to pytanie. Analiza historii rozmów na Facebooku też niczego nie wykazała. Niewiele zachowanych wiadomości. Kilka bzdurnych linków do stron ze śmiesznymi zdjęciami. Pytania Moniki o wakacje, o pobyt nad morzem. Lista znajomych pokrywa się ze znajomymi z klasy oraz dwóch innych równoległych – 1A, 1C. Łącznie pięćdziesiąt siedem osób na liście znajomych.

Zapadła cisza. Słysząc było szalone wysiłki wentylatora, który był na maksymalnych obrotach.

Iwanowicz rzekł po namyśle:

– Na razie sprawa telefonu i komputera zostaje kwestią do rozstrzygnięcia. Być może coś wyjdzie przy okazji. Ale to ważna rzecz i wiele mówiąca o całej sprawie. Patrycja szykowała już od dawna ucieczkę z domu i działała z dużą precyzją. Ważna jest jednak cezura, która każe nam myśleć, że coś się wydarzyło w jej życiu. Cezura – powtórzył z dużym naciskiem – z której powodu zaczęła wszystko planować parę tygodni temu. Koniec maja, początek czerwca. Wtedy najprawdopodobniej wydarzyło się coś, co zmusiło ją do ucieczki z domu.

– I do faktycznego zniknięcia. Na tyle skutecznego, że udaje jej się zacierać ślady już ponad tydzień.

– O ile to tylko zniknięcie.

Komisarz głośno westchnął.

– Co masz na myśli?

– Może już nie żyć od tygodnia. Znaleźliśmy ciało jej koleżanki. Jakie są więc szanse, że jeszcze żyje? – zapytał Gawłowski. – Przecież wszystkie nagrania, jakie mamy, pochodzą z dnia, kiedy zniknęła. To jedyny ślad i wyłącznie na nim opieramy przekonanie, że żyje.

– Na razie o tym nie myślmymy, bo opadniemy z sił i odechce nam się jej szukać. Wracamy do ucieczki z domu. Torba za śmieciami, która stała się pretekstem do wyjścia z domu. Gdyby na przykład matka wyszła z sypialni i zauważyła dwie torby, to mogłaby się zdziwić i zacząć zadawać niewygodne pytania. Pamiętajmy, że Patrycja cały czas realizowała swój plan. Musiała więc zachować ostrożność. Albo też zrobiła to na wszelki wypadek, gdyby spotkała kogoś na korytarzu. Na przykład ojca, który wrócił do domu, bo czegoś zapomniał. Licho nie śpi, wiadomo. Uważam, że była w tej kwestii bardzo ostrożna. No, ale wracając do tematu: weszła ze śmieciami do swojego pokoju, włożyła torbę do worka i wyszła z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi.

– W rzeczy samej. Każdy krok dokładnie przemyślała, by jej wymknięcie się nie wzbudzało podejrzeń. – Iwanowicz przełknął ślinę, wziął łyk kawy i wyciągnął z kieszeni papierosy. Włożył jednego do ust, ale nie przypalał. – Gdy już wyszła, wyrzuciła śmieci, wyciągając wcześniej swoje bagaże, a potem w miarę możliwości przemknęła tak, by zostać niezauważona. Ominęła kamienicę w taki sposób, by matka jej nie dostrzegła. To niezwykle ważne.

– Poczekaj, stój... – Gawłowski wstał i zaczął dreptać w miejscu. – Pamiętasz, jak po raz pierwszy spotkaliśmy się z jej ojcem? Powiedział nam, że Patrycja pytała go, gdzie będzie pracował we wtorek.

Iwanowicz zmrużył oczy i spojrzał na kolegę, robiąc dziwny grymas. Próbował przywołać w pamięci tę rozmowę.

– Jesteś pewien, że tak powiedział?

– Na sto procent. Mówił, że w ostatnich dniach mało z nią rozmawiał, ponieważ miał dużo pracy, ale Patrycja czasami pytała go o różne rzeczy związane z pracą. I wtedy zadała mu to pytanie. Pamiętam jak dziś. Odpowiedział, że będzie na Zabobrze. Z jego słów wynikało wówczas, że chodziło o ten dzień, w którym zniknęła. To znaczy, w którym planowała zniknąć.

Iwanowicz opuścił głowę i zaczął się bawić papierosem. Wałkował go po ustach, jakby chciał go idealnie uformować przed zapaleniem.

– To by znaczyło, że chciała mieć pewność, że nikogo nie spotka tego dnia – odezwał się po chwili. – Zanim wyszła z domu, wiedziała, że matka jest w sypialni, a ojciec w pracy po drugiej stronie miasta. Cwana. Naprawdę cwana... – Iwanowicz ocknął się i spojrzał na dokumenty. Odrzucił kolejną kartkę, a potem rzekł: – Dziewczyna udała się w kierunku centrum miasta, następnie doszła do skrzyżowania tuż niedaleko stacji benzynowej, stamtąd do wiaduktu, niedaleko liceum i szkoły „Mechanik”, a potem dalej aż do Zgorzeleckiej i Spółdzielczej. Tam uchwyciły ją dwie kamery. Na każdym nagraniu wygląda na zdenerwowaną, poważną, zdeterminowaną, dążącą do jakiegoś punktu.

– Celu... – poprawił go.

– Niech i tak będzie, jak zwał, tak zwał. Wiemy, że dziewczyna rozpakowała torbę, w której miała schowane rzeczy. Buty, bluzę, którą włożyła na siebie, choć tego dnia był upał jak diabli, oraz torbę. W niej miała telefon, to wiemy na pewno. I na pewno pieniądze. Dość dużo. Skoro na telefon i karty wydała trzysta dwadzieścia złotych, zostało jej około dwóch tysięcy.

– Poza tym wciąż nie wiemy, czy to, co miała na koncie, to były jej wszystkie oszczędności. Mogła mieć odłożone jeszcze w gotówce. Dwa tysiące trzysta to kwota, jaką dysponowała na koncie, ale...

– Wiem, Jacek, ale na razie postarajmy się mniej gdybać, a więcej mówmy o pewnikach. Dwa tysiące. Za taką kwotę można kupić bilet na drugi koniec Polski i przeżyć przez wiele tygodni...

W pokoju zapadła cisza. Patrzyli przez chwilę na siebie, jakby próbowali czytać nawzajem w swoich myślach. Milczenie się przedłużało, wreszcie przerwał je Gawłowski.

– No i potem zaczyna się dziać. Dwa dni temu jej koleżanka, z którą była w komisie, zostaje brutalnie zamordowana. Nieznany sprawca wrzuca ją do rzeki. Dziewczyna ma związane ręce. Jej zwłoki wypływają po niecałej dobie niedaleko punktu widokowego na Wzgórzu Krzywoustego. – Przestał mówić, wziął do ręki protokół i znalazł odpowiedni fragment. – Ciało denatki dryfowało około półtora metra od brzegu rzeki.

– A Patrycja uciekła, bo bała się tego samego – rzekł stanowczo komisarz. – Wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, spotka ją to samo. Uciekła z domu, bo się kogoś bała, ale kogo?

Gawłowski nie wiedział, co powiedzieć. Podszedł do okna. Bawił się żaluzją, kręcąc listewkami w obie strony, jakby testował jej stan techniczny.

– I tu dochodzimy do najważniejszego.

– To znaczy?

– Morderca. Kogo mogła się bać Patrycja – powiedział Gawłowski.

– Musiał to być ktoś, kogo znała.

– Skąd ta pewność? – zapytał, cały czas patrząc na okno.

– Dziecko, które ma ojca i matkę, wychowuje się w poczuciu bezpieczeństwa. Od zawsze ma wpojone, że może zaufać swoim rodzicom i przyjść do nich z każdym problemem. Tak jest praktycznie na każdym etapie rozwoju dziecka. Oczywiście im jest starsze, tym ta potrzeba i więź słabnie, ale i tak instynkt każe dziecku schronić się u swoich rodziców. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Że nie ufała rodzicom.

– Otóż to. Nie byli godni zaufania. Jedno albo oboje. A stąd wniosek – bała się ich.

– Ojca.

– Dlatego Marcin Linkiewicz jest podejrzanym numer jeden – stwierdził komisarz.

– Tylko co on jej zrobił?

– Aż boję się pomyśleć, ale przychodzi mi do głowy kilka pomysłów.

– I sądzisz, że bała się powiedzieć matce? Wszystko ukryła?

Iwanowicz wzruszył ramionami.

– Tylko jedna rzecz mi nie pasuje. Co miała z tym wspólnego Dominika? Dlaczego Linkiewicz miałby ją zamordować?

– Może Patrycja jej się wygadała. I on się o tym dowiedział?

– To ma sens.

Komisarz spojrział na zegarek. Wziął flamaster i zakreślił w kółko imię i nazwisko ojca dziewczyny. Potem liniami połączył je z imieniem Dominiki oraz Patrycji.

Linkiewicz wykorzystał seksualnie swoją córkę i ta powiedziała o tym Dominice. Pytanie, czy powiedziała o tym komuś jeszcze. Mai? Od kilku dni jej koleżanka wydawała się przygaszona,

smutna, jakby miała depresję. Czy właśnie z tego powodu? Czy tak jej ciążyła ta wiadomość, że nie mogła sobie z tym poradzić?

– Nie pasuję mi jedna rzecz.

– Jaka?

Komisarz zmrużył oczy i włożył ręce do kieszeni. Odpowiedział dopiero po dziesięciu sekundach, bo zastanawiał się, czy to, co zamierza powiedzieć, ma sens.

– Wtedy, gdy byłem u nich w domu, pokazywał mi wyciągi z konta bankowego dziewczyny... Odnoszę wrażenie, że był naprawdę zaskoczony tym wszystkim. Nie jestem psychologiem, nie umiem odczytywać tego, co człowiek ukrywa, ale wydawał się faktycznie przerażony.

– Grał. Na tyle dobrze, że cię przekonał.

– Tak sądzisz?

– To jedyna racjonalna odpowiedź.

Iwanowicz zaczął kreślić po tablicy. Nazwisko ojca dziewczyny podkreślił kilka razy grubym czerwonym flamastrem.

– Dobra, trzeba będzie mu się przyjrzeć. Zmobilizuj więcej ludzi, by się czegoś dowiedzieli. Przejrzyj listę spraw, jakimi zajmował się w ostatnim czasie. Rozejrzyj się w jego miejscu pracy, sprawdź billingi rozmów z telefonu służbowego. Jego żona wspominała, że raczej nie używa komórki. Ale przecież polegamy tylko na tym, co nam powiedziała, co wcale nie musi być prawdą. Może przed nią ukrywać. Trzeba popytać, podzwonić. Chciałbym, żeby ktoś go śledził, gdy wraca z pracy. Możesz się tym zająć?

Podkomisarz kiwnął głową.

– Ponadto musimy go nachodzić, ale ostrożnie. Delikatnie wybadać i w końcu złamać.

– Jak?

– Jeszcze nie mam pomysłu, ale coś wymyślę. Najważniejsze to zrobić wszystko, by nie wyczuł, że mu się przyglądamy. Musi nas widzieć, ale musi myśleć, że niczego nie podejrzewamy.

– Okej, co jeszcze?

– Druga osoba to stary woźny pracujący w szkole, do której chodziła Patrycja. Spotkałem się z nim ostatnio twarzą w twarz i nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, że może coś wiedzieć. Ponadto wydaje się taki... Sam nie wiem, jak to określić. Widziałem go również na zdjęciu Patrycji, stał w oddali, przyglądał się im.

– Dlaczego mi o tym mówisz dopiero teraz!? – zachnął się Gawłowski. – Trzeba działać, Marek!

Iwanowicz nie zareagował na oburzenie kolegi.

– Bo go sprawdzałem w bazie i niczego nie znalazłem.

– Ale w bazie nie ma dawnych spraw. Kurwa... Dobra, zaraz wyślę kogoś do starych spraw. Pogrzebiemy.

– Na biurku masz dane pracowników szkoły. Sprawdź, kogo możesz, zacznij od mężczyzn, ale najpierw od woźnego.

Gawłowski zebrał listę pracowników szkoły i podszedł do drzwi.

– Okej, to by było na tyle. Trzeba jeszcze...

Iwanowicz urwał. Usłyszeli głośny dźwięk przychodzącej wiadomości. Spojrzał na kolegę, ale ten wzruszył tylko ramionami.

– To nie mój – powiedział.

– Wiem, że to nie twój – odparł.

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady dwa telefony. Odblokował klawiaturę telefonu Patrycji. Nie było w nim żadnej wiadomości. Zauważył, że za parę godzin rozładuje się bateria, bo na wskaźniku została już tylko jedna kreska. Nacisnął kombinację klawiszy w drugim telefonie, który leżał tuż obok. Na ekranie pojawiła się ikona koperty. „Masz jedną nową wiadomość”. Kliknął na „Odczytaj”, a potem telefon pokazał skrzynkę odbiorczą. Jego oczom ukazała się wiadomość: „Już jestem! Podany numer jest już dostępny”.

– Co jest, kurwa? – zaklął i się skrzywił.

Iwanowicz patrzył na ekran, próbując połączyć fakty.

– Marek?

Podszedł do tablicy i popatrzył na nią. Miał na niej wypisane numery telefonów, które do tej pory udało im się zebrać: z SMS-ów, wysłanych i otrzymanych, oraz wszystkich innych, jakie znajdowały się w książkach telefonicznych obu dziewczyn. Kilka z nich było takich samych.

– „Będziesz?”...

– Co?

– To ten numer – powiedział niemal szeptem komisarz, jakby bał się, że ktoś go usłyszy. Zachował się absurdalnie, ale jednocześnie tak się czuł. – Numer jest już dostępny, użytkownik włączył telefon. Po prawie trzech tygodniach... To być może numer osoby, której bała się Patrycja. I przed którą uciekała... – wyjaśnił. – Ale wiadomość otrzymała Dominika... Dlaczego?

Gawłowski stał w progu i czekał na dalszy bieg wydarzeń. Spojrzał na białą tablicę z notatkami.

– Po trzech tygodniach ktoś włączył telefon?

Iwanowicz kiwnął głową, przygryzając wargę. Czas zaczął wolniej płynąć.

– Wtedy jeszcze Patrycja nie zniknęła, była w domu...

– Ale obaj wiemy, że już wtedy coś się działo. Już wtedy musiało się coś stać. Zwłaszcza że mówimy o telefonie Dominiki.

– Czyżby ojciec Patrycji? Włączył się do sieci, by coś wy badać? Kurwa... To się robi coraz bardziej zagmatwane.

Iwanowicz ścisnął telefon. Z nerwów trzymał go tak mocno, że spocila mu się dłoń. Wypluł z ust niezapalonego papierosa, który wylądował na podłodze. Wahał się przez moment, co robić. Rozważał wszystkie scenariusze, włącznie z tym, by zrobić coś, co im teraz nie zaszkodzi w śledztwie. Miał na uwadze również to, by namierzyć telefon, nagrać rozmowę, ale uznał, że tego nie zrobi. Od wykonania tego połączenia mogły zależeć losy całego dochodzenia, ponieważ zdradzając, że nie jest Dominiką, mógł spłoszyć tę drugą osobę.

Wybrał numer i czekał. Sygnał był wyraźny.

Czekał jedenaście długich sekund. Siedem uderzeń serca. Dziesiątki myśli, które przelatywały z prędkością światła. Już chciał się wyłączyć, gdy nagle usłyszał, że ktoś odebrał telefon. Był to cichy głos, który komisarz już wcześniej słyszał. I dopiero wtedy do niego wszystko dotarło.



Dokoła tylko szarość. Kolor starych nagrobków, po których spływają krople żaru, i bolesnych wspomnień, a tuż obok przesuwa się powoli cień tego, co uciekło. Tak było kilkanaście dni temu. Tak było i teraz, tu, na ulicy Świętojańskiej. Tuż obok znajdowało się skrzyżowanie z ulicą Złotniczą. Na wprost widać wejście na dawny stadion miejski, który – odniósł wówczas takie wrażenie – niczemu ani nikomu już nie służył. Zapomniano o nim. A on jednak wciąż szeptał, że kiedyś, dawniej, sport coś tu znaczył; nie tylko był czymś ważnym dla młodych osób. Był celem niedzielnych wypadów całych rodzin na mecz lokalnego klubu piłkarskiego. Łączył ludzi z rejonem, w którym żyli. Integrował ich. Czym był? Przestrzenią. Ważną przestrzenią, w której żyli. Takich miejsc było dużo, odgrywały one istotną rolę w życiu mieszkańców. Teraz stadion świecił pustkami. Jasna fasada i szereg niskich okien, które niczym spragnione oczy z wytęsknieniem szukały kogoś, kto się nim zainteresuje. Szyldy, stare neony i wjazd, nad którym znajdował się napis „Stadion Miejski” i który w istocie niczego już nie oferował. Być może, pomyślał Iwanowicz, poza rozbudzaniem wspomnień.

Komisarz wyciągnął z kieszeni kartkę z zanotowanym numerem, spojrzął z niesmakiem na brązowe ściany szeregu długich kamienic i wypluł zapalkę, którą przeżuwał. Skrzywił się, bo za długo czuł smak drewna w ustach. Wziął ze sobą notes, wodę mineralną i podszedł do domofonu. Do miejsca, z którego zadzwoni do innego świata.

Tam, na trzecim piętrze, mieszkali zrozpaczeni rodzice chłopca, który utopił się kilkanaście dni temu w Bobrze. W niewielkiej górskiej rzece, która bezlitośnie kradła istnienia od setek lat. Niewinna, kręta, przypominająca kształtem węża snującego się między górami i wzniesieniami, który skrywał swoją błękitnografitową cielesność jak prawdziwy drapieznik. Polował. W ciszy, czekając, aż ktoś zbliży się, wejdzie, a potem już nigdy się nie wydostanie. Zdrajca, który kusił i już nie wypuszczał, skwitował Iwanowicz w myślach. Zamyślił się. Wytarł krople potu, które spływały mu po twarzy. Wróciło wspomnienie sprzed kilkunastu dni. Pamiętał, jak wcisnął przycisk mieszkania numer 17.

– Nazywam się Marek Iwanowicz, jestem z wydziału kryminalnego. Chciałbym z państwem porozmawiać. – Komisarz niczego tak dobrze nie pamiętał, jak właśnie tamtego spotkania.

– W sprawie? – Ton się zaostrzył, jakby ktoś szykował się do odparcia ataku.

– W sprawie państwa syna. Wiem, że minęło dopiero parę dni.

– Czy mają państwo dla nas jakieś nowe informacje? Wiecie, kto to zrobił? Boże, czy wiecie?

– Głos stał się porywczy, jakby mężczyzna chciał natychmiast wydrzeć z komisarza informacje.

– Nie – odpowiedział krótko.

– Więc po co pan przychodzi?

– Chcę z państwem porozmawiać.

– Nasz syn został brutalnie pobity, wrzucony do rzeki, a wy nadal nie ustaliliście, kto to zrobił. Czekamy na wyniki śledztwa.

Pamiętał, że zwrócił wtedy uwagę na słowo „pobity”. Nie zabity, nie zamordowany, lecz pobity. Może nie był w stanie tego wypowiedzieć, jakby było zbyt ostrym słowem, które nie mogło przejść mu przez gardło. Słowa kształtowały rzeczywistość. To właśnie nimi można było nazywać swoje uczucia. Czy użycie innych słów łagodziło rzeczywistość? – zastanawiał się wówczas, ale i teraz nie umiałyby odpowiedzieć na to pytanie.

– Po to tu jestem, może wspólnie uda nam się...

– Jesteśmy w żałobie, proszę nas teraz zostawić w spokoju – przerwał Iwanowiczowi. – Proszę przyjść kiedy indziej, może za parę dni.

Odwrócił wtedy głowę, doskonale to pamiętał, jakby usłyszał cichy szmer, i spojrzął na okna długiej bliźniaczej kamienicy po drugiej stronie. Głosy przypominające śmiech, a może pełne pogardy. Tak, to z tych okien spoglądają na niego, niemo pytając, jak śmie przeszkadzać ludziom w żałobie. Zwłaszcza wtedy. Zwykle wścibskie spojrzenia, po których człowiekowi robi się gorzej i które pozbawiają go pewności siebie. Kurwa, co ja robię? – pomyślał wówczas. Kilka dni temu znaleźli zwłoki chłopca. Jeleniogórska policja zaangażowała w to śledztwo czterech policjantów. Przesłuchiwali rodziców, sąsiadów, kolegów, nauczycieli. Rodzice zeznawali w domu, potem za jakiś czas ponownie na komendzie. Iwanowicz poprosił, choć wiedział, że to musiało być dla nich piekielnie trudne, o jeszcze jedną, trzecią rozmowę. Przyjechał tutaj dwa dni po pogrzebie, gdy ich cierpienie nadal wrzało. I śmiał znów to wszystko zaczynać, rozdrapywać ranę, która nawet nie zaczęła się goić. Ledwie kilka dni temu pochowali swojego syna głęboko w ziemi. Czuł się zdezorientowany, może ciężarem ten dziwnej sytuacji, a może upałem. Nie umiał powiedzieć, ale wydawało mu się, że w trakcie rozmowy z mężczyzną stracił na pewności siebie. Owszem, wiedział, że swoim działaniem rozdrapuje ranę. Tak szybko ból nie mija. Tego bólu nie usunie upływ czasu. Ale choć tak bardzo chciał im pomóc, zrobić swoje, to jednak trudno było wkraczać do ich świata na siłę. A z drugiej strony, pomyślał, kiedy dobrze byłoby z nimi porozmawiać? Zastanawiał się, ale nie umiał udzielić poprawnej odpowiedzi.

– Czy mogę przyjechać jutro? O tej samej porze? – zapytał na tyle spokojnym głosem, by niczym go nie urazić ani nie zdenerwować.

Minęło już tyle dni, a on wciąż pamiętał całą rozmowę.

– Nie. Proszę nas na razie zostawić w spokoju – usłyszał wtedy. – Proszę przyjechać, gdy złapiecie diabła, który zrobił to naszemu synowi. W przeciwnym razie nie chcemy tutaj nikogo widzieć. Wszystko, co mieliśmy do powiedzenia, już powiedzieliśmy. Zeznawaliśmy dwa razy. Czytał pan zeznania? Mam nadzieję, że zapoznał się pan z całą dokumentacją? Proszę odejść.

Co miał powiedzieć? Prawdę czy nie? Czy naprawdę facet nie rozumiał, że praca śledczego to coś więcej niż same dokumenty? To dziesiątki często nieprzewidzianych sytuacji, wydarzeń, zbiegów okoliczności, które nie zawsze da się zaplanować, a które mogą mieć ogromny wpływ na śledztwo. Potrzebował wtedy czegoś jeszcze, czego nie potrafił nazwać, czegoś, czego nie dało się wyczytać z suchych zeznań. Potrzebował namiastki tego, co mógł poczuć w tym domu. Musiał zobaczyć, w jakim środowisku wychował się chłopiec. Chciał wnikać w świat, którego nie poznał z zeznań. Chciał spojrzeć na tę rodzinę i zrozumieć, dlaczego ich syn zginął.

– Tak, czytałem, ale potrzebuję dodatkowych informacji.

Nastąpiło milczenie, które mogło oznaczać wiele – zmęczenie, ignorancję, niechęć. A może coś jeszcze.



– Proszę to uszanować, naprawdę nie mamy nic więcej do dodania. Wszystko, co wiemy, przekazaliśmy policji. Czujemy się jak wypatroszeni. A teraz pozwól pan, że wrócę do żony. Ona cierpi. Oboje cierpimy. I nie mamy już sił na kolejne rozmowy. Czekamy, aż znajdziecie tego, kto zrobił to naszemu synowi. Tylko tyle chcemy. Niczego więcej od was nie oczekujemy.

I wtedy usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki domofonu.

Wiem, że cierpicie, pomyślał. Doskonale wiem, co to cierpienie. Wiem, co czujesz, gdy umiera ci syn. Gdy ginie zupełnie niewinnie. Nie z twojej ani nie z mojej winy.

Bo co wtedy tak naprawdę się czuje? Iwanowicz nie umiał zliczyć, ile razy próbował odpowiedzieć sobie na to pytanie. Przez pierwsze sekundy nie czuje się niczego. A potem jakby zakrzywiła się cała rzeczywistość i przestaje istnieć upływ czasu. Oś przesuwa się nienaturalnie, zakręca, a potem łamie. Zanikają dźwięki, zanikają szczegóły, nikną zapachy. Przystajesz myśleć o sobie, nawet nie wiesz, jak się nazywasz, jakby ktoś stojący nad tobą zaczął wymazywać cię gumką. Ciebie, twoje dane osobowe, twoją przeszłość. Nie interesuje cię to, że klęczysz na środku jezdni. Nawet gdyby padał deszcz, nie czułbyś ani jednej kropli. Śmierć dziecka. Nie wiesz, jak do tego dochodzi. Wiesz tylko, że jesteś o kilka sekund za wcześnie. Nie wiedziałeś, że pozornie niewinnie wyglądające miejsce, zwykłe, kolorowe, stanie się za parę sekund miejscem, w którym zginie najbliższa ci osoba. To kolorowe miejsce w sekundę zamieni się w miejsce niewyobrażalnej tragedii. Zginie twoje ukochane, długo wyczekiwane dziecko. Syn. Ten, którego przytulasz, ten, który pyta, co dzisiaj wieczorem będziecie robili. Ten syn, którego tak kochasz, uśmiecha się do ciebie, mówi, że nie może się doczekać wieczoru. Nagle się odwraca. Po kilku sekundach tracisz go. Odchodzi, choć wciąż masz wrażenie, że to jakiś żart. Stoisz. Nieruchomiejesz. A potem w przebłysku jakiegoś milczącego szału rzucasz się na jego martwe, zakrwawione ciało. Podbiegasz w sekundę, dwie. Dotykasz, obejmujesz, potrząsas, krzyczysz. Ale jest to niemy krzyk. Dopiero później zaczynasz rozumieć i czujesz, jak jego ciało po paru minutach robi się chłodne. Serce przestaje pompować krew, bo cała rozlała się wokół ciebie. Klęczysz w brunatnej kałuży. I co jeszcze? Pamiętasz to milczenie całego świata. Tak, tak to można nazwać. Milczeniem całego świata, znikaniem zmysłów, traceniem wszystkiego, jakby okrutna siła pochłaniała cię całego, wsysała w głąb czegoś, czego nie da się nazwać, w miejsce, w którym pozostajesz sam. Ból. Czy czujesz wtedy ból? Nie. Raczej tracisz świadomość samego siebie, bytu, przestajesz istnieć, bo obumierają twoje zmysły. Sekunda, może dwie albo trzy i zmienia się rzeczywistość. Ta oś czasu, jego upływanie, zagina się, łamiąc i zakrzywiając w półkole. Cały ład świata, który miałeś wpajany przez kilkadziesiąt lat, nagle zostaje zniszczony. Rzeczywistość kruszy się na najdrobniejsze kawałki. Zatrzymuje się czas. Mijają sekundy, minuty, a ty nadal nie wiesz, co się dzieje. Ale potem nadchodzi ta chwila, kiedy musisz się wybudzić z tego osłupienia i stopniowo zaczynasz nazywać wszystko, co się stało. Wracasz. Pierwszy szok zaczyna mijać, zaczynasz dostrzegać, że wokół ciebie zrobiło się zbiegowisko. Ludzie podchodzą, patrzą i nieruchomieją. A ty wraz z nimi. Próbujesz doszukać się w tych spojrzeniach jakiegoś porozumienia, chcesz, żeby ci to wszystko wyjaśnili, ale owo wyjaśnienie znikąd nie przychodzi. Straciłeś syna, który leży pod tobą, taplasz się w jego krwi, ocierasz ręką twarz i szukasz kogoś, kto ci to wszystko wyjaśni. Czekasz z nadzieją, patrząc im w oczy. Czekasz, aż ktoś powie, że to tylko koszmarny żart, że to takie chwilowe zerwanie z rzeczywistością. Patrzysz, wszędzie szukasz odpowiedzi. Kurtka, którą kupiłeś z nim parę miesięcy temu, buty, które tak bardzo chciał mieć, bo są wygodne, ładne, leżą teraz na

asfalcie. Ręka, którą ściscałeś i z radością chwytając przez dziesięć lat, leży sztywna. Ale nim to się stanie, drży przez sekundę, a potem zastyga w bezruchu. Już na zawsze. Oczy, zawsze skierowane w twoim kierunku z miłością, zaufaniem i podziwem, teraz spoglądają w dal, bo nie rozumieją, co się stało. To ich ruch, a potem sztywnienie są oznaką tego, że go straciłeś. Wydaje ci się jednak, że coś słyszysz. Jakby do ciebie mówił.

Dlaczego teraz muszę leżeć na zimnym asfalcie? Dlaczego? Tato, dlaczego umarłem?! Dlaczego pozwoliłeś mi umrzeć, tato, przecież byłem przy tobie bezpieczny. Przecież ani ty, ani ja niczego złego nie zrobiliśmy, tato! Rozmawiałeś przez telefon, wychodziłeś ze sklepu... A ja? Pobiegłem trochę szybciej, ale to przecież była zabawa! Dlaczego pozwoliłeś mi umrzeć? Tatusiu, powiedz mi, że to chwilowe. Że leżę tutaj pod tym ciężkim, zimnym samochodem, ale zaraz wstanę i pójdziemy dalej. No powiedz, że to tylko żart! Błagam cię. Nie chcę tutaj leżeć bez ciebie.

Ten głos, który pozostanie ci na zawsze w głowie, gdy się budzisz, gdy wstajesz, idziesz do pracy albo gdy spoglądasz na zdjęcia sprzed lat. Głos, który pozostanie z tobą do końca życia, wydostający się z dziecka pełnego miłości, stanie się na zawsze nieusuwalnym koszmarem. Wspomnieniem. Martwym, złym, gorzkim. Głosem, który przypomni ci, że pewnego dnia, w pewnej chwili ktoś albo coś zadrwiło sobie z twojego życia.

Iwanowicz zamknął oczy. Nie umiał uciec od tego wspomnienia. Obudził się z zamyślenia. Czuł, jakby miał wielką gulę w gardle. Wziął kilka głębokich wdechów, by odreagować. Nacisnął przycisk domofonu.

Komisarz siedział na wąskiej, skromnej kanapie w niedużym pokoju. Zewsząd otaczały go ciemne meble po brzegi wypełnione wazonami i różnymi ozdobami, które wiele mówiły o charakterze domowników. Żyli skromnie. Na ścianie wyłożonej tapetą imitującą kamienie wisiały nieduże obrazki przedstawiające szczęśliwe chwile trzyosobowej rodziny. Po prawej stronie, tuż przy wejściu do pokoju, stało biurko, obok sterta książek oraz nieco bliżej wąski stół do prasowania. Pokój, jak sądził, pełnił kilka funkcji.

– Nie miałem odwagi wcześniej go włączyć. – Wskazał ręką na leżący tuż przed nimi mały telefon. Był stary i miał powycierane klawisze od częstego używania.

– Rozumiem, to jasne.

– Chcieliśmy się od tego wszystkiego odciąć, nie uczestniczyć w tym, uciec jak najdalej. Nie chciałem brać udziału w tym, co będzie dalej. Rozumie pan? Zresztą chyba pan wie, bo to z panem rozmawiałem wtedy – rzekł wysoki mężczyzna. Miał gładko ogoloną twarz, wysokie zakola oraz cienkie, niemal niewidoczne okulary bez oprawek, które trzymały się na prawie niewidzialnych z tej odległości drucikach. Ubrany był w krótką niebieską koszulkę w kratkę oraz letnie spodenki w wojskowym stylu. Na nogach miał stare i zniszczone kapcie.

Iwanowicz kiwnął głową.

– Zwyczajnie nie mieliśmy z żoną sił po tym, co się stało. To było ponad nasze nerwy. Zresztą nie tyle było, ile jest. To nadal jest ponad nasze siły, jednak dziś dopiero sobie o nim przypomniałem, zupełnie przypadkowo. Tak to jest czasami, człowiek coś robi i nie zastanawia się nad tym.

– Włączył pan telefon – Iwanowicz spojrzał na swój zegarek – prawie trzydzieści minut temu i od tamtej pory go pan nie ruszał?

Mężczyzna kiwnął głową ledwie dostrzegalnie, jakby bał się wyrazistych gestów. Być może były to wyuczone ruchy, może skromność, a może jakaś choroba, zastanawiał się. Nie był w stanie tego ocenić, jednakże wydawało mu się to dziwne, by człowiek był tak powściągliwy w ruchach.

– Czy wykonywał pan w tym czasie jakieś połączenia?

– Nie.

– To bardzo ważne.

– Jak powiedziałem, nic nie ruszałem.

– Ktoś dzwonił, a może przychodziły jakieś wiadomości?

– Tylko pan zadzwonił, to oczywiste. Nikt więcej.

– W porządku. Będę musiał wziąć telefon do sprawdzenia. Nasz informatyk dokładnie zbada jego zawartość.

Kiwnięcie głową. Mężczyzna upił łyk gorącej herbaty. Na zewnątrz paliło słońce, w pomieszczeniu również panował nie mniejszy upał, jednakże nie przeszkadzało to mężczyźnie pić gorącej herbaty z cytryną. Po czole spłynęła mu kropla potu. Zaśmiał się niezręcznie, nie odrywając wzroku od komisarza.

Przypatrywali się sobie nawzajem.

– Przepraszam, strasznie gorąco...

– Teraz muszę powrócić niestety do najmniej przyjemnego tematu.

– Proszę pytać, chciałbym jakoś pomóc.

– Czy pana syn znał Dominikę Łaszkiwicz?

Mężczyzna wzruszył nieznacznie ramionami.

– Trudno powiedzieć. Karolek przede wszystkim zadawał się z kolegami, to z nimi głównie grał całymi dniami w piłkę.

– Ma pan pewność? Sprawdzał go pan?

– Raczej nie miałem potrzeby aż tak w to wnikać. Piłka nożna była jego całym światem. Całymi dniami potrafił oglądać mecze, powtórki, rzuty karne. Grał w te popularne gry, jak FIFA, FIFA Manager. Kojarzy pan?

Komisarz kiwnął głową.

– Nie znam za dobrze, ale wiem, że są to symulatory gry w piłkę. Zresztą nazwa mówi sama za siebie.

– Karol spędzał przy nich sporo czasu. Dla niego były wszystkim. Ale jeśli nie padał deszcz i nie było za późno, przesiadywał z kolegami na boisku. Naprawdę dużo czasu w ten sposób spędzał. Miał swoich ulubionych piłkarzy. Zbierał różne plakaty, kartki, znał na pamięć wszystkie lepsze europejskie kluby piłkarskie. Widać, że dzieciak był zapalonym sportowcem. Być może... – Zawiesił na moment głos, bo zaczynał mu się łamać. Wypił kilka łyków herbaty.

– Być może kiedyś zostałby piłkarzem.

Iwanowicz myślał nad tym, co sam chciał powiedzieć i jakie zadać pytanie. Wiedział, że w takich niezręcznych i bolesnych chwilach musi być ostrożny. Każde złe lub niewłaściwe słowo mogło rozmówcę zirytować lub zadać mu zbyt wielki ból. Starał się więc zachować ostrożność.

– Na pewno byłby świetnym piłkarzem – powiedział cicho.

– Tak, na pewno

– Dominika Łaszkiwicz, Patrycja Linkiewicz. Dwie dziewczyny. Jedna z nich zniknęła, druga została zamordowana. Okoliczności wskazują, że... Sam pan rozumie... Zginęła podobnie jak Karolek. Mamy więc pewne podejrzenia, że te trzy osoby, wliczając w to pańskiego syna, coś łączyło. I to, co teraz powiem, niech pan na razie potraktuje hipotetycznie i nie bierze zbyt mocno do siebie. Dobrze?

Rozmówca zacisnął pięści i przytaknął.

– Ta trójka miała coś ze sobą wspólnego. Dominika, Patrycja, Karol. Pytanie tylko co.

Mężczyzna świdrował go wzrokiem, aż komisarz spojrział na zegarek. Facet miał hipnotyczne spojrzenie jak u szaleńca, ale zapewne nim nie był. Po chwili spojrzenie straciło na intensywności, jakby wybudził się z krótkiego transu.

– Nie wiem – rzekł. – Nie znam ich. Raczej tylko opowiadał o kolegach z klasy, ale nie przypominam sobie, by cokolwiek mówił o jakichś dziewczynach. Był za młody, by się interesować dziewczętami. To jeszcze nie ten wiek. Może za dwa, trzy lata zacząłby...

– One były nieco starsze, miały po czternaście lat.

– Ile?

– Czternaście.

Pokręcił głową.

– Dziwne. Skąd miałby znać starsze od siebie dziewczęta? Z podwórka? Hm, nie sędzę, więc skąd? Nie, nie wydaje mi się, by te osoby miały cokolwiek ze sobą wspólnego. Jest pan pewien?

– Tak, Dominika miała wpisany numer Karola w telefonie.

– Hm, sekundę... Wiem, że kiedyś Karolek wspominał o jakiejś dziewczynie, nie wiem jednak, czy była to jego koleżanka. Coś mówił, ale to było kilka miesięcy temu...

– Pamięta pan co?

– Wspominał coś o jakiejś dziewczynie. Tak... Chyba o nią mu chodziło, ale ręki sobie nie dam uciąć – mówił, mrużąc oczy jak osoba, która odtwarza w pamięci odległe czasy. – Po prostu to jedyne skojarzenie, jakie mnie naszło. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. O nikim innym raczej nam nie mówił. Chodził do szkoły podstawowej, miał kilka koleżanek w klasie, ale to nie są te imiona, które pan wymienił, a z innymi raczej się nie przyjaźnił, bo coś niecoś byśmy o tym z żoną wiedzieli. Karol raczej nie był skrytym chłopcem. Był otwarty, trochę taki gaduła. W klasie śmieli się z niego, że jest nadmiernie ruchliwy. Jak to się mówi... Nadpobudliwy?

Komisarz się zamyślił. Rozrastała się coraz większa pajęczyna powiązań. Coraz więcej osób było zamieszanych w tę sprawę.

– Skąd ją znał?

– Z zajęć dodatkowych.

– O jakich zajęciach pan mówi? – zapytał, gdy wyrwał się z zamyślenia.

– Karol chodził do szkoły podstawowej na ulicy Morcinka, trochę daleko, ale żona pracuje tam w pobliżu, więc go zawoziła.

– A te zajęcia?

– No właśnie, dodatkowo chodził też na różne zajęcia pozalekcyjne. Takie, jakich nie było w jego podstawówce. Zapisaliśmy go na dodatkową piłkę nożną, tam na Morcinka. No i chodził jeszcze na angielski do którejś ze szkół. Żona go zapisywała, powinna pamiętać, wyleciało mi teraz z głowy... To było gdzieś w centrum...

– Gimnazjum przy ulicy Piłsudskiego?

– Hm... – Wzruszył ramionami i zrobił nieznaczny gest oznaczający, że to możliwe. – Proszę wybaczyć, w Jeleniej Górze mieszkamy od dwóch lat, nie znam dokładnie miasta, rzadko też bywam w centrum. Pracuję na kolei, więcej częściej jestem w terenie. Na zakupy jeździmy do marketu. Żona jest bardziej obeznana. Pamiętam tylko, że Karol chodził na nie dwa razy w tygodniu.

– Rozumiem, że były to zajęcia dla dzieci w różnym wieku?

– Tak, wiem tylko, że mieli grupy łączone, z tego, co mi mówiono, w nauce języka nie ma znaczenia wiek, lecz poziom doświadczenia. Dlatego do jednej grupy, na przykład początkującej lub średnio zaawansowanej, może chodzić dziesięciolatek i piętnastolatek. Nic nie stoi na przeszkodzie, by się razem uczyli.

Iwanowicz miał ochotę wstać i zapalić papierosa, ale nie mógł tego zrobić. Wiedział, że w tym mieszkaniu nikt nie palił, bo czułby to. Musiał więc się jeszcze przez chwilę opanować, ale nie było mu łatwo. Czuł, jak zaczęły mu delikatnie drżeć ręce. Próbował je powstrzymać i schował do kieszeni.

– Chodził na nie dwa razy w tygodniu... – powtórzył, by pociągnąć go za język.

– Tak.

– Miał jakieś podręczniki, zeszyty?

– Owszem, zeszyt. Podręczniki mieli na miejscu, mógł z nich korzystać.

– Czy wie pan coś więcej o tej grupie, do której uczęszczał Karol?

– Niewiele, naprawdę – rzekł i zaczął pocierać twarz, jakby sprawdzał, czy powinien się ogolić.

– Mówił coś, opowiadał? Coś śmiesznego, zabawnego? Skoro był gadułą...

– Raczej nic takiego nie kojarzę. A poza tym kiedy Karolek wracał do domu z zajęć, nie zawsze bywałem w domu. Często widywaliśmy się wieczorem i rozmawialiśmy podczas kolacji. Owszem, czasami opowiadał i mówił nam, jakich się nauczył nowych słów albo jaki mieli temat zajęć. Miał problem z rozpoznawaniem czasów w języku angielskim, trochę mu się myliły, bo są inne niż w polskim. Opowiadał nam o tym, tłumaczył... To przede wszystkim o takich rzeczach rozmawialiśmy. Ale jakoś nigdy nie wspomniał, by działo się coś zabawnego, śmiesznego. Teraz tak skojarzyłem, że kiedyś opowiedział nam dowcip po angielsku, ale nie rozumieliśmy, bo ja w szkole miałem język rosyjski... Cóż... – rzekł po chwili namysłu, widząc, że policjant nie był zadowolony z tego, co opowiadał. – Przykro mi, że nie jestem w stanie powiedzieć więcej. Po prostu, gdy Karolek wracał z zajęć, był już zmęczony. Coś opowiadał, ale nie zawsze były to rzeczy, które jestem w stanie zapamiętać. No, ale tak to jest, że o pewnych zwyczajnych rzeczach nie zawsze się mówi, prawda? Może i on nie odczuwał potrzeby dzielenia się tym, co działo się na dodatkowych lekcjach.

– Właśnie dlatego próbuję dowiedzieć się jak najwięcej. Może coś sobie pan przypomni. To ważne, nawet nie wie pan jak bardzo.

Iwanowicz się zamyślił. Godzinę temu ułożył z Gawłowskim wstępny plan na nadchodzące dni, ale teraz wszystko zaczynało się komplikować, bo odsłaniały się kulisy poważnej zbrodni. Linkiewicz mógł być zamieszany w zniknięcie córki i śmierć Dominiki Łaszkiwicz. Ale teraz pojawiła im się zupełnie niespodziewanie kolejna nierozwiązana do tej pory sprawa. Ta dotycząca Karola. O co tu chodziło, jakie między nimi powstało powiązanie?

– Nie wiem, czy to będzie pomocne, ale... – Mężczyzna wstał i zniknął na moment w drugim pokoju. W tym czasie komisarz jeszcze raz rozejrzał się po skromnym i zagraconym pokoju.

– Proszę, oto zdjęcie wykonane prawie trzy miesiące temu. – Iwanowicz wziął od niego zdjęcie, ale wciąż oczekiwał wyjaśnienia. – Byli wtedy na jakiejś wycieczce, jeśli dobrze pamiętam, gdzieś nad jeziorem. Mówił mi nazwę, ale nie wiem, czy sobie przypomnę... W każdym razie pojechali wtedy całą grupą z tych zajęć w ramach szkolenia językowego. Mieli za zadanie napisać potem sprawozdanie z wycieczki. Oczywiście nie po polsku. Ich lektor starał się cały czas mówić do nich po angielsku. I w ramach zajęć co kilka miesięcy wychodzili w miasto i mieli różne zadania. A potem pisali z tego prace. Wie pan, takie uczenie praktyczne, a nie tylko czcze gadanie i uzupełnianie słówek w ćwiczeniach. Dlatego żona wybrała te zajęcia. Cóż, proszę, może się przyda.

Komisarz przyjrzał się fotografii. Cała grupa uczestników wyprawy stała na tle podniszczonych domków letniskowych. Iwanowicz znał skądś to miejsce. Kojarzył zalew, możliwe, że było to Jezioro Leśniańskie, nieopodal zamku Czocho. Nie miał pewności, ale takie odniósł wrażenie.

Na zdjęciu było ośmioro uczestników. Od razu poznał trzy twarze. Poczul szybsze bicie serca i zalała go fala gorąca.

Pierwszego poznał Karola. Potem dostrzegł Dominikę oraz Patrycję. Chłopiec był od nich niższy co najmniej dziesięć centymetrów. Wszyscy troje stali niedaleko siebie, uśmiechając się do obiektywu. Obok nich stało sześć innych osób, ale żadnej z nich Iwanowicz nie kojarzył. Dwie dziewczynki w podobnym wieku jak Patrycja i czterech chłopców. Najstarszy z nich mógł mieć czternaście, może piętnaście lat. Wszyscy zebrani byli tak radośni, jakby ktoś przed momentem opowiedział im jakiś żart. Tuż obok, uchwycony tylko profilem, stał niski mężczyzna w okularach w grubych oprawkach. On również się uśmiechał. Miał może około trzydziestu, trzydziestu dwóch lat.

– To cała grupa?

– Raczej tak, one zawsze są małe. Kiedyś słyszałem, że im mniejsze, tym lepiej się uczy. A poza tym, wie pan, nie każdy chodzi na dodatkowy angielski, skoro jest to przedmiot obowiązkowy w szkole.

– Tak, to zrozumiałe – opowiedział cicho, nie odrywając wzroku od fotografii. – Czy będę mógł pożyczyć to zdjęcie? Tylko na jakiś czas. Wykonam kopię i oddam je panu.

– Naturalnie.

Komisarz skierował się do drzwi. Chciał jeszcze o coś zapytać, coś powiedzieć, ale za bardzo czuł się zdezorientowany. Nawarstwiała się coraz więcej szczegółów.

Widok dwóch młodych osób z tego zdjęcia, które już nie żyły, wpędził go w zadumę. Potem kątem oka spojrzał na swojego rozmówcę, który stracił ukochanego syna. Ogromnie mu współczuł, obiecał sobie przecież, że znajdzie zabójcę ich dziecka, ukochanego Karola, który podobnie jak Dominika zginął śmiercią tragiczną. Skończył niemal tak samo jak ona, bestialsko pobity, a potem wrzucony do rzeki. Wszystko koncentrowało się coraz bardziej wokół szkoły, do której chodziły dziewczynki. Wokół miejsca, w którym być może wszystko się zaczęło.



Przez ostatnie godziny Iwanowicz oglądał telefon Karola. Dodatkowo odtwarzał w pamięci ostatnie tygodnie, kiedy to na początku sierpnia zajęty był brutalnymi morderstwami w Kowarach i brakowało mu czasu, by zajmować się obiema sprawami naraz, jednakże gdy tylko skończył tamto śledztwo, obiecał sobie, że zajmie się sprawą chłopca. Ale nie dało się, musiał odłożyć wszystko na później, bo sprawy do ich wydziału kryminalnego spływały bez ustanku, jedna po drugiej, a im brakowało czasu i rąk do pracy. Potem pojawiła się sprawa Patrycji, a on sam zapomniał o całej reszcie. Do tej pory nic nie wskazywało na to, że sprawa wyłowionego z rzeki Karola łączy się ze zniknięciem dziewczyny. Różnica wieku, inne szkoły i inne środowiska wystarczyły, by komisarz nie powiązał ich ze sobą.

Zaklął głośno, bo ciągle się mylił i przyciskał kilka klawiszy jednocześnie. Karol miał taki sam telefon jak Dominika. Komisarz przysunął je do siebie i porównał. Wyglądały identycznie. Nie wiedział, czy to zbieg okoliczności, czy może otrzymał go od Dominiki lub Patrycji? Odtworzył sobie w pamięci ostatnią rozmowę, jaką przeprowadził godzinę temu, gdy wracał od rodziców Karola. Zajechał wtedy do domu Patrycji, by porozmawiać z jej matką. Ze słów kobiety nie wynikało nic konkretnego. Nie miała pojęcia, czy córka знаła Karola. Wspominała tylko, że raz czy dwa dziewczyna uczestniczyła w wycieczkach terenowych organizowanych w ramach zajęć z języka angielskiego. Potwierdziła też, zobaczywszy zdjęcie, które jej pokazał, że Dominika też uczęszczała na zajęcia. Ale, jak już zeznała jakiś czas temu, dziewczęta raczej nie utrzymywały ze sobą żadnych kontaktów.

Iwanowicz już teraz wiedział, że matka się myliła, ale nie chciał jeszcze niczego mówić. Na obalenie jej teorii wystarczył fakt wspólnego kupowania telefonów. Zapewne takich sytuacji było więcej, ale żadnym innym potwierdzeniem nie dysponował. Powiedziała mu również, że nie znała Karola. Przyglądała się przez dłuższy czas zdjęciu, ale nie umiała nic powiedzieć o chłopcu czy w ogóle o uczestnikach zajęć. Komisarz opisał chłopca, jego zainteresowania, wspominał o piłce nożnej, o tym, do jakiej chodził szkoły, ale nic to nie dało.

Iwanowicz spojrzął na białą tablicę stojącą tuż przed nim. Poprawił graficzne odbicie tego, co od wielu dni nosił w głowie. Wyglądało to jak skomplikowany wzór chemiczny z dziesiątkami połączeń i malutkich notatek obok każdej osoby. Dopisał do tej siatki Karola. Potem połączył jego osobę z Marcinem Linkiewiczem i postawił obok znak zapytania. Skoro Linkiewicz miał wpływ na zniknięcie córki, to i Karol miał z tą sprawą jakiś związek. Ojciec Patrycji był do niedawna dobrym podejrzanym, ale w gruncie rzeczy nic na niego nie miał. Dosłownie nic. Przyznał przed samym sobą, że nie jest w stanie go wsadzić za kratki nawet za złe parkowanie, a co dopiero za dwa morderstwa. Wciąż czekał na wiadomości od Gawłowskiego w jego sprawie. Potem dopisał również dane woźnego szkoły – Mariana Kaliskiego. Drugiego podejrzanego, który został wpisany na listę tylko po to, by miał o kim myśleć, i dlatego, że przemykał mu przed oczami kilka razy i za każdym razem sprawiał złe wrażenie.



W biurze było już nieco chłodniej, dało się swobodnie oddychać. W oddali słyszał tylko odbijające się echem głosy policjantów, którzy przechodzili długim korytarzem. Słyszał również telefony, dźwięki faksów, trzaskających drzwi, rozmów, co jakiś czas ktoś kogoś wołał.

Miał szczęście, że dzielił biuro tylko z Gawłowskim i zawsze, gdy tylko mógł, zamykał drzwi, by nie prowokować niepotrzebnych spotkań, które mogły go rozproszyć. Starał się nie koncentrować na tym, co działo się za drzwiami. Zajmował się wyłącznie swoimi zadaniami, nie wchodził do innych pokoi, by porozmawiać z kolegami czy koleżankami. Był zawsze mocno skoncentrowany na własnych obowiązkach. Zamykał się, a gdy tylko nie musiał tu siedzieć, uciekał w teren.

Skupił wzrok na tablicy. Dominika – Patrycja – Karol Brzeski. Jedenastolatek, który chodził do innej szkoły w innej części miasta. Jednakże łączyło ich jedno – wspólne zajęcia z języka angielskiego, które odbywały się dwa razy w tygodniu w jednym z jeleniogórskich gimnazjów. I coś jeszcze. Coś, co spowodowało śmierć dwojga z nich. Do tej pory Patrycja nie dawała żadnego znaku, więc mogła być trzecią ofiarą. Wszyscy czekali na sygnał od niej, cokolwiek, co pomoże w ustaleniu miejsca jej pobytu. Czekali, że zgłosi się wiarygodny świadek, który ją widział, i przekaże wskazówkę, która pomoże im ją odnaleźć. Telefony milczały jak zakłète, a potencjalni świadkowie się nie zgłaszali. Nie umiał odczarować tego stanu. Nikt nie umiał.

Trzy osoby związane jakąś tajemnicą, której starali się dotrzymać, lecz dwojgu z nich się nie udało. Co takiego się stało? Znow zatrzymał wzrok na ojcu Patrycji.

Marcin Linkiewicz. Chłodny, zdystansowany, nieczuły. Mało tego, sprawiał wrażenie wyzutego z emocji i takiego, który nie interesuje się losami córki – choć była to tylko opinia komisarza, a sam Linkiewicz przecież mówił, że jeździł i szukał córki w różnych częściach miasta. Wyglądał również na poważnie przejętego, gdy o niej rozmawiali. Pytanie, czy miałyby odpowiedni motyw. Czy ukrywałby to aż tak dobrze? W cóż takiego zamieszane było jego dziecko, a także Dominika oraz Karol, że miałyby zabić ich z zimną krwią? W jaki sposób zawinili?

Walczył ze swoimi myślami niczym Syzyf wtaczający głaz. On też, gdy tylko miał jakąś teorię, doznawał bolesnego rozczarowania i ponosił klęskę, bo za każdym razem okazywało się, że nie ma żadnego sposobu potwierdzenia jego teorii, i w efekcie spadał na sam dół. Tak się właśnie czuł. Wprawdzie Linkiewicz początkowo wykazywał silny dystans do tego, co się stało, to jednak nie dostrzegał w nim tego, co charakteryzowało typowego mordercę – niemal całkowitego braku przywiązania do drugiego człowieka, tej nitki łączącej go ze światem rzeczywistym, z problemami, otoczeniem, domem, troskami. U okrutnych morderców zanikała zdolność okazywania uczuć – przynajmniej tych uniwersalnych, jakie wszyscy rozumieją – a udawanie ich wypadało nad wyraz sztucznie. To był problem, z którym Iwanowicz nie umiał sobie poradzić. Linkiewicz mimo pewnego chłodu nie wyglądał na okrutnego mordercę. Nie był nim również ojciec Mai, którego poznał kilka dni temu przy okazji przesłuchania jego córki. Wydawał się zwykłym przedsiębiorcą, który – wedle różnych opinii – dbał o swój interes. Sprawdzili każdego, ale żaden z nich nie miał kryminalnej przeszłości, a już samo to podpowiadało mu, by zachował sceptycyzm wobec swoich założeń.

Komisarz poczuł wibrację telefonu, więc odebrał.

– Marek, jestem z chłopakami nad rzeką. Ciągle nic. Marnujemy czas. Przeszukali oba brzegi rzeki na odcinku dwóch kilometrów, ale ani śladu.

– Dobra... Rób, jak uważasz. Jeśli nie ma nic pilniejszego do roboty, niech szukają dalej. – Spojrzał na zegarek. – Szukanie przy brzegach było jednym z elementów do zweryfikowania, choć od początku miałem przecucie, że to nic nie da.

– Marnujemy czas.

– Znaleźliście coś w archiwum na tego woźnego?

– Odesłałem dwóch ludzi. Do wieczoru mam mieć wieści.

– Okej.

Przez moment zastanawiał się, co robić.

– Dobra, mam pomysł, spotkamy się za dziesięć minut na Piłsudskiego pod gimnazjum.

– Mogę być najwcześniej za piętnaście.

– Więc się nie spóźnij.

Trzasnął drzwiami swojego gabinetu, aż huknęło.

Wyjechał z komendy dokładnie o piętnastej czterdzieści pięć, by jeszcze zdążyć przed zamknięciem szkoły. Dojechał po paru minutach, ale musiał poczekać na Gawłowskiego, który się spóźniał. Znów spojrzał na zdjęcie. Starał się zapamiętać każdą twarz i każdy szczegół, bo nigdy nie wiedział, czy nie będzie mu to do czegoś przydatne. Jego praca bywała nieprzewidywalna. Czasami przydawały się takie umiejętności jak zapamiętywanie faktów, osób, twarzy, rozpoznawania ubrań, łączenie na pozór zupełnie niepowiązanych ze sobą elementów.

Gawłowski zajechał niemal z piskiem opon, zatrzymując swoją prywatną alfę romeo dziesięć centymetrów od auta komisarza.

– Spóźniłeś się – powiedział spokojnie Iwanowicz, gdy kolega wysiadł.

– Przez pierdolone korki, a bez koguta jestem szarym człowiekiem i nie mogę się z tym niestety pogodzić. Przyjechaliśmy tu wybadać tego woźnego? Pokaż mi go, to ocenię. Albo do razu go zapytam, czy to on.

Weszli do budynku i ruszyli do sekretariatu. Przy samych drzwiach przywitała ich chłodnym spojrzeniem sekretarka. Wlepiała wzrok w zegarek. Była piętnasta pięćdziesiąt i już zaczęła się szykować do wyjścia. Wkładała górę od szarej garsonki.

– W czym mogę pomóc?

– Dyrektor u siebie? – Wskazał kciukiem na drzwi znajdujące się po lewej stronie.

– Jeszcze przez chwilę tak.

– Musimy z nim porozmawiać.

Policjanci weszli do gabinetu bez pukania. Mężczyzna siedział wyprostowany i spinał zszywaczem dokumenty. Odłożył je na idealnie równy stosik i spojrzał wymownie na policjantów.

– Dzień dobry, rozumiem, że coś pilnego?

Iwanowicz rzucił dyrektorowi zdjęcie na biurko.

– To grupa języka angielskiego, zgadza się?

Dyrektor założył okulary, przyjrzał się fotografii i pokiwał głową.

– Dwie z tych osób nie żyją, zostały zamordowane. Czyli pilne.

– Jak to? – zapytał z wyraźnym zdziwieniem. Jego wyraz twarzy nagle się zmienił.

– Ten chłopiec obok Dominiki i Patrycji to Karol Brzeski. Parę tygodni temu został znaleziony w Bobrze, tu w Jeleniej. Chodził do szkoły podstawowej na Morcinka, ale uczęszczał na dodatkowy angielski w tej szkole. Znał go pan?

– Hm... Nie kojarzę. Ale nie ma co się dziwić. W naszej szkole jest dużo zajęć dodatkowych. Pianino, śpiewy, kurs tańca, języki obce. Wszystkie zajęcia odbywają się po lekcjach, wynajmujemy sale lekcyjne i w ten sposób szkoła zdobywa dodatkowe pieniądze na bieżące zakupy i opłaty. To, co dostajemy od miasta, nie zawsze jest w stanie pokryć wszystkie nasze wydatki. Coś kosztem czegoś. By szkoła mogła się utrzymać i w miarę prosperować, musimy...

– Nie przyszłoby rozmawiać o budżecie szkoły – przerwał mu Iwanowicz. – Chcemy wiedzieć, kto uczęszczał na te zajęcia. Wszystkie nazwiska.

– Ale my nie mamy takich informacji.

Wyciągnął z szuflady paczkę papierosów i zapalił jednego. Uchylił okno w gabinecie. Z tego miejsca miał widok na boisko i fragment bramy wjazdowej.

– Przykro mi, ale nie pomogę panom.

– Kto ma te dane?

– Jako szkoła tylko wynajmujemy sale, płacą nam za każdą godzinę. Wszystkim zajmują się prowadzący zajęcia. Nie mamy obowiązku prowadzić takich rejestrów, bo jak pan widzi, część z nich to nie są nasi uczniowie. To ci nauczyciele mają obowiązek ewidencjonować uczestników zajęć, nie my.

– Czyli rozumiem, że nie są to pracownicy tej szkoły, tylko osoby z zewnątrz?

– Tak i w tej sprawie proszę skontaktować się z nauczycielem zajęć z języka angielskiego.

– Jak się nazywa?

– Proszę chwileczkę poczekać. Zaraz się dowiem.

Wstał i wyszedł z gabinetu, zostawiając ich samych.

Iwanowicz spojrział na zegarek, potem na zdjęcie. Czekając, oglądali sobie nieduży gabinet o ścianach pomalowanych na biało. Nad fotelem dyrektora wisiało godło Polski. Na środku pomieszczenia stało nieduże brzozone biurko, na nim komputer. Po prawej stronie znajdowała się szafa na dokumenty.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi w pomieszczeniu obok. Dyrektor przeszedł przez sekretariat i wrócił do gabinetu.

– Proszę, oto dane prowadzącego zajęcia. Tylko od niego możecie uzyskać informacje o uczestnikach zajęć.

Iwanowicz spojrział na kartkę. Damian Lenartowicz, numer telefonu, adres. Nazwisko nic mu nie mówiło.

– Niech pan jeszcze raz spojrzy na zdjęcie. Ile osób spośród wszystkich uczestników to pańscy uczniowie?

Mężczyzna wziął zdjęcie do ręki. Przyglądał się sylwetkom, co chwila poprawiając okulary.

– Dominika, Patrycja... Ech, to straszne, co się stało.

– A reszta?

– Jeszcze te dwie dziewczyny. Ta i ta. – Przechylił się przez biurko w stronę komisarza. – Proszę spojrzeć. To jest Weronika Więdocha, a to... Zaraz, muszę sobie przypomnieć. Jeśli mnie pamięć nie myli, to Marysia Dębska. Obie są w samorządzie uczniowskim. I obie chodzą...

Komisarz przełknął ślinę. Poczul uderzenie fali gorąca, która nagle rozpalila mu ciało. Poczul ukłucie w klatce piersiowej. Zrobilo mu się słabo. Zamknął oczy. Wziął kilka głębokich oddechów, przysiadł i skoncentrował uwagę na swoim organizmie, który na moment odmówił posłuszeństwa. Nie mógł się teraz poddać i doznać kolejnego omdlenia. Upały, duszność. Organizm już wysiadał. Miał dość. Ale musiał walczyć, bo od tego zależało życie innych osób. Nie umiał przyjąć do wiadomości faktu, jaki przygotowała mu cholerna rzeczywistość. Bał się, że usłyszy za sekundę to, czego nie chciał usłyszeć.

– Czy one... Czy one chodziły do klasy z Patrycją i Dominiką? Proszę mi powiedzieć, czy są to uczennice tej samej klasy?

Dyrektor dopalił papierosa i zgasił go w białej, przepelnionej popielniczce.

– Tak, są z tej samej klasy.



Iwanowicz stał od pięciu minut pod szarą kamienicą, która znajdowała się na Osiedlu Robotniczym przy ulicy Rodzinnej. Przyciskał nerwowo guzik domofonu, ale nikt nie otwierał.

Rozejrzał się po podwórzu. Wokół niego wznosiło się kilka trzypiętrowych budynków ze spadzistymi dachami. Były dość charakterystyczne i każdy jeleniogórzanin kojarzył to miejsce, ponieważ znajdowało się około kilometra od ścisłego centrum, w zacisznym miejscu, do którego nie docierały męczące dźwięki ruchliwego miasta. Nie słychać było klaksonów, pisku hamulców na skrzyżowaniach i awantur kierowców. Było tu stosunkowo cicho i gdyby nie fakt, że budynki były zaniedbane, mógłby nazwać to miejsce przyjemnym. Może i mógłby tu mieszkać. Prosta, solidna ponemiecka architektura, którą lubił. Jelenia Góra była miastem różnorodności, niczym koszyk, w którym znajdowało się wszystko to, co dało się do niego wrzucić: nowoczesność, tradycja, popadające w ruinę stare kamienice, nowe osiedla.

Obrócił się wokół własnej osi. Na podwórzu był sam. Przyciskał nerwowo guzik domofonu, ale wszystko wskazywało, że nikogo nie było w mieszkaniu. Nagle otworzyły się drzwi do klatki schodowej i wyszedł z nich potężnie zbudowany starszy mężczyzna w zielonkawej koszulce.

– Dzień dobry, może pan wie... szukam lokatora spod dwadzieścia siedem.

– A co, kolega?

– Nie. – Iwanowicz machnął ręką. – Po prostu muszę się skontaktować z panem Damianem. Mam sprawę.

– Mieszkam pod dwadzieścia sześć, czyli prawie drzwi w drzwi.

– Widział go pan ostatnio?

Mężczyzna skrzywił się – albo od pytania, albo od słońca.

– Nie widziałem go od jakiegoś czasu.

– Wyjechał?

– Nie wiem, nie rozmawialiśmy. Możliwe. Skoro go nie widać, to może i wyjechał. Jest, jak pan wie, nauczycielem. Ma wakacje, to pewnie pojechał. Kto ma kasę, ten nie siedzi tu, bo ugotować się można w tych mieszkaniach. Gorąco tak, że do samego piekła bym poszedł się ochłodzić, panie.

Mężczyzna wytarł koszulką czoło, odsłaniając ogromny, zarośnięty brzuch.

– Pan wybaczy, ale muszę iść do sklepu, bo baba mi głowę zawraca.

– Gdyby go pan zobaczył... – Nie mógł powiedzieć, by skontaktował się policją, ani też dać mu swojej wizytówki. Wyrwał kartkę z małego notesu, który zwykle miał przy sobie i zanotował tylko numer telefonu. Nie chciał pisać niczego więcej.

– Proszę koniecznie zadzwonić, muszę z nim pilnie pogadać.

Mężczyzna, nie patrząc na kartkę, schował ją do kieszeni i podreptał między budynkami.

Iwanowicz stał jeszcze przez pięć minut, próbując szczęścia, ale bez rezultatu. Tylko dziki upór kazał mu dzwonić, choć i tak wiedział, że Lenartowicza nie było w domu.

Poszedł do samochodu. Wsiadł, ale nie uruchamiał silnika. Wybrał numer, którego wciąż nie zapisał jeszcze w książce adresowej, choć go kusiło.

– Marek Iwanowicz – przedstawił się, gdy usłyszał dźwięk odebranego połączenia.

– Dzień dobry, czy coś się stało?

– I tak, i nie. Ale wolałbym się spotkać, niż rozmawiać przez telefon.

– Teraz?

Spojrzał na zegarek, dochodziła osiemnasta, nie było jeszcze na tyle późno, by mógł komuś przeszkadzać o tej porze.

– Tak, to ważne.

– Będę wolna najwcześniej za pół godziny.

– Gdzie?

– Możemy się spotkać u mnie.

– Zatem za pół godziny będę pod pani blokiem. Punktualnie. – Zakończył rozmowę i odetchnął. Kilkunastosekundowa rozmowa zdążyła go poruszyć i zestresować. Aż bał się przyznać przed samym sobą, z jakiego powodu tak się poczuł. Spojrzał na swoje odbicie w lusterku. Dopiero teraz dostrzegł, że jego twarz się zmieniła i lekko zarumieniła. Skarcił się w myślach. Bębnił palcami po dźwigni skrzyni biegów, zastanawiając się, co robić. Wysiadł z auta i podszedł jeszcze raz pod drzwi klatki schodowej. Wcisnął numer 25 i czekał. Nic. Wcisnął 24 i czekał. Obrócił głowę, by przyjrzeć się temu miejscu. Usłyszał urwany dźwięk, ktoś podniósł domofon.

– Halo? – usłyszał cichy głos starszej osoby.

– Dzień dobry, ja do mieszkania dwadzieścia dwa. Pizzę mam, ale chyba nie słyszą domofonu. Stoję i stoję, nie mogę tyle czekać, bo muszę jechać dalej. Zostawię im pod drzwiami Oplacona jest.

– A włącz pan. Cholery jedne... – rzekła cicho.

Otworzyły się drzwi i wszedł do środka.

Wspiął się na trzecie, ostatnie piętro i stanął pod starymi drzwiami mieszkania dwadzieścia siedem. Zadzwoił. Odczekał chwilę i szarpnął klamkę. Nikogo nie było. Nasłuchiwał przez minutę, rozglądając się po korytarzu. Wyżej już nie było żadnych mieszkań.

Wizyta w kamienicy nic mu nie dała. Wrócił do samochodu. Uruchomił silnik i wyjechał powoli na drogę wyjazdową, która łączyła już z główną ulicą. Przed samym odjazdem przyhamował i spojrzał za siebie. Policzył okna w kamienicy. Mieszkanie Damiana Lenartowicza musiało znajdować się na końcu, po prawej stronie budynku. Nie wiedział, jak duże były tu mieszkania, ale ostatnie dwa lub trzy okna należały do niego. Przyglądał się im uważnie przez chwilę, ale niczego nie dostrzegł. Właściciela nie było w domu.

– Rozmawiałem jakiś czas temu z dyrektorem szkoły, pokazałem mu to zdjęcie. Rozpoznał spośród wszystkich osób jeszcze dwie. Pani dwie uczennice.

Kobieta wzięła do ręki zdjęcie i podeszła do okna. Chociaż w mieszkaniu było jasno, wołała się upewnić, a może po prostu uważała, że lepiej się czemuś przyglądać przy naturalnym świetle. Komisarz siedział na jasnym fotelu w dwupokojowym mieszkaniu Małgorzaty Winiarskiej na Zabobrze. Nie mógł oderwać od niej oczu. Ubrana była w białą spódniczkę do kolan oraz niebieską bluzkę z krótkim rękawkiem. Wyglądała tak samo atrakcyjnie jak podczas ich

ostatniego spotkania. Nie mógł jednak w tej chwili koncentrować się na niej i nie chciał również, by dostrzegła jego spojrzenia, dlatego wodził wzrokiem po meblach, po tytułach książek, ale co chwila spoglądał na nią. To było silniejsze od niego. Pokój był urządzony skromnie, ale było w nim przyjemnie. Chyba pasuje do niego słowo „przytulny”, doszedł do wniosku. Dziesiątki razy słyszał to określenie z ust osób, które tak opisywały czyjeś domy i mieszkania – jako przytulne. Było więc to miejsce, w którym przebywanie sprawiało człowiekowi przyjemność. Jasne meble, wąski regał z książkami, tuż obok wysoka pod sam sufit półka z płytami CD, w kącie nieduży telewizor i kino domowe. Na wprost telewizora dwuosobowa kanapa. I było to jeszcze coś, czego nie czuł już od bardzo dawna – coś indywidualnego, jakaś niewidzialna cząsteczka, zapach, którego nie dało się zastąpić niczym innym. Ta świeżość, której ani odrobiny nie miał w sobie żaden mężczyzna. Bez skutku szukał wzrokiem jej zdjęć, zdjęć wspólnych – z partnerem, mężem, ale nie znalazł ani jednego.

– Tak, Weronika i Maria. – Jej głos wyrwał go z zamyślenia.

Podeszła do komisarza i oddała mu zdjęcia. Musnęła go delikatnie dłonią.

– To one. – Usiadła naprzeciwko niego i uśmiechnęła się. Za tym uśmiechem kryła się bezsilność, ale i troska. – Co mogę zrobić?

– Chyba wie pani, po co przyjechałem?

– Domyślam się, że... – Wzięła w dłoń włosy i związała je w kucyk. – Że ta sprawa jakoś się łączy. Że oni wszyscy...

Policjant wyczuł, że nie wiedziała, co powiedzieć lub w jaki sposób zakończyć myśl.

– Im również grozi niebezpieczeństwo. Nie wiem jeszcze jakie, nie wiem również dlaczego, ale musiało się wydarzyć coś takiego, że między tymi trzema osobami powstała jakaś więź, a potem wszyscy musieli zginąć lub zaginąć.

– To straszne – powiedziała. – Nie chce mi się w to wszystko wierzyć, zaczyna mnie to przerastać. Bardzo to przeżywam. Kosztuje mnie to tyle nerwów, w końcu tu chodzi o moich uczniów. Biorę leki uspokajające. Stało się coś strasznego, a ja nie wiem co. Nie umiem sobie z tym poradzić. Poczucie porażki połączonej z wrazeniem, że i mnie może coś się stać. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam.

Komisarz zrobił współczującą minę, ale wiedział, że na pewno wyszła marnie.

– To nie pani wina. Musimy skoncentrować uwagę i połączyć siły. Ja dysponuję siłą uderzeniową i zapleczem, pani wiedzą. Trzeba sobie pomóc.

– Jak?

Westchnął głęboko.

– Przede wszystkim proszę zadzwonić do ich rodziców, jeszcze dziś, nawet zaraz, i w dość delikatny sposób ich ostrzec. Dzieci muszą być ostrożne. Nie mogą same wychodzić i oddalać się od domu. Proszę to zrobić delikatnie, bo nie chcemy paniki. Ale trzeba pamiętać o szczególnej ostrożności. Zwłaszcza teraz. Nikt z nas nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiemy jedno, że całe to zło – całe to cholerne zniknięcie Patrycji oraz dwa morderstwa – wiąże się z grupą tych młodych osób. Nie wiemy, w co się wplątały. Teraz musimy ostrzec każdego z tej grupy.

Winiarska pokiwała zdecydowanie głową.



– Oczywiście, zaraz do nich zadzwonię – oświadczyła i uśmiechnęła się do niego. Iwanowicz odwzajemnił uśmiech. Skoro powiedziała, że czuje się zagrożona, musiał jej jako policjant i mężczyzna zapewnić bezpieczeństwo. Ale jak?

– Okej, a teraz druga sprawa. Ten mężczyzna... Damian Lenartowicz, co pani o nim wie?

– Niewiele, poza tym, że prowadzi zajęcia w naszej szkole.

– Od dawna?

– Od roku. Od września.

Komisarz chciał zakłąć, ale się powstrzymał. Nie chciał wyjść na prostaka. Gawłowski na jego miejscu z pewnością puściłby niezłą wiązanekę.

– Rozmawiała pani z nim kiedykolwiek?

– Raz, może dwa. Zwykle krótko, o moich uczennicach. Wiedział, że jestem ich wychowawczynią, więc gdy mnie zobaczył na korytarzu, pochwalił je.

– Kiedy to było?

– Kilka miesięcy temu, nie wiem, marzec, kwiecień.

– Pamięta pani, co powiedział?

– Niewiele, ale wydźwięk jego słów był taki, że mam bardzo zdolne dziewczyny w klasie. Szybko się uczą i że praca z nimi to przyjemność. Mniej więcej tyle wynikało z naszej rozmowy.

Komisarz spojrział wymownie, czekając na dalszy ciąg.

– Cóż, chyba tylko tyle, naprawdę. Taka uprzejmość między dorosłymi, którzy uczą te same osoby. Ale nic więcej. To nie jest nauczyciel z naszej szkoły, prowadzi tylko, jeśli dobrze pamiętam, dwie lekcje tygodniowo, więc nie mam żadnego obowiązku go znać.

– Czyli nie jest pracownikiem szkoły? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Ponownie zaprzeczyła.

– I więcej się pani z nim nie widywała?

– Nie, tylko czasami gdzieś na korytarzu szkolnym. Zajęcia odbywają się po piętnastej, więc widywałam go sporadycznie.

– Czy może mi pani nieco więcej o nim powiedzieć? Pierwsze skojarzenia, jakie przychodzą pani na myśl?

– Raczej grzeczny, ale jakiś taki... – Zawiesiła głos, przeciągając ostatnią sylabę. Zastanawiała się. – Trochę inny.

– W jakim sensie?

– Nie, to głupie, proszę wybaczyć. Pewnie wyolbrzymiam, nawet go nie znam. – Machnęła ręką i skrzywiła się.

– Rozumiem. A czy uczennice kiedykolwiek coś pani zgłaszały w tej sprawie? Mówiły coś o zajęciach? O nauczycielu?

– Nie przypominam sobie, żeby o tym wspominały.

Komisarz wstał i skierował się do wyjścia.

– Proszę pamiętać, by zadzwonić do rodziców tych dziewcząt. Niech uważają, a o każdej podejrzanym sprawie zawiadamiają rodziców. A oni, gdyby cokolwiek się działo, niech od razu kontaktują się z policją.

– A pan? Co teraz, panie Marku?

Iwanowicz zauważył, że po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Poczł się pewniej. Wyprostował się, napinając mimowolnie mięśnie, a potem uśmiechnął się nieznacznie. Poczł

się zauważony, nie był już tylko szarym policjantem. Czuł do niej sympatię, ale nie miał pojęcia, czy ona do niego też.

– W tym momencie muszę koniecznie zidentyfikować pozostałe osoby z tej grupy. To jest sprawa priorytetowa, bo może im grozić niebezpieczeństwo.

Małgorzata Winiarska spojrzała na niego. Jej wzrok coś mówił, ale nie umiał tego rozszyfrować. Bał się jakkolwiek to zinterpretować, dlatego rzekł tylko na koniec:

– Ma pani mój numer telefonu. Gdyby cokolwiek się działo, proszę dzwonić. Przyjadę w ciągu kilkunastu minut. Nikt z nas nie wie, co tu się dzieje. Gdybym mógł w czymś pomóc, również proszę o kontakt. Jestem do pani dyspozycji.

Wyszedł z mieszkania i zbiegł schodami, przeskakując co trzy stopnie.

W pewnej chwili przystanął, oparł się o parapet i spojrzał w dół. Pod sobą miał cztery piętra, ziemia znajdowała się daleko od niego. Poczuł zawrót głowy, serce waliło mu jak oszalałe. Nie wiedział jednak z jakiego powodu.

Późnym wieczorem wrócił do mieszkania. Panował w nim kojący chłód, który otulił jego zmęczone i spracowane ciało. Nim przyjechał do domu, wpadł na chwilę do komendy, by przekazać innym sprawę ustalenia tożsamości pozostałych uczestników grupy językowej. Sam nie miał już na to sił. Potem jeszcze tylko oddał telefon Karola informatykowi, który obiecał dostarczyć jutro rano wyniki analizy.

W jednej sekundzie wskoczył pod prysznic. Pilotem włączył muzykę. Z głośników popłynęły dźwięki płyty *Moizm* Tomka Makowieckiego, wokalisty, którego bardzo polubił w ostatnim czasie. Kupowanie płyt sprawiało mu ogromną radość. Lubił odkrywać nowych artystów. Nie ograniczał się do tego, co znał od zawsze, lecz starał się poszerzać horyzonty, słuchał nowych składanek, interesował się nowymi trendami, choć i tak ostatecznie w chwilach największego kryzysu wracał do sprawdzonych kapel: U2, Dire Straits, Deep Purple, Rolling Stones, Led Zeppelin oraz całej masy solistów, którzy towarzyszyli mu przez całe życie. Od wielu lat słuchał najrozmaitszych list przebojów, spisywał sobie tytuły, wokalistów, nazwy płyt, a potem zagłębiał się w ich twórczość.

Było parę minut po dwudziestej drugiej, podgrzał sobie wczorajszy makaron z mięsem, przełożył na talerz i dorzucił sałatę z delikatnym sosem koperkowym. Jadł posiłek i wpatrywał się w dal za oknem. Wśród migocących niewyraźnych światełek widział swoje zmęczone odbicie w szybie. Kilka minut później zaczął oglądać wiadomości. Co chwilę przymykając oczy, przełykał orzeszki, rodzyнки i migdały. Po paru minutach głowa przesunęła się na bok i oparła o zagłówek fotela, a komisarz głęboko zasnął.



Zbudził go nieznośny ból karku. Uniósł powieki i kątem oka dostrzegł przesunięty o kilka centymetrów telefon, który leżał na niskiej dębowej ławie. Kontrolka monitorująca połączenia migiała cały czas, dając znak, że ktoś próbował się z nim skontaktować. Telewizor wciąż był włączony, ale nie zdołał go wcześniej obudzić. Chciał się podnieść, jednak poczuł nieznośny ból, więc zastygł w bezruchu. Musiał odczekać. Cały zdrętwiał. Potem zaczął ruszać rękoma, nogą, a po dwóch minutach czucie zaczęło wracać. Po jego nodze przebiegło chyba z milion mrówek. Gdy już mógł poruszać rękoma, sięgnął po telefon. Dwa nieodebrane połączenia. Jedno z komendy, drugie z nieznanego numeru. Oddzwonił do komendy. Zgłosił się policjant dyżurny, który przełączył go do pokoju siedemnaście, do funkcjonariuszy, którym zlecił poszukiwanie osób uczęszczających na zajęcia języka angielskiego.

– Panie Marku – odezwała się wyraźnie poruszona młoda funkcjonariuszka. – Skontaktowaliśmy się z Małgorzatą Winiarską, tak jak pan prosił. Przekazała nam numer do rodziców Weroniki Więdochy i Marii Dębskiej, chcieliśmy, żeby dziewczęta pomogły nam w rozpoznaniu pozostałych osób z tej grupy. Na pewno przecież się znają. Udało nam się zidentyfikować wszystkich poza jednym chłopcem. To znaczy wiemy, jak ma na nazwisko, bo Weronika nam powiedziała, natomiast nie zna imienia, ponieważ dołączył do nich w drugim semestrze. Wciąż próbujemy go zidentyfikować. Oczywiście wszystkie pozostałe osoby powiadomiliśmy o potencjalnym zagrożeniu, tak jak pan prosił. Cały czas jesteśmy w kontakcie z ich rodzicami. Trójki z nich w ogóle nie ma w Jeleniej, są na wakacjach, więc zakładamy, że zagrożenie...

– Dziękuję – powiedział niewyraźnie, przerywając jej wypowiedź. Musiał odchrząknąć i przełknąć ślinę. Nic to nie dało, więc popił wodą. – Wspomniała pani o Weronice. Przekazała wam informacje o pozostałych osobach zapisanych do tej grupy.

– Tak, zgadza się.

– Gdzie ona jest?

– Weronika? W domu z braćmi i rodzicami. Mieszka w Jeleniej.

– A co tą drugą, Marią Dębską?

– Jeszcze nie wiem, nie udało nam się dodzwonić do jej domu. Czekamy na jakikolwiek znak, mamy jej adres. Ponieważ prosił pan, żeby sprawę potraktować bardzo poważnie, wysłaliśmy do ich domu patrol. Myślę, że za parę minut powinniśmy mieć jakieś informacje.

– A co z Damianem Lenartowiczem, nauczycielem tych dzieciaków?

– Wciąż brak wiadomości. Nie odbiera telefonu.

– Dziwne, gdy dzwoniłem do niego wcześniej, to miał wyłączony telefon.

– Cóż, próbowaliśmy dwadzieścia minut temu. Sygnał był, ale nikt nie odbierał.

– Dziękuję, czekam na wiadomość w sprawie Marii.

Rozłączył się i podreptał powoli do swojego gabinetu. Włączył laptop. W oczekiwaniu, aż się uruchomi, zaczął przecierać mocno twarz. Gdyby ponownie zamknął oczy, zapewne by usnął.

Był wykończony. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Zachowywał się jak ktoś czekający na spóźniający się pociąg, dlatego zaczął chodzić bez celu po mieszkaniu. Duży zegar pokazał, że była dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć. Spał niepełną godzinę. Nie był wypoczęty, nawet nie zregenerowany, ale poczuł się ciut lepiej. Zawsze coś. Gdyby nie telefon z komendy, pewnie spałby do rana. Teraz jednak czuł podenerwowanie i nie mógł iść spać. Wrócił do salonu po swój telefon i zadzwonił do informatyka z prośbą o namierzenie telefonu Damiana Lenartowicza. Potem wypił dwie puszkę napoju energetycznego i wziął kolejny prysznic. Nagle sobie przypomniał, że przed dziesięcioma minutami miał dwa nieodebrane połączenia i oddzwonił tylko do komendy. Drugie połączenie było z nieznanego numeru. Zapisał go na małej kartce i włączył galerię zdjęć w swoim telefonie. Przyjrzał się zdjęciu tablicy, na której miał zanotowane wszystkie numery wraz z nazwiskami oraz treściami SMS-ów. Porównywał je ze sobą, ale to nie był żaden z nich. Robił to na wszelki wypadek, by uniknąć ewentualnego zaskoczenia. Poza tym nie kojarzył żadnego numeru komórki z końcówką 555. Miał pamięć wzrokową i nic mu ona nie podpowiadała. Przewinął dla pewności jeszcze listę ostatnich połączeń, ale nie znalazł takiego. Wybrał numer i czekał. Tymczasem zalogował się do skrzynki mailowej i otworzył zdjęcie, które niedawno wrzucił na serwer. Przed oczami ponownie pojawiły się twarze, które zdążył już zapamiętać. Skupił wzrok na dwóch dziewczynach, Weronice i Marii. Pierwsza była niską szatynką, lekko grubawą, Maria miała długie kręcone blond włosy i jasną, niemal bladą cerę. Po siedmiu sygnałach usłyszał głos.

– Tak słucham?

– Dzwonił ktoś do mnie z tego numeru. Dokładnie dwadzieścia minut temu.

– A, rzeczywiście. Rozmawiałem dzisiaj z panem na Osiedlu Robotniczym. Sąsiad Damiana Lenartowicza. Przekazał mi pan swój numer.

– Pamiętam.

– Prosił mnie pan o telefon, gdybym go zobaczył czy coś.

– Tak, tak, próbowałem się z nim wtedy skontaktować.

– Nie wiem, czy to ważne, w końcu jest późno. Chciałem zadzwonić rano, ale mówił pan, że to dość pilne, dlatego dzwonię. Pewnie chce pan zapisać dziecko na kurs albo korepetycje, bo tak się panu pilno zrobiło dzisiaj, co? Wiem, nie musi mi pan mówić, wiem, jak to jest, pan Damian uczy w jakiejś szkole, wspominał mi kiedyś. Więc skojarzyłem fakty i dlatego dzwonię.

Iwanowicz wypił duszkiem pół szklanki wody.

– Czyta pan w moich myślach.

– Ha, panie, znam się na ludziach. Wiem, co komu trzeba. Moja żonka mówi podobnie.

– Dobra, wytłumaczę co i jak przy kolejnej okazji, panie...

– Włodek – odpowiedział tamten błyskawicznie – ale mniejsza z tym, bo już późno się zrobiło. Ze dwie godziny temu widziałem pana Damiana, spotkałem go na korytarzu. Wrócił z jakiejś podróży, nie było go jakiś czas w mieście.

– Mówił, gdzie był?

– Powiedział, że we Wrocławiu. Ma tam chorą rodzinę. Braci.

Iwanowicz zaczął ziewać, ale musiał stłumić odruch.

– Jest teraz u siebie?

– Ano chyba. Był jakiś czas temu, sam widziałem.

Przełknął ślinę, bo czuł, że gardło ma suche jak papier. Może po tym sosie.

– Dziękuję za informację.

– Nie ma za co, niech pan do niego zadzwoni. Widziałem, że ma teraz jakąś uczennicę. Trochę dziwne, bo już jest późno, ale ja tam nikomu nie siedzę w interesach. Zbliża się rok szkolny, a każdy przecież próbuje jakoś zarobić na życie, nie? A takim nauczycielom łatwo to pewnie nie jest. Zwłaszcza w wakacje, przecież sezon ogórkowy. Panie, teraz to o robotę ciężko, co?

– Co pan powiedział? Uczennicę? – Iwanowicz wyraźnie się poruszył i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Ano, młoda taka.

– Kiedy to było?

– A bo ja wiem, nie patrzyłem dobrze. Ze dwie godziny temu? Nie wiem, żem nie liczył.

– Jak wyglądała?

– A coś pan taki nerwowy się stał?

– Proszę odpowiedzieć.

– Ja nic nie wiem, kątem oka tylko zobaczyłem, że wchodziła jakaś dziewczyna do jego mieszkania. Nic więcej nie wiem... Muszę niestety kończyć, późno już. Chciał pan informację, to przekazałem, a pan się jeszcze wściekasz Bóg wie na kogo. Ech, ludzie... Chciałem pomóc. Do widzenia.

– Chwila! Sekundę...

– No dobra, pytaj pan.

– Czy dziewczyna miała kręcone blond włosy?

– Chyba. Nie przyglądałem się.

– Tak czy nie?

– Ech, nerwowy pan jesteś, jak z jakiej policji.

– No więc?

Usłyszał ciche piknięcie w słuchawce. Przez moment myślał, że jego rozmówca się rozłączył, ale gdy tylko odsunął telefon, zobaczył wciąż naliczający się czas połączenia. Potem usłyszał jakieś chrząknięcie.

Boże, to mogła być jedna z nich, skojarzył.

– Tak, miała długie blond włosy. Takie falowane.



Komisarz wskoczył bez zastanowienia w spodnie dresowe i niebieską bluzę z kapturem, przypiął broń i popędził na dół, przeskakując po kilka stopni. Nie zdążył nawet zamknąć drzwi w mieszkaniu. Wsiadł do swojego samochodu. Żałował, że nie był na komendzie, miałby wtedy do dyspozycji radiowóz i mógłby przejechać na sygnale całe miasto w parę minut. Zaklął głośno i ruszył z piskiem opon, rozpędził auto, a potem w niewielkiej zatoczce zakręcił i ruszył w kierunku ulicy Rodzinnej. Błyskawicznie analizował w myślach, jak najszybciej dojechać na miejsce. Zdecydował, że pojedzie najszybszą trasą. I niestety najbardziej ruchliwą. Z Mickiewicza skręci w Wolności, potem placem Wyszyńskiego, dalej pogna Podwalem i dojedzie bezpośrednio do Osiedla Robotniczego.

Wyciągnął telefon i szybko wybrał numer do komendy, bezpośrednio do pokoju siedemnaście.

– Tu Iwanowicz, ustaliliście coś? – zapytał.

– Właśnie miałem do pana dzwonić, komisarzu – rzekł Tomasz Jaworski. – Rodzice Marysi nie wiedzą, gdzie jest córka, wyszła parę godzin temu z domu, ale jeszcze nie wróciła.

– Wyszła? Dokąd wyszła?! Jak to, przecież mieli jej pilnować!

– Miała iść do jakiejś Mai, koleżanki z klasy, ale podobno tam nie dotarła. Dzwonili do nich, Marysia miała być po dwudziestej, ale nie dotarła.

– Kurwa mać! Co tu się dzieje, to jasnej cholery?!

– Nie wiem, co powiedzieć. Co mamy robić? Wysłać patrol do tej Mai, żeby się upewnić?

Komisarz uderzył pięścią w kierownicę, próbując szybko manewrować autem między stojącymi na światłach samochodami. Zaczął trąbić. Nic to nie dało, więc wjechał na chodnik, by ominąć długą kolumnę aut. Idąca para musiała uskoczyć na trawnik. Popukali się w czoło. Potem przyhamował na dużym skrzyżowaniu. Upewniwszy się, że nic nie nadjeżdżało, z dużą prędkością przejechał na czerwonym świetle i pognał przed siebie.

– Dobra, robimy tak. Zadzwoń do Gawłowskiego i podaj mu adres. Notuj. Ulica Rodzinna, pierwszy budynek od głównej ulicy. Zapisaleś?

– Tak.

– To jest na Osiedlu Robotniczym. Będę tam na niego czekał, bo już nie mam czasu teraz do niego dzwonić. Niech weźmie ze sobą największy młot albo łom, jaki znajdzie w garażu. Powiedz mu, żeby wziął sprzęt do demolki, jasne? Będzie wiedział, o co chodzi. Zapamiętasz?

– Dobra, już dzwonię, czy mamy też wysłać naszych?

– Nie, tylko Gawłowski. Powtórz mu słowo w słowo, co ci powiedziałem. Ma być na miejscu za dziesięć minut, choćby spał czy srał. Jak nie, to łby pourydam. Wszystkim.

– Zrozumiałem, coś jeszcze?

– Macie coś na Lenartowicza?

– Sprawdzamy.

– Daj znać, gdy się czegoś dowiesz.



Rozłączył się i cisnął telefon na siedzenie obok, wrzucił piątkę i pognął jeleniogórskimi ulicami. Minał radiowóz kontrolujący ruch drogowy. Żaden z policjantów nich nawet nie zareagował na pędzące prawie setką czarne volvo kombi. Nie wiedział, czy dlatego, że poznali jego auto, czy z innego powodu, ale nie zastanawiał się nad tym. Po ośmiu minutach dotarł na miejsce. Gdy był w pobliżu, zwolnił, zgasił światła i wjechał powoli między budynki ze strzelistymi dachami. Spojrzał na okna, które dziś po południu obserwował. W mieszkaniu Lenartowicza delikatnie się świeciło.

Manewrował powoli, by w nic nie uderzyć. Podjechał pod sam budynek. Rzucił okiem na stojące auta. Próbował zapamiętać każdy szczegół tego miejsca. Analizował przez chwilę układ budynków. Przy samym wjeździe, tuż obok głównej ulicy, stały dwa długie domy. W głębi niedużego osiedla znajdowały się kolejne, ale mniejsze zabudowania w tym samym stylu.

Pobiegł w kierunku klatki schodowej. Przygryzł wargę, zastanawiając się, jak wejść do środka. Drzwi były solidne, w żaden sposób ich nie sforsuje. Poza tym nie mógł robić tu takiej zadymy. W klatce znajdowały się mieszkania od 15 do 27. Zadzwoił do pierwszego, ale nikt nie odpowiadał. Kolejne mieszkanie – również cisza. Musiał próbować aż do skutku. Następnym przycisk przywołał właściciela do domofonu.

– Trochę późno, nie spodziewam się nikogo – rzekł zaspanym głosem.

– Dobry wieczór, byłem umówiony z panem Włodkiem, ale chyba zaciął mu się domofon, bo cały czas próbuje mi otworzyć drzwi, ale coś mu nie wychodzi. Mógłby mnie pan wpuścić? Prosił mnie, bym zadzwonił pod siedemnastkę, to sąsiad na pewno wpuści, bo jemu nie chce się schodzić, by mi otworzyć.

– No jak do pana Włodka, to w porządku. Wchodzi pan, tylko nie pijcie za dużo – powiedział i zaśmiał się.

Rozległo się brzęczenie otwieranych drzwi. Iwanowicz szybko wszedł do środka i wytłumił uderzenie drzwi, przytrzymując je ręką. Odczekał chwilę, by się upewnić, że mężczyzna spod siedemnastki nie otworzy drzwi i nie będzie go sprawdzał. Czekał paręnaście sekund, ale lokator się nie fatygował i nie wyjrzał na korytarz. Na klatce było ciemno i panowała niemal idealna cisza. Wyciągnął z kabury przy broni małą latarkę i oświetlił korytarz, a potem zaczął cicho wspinać się na górę. Przeszedł na pierwsze piętro. Idąc, zastanawiał się, jak się wytłumaczy ze swojej obecności przypadkowo spotkanej osobie. Myślał przez chwilę, ale nie był w stanie znaleźć żadnej dobrej odpowiedzi, w którą ktoś by mu uwierzył. Nie miał też najmniejszej ochoty przed kimś się tłumaczyć. Dotarł na trzecie, ostatnie piętro. Oświetlił znajdujące się przed nim drzwi do mieszkania mężczyzny, z którym rozmawiał niecałe piętnaście minut temu, pana Włodzimierza. Po prawej stronie znajdowały się drzwi do mieszkania jego sąsiada, Damiana Lenartowicza. Podeszedł bliżej i przyłożył do nich ucho. Czekał ponad dwadzieścia sekund, ale niczego nie słyszał. Wydawało mu się, że z mieszkania dochodziły ciche dźwięki telewizora, ale akustyka tego starego budynku mogła wprowadzać w błąd. Równie dobrze dźwięk mógł dochodzić z piętra niżej lub mieszkania obok. Stał, wciąż nasłuchując. Nie wiedział, czego się teraz spodziewać. Wszystko działo się tak szybko, a faktów w ostatnich godzinach przybyło tyle, że chwilami przestawał myśleć racjonalnie i zdawał się wyłącznie na intuicję. Może to i lepiej.

Pożałował teraz, że jeszcze był sam, ale po rozmowie telefonicznej nie był w stanie sam zadzwonić do Gawłowskiego. Podczas szybkiej nocnej jazdy musiał się maksymalnie skoncentrować.

Poświecił latarką po ścianie i znalazł dzwonek. Wcisnął i czekał.

Odtworzył w pamięci rozmowę z mężczyzną, który mieszkał obok za drzwiami. Do mieszkania Lenartowicza weszła młoda dziewczyna, była więc to Maria Dębska. Prawdopodobieństwo, że policja znajdzie ją martwą za parę dni, znacznie wzrosło. Ale jak ona się tu znalazła? Jak ją zwabił w to miejsce?

Bez względu na odpowiedź miał już pewność, że wszystko skupiało się na tajemniczym nauczycielu, prowadzącym zajęcia ledwie od roku. Zgromadził wokół siebie niedużą grupkę osób, w większości dziewcząt, a potem sukcesywnie każdą z nich zwabiał do siebie w jakiś sposób. W jaki? Pewnie było ich dziesiątki. Byle pretekst związany z nauczaniem angielskiego, zajęciami czy ocenami, a naiwne dziecko szło na spotkanie, niczego nie mówiąc rodzicom. Poza tym nauczycielom się ufa.

To już byłyby trzecia dziewczyna. I każdą z nich spotykała tragedia.

Na tym etapie nie mogło być mowy o przypadku. Nie wiedział, dlaczego Lenartowicz to robił, bo wciąż czekał na jakieś informacje. Dziś po południu zdążył sprawdzić go w policyjnej bazie danych, ale poza trzema mandatami nic nie znalazł. Nigdy nie był karany ani powiązany bezpośrednio z wydarzeniem o charakterze kryminalnym. Na mężczyznę zarejestrowany był granatowy nissan kombi. Mieszkanie, w którym mieszkał, było zarejestrowane na inną osobę, musiał więc je tylko wynajmować. Brak innych znaczących danych. Miał za mało czasu, by lepiej go prześwietlić, dlatego poprosił na komendzie, by to zrobili. Sam nie mógł się wszystkim zajmować. Czas przyniesie odpowiedzi na wiele pytań.

Wcisnął jeszcze kilka razy dzwonek. Bał się, że natarczywe dzwonienie zbudzi czujność pozostałych mieszkańców. Słyszał, jak w mieszkaniu rozlega się jego głośny i wyraźny dźwięk. Nie można było go nie usłyszeć. Nacisnął jeszcze dwa razy. Nic.

Na klatce panowała cisza. Słyszał jedynie swój rytmiczny oddech.

Mężczyzny prawdopodobnie nie było w domu, choć to dziwne, bo przecież dwie godziny temu wchodziła tu dziewczyna. Tak przynajmniej powiedział sąsiad. Analizował szybko, jak to rozegrać. Gra toczyła się dosłownie o kolejne minuty.

Iwanowicz wziął rozpęd i z całej siły kopnął w drzwi, ale nic to nie dało. Potem poświecił sobie dokładnie na miejsce przy klamce. Natarł z całej siły, ale znów nic. Drzwi nawet nie drgnęły. Kopnął jeszcze dwa razy, aż w końcu się poddał. Nie miał szans w starciu z drzwiami. Nagle poczuł wibracje telefonu. Spojrzał na ekran. No i po problemie z drzwiami.

Zbiegł szybko na dół, otworzył drzwi i wpuścił Gawłowskiego do środka.

– Kurwa, Marek, przy tobie nie można się nudzić. A takie piękne bzykano mnie dzisiaj czekało. Aśka będzie na ciebie wkurwiona, że wyrwałeś jej Romea z łóżka.

– Wynagrodzisz jej to podwójnie, ale kiedy indziej. Masz łom?

Pokazał ciężki stalowy pręt długości ponad metra. Był tak masywny, że powinien wystarczyć.

– Oto nasz przyjaciel, najskuteczniejszy wypierdalacz zamków. Kogo odwiedzamy tym razem?

– Widziałeś kogoś pod domem? Ktoś się kręcił? Młody mężczyzna w okularach?

Podkomisarz pokręcił głową.

– Nikogo.

– Okej, wchodzi na ostatnie piętro.

Przytrzymał drzwi, by nie trzasnęły, i wspięli się na samą górę. Gdy byli już na miejscu, komisarz powiedział szeptem:

– Ja będę świecił, a ty je wywalaj.

Gawłowski przystawił długi łom, wygiętą część oparł o metalową futrynę i zaczął wyłamywać drzwi. Puściły o pół centymetra. Podsunął kolejny kawałek i przesunął łomem z całej siły. Nagle wyrwane drzwi zaskrzypiały niemiłosiernie.

– Czekaj.

Za drzwiami pana Włodzimierza słyhać było jakieś poruszenie. Pewnie podszedł do nich i nasłuchiwał. Oczekali minutę.

– Wywal je wreszcie, bo niepokoiśmy sąsiadów – powiedział komisarz.

– Patrząc obiektywnie na to, co robimy, mają prawo czuć się zaniepokojeni.

Gawłowski podsunął łom kilka razy. Drzwi miały już ponad dwucentymetrową szczelinę. Dostrzegł, że podtrzymywał je już tylko jeden zamek, który zapewne wisiał na ostatnich śrubach.

– Walnij mocno – powiedział.

W tej samej chwili podkomisarz silnie napał i drzwi puściły.

Obaj policjanci wyjęli broń i otworzyli drzwi.

Weszli ostrożnie do korytarza. Był nieduży i skromnie urządzony. Znajdowały się w nim tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Przeszli do pierwszego pokoju. Był czysty i niezwykle zadbane. Nie było w nim nikogo. W kącie stała lampka, jedyne źródło światła w pomieszczeniu. To je musiał widzieć, gdy podjeżdżał pod kamienicę parę minut temu. Podeszli pod drzwi drugiego pokoju. Zrobione były z cienkiej płyty wiórowej, którą w razie potrzeby da się wywalić jednym silnym kopnięciem. Gawłowski nacisnął klamkę i otworzył je na oścież. Komisarz szybko poświecił latarką do wnętrza. Sypialnia. Również pusta.

– Jeszcze kuchnia i łazienka. Trzymaj broń w pogotowiu.

Gawłowski poszedł sprawdzić te pomieszczenia, a on sam wszedł do sypialni. Nie zapalał światła. Latarka mu wystarczyła. W pokoju było posprzątane, a duże dwuosobowe łóżko równo posłane. Podszedł do szafy. Przesunął drzwi i zajrzał na środka. Sporo męskich ubrań, wszystkie równo ułożone. Wrócił do korytarza, rozejrzał się. Gawłowski przeszukiwał kuchnię, potem obaj zajrzeli do łazienki.

– Sterylnie jak w szpitalu.

– Ale on tu był, wiem to. Widać, że tu mieszka, a nie tylko bywa. W lodówce jest sporo jedzenia. W korytarzu stoją buty, w łazience są kosmetyki.

– Ten Lenartowicz... – zaczął Gawłowski.

– Nauczyciel tych wszystkich dziewczyn. To jego mieszkanie. To on zamordował wszystkie dzieci.

– Masz pewność?

Iwanowicz kiwnął głową.

– Co robimy?

– Trzeba przeszukać mieszkanie, ale przy takim oświetleniu, jakie jest teraz. Niech pali się tylko lampka w tamtym pokoju. On tu wróci. Nie możemy go spłoszyć.

Iwanowicz wciąż myślał o dziewczynie. Gdzie jest? Czy wróciła do domu – a on puścił ją wolno, czy może pojechała gdzieś ze swoim nauczycielem?

– Ty przeszukaj mieszkanie. Może znajdziesz ślad po tych dzieciakach: zeszyty, ubrania, telefony, cokolwiek, co pozwoli połączyć go z tymi morderstwami i później skazać. Szukaj jakichkolwiek dowodów i związków z tymi zabójstwami.

- A ty? – zapytał szeptem podkomisarz.
  - Skoro wyszedł, może za chwilę wrócić. Zaczaję się na niego przed domem.
- Dopiero gdy zbiegał po schodach, zdał sobie sprawę, że nie powiedział mu całej prawdy.



Podszedł do swojego samochodu i zaczął nasłuchiwać. W oddali widać było idących po chodnikach przechodniów, ale żadna sylwetka nie przypominała Lenartowicza. Komisarz dysponował tylko obrazem pamięciowym z jedyne go zdjęcia, jakie otrzymał od ojca Karola. Doskonale pamiętał twarz i to mu wystarczy, by go rozpoznać wśród przechodniów. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu zabudowań starego osiedla, wyciągnął telefon i wybrał jeden z ostatnich numerów.

– Namierzyleś, o co cię prosiłem?

– Tak, mam kilka odczytów z przekaźników sprzed parunastu minut. Kilka różnych.

– Dawaj.

– Pierwszy sprzed dwóch godzin pokazywał obecność telefonu w pobliżu Osiedla Robotniczego. Zaraz ci powiem dokładnie, który to przekaźnik.

– Nie interesują mnie szczegóły techniczne. Dawaj kolejne.

– Potem kolejny odczyt był niedaleko placu Wyszyńskiego.

– Dalej.

– Piętnaście minut temu... Poczekaj.

Iwanowicz wyobrażał sobie trasę, jaką przejechał mężczyzna.

– Potem? – zapytał i wszedł do auta. Uruchomił silnik i ruszył tą samą trasą.

– Następnym odczyt z nadajnika niedaleko zakładu ZREMB.

Iwanowicz, nie rozłączając się, wyjechał z ulicy Rodzinnej, skręcił w prawo w Podwale i pognął do Sobieskiego. Potem skręcił i wyjechał na skrzyżowaniu. Stał i czekał na dalsze informacje od swojego rozmówcy. Z tyłu podjechał samochód i zaczął trąbić, bo Iwanowicz stał na zielonym świetle. Włączył światła awaryjne i zignorował to, że zablokował jeden pas. Nerwowo kierowca zatrąbił jeszcze raz i pojechał bokiem, machając na niego.

– Co masz dalej?

– Już chwilę... Przekaznik przy ciepłowni, przy wiadukcie, wiesz, gdzie to?

– Tak – potwierdził, ruszył z piskiem opon w prawo i pognął przed siebie obwodnicą. To właśnie wtedy musiała iść Patrycja Linkiewicz przeszło tydzień temu, gdy zmierzała w kierunku Zgorzeleckiej i Spółdzielczej.

– Co masz dalej? – zapytał po przejechaniu kilkuset metrów.

– Dalej... Dalej, Marek, niestety nie ma nic. Ostatni odczyt mam sprzed piętnastu minut. Wygląda na to, że wasz człowiek musiał być w tamtej okolicy.

– Dzięki, będziesz mi jeszcze pewnie potrzebny, więc bądź w pogotowiu. Sprawdź odczyt z jego telefonu za parę minut. Jeśli będzie coś innego, napisz mi wiadomość, ale nie dzwoń. To ważne.

Rozłączył się i zwolnił. Przeanalizował trasę i doszedł do wniosku, że zrobił prawie koło. Od domu Lenartowicza do punktu, do którego zmierzał, w linii prostej mogło być może pół

kilometra, może trochę więcej. Zrobił niepełne okrążenie, ale w jakim celu? Siedem minut, tyle mu to zajęło. Nagle zdał sobie sprawę, że oba te punkty dzieliła rzeka. O kurwa, zaklął w duchu.

Wybrał numer do Gawłowskiego, który odebrał niemal od razu.

– Co jest? – zapytał kolega.

– Na razie krążę po mieście, mam kilka odczytów z jego telefonu, ostatni jest przy ciepłowni koło wiaduktu. Zaraz zostawię tu auto i będę go szukał. Jacek, pomyślałem, że ten psychol w każdej chwili może wrócić do domu. Będę szukał w tej okolicy, ale ty się miej na baczności i nasłuchuj, okej?

– Dobra, jakby coś, to dzwoń.

Iwanowicz już się chciał wyłączyć, gdy usłyszał w ostatniej chwili głos.

– Marek?

– Co jest?

– Wiesz, że źle robimy.

– O czym mówisz?

– Powinniśmy to zgłosić. Technicy, prokurator... Możemy sobie narobić kłopotów.

Iwanowicz przejechał przez wiadukt, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Wiem, ale na razie nigdzie nie dzwoń. Będziemy w kontakcie. Gdyby cokolwiek się posypało, biorę to na siebie.

Skręcił w pierwszą uliczkę w prawo. Dojechał wąskimi drogami osiedlowymi na plac przy garażach osiedlowych. Było to odosobnione miejsce, nikogo też nie widział w pobliżu. Najbliższa latarnia znajdowała się ponad pięćdziesiąt metrów stąd. Zostawił auto w możliwie skrytym miejscu i przedzierając się przez łąkę, podszedł nad sam brzeg rzeki, który znajdował się niecałe sto metrów od garaży w pobliżu ulicy Wiejskiej. Znalazł miejsce, w którym znaleziono zwłoki jedenastoletniego Karola. Niewiele ponad kilometr stąd wyłowiono ciało Dominiki. Zabójca krążył wzdłuż rzeki, to pewne. Komisarz dziwił się jednak, dlaczego tak uparcie trzymał się tego miejsca. Wygodny dojazd? Okolice własnego domu? Brak wyobraźni? Poczucie wszechwładzy i tego, że nigdy nikt go nie namierzy? Czy miał tak mało wyobraźni, że zabijał i pozbywał się ciał gdzieś w pobliżu, mając nadzieję, że wypłyną kilka kilometrów dalej? Czy może robił tak z innej przyczyny, bardziej przyziemnej i mniej wyrafinowanej? Jeśli tak, to jakiej? Dużo pytań. Na razie nie znał trafnej odpowiedzi, ale wiedział, że rzeka miała dla niego szczególne znaczenie.

Szedł cały czas wzdłuż Bobru, mając nadzieję, że go znajdzie. Starał się nie wydawać żadnych odgłosów. Wszędzie panowała prawie całkowita ciemność, a widoczność miał ograniczoną do kilku metrów. Od rzeki czuć było przyjemny wilgotny powiew.

Poczuł wibracje telefonu w kieszeni. Przykucnął, by odczytać wiadomość i nie zdradzić się jasnym blaskiem ekranu. „Wyłączony telefon, miejsce ostatniego odczytu bez zmian”. Informatyk nie był w stanie ustalić nic więcej. Trudno, ale i tak, jak sądził, był bliżej niż dalej, co go pocieszyło. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin śledztwo ruszyło w zaskakującym tempie.

Musiał więc gdzieś tu być albo znajduje się w zupełnie innym miejscu, daleko stąd. Tylko po co wyłączałby telefon? Nagle coś sobie przypomniał. Kolejny numer do namierzenia. Znowu zadzwonił na komendę.

– Tak?

– Słuchaj, koniecznie podaj informatykowi numer telefonu Marysi. Niech jak najszybciej sprawdzi odczyt, ale daj znać tylko SMS-em. To pilne – szepnął i rozłączył się. Że też dopiero teraz na to wpadł, mógł się zająć tym znacznie wcześniej.

Ruszył wzdłuż rzeki. Znajdował się nie więcej niż pięć metrów od brzegu rzeki. Szedł powoli, bo nie chciał niczego przeoczyć. Co chwila przystawał i nasłuchiwał, rozglądając się na boki. Przystanął i obrócił się. Nie widział miejsca, w którym zostawił auto. Musiał już przejść kilkaset metrów. Nagle poczuł drżenie komórki.

Znów przykucnął i odczytał wiadomość: „Ostatni odczyt około godziny dwudziestej drugiej: przekaźnik w pobliżu Osiedla Robotniczego”. Zaklął w myślach. Znów nic. Dziewczyna musiała zostawić telefon gdzieś w pobliżu albo on go gdzieś schował. Albo też jest wyłączony. Zabójca był bardziej przebiegły od nich, musiał to przyznać.

Iwanowicz podniósł się i znowu ruszył wzdłuż rzeki. Po przebyciu pół kilometra dotarł do zakola rzeki. Nie było nic widać poza światłami miasta, które migwały w oddali. Nic. Ani śladu człowieka. Przypomniawszy sobie słowa Gawłowskiego. Źle zrobili, mogli przecież powiadomić wszystkich i postawić na nogi całą jeleniogórską policję. A gdyby trzeba było, komendant po wykonaniu telefonu był w stanie ściągnąć ludzi z wielu komend i komisariatów z okolicy. Lwówka, Kowar, Szklarskiej Poręby, Karpacza i kilku innych. Dodatkowo dysponowali grupą szybkiego reagowania, która zajmowała się zatrzymywaniem niezwykle niebezpiecznych przestępców. Do tego jeszcze dochodził sam fakt, że brał na siebie odpowiedzialność za życie młodej dziewczyny. Duże, wręcz gigantyczne ryzyko. Gdyby ściągnął innych policjantów, ryzyko niepowodzenia by zmalało. Mogli go osaczyć. Na wypadek gdyby okazało się, że Lenartowicz chce uciec, mogli zablokować drogi wyjazdowe i od pół godziny miasto byłoby zamknięte. Mieli jego zdjęcia, więc nie byłoby żadnej pomyłki, żadnej niejasności. Przyspieszył kroku, a potem zaczął powoli biec. Czuł, że był już niemal cały spocony z nerwów, strachu oraz ze zmęczenia, przynajmniej chłodne powiewy od rzeki przynosiły chwilową ulgę. Serce uderzało mu coraz mocniej. Waliło rytmicznie, pompując z ogromną siłą krew, która przytłumiała słuch. Nagle w oddali usłyszał jakiś dźwięk. Nie widział, czy było to tworem jego fantazji, czy może ze zmęczenia oszukiwały go zmysły. Przystanął i kucnął. Bezszelestnie wsunął rękę do kieszeni i wyłączając dźwięk w telefonie. Z kabury wyciągnął glocka i zaczął bardzo powoli posuwać się naprzód. W pogotowiu trzymał też wyłączoną latarkę.

Znów usłyszał jakiś dźwięk. Jakby ktoś przyduszał inną osobę do ziemi. Ciche jęczenie na przemian z charczeniem. Przypomniawszy sobie, gdy był nastolatkiem i często w podstawówce wdawał się w bijatyki z kolegami, prawie zawsze jeden z nich kończył na plecach. Nazywano to rozłożeniem kogoś na łopatki. Przyduszany do ziemi wydawał jęki, skrzeczał i starał się w ostatniej chwili wywinąć swojemu przeciwnikowi. Choć i tak zwykle nie miał już szans, robił wszystko, by się jeszcze wyrwać z silnego przyduszenia. A potem poddawał się, bo był już u kresu sił i zaczynał głośno charczeć i dyszeć.

To, co teraz słyszał w oddali, przypomniawszy ten dźwięk z przeszłości, sprzed ponad czterdziestu laty, kiedy on albo jego przeciwnik leżał na ziemi i był przyduszany do ziemi. Poznał te odgłosy, bo nie dało się ich pomylić z niczym innym. Dźwięki nierównej walki. Przysuwał się powoli, cały czas mając się na baczności. W odległości ponad dwudziestu metrów od siebie dostrzegł poruszającą się sylwetkę. Zatrzymał się i zaczął się przyglądać, ale niewiele mógł zobaczyć.



Posunął się jeszcze kilka kroków, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Niemal nie oddychał. Dziękował za delikatny szum wody, bo zagłuszał jego odgłosy.

Stawiał stopę za stopą, powoli i dość precyzyjnie badając podłoże, by nie wdepnąć w jakiś leżący przy brzegu śmieć, który zdradziłby jego obecność. Wystarczyłoby nadepnąć na puszkę lub szeleszczącą folię, a już by się zdradził. Był coraz bliżej poruszającej się sylwetki. Z każdym krokiem widział coraz większą postać, choć wciąż nie był w stanie powiedzieć, kto to jest. Zbliżył się jeszcze trochę. Miał rozszerzone źrenice jak polujący w ciemności drapieżnik, który skrada się do swojej ofiary. Przypomniawszy sobie programy przyrodnicze, które tak uwielbiał oglądać. Widział w sobie takie przyczapane zwierzę, które naprężone wysuwało głowę do przodu, skradało się, a potem rzucało na niczego nieświadomą ofiarę. Dotarł do takiego miejsca, że w oddali dostrzegł jasny punkt latarni znajdującej się setki metrów stąd. Była to niewielka kropka mieniająca się w ciemności, ale to właśnie ona spowodowała, że dzięki niej dostrzegł teraz wyraźniej sylwetkę. Mężczyzna? Widział, że wykonywał jakieś ruchy. Nie był jednak w stanie powiedzieć, co robił.

Podszedł bezszelestnie jeszcze parę metrów, co zajęło mu ponad pół minuty. Był już około dziesięciu metrów od niego, choć w niemal całkowitej ciemności trudno było oszacować odległość. Gdyby nagle włączył latarkę, widziałby już wyraźnie twarz tego człowieka.

Teraz dopiero zastanowił się przez moment i ucieszył, że był sam. Nie dlatego, by ujęcie mordercy przypisać sobie, ponieważ to go w ogóle nie interesowało. Jemu zależało na czymś innym.

Kolejny metr. I jeszcze jeden. Dźwięki nie ustawały, słyszał coraz wyraźniej pojękiwania i inne odgłosy. A potem nagle usłyszał uderzenie. I znów kolejne, a następnie przyduszone pojękiwanie.

Zrobił następny krok. Wiedział, że przy takich rytmicznych uderzeniach nikt go nie usłyszy. Jedne dźwięki zagłuszały inne. Był już około pięciu metrów od celu. Delikatnie podniósł głowę, planując każdy ruch. Chciał też zbadać miejsce, w którym się znajdował, ale nie był w stanie. Za ciemno, zbyt zarośnięty teren. W niektórych miejscach trawa i krzaki osiągnęły ponad metr wysokości. Stracił już orientację i nie miał pojęcia, jaki przebył dystans, niemniej wiedział, że znajduje się w tak odległym miejscu, że nikt by tu mordercy nie usłyszał. Pomyślał jeszcze, że policjanci pod dowództwem Gawłowskiego musieli być w tym miejscu, musieli tędy przechodzić, ponieważ znajdowało się ono na trasie wyznaczonego przez nich szlaku, po którym – jak zakładali – musiał krążyć morderca. Ale coś przeoczyli.

Przykucnął i zaczął się skradać. Kilka kolejnych kroków zmniejszyło dzielącą ich odległość. Był gotów. Po kolejnym głuchym odgłosie postanowił działać. Odbezpieczył broń, sprawdził swoją pozycję i rzucił się do ataku.



Nie wydając żadnego dźwięku, zaatakował jak polujący drapieżnik. Podbiegł do stojącego przed nim mężczyzny i powalił go na ziemię. Uderzenie rozprędzonych dziewięćdziesięciu kilogramów było bardzo skuteczne. Zablokował wszelkie ruchy mężczyzny. Iwanowiczowi serce waliło z ogromną prędkością, adrenalina tak podniosła mu ciśnienie, aż słyszał szum w uszach. Przysunął broń do głowy mężczyzny. Mimo ciemności spostrzegł, że powalony człowiek był niski i miał okulary.

– Nie ruszaj się, bo ci łeb odstrzelę – powiedział cicho.

Obcy się nie poruszył. Głośno oddychał.

Komisarz włączył latarkę. Spojrzał na wystraszoną i zszokowaną twarz człowieka, na którym leżał. Mężczyzna miał ponad trzydzieści lat, może trochę więcej, gładko ogoloną twarz. I te same oprawki, które rozpoznał ze zdjęcia. Nie miał wątpliwości, że miał przed sobą Lenartowicza. Tuż obok leżało ciało dziewczyny.

– Nie ruszaj się, skurwysynu. Teraz powoli z ciebie zejde, ale jeśli drgniesz, jeśli tylko kiwniesz palcem, skończysz z kulą we łbie. Zrozumiałeś?

Lenartowicz kiwnął głową, nie odrywając spojrzenia od silnego strumienia światła.

Komisarz powoli puścił swoją ofiarę, przesunął się o kilka kroków w bok, cały czas celując w mężczyznę. Podszedł do leżącej dziewczyny i zbadał jej puls. Była zakrwawiona. Leżała na wymiętym worku foliowym. Już po jednym spojrzeniu wiedział, że to Maria Dębska, dziewczyna, która zaginęła kilka godzin temu. Nie doszła do swojej koleżanki Mai. Żyła. Otworzyła oczy. Wyciągnął telefon i wezwał pogotowie. Wytłumaczył szybko, w jaki sposób ratownicy medyczni mogą dojść w to miejsce, bo nie wiedział, czy był tu jakiś dojazd. Oszacował swoją pozycję na podstawie tego, którędy sam przeszedł, potem wziął pod uwagę wszystkie znajdujące się niedaleko punkty. Powiedział też, że gdy usłyszy zbliżające się sygnały pogotowia, błysnie kilkakrotnie latarką. Przekazał, że mają podjechać możliwie blisko rzeki. Od razu po skończeniu rozmowy zadzwonił do Gawłowskiego. Kazał przysłać radiowozy oraz techników. Trzeba było zbadać teren, bo niedaleko stąd musiał znajdować się samochód mordercy. A w nim zapewne dowody. Cała masa obciążających dowodów. Celując cały czas w mężczyznę i oświetlając go, ułożył dziewczynę na boku. Ponad minutę kontrolował jej puls, wytarł twarz z ociekającej krwi. Dostrzegł wiele ran tłuczonych, ale nie miała krwotoku. Chyba jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nawiązał z nią kontakt. Doznała szoku, ale urazy raczej były powierzchowne. Miała przy sobie telefon. Był wyłączony. Schował go do kieszeni. Włączył w swoim telefonie funkcję latarki i położył go przy głowie dziewczyny. Chciał ją cały czas widzieć. Poza tym dzięki światłu będzie się czuła pewniej.

– Zaraz przyjedzie pogotowie, wytrzymaj parę minut. Nic ci nie jest, jesteś tylko trochę potłuczona – pocieszył ją.

Upewniwszy się, że rytmicznie oddycha, wrócił do mężczyzny. Złapał go za rękę i przeciągnął ponad dziesięć metrów. Potem przystanął, sprawdził, czy wciąż widzi Marysię, pociągnął go

jeszcze dalej, już niemal pod samą rzekę. Wiedział, że z tej odległości nie będzie go słyszała. Szum rzeki stłumi wszelkie rozmowy. Kucnął nad nim i przysunął mu zimną lufę do twarzy.

– A teraz zabawimy się, tak jak ty zabawiałeś się z dziećmiakami.

Mężczyzna wybałuszył oczy. Wciąż zdawał się nie rozumieć i nie pojmować tego, co stało się niespełna dwie minuty temu. Wyskakujący z nieprzeniknionej ciemności policjant z bronią w ręku był ostatnim, czego się spodziewał. A później ten atak. I wtedy odtworzył w myślach coś, co wyparł z pamięci. Coś, co wydarzyło się kilka lat temu, i powtarzało się tak często, że już niemal zdążył do tego przywyknąć. Wtedy czuł się podobnie. To samo zaskoczenie, podobna przytłaczająca siła, blokowanie ruchów i podduszanie. Wydarzenia zatoczyły koło.

– Czy zabiłeś Patrycję Linkiewicz? – zapytał Iwanowicz cicho, ale z wyraźną groźbą w głosie.

Milczenie.

– Zabiłeś ją? – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Żadnej reakcji.

– Czekam pięć sekund, jeśli nie odpowiesz, odstrzelę ci palec. Jeśli dalej nie usłyszę odpowiedzi, odstrzelę kolejny. Zrozumiałeś, sukinsynu?

– Nie...

– Głośniej, nie dosłyszałem.

– Nie...

– Co „nie”? Nie powiesz mi czy po prostu jej nie zabiłeś?

– Nie zabiłem jej.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

– Szukałeś jej? Ścigałeś ją? Jechałeś za nią samochodem? Dzwoniłeś? Prześladowałeś? Co?

Milczenie. Czekał na odpowiedź kilka sekund.

– To przed tobą uciekła? Nie ma jej od wielu dni. Nikt jej nie może znaleźć. Zabiłeś ją i wrzuciłeś do rzeki jak pozostałe?

Mężczyzna wrzucił ramionami i przytknął oczy.

– Kłamstwo. A mnie nie wolno okłamywać.

Iwanowicz odłożył broń za siebie, w bezpiecznej odległości, by mężczyzna nie mógł po nią sięgnąć. Wziął zamach i z całej siły uderzył Lenartowicza w twarz. Z nosa chlusnęła struga krwi.

Zamachnął się i uderzył ponownie. Czuł, jak napinają mu się mięśnie. Potem uderzył otwartą dłoń. Zdjął z siebie bluzę, bo miał wrażenie, że pali go od środka. Emocje, wysokie ciśnienie i zmęczenie. Rozsadzała go adrenalina. Rzucił bluzę za siebie.

– Ty skurwysynu, zabiłeś dwoje niewinnych dzieciaków – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Gdzie jest Patrycja?

– Nie wiem...

– Mów!

– Nie wiem...

Wziął zamach i ponownie walnął go z całej siły.

– Czy ona żyje?

– Nie wiem...

Wziął zamach, ale spojrzał mu prosto w oczy i powstrzymał cios.

– Karol Brzeski. Jedenastolatek. Wyłowiliśmy go z rzeki ponad trzy tygodnie temu. Zabiłeś go?

Milczenie. Lenartowicz zamknął oczy.

– Zabiłeś go, skurwielu?!

Cisza.

– Liczę do pięciu.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. I wtedy Iwanowicz wymierzył kolejny cios w sam środek rozkrwawionego nosa. Mężczyzna jęknął z bólu i zaczął wierzgać bez opamiętania. Iwanowicz mocniej przycisnął go do ziemi. Mężczyzna po chwili uspokoił się i tylko ciężko sapał.

– Zabiłeś go, ty pierdolony zwyrodnialcu?

Brak odpowiedzi.

Pięć komisarza była cała we krwi. Zmienił pozycję. Usiadł okrakiem na jego brzuchu. Zdawał sobie sprawę, że tamtemu trudniej będzie oddychać, ale o to chodziło.

– Daj jakiś znak. Jeśli nie, to cię utopię. Dlaczego im to zrobiłeś? Powiedz! Powiedz, dlaczego im to zrobiłeś – powtórzył, potrząsając nim.

Leżący tuż przy brzegu mężczyzna pokręcił głową.

– Co? Co chcesz powiedzieć?

– Zni...

– Co?

– Znisz...czy... – wysapał i przestał mówić.

– Wyraźniej, nic nie słyszę. Powtórz. Zastanów się, co chcesz powiedzieć, od tego zależy twoje życie. Powiesz prawdę, przeżyjesz. Skłamię, umrzesz.

Komisarz czekał. Przypomniał sobie w tej samej chwili swoje rozmowy z anatomopatologiem, który robił sekcję zwłok Karola Brzeskiego oraz Dominiki Łaszkiwicz. Przed oczami miał ich sine twarze i poturbowane ciała. Przyczyną ich zgonu była śmierć przez utopienie. Wcześniej dzieci były bite, może nawet torturowane. I właśnie wtedy, trzy tygodnie temu, gdy Zalewski zadzwonił do Iwanowicza z informacją o wynikach sekcji zwłok Karola, lekarz powiedział, że chłopiec przed śmiercią bardzo cierpiał. Został bestialsko skatowany, a później wrzucony do rzeki. W nocy. Nie miał sił, by wypłynąć na powierzchnię. Zmarł w wodzie. Utonął w ciszy i samotności. To samo spotkało Dominikę, której dodatkowo morderca związał ręce. Po to, by nie mogła się w żaden sposób uratować. Nawet gdyby nie była pobita, i tak by zmarła na skutek uduszenia. Nie miała szans. Tym bardziej jedenastoletni Karol. Jedyne dziecko swoich pograżonych w żałobie rodziców, którzy opłakiwali go od tygodni. Najpierw jego zaginięcie, następnie wiadomość o tragicznej śmierci. Został pochowany, ale jego śmierć nigdy nie zostanie zapomniana. Już do końca życia Iwanowicz będzie pamiętał obraz zrozpaczonych rodziców. I na zawsze zapamięta ten smutek, który zapanował w mieście na wieść o kolejnym morderstwie.

Teraz komisarz patrzył głęboko w oczy oprawcy tych dzieciaków. Wtedy, gdy rozmawiał z Zalewskim, ich rozmowę zakończył słowami, że dorwie tego, kto odpowiadał za śmierć tych dzieci. Zrobi wszystko, by cierpiał tak jak one. Obiecał sobie, że wymierzy sprawiedliwość.

– Powiedz coś, nim cię zabiję – wysyczał. Oczekiwał, że odpowiedź nie nadejdzie, ale pomylił się. Leżący pod nim mężczyzna wycharczał:

– Oni...

Mężczyzna ciężko dyszał, a klatka piersiowa poruszała się w przyspieszonym tempie.

– Co oni?

– Zro...bili... mi zdjęcia...

– Jakie? Jakie ci zrobili zdjęcia?

Mężczyzna zamilkł. Policjant czekał, ale odpowiedź nie nadeszła. Uderzył go po raz kolejny w twarz. Nos Lenartowicza stawał się masą zmiądzonych chrząstek. Twarz zalewała krew, która lśniła w jasnym świetle. Komisarz cały czas go oślepił latarką. Zdawał sobie sprawę, że Lenartowicz od chwili ataku, który nastąpił parę minut temu, mógł nawet nie widzieć jego twarzy. Atak nastąpił zbyt gwałtownie, a później cały czas mordercę oślepiła latarka.

– Jeśli nie powiesz...

– Zrobili... Zrobili mi zdję...cia... – wysapał powoli. Chciał wytrzeć krew, ale nie mógł, bo Iwanowicz blokował mu ręce.

– Kto?

– Wtedy... na wy...ciecz...ce...

– Jakie zdjęcia, na jakiej wycieczce?

– Zaczę...łem się do...bierać... do... Ka...ro...ła. – Dyszał, mówiąc po jednej sylabie.

Komisarz pokręcił głową. Moment. O co tu chodzi? Nie przyswoił tego, choć zrozumiał wypowiedziane niewyraźnie słowa.

– Co? Coś ty powiedział?

– Zdjęcia... Ma...ją gdzieś mo...je zdję...cia...

– Jakie zdjęcia?

– Z nim...

– Ty pierdolony pederasto, molestowałeś Karola? Tak?!

Mężczyzna zamknął oczy i po chwili je otworzył, jakby próbował otrząsnąć się z tego koszmaru. W napływie zdenerwowania komisarz uznał to za potaknięcie.

– Poczekaj, poczekaj. Te dziewczęta wtedy na tej wycieczce przyłapały cię, tak? Przyłapały cię na molestowaniu Karola? Gdzie to było? W jego łóżku? Zakradłeś się do niego do pokoju czy zrobiłeś to pod prysznicem? A może w kiblu?

– W ł...zien...ce – wymamrotał i nagle zaczął się cały trząść. Dygotał tak przez kilka sekund. Komisarz nawet na to nie zwrócił uwagi, odwrócił głowę i zapatrzył się na gęste krzaki. Musiał przetrwać to wszystko. Zastanawiał się, jak do tego doszło. A więc wtedy na tej wycieczce. To zdjęcie, które widział, miał i dokładnie zapamiętał, zostało zrobione zapewne chwilę przed tym. Wszyscy byli na nim uśmiechnięci, ale być może tego samego dnia to się zdarzyło. To coś. Pamiętał słowa ojca Karola, że wycieczka była pod koniec maja. A potem czerwiec. Miesiąc, w którym zmieniło się zachowanie Dominiki Łaskiewicz. Parę tygodni później Patrycja Linkiewicz zaczęła wyciągać pieniądze z konta. Już wtedy czuła, że niebawem wydarzy się coś niedobrego. Żyli od tamtego czasu zapewne w jakiejś tajemniczej zмовie, bo się bali.

Iwanowicz spojrział na mężczyznę. Nie umiał sobie poradzić z tą sytuacją, ale żeby zapanować nad sobą, wziął kilka głębokich wdechów. Nic to nie dało. Okej, myśl i staraj się działać metodycznie, powiedział do siebie.

– Byliście na wycieczce. Dorwałeś w nocy Karola w łazience, zacząłeś go molestować, tak? Dotykałeś go, całowałeś, zmuszałeś do innych rzeczy... A może siebie kazałeś dotykać... Dobrze mówię?

Mężczyzna poruszał głową, cały czas patrząc to w światło latarki, to w miejsce, w którym powinna znajdować się twarz policjanta. Ale ponieważ nie widział jej, błędził tylko wystraszonymi oczami, szukając jej na próżno.

– Zmuszałeś małego niewinnego chłopca do tego, by cię dotykał, groziłeś mu, że jeśli tego nie zrobi, to będzie miał... nie wiem, złe oceny, nie skończy tych pierdolonych zajęć, czy cokolwiek innego, tak? Groziłeś mu, że jeśli to się wyda, to go w jakiś sposób zniszczysz? Czy dobrze mówię?

Mężczyzna wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział.

– A potem, gdy nie dawałeś mu spokoju, dowiedziałeś się od niego, że są zdjęcia... Że wtedy kto inny zrobił wam zdjęcia, jak go obmacujesz? I mieli na ciebie haka...

Lenartowicz kiwnął głową.

I wtedy padł kolejny cios. Mocny, który z nosa zrobił niemal całkowitą miazgę. Brunatna krew lała się na ogoloną twarz i spływała aż na szyję. Wyglądał jak na wpół martwa kukła.

– I dlatego zacząłeś mordować te dzieci, tak? Po kolei. Zacząłeś od Karola, bo to on był głównym ogniwem tego wszystkiego, od niego wszystko się zaczęło. Potem, gdy Patrycja dowiedziała się, co się wydarzyło, uciekła z domu, bojąc się, że spotka ją to samo. A gdy nie byłeś w stanie jej odnaleźć, zająłeś się Dominiką. Po kolei eliminowałeś wszystkich...

Mężczyzna zamknął oczy. Policjant uderzył go otwartą dłonią w skroń.

– Ty degeneracie, nie powinieneś żyć.

Ponownie uderzył z całej siły i przeszła go gwałtowna fala bólu. Spojrzał na swoją krwawiącą dłoń. Zmienił rękę i zaczął tłuc Lenartowicza lewą ręką, ale było mu niewygodnie. Twarz Lenartowicza przypominała czerwoną maskę. Tylko białka oczu przypominały, że ta krwawa miazga była obliczem żywej istoty. Ale nie człowieka, lecz zwierzęcia, które zamordowało dwie osoby. Trzecia o krok uniknęła śmierci. Czwarta zniknęła i nikt nie wiedział, gdzie jest. Nikt.

Białka zniknęły pod powiekami. Mężczyzna próbował zamknąć oczy, jakby to miało go uchronić przed ciosami. Tylko to był w stanie zrobić. Wiedział, że był na straconej pozycji. Nie miał szans z rozwścieczonym policjantem, który zrobił z niego worek treningowy.

Komisarz wymierzył mu kolejne ciosy, a potem zaczął tłuc go po klatce piersiowej. W pewnej chwili mężczyzna wypluł z siebie fontannę nagromadzonej w ustach krwi, oblewając Iwanowicza. Ten tylko przetarł ją z oczu i wstał. Przesunął jeszcze dalej glocka, by znajdował się w bezpiecznej odległości, i poświecił na ciało mordercy. Oddychał. A więc żył, choć przez moment bał się, że go wykończył. Podeszedł do rzeki, ale cały czas miał oko na Lenartowicza. Umył twarz, opłukał ręce, wytarł się o koszulkę i wrócił na miejsce. Potem zrobił kilka kroków w kierunku dziewczyny. Zobaczył, że miała otwarte oczy, mrugała i ruszała się. Popatrzył na podświetlaną tarczę zegarka. Minęło osiem minut od jego telefonu na pogotowie, lada chwila powinni się tu zjawić. A wraz z nimi policja.

Leżący kilka metrów od brzegu mężczyzna sprawiał wrażenie na wpół martwego. Wszędzie dokoła wsiąkała jego krew. Mieniała się czerwienią i błyszcząca w świetle latarki. Ubrany był w brązowe spodnie sztruksowe i czarną koszulkę. Nie miał przy sobie żadnej broni, co już wcześniej zdążył sprawdzić Iwanowicz. Musiał pochować swoje rzeczy. Najprawdopodobniej w stojącym na uboczu samochodzie.

Komisarz stał z rękami na biodrach. Pokiwał głową i prychnął z niedowierzaniem. Podeszedł bliżej mężczyzny i uklęknął nad nim.

– Maria miała zginąć tak jak Karol, tak? Miałeś zamiar pobić ją do nieprzytomności i wrzucić do rzeki. Ale ją uratowałem i pokrzyżowałem ci plany. Jesteś zawiedziony, że przerwałem twój diabelski plan? Czy chociaż przez sekundę zastanowiłeś się, sukinsynu, jak to jest umierać w męczarniach pod wodą? Zastanawiałeś się? Doświadczyłeś tego? Czy uważasz, że oni wszyscy na to zasłużyli, bo ty okazałeś się pierdolonym zbokiem, a oni mieli na to dowody?

Mężczyzna próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Krztusił się własną krwią.

– Gdybym tu nie przyjechał, to pewnie jutro albo za parę dni wezwano by mnie nad rzekę, bo ktoś znalazłby kolejne ciało. Wędkarz, a może bawiące się dzieci. A ty byś polował na kolejną osobę. Na kogo? Na Weronikę? Tak, tylko ona i Patrycja ci zostały. Tylko one wiedziały... A przecież musiałeś dokończyć swój plan i wykończyć wszystkich... Zastanawia mnie jeszcze, jak mogłeś nie przewidzieć tego, że oskarżenie padnie na ciebie? Aż tak jesteś głupi? – zapytał, bo chciał poznać tok myślenia zwyrodnialca.

Czekał przez moment na odpowiedź, ale się nie doczekał. Złapał go za rękę i przeciągnął ciało nad samą rzekę. Lenartowicz nie stawiał oporu, nie był w stanie. Był zbyt pobity, by cokolwiek robić. Iwanowicz jednak robił wszystko, by ofiara nie traciła przytomności. Przysunął go pod sam brzeg i ułożył równolegle do linii wody. Znajdował się kilkanaście centymetrów od krawędzi. Jedno kopnięcie i potoczyłby się do rzeki. Postawił nogę na jego ciele. Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Nie wiesz, co znaczy umierać pod wodą. Wszędzie tylko ciemność i ta przekłeta cisza, nie wiesz, co oznacza, gdy nie możesz się ruszyć... nie rozumiesz. Twoje ciało idzie pod wodę, a ty nie możesz nic zrobić. Nie możesz się temu przeciwstawić, bo ono zaczyna sztywnieć... ciało pod wodą nieruchomieje. Staje się drętwe, mniej elastyczne... powstrzymujesz się przed wzięciem oddechu. Walczysz z odruchem. Ale po chwili odruch bierze górę i po parunastu sekundach wypuszczasz z płuc resztki powietrza... zaczynasz wciągać wodę. To normalne, bo to taki odruch, którego się nie pozbędziesz... Jest jak mrugnięcie oczu przed zbliżającym się ciosem. Z odruchami przychodzimy na ten świat, choć nie jesteśmy ich świadomi, i towarzyszą nam przez całe życie. Człowiek jest łapczywy... więc próbuje zrobić wdech, ale zamiast powietrza wlewa ci się powoli woda do płuc, a ty zaczynasz się krztusić... Organizm broni się przed wpuszczeniem wody do płuc, więc zaczynasz ją połykać. Woda zaczyna rozlewać się po całym wnętrzu, wpływa do dróg oddechowych, do płuc... wpadasz w panikę. A wtedy lądujesz w sidłach śmierci. Nim minie parę chwil, zatrzymują się wszelkie czynności oddechowe. I to już jest praktycznie początek końca. Po chwili jesteś nie do uratowania. Kończy się twoje życie. Ginasz w ciszy, niesłyszany przez nikogo... ale ja cię będę słyszał. Albo wyobrażę sobie twój krzyk...

Iwanowicz poruszył silniej nogą. Jeden ruch.

– Nie... prosz... – wybulgotał, a z jego ust wylała się kolejna porcja krwi.

– Zznam, że uciekałeś. Potknąłeś się i wpadłeś do rzeki. Te ślady na twojej mordzie będą wynikać z licznych uderzeń o kamienie z dna rzeki. Lekarz nie dopatry się nieprawidłowości. Po kilku dniach albo tygodniach twoje zwłoki zostaną wyłowione z rzeki, może gdzieś na śluzach przy zatoce we Wrzeszczynie, a może dopiero w Jeziorze Pilchowskim, kto wie. A może nigdy. Ale zanim umrzesz, poczujesz, jak smakuje jeden z najgorszych rodzajów śmierci – przez utopienie. Poczujesz to. A co się stanie ze mną? Będę przesłuchiwany przez prokuraturę. I to pewnie nie raz, ale obronię swoją wersję. Dlaczego ktoś miałby w to nie uwierzyć? Jestem



doświadczonym policjantem, mam duże zasługi, niezłą opinię. Ty jesteś mordercą dzieci. Są uwiery w moją wersję... Tak, do dobry plan.

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale nie był już w stanie.

Nagle komisarz usłyszał w oddali sygnał karetki pogotowia. Dostrzegł migające światła sygnalizacyjne. Auto próbowało wjechać na pole, potem jednak przystanęło. Zapewne nie wiedzieli, w które miejsce mają jechać.

Spojrzał po raz ostatni na Lenartowicza. Jedno popchnięcie. Jedno silne kopnięcie i zniknąłby z tego świata. Popatrzył w niebo. Na jednej połowie nieba migotały gwiazdy, ale z lewej strony napływały grafitowe chmury. Nie wiedział, co to znaczy. Czuł jednak, że owo rozpołowienie się nieba ma jakiś wyraz symboliczny. I że wcześniej czy później zrozumie, co ono oznacza.

Wziął swoją bluzę, pobiegł do leżącej Marysi i zaczął machać na boki latarką. Karetka była jakieś trzysta metrów od nich. Zauważył, że ruszyli w ich kierunku. Po jakimś czasie, jadąc ostrożnie po zarośniętej łące, dotarli na miejsce. Ze środka wybiegło dwóch ratowników oraz lekarz. Szybko ułożyli dziewczynę na noszach.

Iwanowicz przywitał się z kierowcą karetki. Komisarza znało wielu pracujących w jeleniogórskim pogotowiu ratowników medycznych.

– Tam – pokazał za siebie palcem – tuż nad rzeką, macie jeszcze jednego rannego. Zaraz będą nasi. Pilnujcie go, to morderca, choć na pewno nie będzie miał sił, żeby cokolwiek jeszcze zrobić. Trochę się poobijał.

Gdy usłyszał nadjeżdżające radiowozy, podszedł do skulonej Marysi, która siedziała bokiem na noszach pogotowia.

– Wiesz, gdzie jest Patrycja?

Marysia nic nie mówiła. Spojrzała na niego i pokręciła głową. Nie wiedziała.

– Żyje?

Dziewczyna przytaknęła.

Gdy na miejsce wjechał pierwszy radiowóz na sygnale, Iwanowicz był już w drodze do samochodu.

Biegł szybko przed siebie. Po dziesięciu, może piętnastu minutach dotarł na miejsce. Wsiadł do auta i zamknął oczy. W samochodzie poczuł się bezpieczniej. Szczelne drzwi oddzieliły go od tego, co działo się na zewnątrz. Zapach skórzanych foteli, znane kształty. Potrzebował tego, by się uspokoić. Serce waliło mu jak oszalałe. Spojrzał na zegarek. Było siedem minut po północy. Czas pędził, ale nie było jeszcze za późno.

Napisał wiadomość: „Zabójca złapany. Maria Dębska jest cała i zdrowa” i wysłał ją do komendanta oraz do Małgorzaty Winiarskiej.

Wyciągnął z kieszeni telefon dziewczyny i włączył go. Przejrzał listę ostatnich połączeń. Jedna z ostatnich rozmów, opisana jako „P7”, odbyła się dziś po południu. Komisarz wszedł w dane kontaktu. Numer nic mu nie mówił. Ani Karol, ani Dominika nie mieli go w swoich kontaktach, boby to zapamiętał. Sprawdził skrzynkę odbiorczą, ale była pusta. „P7”. Czyżby Patrycja tak często zmieniała numer telefonu, że Marysia oznaczała je cyframi. P1, P2 i kolejnymi, a poprzednie numery kasowała, gdy tylko Patrycja pozbyła się karty? Czyżby zmieniła numer siedem razy? Dziewczyna dysponowała gotówką, więc mogła nieustannie zmieniać numery telefonów, bojąc się, że ktoś ją namierzy. Kontaktowała się tylko z koleżankami. Jedna z nich straciła życie, druga o włos też skończyłaby tragicznie. Patrycja, co oczywiste, bała się o swoje

życie. Uciekając przez bezwzględny zwyrodniałcem eliminującym wszystkich, których połączyła zмова milczenia. I wspólna tajemnica.

Ona jedyna mogła uciec, więc to zrobiła. Miała wystarczająco dużo pieniędzy, by zniknąć, a potem ujawnić się, gdy wszystko się skończy. Ale skąd mogła wiedzieć, że to się kiedykolwiek skończy? Co by zrobiła, gdyby to trwało miesiącami?

Najsmutniejsze było to, że żadne z dzieci nie miało odwagi powiadomić o tym kogoś innego. Policję, rodziców, nauczycieli. Wywnioskował, że bali się, że jeśli prawda wyjdzie na jaw, to nie zostaną odpowiednio uchronieni przez mścicielem. Siła zmony milczenia. Niestety, była to tragiczna naiwność młodych ludzi, którzy nie ufali swoim opiekunom. Dlaczego tak się stało?

Wyjął ze schowka apteczkę i owinął bandażem prawą ręką. Z wszystkich czterech kostek zeszała mu skóra i wciąż sączyła się krew. Gdy zrobił solidny opatrunek, włączył silnik i ruszył gwałtownie przed siebie, wzniecając tumany kurzu.

Wybrał jeden z ostatnich numerów z telefonu Marii i czekał na połączenie. W słuchawce usłyszał kilka sygnałów, ale nikt nie odbierał. Rozłączył się po dziesięciu. Po chwili zadzwonił ponownie, ale znów bez rezultatu. Jadąc, zastanawiał się, dlaczego dziewczyna nie odbierała od jedynej osoby, z którą się kontaktowała w ostatnich dniach. Być może bała się, że telefon Marysi przejął Damian Lenartowicz, więc była ostrożna. Zapewne w obliczu tragicznych wydarzeń musiała wzmocnić czujność. Może w czasie swojej ostatniej rozmowy umówiły się na jakiś znak? Liczba sygnałów, tylko wyznaczona godzina? Mnogość tworzenia umówionych znaków była praktycznie nieskończona, więc przestał o tym myśleć. Wiedział, że na pewno była na bieżąco ze wszystkimi wiadomościami na temat tego, co działo się w Jeleniej Górze oraz z bliskimi jej osobami. Zapewne dowiedziała się też, że i Marysię prześladował w ostatnich dniach. Tym bardziej mogła ją dziwić godzina połączenia, było po północy. Zapewne bała się, że chce ją zwabić, co było zrozumiałe.

Chwilę się zastanawiał, jak to rozegrać. Miał kilka pomysłów, ale wybrał najprostszy z możliwych. Zatrzymał się i napisał wiadomość: „Lenartowicz został złapany przez policję, jesteście już bezpieczni. Marysia jest na pogotowiu. Komisarz Marek Iwanowicz. Zadzwoń do rodziców lub na policję. Potwierdzą moją tożsamość. Oddzwoń pilnie”.

Gdy wyjechał z ulicy Karłowicza, zatoczył koło i wjechał w ulicę Jana Pawła II. Przejechał wiadukt. Pomyślał o zwyrodniałcu w kajdankach. Oczami wyobraźni widział, jak zakuty i prowadzony przez Gawłowskiego i Jaworskiego przechodzi obok karetki pogotowia, patrzy w oczy Marysi Dębskiej. Spogląda na dziewczynę, którą wciąż pragnął zabić. A potem, popychany przez podkomisarza, słaniający się na nogach, ociekający krwią, idzie dalej, do radiowozu, który wywiezie go w inne miejsce. Do innego świata. Tam gdzie nikt się nie będzie nad nim litował, do miejsca, gdzie czeka go prawdziwe piekło.

Zasłużył na to.

Iwanowicz zastanawiał się, czy to, co stało się kilkanaście minut temu, mógł nazwać wymierzeniem najsroźszej kary. Czy śmierć nie byłaby wybawieniem? Teraz czeka go znacznie gorszy los. Bo cóż takiego człowieka może spotkać w murach więziennych? Jechał, nie zważając na stojące w kolejce samochody. Przyhamował i wjechał prawym kołem na chodnik, by je ominąć. Dotarł w ten sposób do skrzyżowania, niedaleko miejsca, w którym kamery monitoringu nagrały Patrycję. Jeszcze zwolnił i przejechał na czerwonym świetle. Nawet nie chciał myśleć,

który to już byłby dzisiaj mandat. Teraz pozostało mu znaleźć dziewczynę. Wszelkie pozostałe tematy do rozmyślań zostawił na później.

Zatrzymał się na stacji benzynowej. Zatankował do pełna i poszedł zapłacić. Od razu wzbudził zainteresowanie kasjerów. Wyglądał nieciekawie: na nogach miał brudne buty sportowe, zakrwawioną jasną koszulkę, zabandażowaną dłoń oraz kaburę z bronią. Wyglądał, jak kiler po wykonaniu brutalnej egzekucji. Nie spuszczała go z oczu. Iwanowicz krążył między półkami. Kupił wodę mineralną, kilka batonów, gumy do żucia. Przy kasie zamówił hot doga i kawę. Miał wrażenie, że wzbudzał mieszane uczucia, ale nie miał ochoty tłumaczyć się komukolwiek ze swojego dwuznacznego wyglądu. Co więcej, był tak napompowany adrenaliną, że był w stanie eksplodować ze złości, gdyby tylko ktoś zwrócił mu uwagę lub zadał zbędne pytanie. A potem zdał sobie sprawę, że gdyby był na ich miejscu, również przyglądałby się podejrzanemu typowi z bronią i w zakrwawionym ubraniu. Gdy czekał na posiłek, pracownik stacji patrzył to na broń, to na zbrązowiałą krew, uszkodzoną prawą rękę owiniętą bandażem, masywne i umięśnione ciało. W tym widoku nic mu się nie zgadzało. Patrzył prosto w oczy pracownikowi, ale nie odezwał się słowem.

Po pięciu minutach wrócił z gorącym kubkiem kawy do samochodu. Usiadł i włączył radio. W Muzycznym Radiu leciała popularna audycja Strefa 89, w której puszczano najlepsze hity lat 80. Dla ludzi w jego wieku była to audycja odgrzebująca stare czasy. Prowadzący zapowiedział piosenkę Richarda Marxa.

Wyjechał ze stacji i kierował się w stronę ulicy Spółdzielczej. Po paru chwilach minął dawną fabrykę ZREMB. Po zjeździe z ronda skierował się w stronę Cieplic, dawnego miasta pod Jelenią, a dziś jego dzielnicy. Obrął kierunek, w którym poszła Patrycja. Jechał jej śladem, choć wiedział, że niebawem się on urwie i nie będzie widział, dokąd skierować się dalej.

Słuchał piosenki, gdy nagle w kabinie auta zrobiło się jasno. Dzwonił telefon Marysi Dębskiej. Na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Połączenie: P7”. Przyhamował, ale się nie zatrzymywał.

Uśmiechnął się i upił kawy.

Przesunął zieloną słuchawkę i odebrał telefon.



Nikt się nie odezwał.

– Patrycja? – zapytał możliwie łagodnym i przyjaznym tonem.

Nikt mu nie odpowiedział, więc postanowił, że musi chwilę poczekać, a potem gdy już się odezwie, to będzie musiał z nią rozmawiać jak najdelikatniej. Zapewne nie wiedziała i nie wierzyła, że jest już bezpieczna, bo skoro podjęła tak poważną walkę o przetrwanie, trudno było pozbyć się w parę minut nieufności wobec wszystkich znajomych, a tym bardziej wobec nieznanym. Wiedział doskonale, ile czternastolatka z jeleniogórskiego gimnazjum przeżyła w ostatnich dniach. Ponad tydzień poza domem. Uciekła, ponieważ bała się Damiana Lenartowicza. I nie tylko ona, w sumie kilka osób musiało się z nim zmierzyć. Bała się powiedzieć rodzicom, co jej grozi. Bała się, że zdjęcia, którymi dysponowali, zmienią ich życie w piekło; że Lenartowicz będzie się mścił i próbował za wszelką cenę ich zabić. A wszystko po to, by nie mogli nikomu powiedzieć o tym, co wydarzyło się przeszło dwa miesiące temu.

– Nazywam się Marek Iwanowicz, jestem...

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu.

– Dzwoniłaś do rodziców?

– Zadzwoiłam anonimowo na policję. Poprosiłam pana do telefonu.

Zrobiła to, co jej podpowiedział, ale sądził, że gdyby tego nie zrobił, to i tak znalazłaby sposób, by go sprawdzić. Nie mógł zapominać o tym, że była sprytna.

– Już teraz mi wierzysz?

– Czy naprawdę Mania jest bezpieczna? – zapytała, zmieniając temat.

– Tak, widziałem ją piętnaście minut temu. Uniknęła śmierci. Uratowałem ją w ostatniej chwili. Tak mi przykro, Patrycjjo, że to wszystko was spotkało... Że...

– Uciekłam, nie miałam innego wyjścia.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumie pan, on nas wszystkich szantażował. Gdy tylko to się wydarzyło... – Mówiła szybko, precyzyjnie dobierając słowa. Miała zdecydowany głos, ale czuć było jednocześnie, że była przerażona i zmęczona. – Powiedział, żebyśmy trzymali gęby na kłódkę, inaczej się z nami rozprawi raz na zawsze. Codziennie, niemal każdego cholernego dnia przypominał nam, żebyśmy się zastanowili nad tym wszystkim. Bo jeśli nie, to zmieni nasze życie w piekło. Dosłownie. Że ono piekłem się stanie, jeśli postanowimy cokolwiek zrobić.

– Co zrobić?

– Oczywiście pokazać te zdjęcia komu trzeba. Rodzicom, nauczycielom, policji – odpowiedziała bez zastanowienia. – Było kilka fotek, stanowiły dowód, bo nikt by nam nie uwierzył na słowo. Było nas parę osób, trochę taka przypadkowa grupa. Nigdy wcześniej się nie przyjaźniliśmy. Połączyła nas... Boże, nie wiem, jak to nazwać, bo przecież nie przyjaźń.

– Coś w rodzaju paktu, w którym każdy z was musiał dochować tajemnicy.

– Tak. Trzymaliśmy się razem. Nic innego nie mogliśmy zrobić.

Iwanowicz przyhamował. Jechał prawym pasem niewiele ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Starał się słuchać opowieści dziewczyny, nie chciał, by coś mu umknęło. Czuł, że wreszcie mogła się komuś wypowiedzieć z najgłębszej tajemnicy. Słyszał to w jej głosie. Nigdy wcześniej z nim nie rozmawiała ani nawet nie wiedziała, jak wygląda, mimo to czuła, że musi wyjaśnić wszystko od początku. I owszem, Patrycj, pomyślał, mogliście coś zrobić, ale nie potrafiście. Nie odważyliście się na to, bo się baliście. Strach przysłonił wam racjonalne myślenie. Kierowała wami obawa, ogromna obawa, że jeśli policja nic z tym nie zrobi, on zemści się na was. Pomyślał też, że w konsekwencji ich działania doprowadziły do śmierci dwojga dzieciaków. Trzy dziewczyny się uratowały. Część uczestników paktu przetrwała, ale nie wszyscy. Nikt nie potrafił ocenić, które z rozwiązań było dobre, a które złe. On sam też nie umiał tego zrobić; bo co w tej sytuacji, w której znalazło się pięcioro nastolatków, było najważniejsze? W sytuacji, w której dominowało poczucie strachu spowodowane prześladowaniem. Obawiali się o swoje życie i postanowili zachować wszystko w tajemnicy.

– To, co spotkało Karola... Potraktowaliście jako ostrzeżenie?

– Tak mieliśmy to rozumieć. Kazał nam zamknąć mordy, dosłownie, i oddać wszystkie zdjęcia, a potem zapomnieć o tym, co widzieliśmy. Jeśli się dostosujemy, to nic nam nie zrobi. Oczywiście trudno było zachować wtedy spokój. Powiedział, że wiele lat temu unieszkodliwił swojego brata i kuzyna. Obaj zostali kalekami na całe życie. Pokazał nam ich zdjęcia. Wyglądali na całkowicie unieruchomionych. Rozumie pan? Dziś są kalekami. Nie powiedział dokładnie, co im zrobił, nie powiedział również, dlaczego to zrobił, ale dał nam do zrozumienia, że spotka nas o wiele gorszy los. Uwierzyliśmy mu... Powiedział, że policja nic mu nie zrobi. Tak jak wtedy, gdy uznali to za nieszczęśliwy wypadek. Do dziś podobno nikt nie wie, co stało się z jego braćmi. Ale ja wiem, że upozorował wypadek. Powiedział nam to.

– Ale coś się jednak stało, że Karol zginął. Nie zachowaliście milczenia.

– Tak, Karol miał już tego dość. Powiedział mu, że opowie to wszystko rodzicom, pójdzie na policję. Poparliśmy go... Było to jeszcze w te wakacje. Dzień później Karol zniknął w tajemniczych okolicznościach. A po paru dniach...

– Policja wyłowiła jego zwłoki z rzeki.

– Tak. I wtedy zaczęliśmy otrzymywać SMS-y z pogrozkami. „Lepiej się zastanów... Zapomnijcie o wszystkim... Teraz twoja kolej...”. Było ich dosłownie dziesiątki, część z nich pokasowałam, część dostawały inne koleżanki. Nie wiedziałyśmy, co robić. Czy kasować, czy je zostawić jako dowód. Byłyśmy zrozpaczone, zszokowane... Już od jakiegoś czasu szykowałam się na najgorsze.

– Czyli co?

– Między innymi wyciągnęłam pieniądze z konta i zaczęłyśmy zmieniać numery. Chciałyśmy zostać kompletnie anonimowe, by nikt nas nie namierzył, bo kiedyś, gdy zorientował się, że mamy inne numery niż te, które znał, powiedział nam, że wie, jak można namierzyć telefon, więc obawiając się o swoje życie, robiłyśmy to tak często, jak się dało. Nie wiem, czy to była prawda i czy wiedział, jak to się robi, bo niby jak miałam to sprawdzić? Bałyśmy się, proszę zrozumieć, po tym, co się stało z Karolem... Wiedzieliśmy, że trzeba się bronić. Na wszelki możliwy sposób. Sama już nie wiem, czy to było dobre.

– Ale wasi rodzice niczego nie zauważyli. Żadnych problemów, żadnej zmiany zachowania...

Wydawało mu się, jakby dziewczyna wzruszała ramionami, mimo iż jej nie widział.

– Nie zauważyli, bo tak chcieliśmy. To była gra. Gra o przetrwanie...  
– Patrycjjo...  
– Słucham?  
– Już czas, żebyś zadzwoniła do swoich rodziców. Czekają na ciebie. Praktycznie do dziś nie wiedzieliśmy, czy żyjesz.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Zaczęła się zastanawiać, a może coś zwróciło jej uwagę. Słyszał jednak, że nie przerwało połączenia.

– Jestem w Jeleniej Górze – powiedziała wreszcie. – Niedaleko, ale wciąż się boję.  
– Nie bój się, Lenartowicz jest już w rękach policji. Nie jest w stanie już wam nic zrobić. Wierz mi.

– Gdzie on teraz jest?  
– W odosobnieniu... Muszę ci powiedzieć, że nie umiałem się powstrzymać. – I teraz zaczął się zastanawiać, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze. Wyjawić tej biednej i skrzywdzonej dziewczynie tego, co stało się pół godziny temu. – Nie wiem... Boże, nie wiem, ilu osobom to powiem, może tylko tobie, może tylko mamie Dominiki oraz swojemu przełożonemu. Ale... Nie umiałem się powstrzymać, czułem się tak, jakby skrzywdził moje własne dziecko. Nie umiałem po prostu go aresztować. Zrobili to za mnie.

– Chryste, co pan chce powiedzieć? – spytała poważnie przejęta, a głos brzmiał jak u dorosłego.

Komisarz głośno i wymownie westchnął, zmieniając temat. Uznał jednak, że nie powinien jej niczego mówić.

– Gdzie teraz jesteś?  
– W opuszczonym szpitalu w Cieplicach.  
Iwanowicz skinął głową, ale nie mogła go przecież ani widzieć, ani słyszeć. Zrobił to odruchowo. Doskonale znał to miejsce. Od wielu lat szpital dziecięcy był opuszczony i popadał w ruinę. Losy tego miejsca były tak samo tragiczne jak wielu budynków w mieście, jednakże to zdawało się mieć o wiele tragiczniejszy wydźwięk – chodziło w końcu o miejsce szczególne. O szpital dziecięcy.

– Będę tam za dziesięć minut. Czekaaj przy wyjściu, zobaczysz czarne volvo kombi.  
Rozłączył się i przyspieszył. Współczuł jej. Czternastolatka, która przypadkowo zostało dotknięta przez los tylko dlatego, że zapisała się na dodatkowe lekcje prowadzone przez zwyrodnialca, który czyhał na dzieci, stała się również osobą, której omal nie powierzył prawdy o tym, co naprawdę się stało nad rzeką. Takich rzeczy nie powinien nikomu mówić. Wiedział, że ze swojego ataku na Lenartowicza będzie musiał się wytłumaczyć. Zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka. Dziesiątki razy wyciągał Gawłowskiego z podobnych opresji, a teraz sam będzie musiał się bronić. Wiedział jednak, że ta czternastolatka była dojrzała niż tysiące innych nastolatków mieszkających w tym mieście.

Po dziewięciu minutach zajechał pod zrujnowany szpital w Cieplicach. Był to duży żółty budynek. Włączył długie światła i zatrąbił kilka razy. Dla pewności zadzwonił na jej komórkę. Trzy minuty później dostrzegł w oddali dziewczynę. Wyglądała tak samo jak przed siedmioma dniami. Obejmowała się ramionami. Było jej zimno. Na widok Iwanowicza przystanęła, przyjrzała mu się dokładnie, a potem podeszła bliżej. Objął ją delikatnie. Przez ułamek sekundy miał poczucie, jakby znał ją od dawna.

– Wiem, co wycierpiałaś. Ale jesteś już bezpieczna.

Po chwili odsunęła się od niego, gdy dostrzegła rozbryzganą krew na jego ubraniu. Nie spanikowała, nie wystraszyła się. Niemniej miał wrażenie, że zrozumiała, co się stało.

Dojazd na ulicę Sudecką do jej domu zajął im ponad piętnaście minut. Iwanowicz się nie spieszył. Przede wszystkim chciał, by pierwsze spotkanie ze śledczymi, którzy będą teraz dokładnie zajmowali się tą sprawą, dziewczyna dobrze zapamiętała. Nie chciał wywoływać w niej złego wrażenia. Wiele wycierpiała, dlatego musiał się z nią obchodzić delikatnie. Zapewnił ją, że osobiście zadba o to, by przeszła przez ten długi proces możliwie łagodnie. Po drodze pytał ją o każdą rzecz. Wyjaśniła mu wszystko. Opowiedziała wiele sytuacji z dużą starannością, począwszy od chwili zaplanowania ucieczki, po wyjście z domu, a potem dotarcie do jakiegoś opuszczonego miejsca, w którym mogła nocować. Bała się iść do hotelu albo innego miejsca noclegowego, bo była nieletnia, więc od razu powiadomiono by policję i rodziców. A ona za wszelką cenę musiała pozostać w ukryciu. Nie miała szans na zatrzymanie się u którejkolwiek z koleżanek, bo jej ucieczka z domu, a właściwie nie tyle ucieczka, ile próba ocalenia samej siebie, skończyłaby się porażką. Zdana była na siebie. Szukała więc opuszczonych miejsc. I tak trafiła na jedną noc do dawnych zabudowań Celwiskozy, dawnego jeleniogórskiego zakładu przemysłowego, który od lat stał opuszczony. Potem przeniosła się do kolejnego miejsca. Przemieszczała się jeszcze przed świtem, zwykle około czwartej lub piątej nad ranem, kiedy było najmniej ludzi. Udało jej się jakoś przemknąć. Wcześniej zrobiła skromne zakupy w sklepie spożywczym. Raz też jedzenie dowiozła jej Dominika. Tylko z nią i Marysią utrzymywała kontakt. To było cztery dni temu. I wtedy też koleżankę widziała po raz ostatni. O jej śmierci dowiedziała się od Marysi.

O wpół do drugiej wjechali na podwórze domu, gdzie mieszkała. Komisarz wcześniej zadzwonił, by powiadomić o wszystkim rodziców.

Wysiedli z auta i podeszli pod jej dom. Pożegnał się z nią. Jeszcze raz przytuliła się do komisarza i podziękowała za wszystko. Przede wszystkim za uratowanie życia pozostałym osobom oraz za to, że dopadł ich prześladowcę.

Odprowadził dziewczynę wzrokiem, upewniwszy się, że dotrze na miejsce. Stał na klatce schodowej i nasłuchiwał. Po chwili usłyszał okrzyk radości. To był głos matki. Stał jeszcze przez minutę, ale nikogo więcej nie usłyszał.





Podjechał do bankomatu znajdującego się przy jednym z jeleniogórskich marketów. Schował plik banknotów do kieszeni i ruszył w kierunku ulicy Wincentego Pola. Gdy przemierzał znaną mu doskonale trasę, słuchał nocnych wydań wiadomości. Przez ostatnie dni zaniedbał wiadomości z kraju i ze świata. Nie wiedziałby nawet, gdyby wybrano nowego prezydenta. Chyba że usłyszałby to przypadkowo na korytarzu komendy. Gdy dojechał na miejsce, było pięć po drugiej. Wbiegł po drewnianych schodach na samą górę. Zastukał do drzwi stojących na końcu korytarza. Dopiero po dłuższym czasie usłyszał odgłos kroków. Przesunięcie się zasłonki judasza.

– To pan? O tej porze? – zapytała kobieta, gdy otworzyła drzwi. – Wystraszyłam się.

– Proszę wybaczyć to najście. Mogę na chwilę?

– Tak.

W mieszkaniu panował porządek. Był tu trzy dni temu i wtedy wyglądało tak, jakby przeszło przez nie tornado. Choć było bardzo skromnie urządzone, widać, że trochę o nie zadbała. Wszystkie rzeczy były równo ułożone. Kątem oka dostrzegł, że pokój Dominiki również został wysprzątny.

– Napije się pan czegoś?

– Woda mi wystarczy.

Kobieta zniknęła w ciemnym pomieszczeniu. Przyniosła po chwili szklankę i postawiła przed nim.

– Szukałam jeszcze jakichś rzeczy po Dominice, może coś będzie wam potrzebne w śledztwie...

– Już nie trzeba.

Zrobiła zaskoczoną minę. Usiadła naprzeciw, nie odrywając od niego wzroku.

– Jak to nie trzeba?

– Dziś w nocy go dorwaliśmy. Przyjechałem to powiedzieć.

– Dorwaliście go? – przerwała.

– Nauczyciel języka angielskiego. Ten od zajęć dodatkowych.

– A to skurwysyn...

Komisarz wypił duszkiem pół szklanki wody. Kątem oka widział, że spojrziała na jego zakrwawione ubranie.

– A ta krew?

Machnął ręką.

– To nie ma znaczenia. On skrzywdził wiele osób. Nie tylko dzieciaków, ale i ich rodziców. Sam nie wiem, może to właśnie ich najbardziej. Przysporzył wam tyle cierpienia... Nie da się tego wyrazić słowami. Zasłużył sobie...

Jadwiga Łaszczyńska zamknęła oczy. Spod powiek popłynęły łzy. Wytarła je chusteczką i podeszła do komisarza. Podała mu rękę w geście podziękowania. Nic nie powiedziała, ale wyczuł, że zrobiła to z potrzeby serca.

– Byłam w kościele. Modliłam się. I wyspowiadałam się. Ksiądz mi powiedział, że Dominika na pewno jest już w niebie. Jej dusza przychodzi czasami tu na ziemię, do naszego domu... Patrzy na mnie. I zapewne chce, bym się zmieniła. Dla niej. I dla Boga. I że jeszcze nie jest za późno.

Komisarz się uśmiechnął. Spojrzał na jej twarz. Nabrała rumieńców, miała umyte włosy. Odniośł wrażenie, że od jego ostatniej wizyty nie miała w ustach alkoholu, co go ucieszyło.

– To wspaniale... Naprawdę dobra wiadomość.

– Byłam u spowiedzi – mówiła dalej, jakby nie słyszała jego słów. – Nie pamiętałam, co się mówi przy konfesjonale. Nic. Ani słowa, więc zaczęłam z głębi serca. Na początku było mi trudno coś powiedzieć. Ale zaczęłam, przełamalam się. Było ciężko. A potem zaczęłam się spowiadać z tego, że zaniedbałam siebie. A przede wszystkim córkę. Zaniedbałam wszystko. Może gdybym poświęcała jej więcej uwagi, a mniej wódce, to dziś by żyła.

– To nie pani wina, on i tak by ją dopadł...

– Ale może byłabym wtedy trzeźwa, a nie jak zwykle pijana. Zauważyłabym, że jej nie ma w domu od dłuższego czasu. Może bym wtedy nie miała żadnych wyrzutów sumienia, a tak... Teraz... Mam. Mam i nie mogę przestać o niej myśleć. Ale obiecałam sobie, księdzu, Bogu, i przede wszystkim mojej kochanej córce, że nie tknę już nigdy alkoholu. Muszę naprawić to zło, które jej uczyniłam. Muszę... odpokutować.

– Będę się modlił za Dominikę.

– Dziękuję, panie komisarzu.

Kobieta się zamyśliła. Patrzyła to na policjanta, to na opróżnioną do połowy szklanek wody. Szukała miejsca, w którym mogła zakotwiczyć swoje spojrzenie.

– Ksiądz prosił mnie, bym chodziła do kościoła. Systematycznie. Podobno to pomaga. Powiedział, że dla takich osób jak ja prowadzi specjalne zajęcia. Zapisalam się. Chcę się zmienić. Chcę tego, panie komisarzu. Pozostało mi już tylko czcić teraz pamięć córki.

Spojrzał na nią smutnym, a jednocześnie pełnym optymizmu wzrokiem. Wiedział, że kobieta właśnie uzmysławiała sobie, co tak naprawdę się stało. Przechodziła przemianę. I to, co teraz się z nią dzieje, może być formą pokuty, pomyślał. Z trudem powstrzymał ziewanie. Musiał wracać do domu, bo słał się na nogach. Pozostawała jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Wstał i wyciągnął z kieszeni plik pieniędzy.

– To dla pani. Proszę za to kupić jedzenia, uzupełnić lodówkę, kupić środki czystości, jakieś nowe łóżko. Może niech pani zrobi coś dla siebie. Nowe ubranie, cokolwiek, co pomoże pani żyć. Musi pani teraz zacząć wszystko od nowa. A to wymaga nowych postanowień, nowych rzeczy.

– Ale... – zaczęła.

– Proszę. – Trzymał wyciągniętą w jej kierunku dłoń.

Z dużym oporem wzięła pieniądze i przeliczyła.

– O Boże... tu jest... ponad dwa tysiące. W życiu nie miałam...

– Przykro mi, ale więcej nie mogłem. Mam dzienny limit wypląt z bankomatu.

– Jezu przenajświętszy, Chryste... Ale jak?

– Proszę to potraktować jako prezent na nowy początek. Proszę zadbać o siebie. Kupić to, co pani potrzebuje najpilniejszego. Tylko zero alkoholu.

– Panie komisarzu... nigdy. Nie tknę już nigdy, przysięgam. Nie po tym, co mnie spotkało. Ani kropli. Ale... Nie, ja nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

– Proszę je zatrzymać. Mam duże oszczędności. Przez całe życie zbierałem pieniądze dla mojego syna, który już nie żyje.

Chciał jej powiedzieć, że zbierał na jego studia, na jego mieszkanie. Na to, by miał lepsze życie niż on w jego wieku. Jako ojciec pragnął, by syn był szczęśliwym człowiekiem. Nikogo więcej nie miał.

Kobieta zaczęła kiwać głową, jakby wszystko rozumiała. Na przykład, dlaczego tak bardzo zależało mu na rozwiązaniu tej sprawy. W jej spojrzeniu dostrzegł również, że rozumiała, skąd się wzięła krew na jego ubraniu i czemu przyjechał do niej mimo późnej pory.

– Więc proszę zrobić to dla mnie i to wziąć.

– To dla mnie masa pieniędzy... Nie mogę, proszę sobie coś kupić.

– Mam za co żyć. Teraz pani potrzebuje, więc proszę to przyjąć.

Wstała i mocno go uściskała, nie zadając już więcej pytań.

– Nie musi pani – rzekł, gdy już się wyswobodził z objęć. Wyciągnął kartkę i zapisał coś na niej. – Proszę, oto mój numer telefonu i adres. Jeżeli chce pani dorobić do zasiłku, od poniedziałku może pani zacząć pomagać mi w prowadzeniu domu. Mam na myśli głównie sprzątanie. Co do wynagrodzenia, dogadamy się. Szczegóły omówimy na początku tygodnia.

– Boże... Czy to wszystko mi się śni? Panie Marku... Ja nie wiem, co powiedzieć.

Komisarz uśmiechnął się nieśmiało. Był to jeden z tych rodzajów uśmiechów, za którym nie kryła się prawdziwa radość. Przede wszystkim czuł ulgę.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

– Nagrobek dla Dominiki...

– Słucham?

– Trzeba będzie zająć się, wybrać i zamówić dla niej pomnik na cmentarzu.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Zrobię, co mogę, na razie usypimy coś z ziemi. Potem zrobi się taki drewniany. Niestety, nic innego pewnie się teraz nie uda. To bardzo duży wydatek.

Spojrzał na nią. Mieszkanie komunalne, które nawet nie było jej własnością. Miała tylko kilka starych mebli, które kupiła lub dostała jeszcze w latach osiemdziesiątych. Dywan, kanapa, stary telewizor, drobne pamiątki. Niewątpliwie klepała biedę, ale część tego, co mogła odłożyć przez lata, przepijała. W dużej mierze sama sobie była winna. Ale przed chwilą przyznała, że alkoholizm stał się jej życiowym przekleństwem i chce z niego wyjść. Wierzył, że jej się uda. Widział w jej oczach tę przemianę. Nie były już mętne, puste, ale wrażliwsze i bardziej wyczuwane na rzeczywistość.

– Nie szkodzi. Proszę się tym zająć, wybrać coś ładnego. Ja pokryję koszty – powiedział i wyszedł z kamienicy, nie pożegnawszy się.

– Dominika nie zasłużyła na taki koniec. Tylko tyle mogę dla niej zrobić – powiedział do siebie, gdy był już na dole.

Dopił resztkę kawy z dużego kubka. Zdążył zjeść wszystkie słodczyce, które kupił na stacji benzynowej, by naładować się energią. Ruszył do domu. Spojrzał na zegarek, było parę minut po trzeciej. To był jeden z najdłuższych dni, jakie pamiętał. Drzwi do mieszkania wciąż były otwarte, tak jak je zostawił. Jutro czekało go sporo pracy. Przede wszystkim wyjaśnienia, czyli to, czego najbardziej nie znosił w tej pracy.

Włączył leżącą w odtwarzaczu CD płytę *Moizm*. Pierwszy utwór nosił tytuł *Dziecko księżycy*. Powolna i spokojna kompozycja omal go nie uśpiła. Ale się nie poddawał. Kawa i napoje energetyczne zrobiły swoje. Później zmył z siebie krew i zmienił opatrunek na rękę. Gdy się tym zajmował, myślał o kilku minionych dniach śledztwa, o tym, że przez ostatnie dni oddał się mu bez reszty. Nie myślał o niczym innym niż o uwolnieniu rodziców ocalałych dziewcząt od tej troski. Zależało mu na tym, by stało się to jak najszybciej.

Przed wrzuceniem ubrań do pralki opróżnił kieszenie. Wyciągnął telefon. Dopiero teraz dostrzegł, że miał dwie nieprzeczytane wiadomości oraz trzy nieodebrane połączenia. Gawłowski, informatyk, komendant. Nie chciał rozmawiać ani odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Formalności mogły poczekać. Dla niego wszystko już stało się jasne. Odczytał tylko wiadomości. Pierwsza z nich była od Gawłowskiego. Pisał, że pogotowie w asyście policji odwiozło Lenartowicza do szpitala. Lekarze ocenili jego stan jako ciężki, ale stabilny. Zapewne przeżyje, ale do końca życia będzie miał poważnie zniekształconą twarz. Mówili o trwałym uszkodzeniu nosa. Tylko operacja może przywrócić dawny wygląd. Albo tylko część. Jego samochód znaleziono pod wiaduktem, niedaleko marketu. Trwają dokładne oględziny. Technicy, policja i prokurator wciąż są na miejscu. W drugim SMS-ie pisał o tym, że Lenartowicz zwabił Marysię, podszywając się pod Patrycję. Kupił nowy numer i wysłał do niej wiadomość z prośbą o pilne spotkanie na Osiedlu Robotniczym. I tak trafiła w jego sidła.

Druga wiadomość w telefonie była od Małgorzaty Winiarskiej. „Panie Marku, należą się panu ogromne podziękowania. Nie tylko od samych rodziców, z których zdjął pan wielki ciężar. Zrobił pan dla nich dużo dobrego, zapewne nie da się tego opisać słowami. Ale szczególne podziękowania należą się też ode mnie. Co by pan powiedział na spotkanie? Czekam z niecierpliwością na wiadomość”.

Komisarz relaksował się, siedząc na balkonie i popijając whisky. Robił to, co naprawdę lubił. Rozmyślał o tym, czego dziś dokonał i co zrobił. O tym, że o mały włos nie zabił człowieka. Ale wiedział, że od początku było to wpisane w jego plan osobistych porachunków. Tak, niewątpliwie wymierzył mu karę. Reszta już go nie interesowała. Zrobił, co trzeba. Należało mu się. Mógł skończyć jeszcze gorzej.

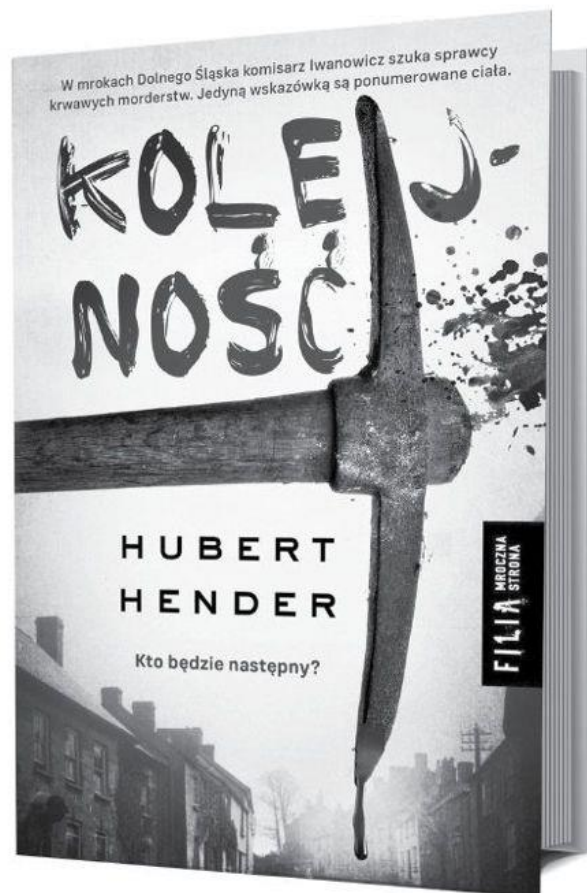
Wtedy gdy stał nad Lenartowiczem, tuż obok rzeki, dał mu do zrozumienia, że sam może zdecydować o swoim losie. I to był jedyny akt łaski, na jaki było go stać. Potem gdy usłyszał zbliżającą się karetkę, zostawił go i odszedł w kierunku nadjeżdżającego samochodu, by ratownicy czym prędzej dojechali na miejsce. Lenartowicz leżał niespełna pół metra od brzegu. W każdej chwili mógł podjąć decyzję, czy chce dalej żyć.

I zdecydował.

Iwanowicz spojrział na niebo. Wtedy, przed trzema godzinami, również na nie spoglądał. Połowa nieba była gwiazdzista, a drugą połowę wypełniała ciemność, mrok i coś innego. Coś, czego do końca wówczas nie rozumiał, ale miał wrażenie, jakby widział walkę dwóch wrogich

sił. Wiedział, że jedna z nich musiała zwyciężyć. Nalał sobie pół szklanki chivas regal i poprawił się na wygodnym leżaku. Nie miał nic przeciwko temu, by spędzić tu noc. Temperatura była idealna do snu na świeżym powietrzu. Jeszcze raz przeczytał wiadomość od Małgorzaty Winiarskiej. Miał przed oczami jej twarz. Niewątpliwie była jedną z ładniejszych osób, jakie spotkał w życiu. Do tego inteligentna, choć może trochę skryta. Ale skrytość przy pierwszym i drugim spotkaniu była czymś normalnym, uznał. Wiedział również, ile w ostatnich dniach wycierpiała. Kliknął na okno z odpowiedzią. Napisał kilka słów i nacisnął „Wyślij”. Wypił łyk palącego w gardło alkoholu. Dziś smakował wyjątkowo dobrze.

Po chwili otrzymał SMS. Na telefonie migąła zielona dioda. Odczytał odpowiedź, uśmiechnął się i spojrzał do góry. Dopiero teraz dostrzegł, że jedna z części nieba zrobiła się wyraźnie większa.



W mrokach Dolnego Śląska komisarz Iwanowicz szuka sprawcy krwawych morderstw.  
Jedyną wskazówką są ponumerowane ciała.  
Kto będzie następny?

**FILIA** MROczNA  
STRONA

[mrocznastrona.pl](http://mrocznastrona.pl)

## Spis treści

Okładka  
Karta tytułowa  
Cytat

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28



29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Hubert Hender, 2017  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone  
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.  
Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Khaneeros/Shutterstock

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Dorota Wojciechowska

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-271-9

# FILIA

Wydawnictwo FILIA  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl  
Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

Okolicami Jeleniej Góry wstrząsa sprawa  
brutalnych porwań dzieci.  
Czy uda się na czas znaleźć  
sprawcę i jego ofiary?

HUBERT  
HENDER

LEK

Ludzie nie mają pojęcia, czym jest strach,  
dopóki nie zostaną rodzicami...

FILIA  
MRO CZNA  
STRONA

